



PHILIP PULLMAN

BAŚNIE BRACI GRIMM

dla dorosłych i młodzieży

BEZ CENZURY

O książce

Spośród najsłynniejszych europejskich baśni mistrz fantastycznych opowieści, Philip Pullman, wybrał 50, aby zaprezentować je w nowej odsłonie. Od klasycznych historii o Roszpuncie, Królownie Śnieżce i Kopciuszku, aż po mniej znane, pełne grozy „Trzy węzowe liście”, „Narzeczoną mordercy” i „Śmierć ojcem chrzestnym”. Wszystkie zostały przypomniane z całym ich okrucieństwem i odwagą obyczajową, a także opatrzone krótkim i fascynującym komentarzem.

PHILIP PULLMAN
BAŚNIE BRACI GRIMM
dla dorosłych i młodzieży

BEZ CENZURY

Z angielskiego przetłóżył
TOMASZ WYŻYŃSKI



Wydanie elektroniczne

PHILIP PULLMAN

Urodził się w Norwich w 1946 roku. Dzieciństwo i młodość upłynęły mu na licznych podróżach, w czasie których zbierał najciekawsze historie z różnych stron świata. Jest wykładowcą literatury angielskiej i wielokrotnie nagradzonym autorem książek dla dzieci i młodzieży. Jego najślawniejszym dziełem jest trylogia **Mroczne materie**, należąca już do klasyki literatury XX wieku. Przez „The Times” został uznany za jednego z 50 najwybitniejszych pisarzy brytyjskich.

Tytuł oryginału:
GRIMM TALES FOR YOUNG AND OLD

Copyright © Philip Pullman 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
2014

Polish translation copyright © Tomasz Wyżyński 2014

Redakcja: Anna Walenko

Ilustracja na okładce: © paper illustration by Cheong-ah Hwang

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Andrzej
Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-095-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em](http://88em.com)

SPIS TREŚCI

Wstęp

Bibliografia

1. Żabi król i Żelazny Henryk

2. Kot i mysz w jednym stały domu

3. O chłopcu, co ruszył w świat, by poznać strach

4. Wierny Jan

5. Dwunastu braci

6. Braciszek i siostrzyczka

7. Roszpunka

8. Trzy krasnoludki w lesie

9. Jaś i Małgosia

10. Trzy węzowe liście

11. Rybak i jego żona

12. Dzielny krawczyk

13. Kopciuszek

14. Zagadka

15. Mysz, ptak i kielbasa

16. Czerwony Kapturek

17. Muzykanci z Bremy

18. Śpiewająca kość

19. Diabeł i trzy złote włosy

20. Dziewczyna bez rąk

21. Elfy

22. Narzeczona mordercy

23. Śmierć ojcem chrzestnym

24. Jałowiec

25. Śpiąca królewna

26. Królewna Śnieżka

27. Rumpelsztyk

28. Złoty ptak

29. Chłopina

30. Futrzarka

31. Jorinda i Joringel

- [32. O sześciu takich, co świat zawojowało](#)
 - [33. Jan Kostera](#)
 - [34. Śpiewający, skaczący skowronek](#)
 - [35. Gęsiarka](#)
 - [36. Niedźwiedzia Skóra](#)
 - [37. Dwaj towarzysze wędrówki](#)
 - [38. Jasio Jez](#)
 - [39. Całun](#)
 - [40. Skradzione grosiki](#)
 - [41. Ośla kapusta](#)
 - [42. Jednooczka, Dwuoczka i Trzyoczka](#)
 - [43. Pantofelki zdarte od tańca](#)
 - [44. Żelazny Jan](#)
 - [45. Góra Simeli](#)
 - [46. Leniwy Henryś](#)
 - [47. O Janku siłaczu](#)
 - [48. Księżyc](#)
 - [49. Gęsiarka przy źródle](#)
 - [50. Rusałka ze stawu koło młyna](#)
- [Przypisy](#)

WSTĘP

*Już od dawna serdecznie mając dość
Wydumanych narracyjnych zmyśleń naszej epoki,
Zatęskniłem za niewyszukanym sposobem opowiadania, jaki
Występuje w legendach, baśniach — ton wylizany do czysta
Przez łagodne starcze języki na przestrzeni stuleci,
Dziadek mówi wnukowi, spokojnie, anonimowo.*

...Więc moja narracja

*Chciała być przejrzysta, nieposzatkowana;
Moi bohaterowie — konwencjonalne, typowe postacie —
W minimalnym stopniu narażeni na wpływ
Osobowości i przeszłych wydarzeń:
Wiedźma, pustelnik, niewinni młodzi kochankowie,
Tacy, jakich pamiętamy z baśni braci Grimm,
Z Junga, Verdiego i commedia dell'arte.*

Tak pisze amerykański poeta James Merrill na początku *The Book of Ephraim* (Księga Efraima), pierwszej części niezwykle długiego poematu *The Changing Light at Sandover* (Zmienne światło w Sandover, 1982). Rozważając, w jaki sposób chciałby opowiedzieć swoją historię, wymienia dwie charakterystyczne cechy baśni, które uznaje za najważniejsze: „spokojny, anonimowy” głos narratora oraz „konwencjonalne, typowe postacie” zaludniające świat legend.

Kiedy Merrill wspomina o braciach Grimm, nie musi mówić nic więcej: wszyscy wiemy, o co chodzi. Dla większości zachodnich czytelników i pisarzy ostatnich dwustu lat *Baśnie domowe i dziecięce* (niem. *Kinder- und Hausmärchen*) braci Grimm stanowią podstawowe źródło tradycji bajkopisarskiej. Jest to największy zbiór bajek, najszerzej spopularyzowany w niezliczonych językach, wzór tego, co wszyscy uważamy za kwintesencję baśni ludowej.

Jednak gdyby bracia Grimm nie zebrali tych opowieści, niewątpliwie zrobiłby to ktoś inny. W istocie rzeczy zajmowały się tym również inne osoby. Początek dziewiętnastego wieku to okres wielkiego fermentu intelektualnego w Niemczech, gdy specjaliści w zakresie prawa, historii i językoznawstwa prowadzili badania i dyskusje nad tym, co tak naprawdę oznacza bycie Niemcem. Działo

się to w chwili, gdy Niemcy nie istniały jako jednolity organizm polityczny, lecz składały się z około trzystu niezależnych państw — królestw, wielkich księstw, księstw, margrabstw, posiadłości landgrafów i elektorów, biskupstw i tak dalej, rozdrobnionych pozostałości Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Życie braci Grimm nie było szczególnie niezwykle. Jacob (1785—1863) i Wilhelm (1786—1859) byli najstarszymi żyjącymi synami Philippa Wilhelma Grimma, zamożnego prawnika z księstwa Hesji, i jego żony Dorothei. Otrzymali klasyczne wykształcenie i protestanckie wychowanie religijne; należeli do Kościoła ewangelicko-reformowanego. Inteligentni, pilni i poważni, zamierzali iść w ślady Philippa Wilhelma i obrać karierę adwokacką, w której niewątpliwie odnieśliby sukcesy, jednak nagła śmierć ojca w 1796 roku sprawiła, że rodzina, w której było sześcioro dzieci, została zmuszona do korzystania ze wsparcia krewnych matki. Ciotka Grimmów, Henriette Zimmer, dwórka na dworze księżęcym w Kassel, pomogła Jacobowi i Wilhelmowi dostać się do *Lyzeum*, czyli szkoły średniej, którą ukończyli jako prymusi. Ale rodzina miała kłopoty finansowe i gdy studiowali na uniwersytecie w Marburgu, musieli żyć bardzo skromnie.

W Marburgu znaleźli się pod wpływem profesora Friedricha Carla von Savigny'ego, którego idea, że system prawny jest naturalnym produktem języka i historii narodu, skłoniła ich do podjęcia studiów filologicznych. Dzięki profesorowi von Savigny'emu i jego żonie Kunigunde Brentano poznali również krąg ludzi skupionych wokół jej brata Clemensa Brentana i Achima von Arnima, który poślubił siostrę obojga Brentanów, pisarkę Bettinę. Grupa ta interesowała się folklorem niemieckim. Ich entuzjazm dla etnografii doprowadził do publikacji zbioru pieśni i poezji ludowych *Des Knaben Wunderhorn* (Magiczny róg młodzieńca). Pierwszy tom ukazał się w 1805 roku i natychmiast zdobył popularność.

Bracia Grimm naturalnie się tym interesowali, lecz nie bezkrytycznie: w maju 1809 roku w liście do Wilhelma Jacob z dezaprobatą pisał o tym, w jaki sposób Brentano i von Arnim potraktowali materiał, tnąc go, uzupełniając, modernizując i przekształcając według własnego uznania. Później bracia Grimm (szczególnie Wilhelm) byli krytykowani z tych samych powodów za sposób potraktowania materiału będącego źródłem *Baśni domowych i dziecięcych*.

Tak czy inaczej, decyzja braci Grimm, by zbierać i publikować baśnie ludowe, nie była zjawiskiem odosobnionym, gdyż w tamtych

czasach zajmowało się tym wiele osób.

Źródła, z których korzystali, były zarówno mówione, jak i pisane. Ale nie robili jednego — nie wędrowali po wsiach, by szukać chłopów i spisywać słowo w słowo ich opowieści. Niektóre baśnie braci Grimm pochodzą bezpośrednio ze źródeł literackich: dwie z najlepszych, [Rybak i jego żona](#) oraz [Jałowiec](#), otrzymali w postaci rękopisu od malarza Philippa Ottona Rungego i opublikowali w dialekcie dolnoniemieckim, w którym Runge je napisał. Większość pozostałych dotarła do braci w formie mówionej, za pośrednictwem ludzi należących do różnych sfer klasy średniej, w tym przyjaciół rodziny, a wśród nich Dortchen Wild, córki aptekarza, którą Wilhelm Grimm w końcu poślubił. Po dwustu latach nie da się powiedzieć, jak dokładnie spisano oryginalne opowieści, ale to samo odnosi się do wszystkich zbiorów baśni wydanych przed wynalezieniem magnetofonu. Kluczowe znaczenie mają energia i wigor wersji opublikowanych przez braci.

Bracia Grimm wnieśli wielki, trwały wkład do filologii. Prawo Grimma, sformułowane przez Jacoba, opisuje wymiany spółgłosek w historii języków germańskich. Bracia pracowali wspólnie nad pierwszym wielkim słownikiem języka niemieckiego. W 1837 roku doszło do najbardziej chyba dramatycznego wydarzenia w ich życiu: wraz z pięcioma innymi kolegami z uniwersytetu odmówili złożenia przysięgi na wierność nowemu królowi Hanoweru, Ernstowi Augustowi, ponieważ nielegalnie zawiesił konstytucję. W rezultacie zwolniono ich ze stanowisk uniwersyteckich i podjęli pracę na Uniwersytecie Berlińskim.

Ale przeszli do historii przede wszystkim jako autorzy *Baśni domowych i dziecięcych*. Pierwsze wydanie ukazało się w 1812 roku, po czym opublikowano pięć kolejnych edycji (na tym etapie większość prac redakcyjnych wykonywał Wilhelm) aż do siódmej, ostatniej, która ukazała się w 1857 roku, gdy baśnie braci Grimm cieszyły się już ogromną popularnością. Pod względem znaczenia można je porównać jedynie z *Baśniami z tysiąca i jednej nocy*; oba te dzieła to najważniejsze zbiory legend, jakie kiedykolwiek opublikowano. W miarę upływu dziewiętnastego wieku nie tylko cały zbiór się rozrastał, ale również zmieniały się baśnie. W rękach Wilhelma stały się nieco dłuższe, w niektórych przypadkach bardziej skomplikowane, czasem bardziej pruderyjne, z pewnością bardziej pobożne niż pierwotna wersja.

Naukowcy reprezentujący różne dziedziny wiedzy — badacze literatury i folkloru, teoretycy rozwijający idee Freuda i Junga,

chrześcijanie, marksiści, strukturaliści, poststrukturaliści, feministki, postmoderniści i przedstawiciele wielu innych kierunków — znaleźli w tych dwustu dziesięciu opowieściach niezmiernie bogactwo materiałów do analiz. Część książek i esejów, które okazały się najbardziej przydatne, jest wymieniona w bibliografii; niewątpliwie te i inne prace wpłynęły na moją interpretację baśni braci Grimm i sposób ich odtworzenia silniej, niż mam tego świadomość.

Jednak najbardziej interesowało mnie zawsze to, jak baśnie te funkcjonują JAKO OPOWIEŚCI. W niniejszej książce zamierzałem przedstawić najlepsze, najciekawsze z nich, oczyszczając je ze wszystkiego, co utrudnia swobodny bieg narracji. Nie chciałem ich umieszczać we współczesnej scenerii, tworzyć osobistych interpretacji ani poetyckich wariantów oryginałów, lecz chciałem po prostu napisać wersje czyste jak woda. Stale zadawałem sobie pytanie: „Jak opowiedziałbym tę historię, gdybym ją od kogoś usłyszał i chciał przekazać dalej?”. Wszystkie zmiany, jakich dokonałem, miały sprawić, by opowieść, relacjonowana moim głosem, rozwijała się naturalnie. Jeśli, jak się niekiedy zdarzało, uważałem, że można coś udoskonalić, wprowadzałem niewielkie zmiany w tekście bądź sugerowałem poważniejsze zmiany w nocie na końcu opowieści. (Przykładem jest [Futrzarka](#), która w oryginale wydaje mi się urwana w połowie).

„Konwencjonalne, typowe postacie”

W baśni nie istnieje psychologia. Bohaterowie mają ubogie życie wewnętrzne, a ich motywy są jasne i oczywiste. Dobrzy ludzie są dobrzy, a źli — źli. Nawet kiedy w [Trzech węzowych liściach](#) księżniczka z niejasnych powodów zwraca się przeciwko mężowi, okazując mu niewdzięczność, natychmiast się o tym dowiadujemy. Takie rzeczy nigdy nie są ukrywane. W baśniach nie ma niuansów i tajemnic ludzkiej psychiki, szeptów pamięci, niezrozumiałych impulsów wywołanych żalem, wątpliwościami lub pożądaniem, które tak często stają się tematami powieści współczesnej. Można wręcz powiedzieć, że bohaterowie baśni nie są tak naprawdę świadomi.

Rzadko mają imiona. Najczęściej znamy tylko ich zawód lub status społeczny — młynarz, księżniczka, kapitan; niekiedy posiadają przydomki związane z charakterystycznym elementem stroju — Niedźwiedzia Skóra, Czerwony Kapturek. Kiedy otrzymują

imię, zwykle brzmi ono Jan (Hans); podobnie jak w baśniach angielskich bohaterem jest Jack.

Sądzę, że najlepszych podobizn bohaterów baśni ludowej nie należy szukać w żadnym z pięknie ilustrowanych wydań baśni braci Grimm, lecz są nimi niewielkie kartonowe figurki do zabawy w teatr. Płaskie, dwuwymiarowe. Publiczność widzi tylko jedną stronę, ale to wystarcza — druga strona jest pusta. Postacie sportretowano w ekspresyjnych pozach, aby ich dramat był łatwo czytelny z oddali.

Niektórzy bohaterowie baśni istnieją jako grupy. Dwunastu braci z opowieści o tym samym tytule, dwanaście księżniczek w [Pantofelkach zdartych od tańca](#), siedmiu krasnoludków z [baśni o Królowie Śnieżce](#) — poszczególne postacie niewiele się od siebie różnią, jeśli w ogóle się różnią. James Merrill trafnie wspomniał o commedii dell'arte. Poliszynel, bohater commedii dell'arte, stał się tematem słynnej serii rysunków Giandomenica Tiepola (1727—1804), przedstawiających go nie jako jedną postać, lecz jako rój identycznych półgłówków. Na rysunkach ukazano kilkunastu Poliszyneli próbujących jednocześnie gotować zupę albo patrzących ze zdumieniem na strusia. Grupowy bohater tego rodzaju nie ma nic wspólnego z realizmem. Dwanaście księżniczek, które co noc opuszczają pałac i zdzierają sobie pantofelki od tańca, czy siedmiu krasnoludków, śpiących w ustawionych obok siebie łóżkach, istnieje w zupełnie innym świecie — między krainą niesamowitości a krainą absurdu.

Szybkość

Wielką zaletą baśni jest błyskawiczne tempo narracji. Dobra opowieść pędzi naprzód z niewiarygodną szybkością, przechodząc od wydarzenia do wydarzenia, a narrator zwalnia tylko po to, by podać najbardziej niezbędne fakty. W najlepszych baśniach to, co niezbędne, jest ograniczone do absolutnego minimum: według metafory Rudyarda Kiplinga są one jak ogień, który płonie jasno, bo usunięto cały popiół.

Dobrym przykładem jest początek opowieści. Potrzebujemy tylko słowa „raz” i zaczynamy:

Żył raz ubogi człowiek, który nie był już w stanie utrzymać swego jedyne go syna. Kiedy chłopak to zrozumiał, powiedział:

— Ojcie, nie ma sensu, żebym tu dłużej mieszkał. Jestem dla ciebie ciężarem. Opuszczę dom i zobaczę, czy potrafię sam na siebie zarobić.

(Trzy węzowe liście)

Kilka akapitów później syn poślubia królową.
Albo ten fragment:

Żył raz chłop, który miał dużo pieniędzy i ziemi, ale mimo bogactwa czegoś mu brakowało. Był bezdzietny. Kiedy spotykał w mieście lub na targu innych chłopów, często kpili, że on i jego żona nie potrafią zrobić tego, co stale robi bydło. Czy nie wiedzą, skąd się biorą dzieci? W końcu stracił cierpliwość, wrócił do domu, zaklął i zawołał:

— Będę miał dziecko, choćby jeża!

(Jasio Jeż)

Prędkość narracji przyprawia o zawrót głowy. Jednak tak szybka podróż jest możliwa tylko z lekkim bagażem, nie ma więc żadnych informacji, których szukamy we współczesnej prozie — nazwisk, wyglądu i pochodzenia postaci, kontekstu społecznego i tak dalej. Oczywiście wyjaśnia to częściowo, dlaczego bohaterowie są tacy płascy. Narracja skupia się przede wszystkim na tym, co ich spotyka i co robią, a nie na ich indywidualności.

Tworząc opowieść tego rodzaju, nie zawsze łatwo zdecydować, które wydarzenia są niezbędne, a które zbędne. Jeśli ktoś chce się dowiedzieć, jak skonstruować idealną baśń, powinien przeanalizować *Muzykantów z Bremy*, krótką, absurdalną opowiastkę, a zarazem arcydzieło, gdzie narracja nie zawiera żadnego niepotrzebnego elementu. Każdy akapit posuwa opowieść naprzód.

Obrazowanie i opisy

W baśniach obrazowanie sprowadza się do najbardziej oczywistych porównań. Biały jak śnieg, czerwony jak krew: to mniej więcej wszystko. Nie ma szczegółowych opisów przyrody ani ludzi. Las jest gęsty, a księżniczka piękna — nie trzeba mówić nic więcej. Kiedy przede wszystkim chcemy wiedzieć, co się za chwilę stanie, piękne literackie opisy mogą wyłącznie irytować.

Ale w jednej opowieści pojawia się fragment, który z powodzeniem łączy piękny opis przyrody i opis wydarzeń w taki sposób, że nie mogłyby bez siebie funkcjonować. Chodzi o [Jałowiec](#) i fragment, w którym żona mówi, że chciałaby urodzić dziecko o wargach czerwonych jak krew i skórze białej jak śnieg. Narrator łączy ciążę kobiety ze zmianą pór roku:

Minął jeden miesiąc i śnieg stopniał.

Minęły dwa miesiące i świat się zazielenił.

Minęły trzy miesiące i na łąkach zakwitły kwiaty.

Minęły cztery miesiące i gałązki drzew w lesie wzmocniły się i splotły ze sobą. W całym lesie rozbrzmiewał śpiew ptaków, a z kwitnących drzew spadały płatki kwiatów.

Minęło pięć miesięcy i kobieta stanęła pod jałowcem. Pachniał tak słodko, że zabiło jej mocno serce i upadła na kolana, pełna radości.

Minęło sześć miesięcy. Jagody stały się dojrzałe i ciężkie, a kobieta żyła w oczekiwaniu.

Kiedy minęło siedem miesięcy, zerwała jagody jałowca i zjadła ich tak dużo, że poczuła mdłości i ogarnął ją smutek.

Kiedy minął ósmy miesiąc, wezwała męża i powiedziała: „Jeżeli umrę, pochowaj mnie pod jałowcem”.

To piękny fragment, lecz (jak sugeruję w [nocie do tej opowieści](#)) jest on piękny w dziwny sposób: narrator opowiadający tę historię ma niewielkie możliwości jej ulepszenia. Trzeba ją powtórzyć dokładnie tak, jak brzmi w oryginale, a przynajmniej odnieść do poszczególnych miesięcy odpowiednie opisy, ściśle związane ze wzrostem niemowlęcia w łonie matki i wzrostem jałowca, który odegra ważną rolę w późniejszym zmartwychwstaniu dziecka.

Ale ten przykład to wspaniały, rzadki wyjątek. W większości baśni braci Grimm bohaterowie są płascy; nie ma opisów. To prawda, że w późniejszych wydaniach narracja Wilhelma stała się nieco barwniejsza i bardziej wyszukana, ale opowieść skupia się na wydarzeniach — obecnych i przyszłych. Stereotypowe formuły są tak powszechne, a brak zainteresowania szczególnymi cechami rzeczy tak trwałe, że doznajemy prawdziwego szoku, gdy w [Jorindzie i Joringelu](#) czytamy następujące zdanie:

Był piękny wieczór. W ciemnozielonym gęstym lesie na pniach drzew pełgały ciepłe promienie słońca, a w koronach starych buków żałośnie gruchały synogarlice.

Nagle opowieść przestaje brzmieć jak baśń ludowa i zaczyna przypominać utwór literacki pisarza romantycznego, jak Novalis czy Jean Paul. Spokojny, anonimowy opis wydarzeń ustąpił miejsca, w krótkim fragmencie, indywidualnej wrażliwości: szczegóły te ujrzał w wyobraźni człowiek, który je zanotował. Sposoby posługiwania się obrazami i talent do tworzenia opisów stanowią o oryginalności autora, ale baśnie nie są dziełem indywidualnych autorów: wyjątkowość i oryginalność nie mają w nich znaczenia.

To nie tekst

Preludium Williama Wordswortha czy *Ulisses* Jamesa Joyce'a istnieją przede wszystkim jako teksty. Są słowami na kartkach papieru. Zadaniem redaktorów lub krytyków literackich jest dokładne analizowanie tych słów, a także porównywanie rozbieżnych wersji występujących w różnych wydaniach; powinni oni wyjaśnić problemy i zadbać, by czytelnik obcował z autentycznym tekstem dzieła.

Baśń nie jest tekstem tego rodzaju. To spisane słowa jednego człowieka lub wielu ludzi, którzy opowiedzieli pewną historię; zapis mógł zostać sporządzony raz lub kilkakrotnie. Na ostateczną formę wpływa wiele czynników. Narrator może jednego dnia opowiedzieć baśń barwnie i obrazowo, a innego powściągliwiej, bo jest zmęczony lub ma zły nastrój. Osoba spisująca opowieść może mieć problemy z przyborami do pisania; może gorzej słyszeć z powodu przeziębienia; pisanie może być przerywane przez kichanie lub kaszel. Zdarza się również tak, że dobrą baśń opowiada kiepski narrator.

To bardzo istotne, ponieważ narratorzy mają różne talenty, techniki i sposoby podejścia do materiału. Bracia Grimm byli zachwyceni Dorotheą Viehmann, która potrafiła kilkakrotnie opowiedzieć tę samą historię dokładnie tymi samymi słowami, co ułatwiało notowanie. Pochodzące od niej baśnie odznaczają się wyjątkowo staranną strukturą i niezwykłą precyzją. Kiedy w czasie pisania tej książki pracowałem nad opowieściami Dorothei Viehmann, ja również byłem zachwycony.

Jeden narrator może mieć talent satyryczny, inny — talent do trzymania słuchaczy w napięciu, jeszcze inny — do patosu i sentymentalizmu. Naturalnie każdy wybiera opowieść, która najlepiej pozwoli mu wykorzystać jego umiejętności. Kiedy baśń

opowiada człowiek z talentem satyrycznym, dodaje on zabawne szczegóły lub komediowe epizody, które zostają zapamiętane i przekazane dalej, toteż jego interpretacja nieco zmienia opowieść. Gdy historię pełną grozy opowiada mistrzyni napięcia, będzie ją ubarwiać w podobny sposób, a jej uzupełnienia i zmiany staną się częścią tradycji aż do chwili, gdy pójdą w zapomnienie lub ktoś inny wprowadzi swoje upiększenia czy poprawki.

Baśń ulega ciągłym zmianom, nie ma ustalonej ostatecznej wersji. Trzymanie się jednej wersji lub jednego przekładu to „zamykanie rudzika w klatce”¹. Jeśli ty, czytelniku, będziesz chciał opowiedzieć jedną z baśni zawartych w tej książce, mam nadzieję, że potraktujesz ją swobodnie, nie przywiązując nadmiernej wagi do wierności. Masz prawo wprowadzać inne szczegóły niż te, które przekazałem za różnymi narratorami lub sam wymyśliłem. W istocie masz nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek nadać tej historii swoje piętno². Baśń nie jest tekstem.

„Ton wylizany do czysta”

Czy autor jakiegokolwiek wersji baśni może się kiedykolwiek zbliżyć do ideału Jamesa Merrilla i sprawić, by jej ton był „spokojny, anonimowy”? Oczywiście może wcale tego nie chcieć. Istnieje wiele wersji baśni braci Grimm, w których ujawniają się mroczne obsesje autorów, ich błyskotliwa oryginalność lub pasje polityczne; w przyszłości takich wersji powstanie jeszcze więcej. Baśnie potrafią to wytrzymać. Ale nawet jeśli chcemy pisać spokojnym, anonimowym tonem, w moim przekonaniu nie da się tego osiągnąć w pełni, bo w każdym akapicie pozostaną nasze stylistyczne odciski palców. Dzieje się to bez naszej wiedzy.

Sądzę, że powinniśmy się skupić na dążeniu do przejrzystości i nie przejmować się tym, czy rzeczywiście wpływamy na styl baśni. Opowiadanie tych historii to wielka przyjemność i szkoda byłoby ją zepsuć, martwiąc się niepotrzebnie takimi kwestiami. Pisarz, który zdaje sobie sprawę, że nie musi niczego WYMYŚLAĆ, czuje wielką ulgę i zadowolenie — świadomość tego jest niczym orzeźwiający powietrze, które owiewa młodego hrabiego w [Gęsiarce przy źródle](#), gdy kładzie się on na trawie, by odpocząć. Materiał opowieści jest gotowy, podobnie jak ciąg akordów melodii granej przez muzyka jazzowego, a nasze zadanie polega na tym, by przechodzić od akordu do akordu, od wydarzenia do wydarzenia, z całą lekkością

i swobodą, na jaką nas stać. Opowiadanie baśni to kreacja, tak jak jazz, a pisanie to również rodzaj kreacji.

W końcu chciałbym doradzić każdemu, kto miałby ochotę opowiadać te historie, by nie obawiał się przesądów. Jeśli masz pióro, które przynosi ci szczęście, korzystaj z niego. Jeśli opowiadasz z większą energią i dowcipem, gdy nosisz na jednej nodze czerwoną skarpetkę, a na drugiej niebieską, ubieraj się w ten sposób. W pracy jestem bardzo przesądny. Moje przesady mają związek z głosem, jakim opowiadana jest historia. Wierzę, że nad każdą baśnią czuwa jej własny duch, którego głos ucieleśniamy w trakcie opowiadania, i że przekazujemy ją lepiej, jeśli odnosimy się do niego z pewną dozą szacunku i uprzejmości. Duchy te bywają stare lub młode, rodzaju męskiego lub żeńskiego, sentymentalne lub cyniczne, sceptyczne lub łatwowierne i tak dalej; co więcej, są kompletnie amoralne: jak skrzydlate duszki, które pomogły [Jankowi siłaczowi](#) wydostać się z jaskini. Duchy baśni są gotowe służyć każdemu, kto posiada pierścień, kto opowiada historię. Na zarzuty, że to nonsens — że aby opowiedzieć baśń, potrzebna jest tylko ludzka wyobraźnia, odpowiadam: „Oczywiście, właśnie w ten sposób działa moja wyobraźnia”.

Jednak możemy dać tym baśniom wszystko, na co nas stać, i odkryć, że to jeszcze za mało. Podejrzewam, że najlepsze z nich mają cechę, którą wielki pianista Arthur Schnabel przypisał sonatom Mozarta: są zbyt łatwe dla dzieci i zbyt trudne dla dorosłych.

Moim zdaniem te pięćdziesiąt opowieści to śmietanka *Baśni domowych i dziecięcych*. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by najlepiej oddać głosy duchów tych baśni, podobnie jak to zrobili Dorothea Viehmann, Philipp Otto Runge, Dortchen Wild i pozostali narratorzy, których pracę utrwalili wielcy bracia Grimm. I mam nadzieję, że my wszyscy, zarówno opowiadający, jak i słuchacze, będziemy żyli razem długo i szczęśliwie.

Philip Pullman, 2012

BIBLIOGRAFIA

Niemieckie wydanie *Baśni domowych i dziecięcych* Jacoba i Wilhelma Grimmów, z którego korzystałem, jest łatwo dostępne. Siódma edycja ukazała się w 1857 roku; obecnym wydawcą jest Wilhelm Goldmann Verlag. Oznaczenia typów baśni podanych w notach do każdej opowieści odnoszą się do *The Types of International Folktales*, wielkiego systemu klasyfikacyjnego baśni ludowych, pierwotnie opracowanego przez Antiego Aarne'a i opublikowanego w 1910 roku. W latach 1928 i 1961 poprawione wersje tej monografii wydał Stith Thompson, a ostatnio (2004) Hans-Jörg Uther (zobacz poniżej) — stąd skrót ATU bądź AT, w wypadku wcześniejszego wydania. Poza tym bibliografia zawiera książki, które wydały mi się najciekawsze i najbardziej pomocne.

, *Russian Fairy Tales*, przekł. Norbert Guterman, Pantheon Books, Nowy Jork 1945.

The Arabian Nights: Tales of 1001 Nights, przekł. Malcolm C. Lyons i Ursula Lyons, wstęp i przypisy Robert Irwin, Penguin Books, Londyn 2008.

Ashliman D.L., *A Guide to Folktales in the English Language*, Greenwood Press, Nowy Jork 1987.

Bettelheim Bruno, *The Uses of Enchantment*, Peregrine Books, Londyn 1978.

Briggs Katharine M., *A Dictionary of Fairies, Hobgoblins, Brownies, Bogies and Other Supernatural Creatures*, Allen Lane, Londyn 1976.

Briggs Katharine M., *Folk Tales of Britain*, Folio Society, Londyn 2011.
Calvino Italo, *Italian Folktales*, przekł. George Martin, Penguin Books, Londyn 1982.

Chandler Harris Joel, *The Complete Tales of Uncle Remus*, Houghton Mifflin, Nowy Jork 1955.

Ezop, *The Complete Fables*, przekł. Olivia Temple, Penguin Books, Londyn 1998.

- Grimm Jacob i Wilhem, *Brothers Grimm: Selected Tales*, przekł. David Luke, Gilbert McKay i Philip Schofield, Penguin Books, Londyn 1982.
- Grimm Jacob i Wilhem, *The Penguin Complete Grimms' Tales for Young and Old*, przekł. Ralph Mannheim, Penguin Books, Londyn 1984.
- Grimm Jacob i Wilhem, *The Complete Fairy Tales*, przekł. Jack Zipes, Vintage, Londyn 2007.
- Grimm Jacob i Wilhem, *The Complete Grimm's Fairy Tales*, przekł. Margaret Hunt, red. James Stern, wstęp Padraic Colum, komentarz Joseph Campbell, Routledge, Abingdon 2002.
- Lang Andrew, *Crimson Fairy Book*, Dover Publications, Nowy Jork 1967.
- Lang Andrew, *Pink Fairy Book*, Dover Publications, Nowy Jork 2008.
- Perrault Charles, *Perrault's Complete Fairy Tales*, przekł. A.E. Johnson i in., Puffin Books, Londyn 1999.
- Philip Neil, *The Cinderella Story*, Penguin Books, Londyn 1989.
- Ransome Arthur, *Old Peter's Russian Tales*, Puffin Books, Londyn 1974.
- Schmiesing Ann, „*Des Knaben Wunderhorn and the German Volkslied in the Eighteenth and Nineteenth Centuries*” (<http://mahlerfest.org/mfXIV/schmiesing-lecture.html>).
- Tatar Maria, *The Hard Facts of the Grimms' Fairy Tales*, Princeton University Press, Princeton 1987.
- Uther Hans-Jörg, *The Types of International Folktales: A Classification and Bibliography Based on the System of Antti Aarne and Stith Thompson*, tomy I—III, FF Communications No. 284—286, Academia Scientiarum Fennica, Helsinki 2004.
- Warner Marina, *From the Beast to the Blonde: Of Fairy Tales and Their Tellers*, Vintage, Londyn 1995.
- Warner Marina, *No Go the Bogeyman: Scaring, Lulling, and Making Mock*, Vintage, Londyn 2000.
- Zipes Jack, *The Brothers Grimm: From Enchanted Forests to the Modern World*, Palgrave Macmillan, Nowy Jork 2002.
- Zipes Jack, *Why Fairy Tales Stick: The Evolution and Relevance of a Genre*, Routledge, Nowy Jork 2006.
- Zipes Jack (red.), *The Great Fairy Tale Tradition: From Straparola and Basile to the Brothers Grimm*, W.W. Norton and Company, Nowy Jork 2001.
- Zipes Jack (red.), *The Oxford Companion to Fairy Tales*, Oxford University Press, Oksford 2000.

Żabi król i Żelazny Henryk

W dawnych czasach, gdy marzenia jeszcze się spełniały, żył król, który miał piękne córki. Najmłodsza była tak śliczna, że nawet słońce, co wiele widziało, zdumiewało się jej urodą, gdy oświetlało swymi promieniami jej twarz. W pobliżu pałacu króla rósł gęsty, ciemny las i była w nim studnia pod lipą. W upalne dni królewna chodziła do lasu i siadała na brzegu studni, z której bił rozkoszny chłód.

Często spędzała czas, podrzucając i łapiąc złotą kulę. Była to jej ulubiona zabawa. Pewnego dnia rzuciła kulę niedbale i nie zdołała jej złapać. Kula upadła na ziemię, potoczyła się w stronę studni i wleciała do wody.

Królewna pobiegła za kulą i popatrzyła w dół, ale było tak głęboko, że nie zobaczyła ani kuli, ani nawet dna studni.

Rozpłakała się. Płakała coraz głośniej i głośniej, niepoczyszona. Szlochała i biadała, gdy wtem usłyszała czyjś głos:

— Co się stało, królewno? Płaczesz tak żałośnie, że nawet kamień by się wzruszył.

Rozejrzała się, by zobaczyć, kto mówi, i dostrzegła żabę, która wystawiła z wody wielką, brzydką głowę.

— Ach, to ty, stara ropucho! — powiedziała. — Płaczę, bo moja złota kula wpadła do wody. Studnia jest taka głęboka, że nic nie widzę!

— Możesz przestać płakać — odparła żaba. — Pomogę ci, ale co mi dasz, jeśli przyniosę kulę?

— Co tylko chcesz, żabeczko! Cokolwiek! Moją suknię, perły, klejnoty, nawet złotą koronę, którą noszę na głowie!

— Nie potrzebuję twojej sukni, klejnotów ani złotej korony, ale jeśli mnie pokochasz, zanurkuję do studni i przyniosę ci złotą kulę. Musisz uczynić mnie za to swoim najlepszym przyjacielem i towarzyszem. Chcę siedzieć obok ciebie przy stole, jeść z twojego talerza, pić z twojego pucharu i spać w twoim łóżku!

„Co też plecie ta głupia żaba — pomyślała królowna. — Ale czegokolwiek zażąda, i tak musi siedzieć w wodzie, bo tam jest jej miejsce. Może wyciągnie moją kulę?” Oczywiście nie powiedziała tego na głos, lecz rzekła:

— Tak, tak, przyrzekam ci to wszystko, jeśli przyniesiesz mi kulę!

Kiedy tylko żaba usłyszała, że królowna się zgadza, dała nurka na dno studni. Po chwili wypłynęła z kulą w pysku i rzuciła ją na trawę.

Królowna tak się ucieszyła na widok złotej kuli, że natychmiast ją chwyciła i uciekła.

— Zaczekaj! Zaczekaj!!! — zawołała żaba. — Weź mnie ze sobą! Nie umiem biegać tak szybko jak ty!

Ale królowna nie zważała na słowa żaby. Pośpieszyła do pałacu i zapomniała o biednym zwierzęciu, które musiało wrócić do studni.

Następnego dnia siedziała przy stole wraz z ojcem, siostrami i dworzanami, jedząc ze złotego talerza, gdy nagle na marmurowych schodach rozległ się dziwny dźwięk: plask-plask! plask-plask! Ktoś się zbliżał. Gość dotarł do szczytu schodów, zastukał w drzwi i zawołał:

— Królewno! Najmłodsza królewno! Otwórz!

Królowna pobiegła zobaczyć, kto to taki, otworzyła drzwi i ujrzała żabę. Przestraszona, zatrzasnęła drzwi i popędziła z powrotem do stołu. Ojciec zauważył, że mocno bije jej serce, i spytał:

— Czego się boisz, moje dziecko? Czy za drzwiami stoi olbrzym?

— Ach, nie, to nie olbrzym, tylko okropna żaba!

— Czego od ciebie chce?

— Wczoraj bawiłam się w lesie przy studni, tato, i moja złota kula wpadła do wody. Rozpłakałam się i byłam bardzo smutna, a potem wyciągnęła ją dla mnie żaba. Nalegała, bym przyrzekła, że uczynię ją swoim najlepszym przyjacielem. Myślałam, że nigdy nie wyjdzie z wody, ale teraz stoi za drzwiami i chce wejść!

Znów rozległo się stukanie do drzwi i głos:

Żaba też miewa serce rozdarte!

Otwórz drzwi i mnie wpuść!

Czy twoje słowo jest tyle warte

Co zardzewiały gwóźdź?!

Niech przyrzeczenie nie będzie żartem!

Otwórz drzwi i mnie wpuść!

— Kto dał słowo, musi go dotrzymać — powiedział król. — Idź i wpuść żabę.

Królewna otworzyła drzwi i żaba wskoczyła do sali. Zbliżyła się w podskokach do fotela księżniczki.

— Podnieś mnie! — poprosiła. — Chcę siedzieć obok ciebie!

Królewna się zawahała, ale król powiedział:

— Zrób, o co prosi, córko!

Królewna podniosła żabę i posadziła ją na fotelu, lecz zwierzę chciało wejść na stół, więc musiała je tam umieścić.

— Przysuń złoty talerz trochę bliżej, żebym mógł jeść razem z tobą — odezwała się żaba.

Dziewczyna spełniła prośbę, ale wszyscy widzieli, że nie sprawia jej to przyjemności. Jednak żaba wydawała się zadowolona: jadła ze smakiem, choć królewna z trudem przełykała każdy kęs.

W końcu żaba oznajmiła:

— Już się najadłem, dziękuję, a teraz chciałbym iść do łóżka. Zanieś mnie do swojej komnaty i przygotuj jedwabną pościel, w której będziemy spali.

Królewna zaczęła płakać, bo zimna skóra żaby budziła w niej lęk. Drżała na myśl o tym, że wilgotne zwierzę mogłoby leżeć w jej czystym, pachnącym łóżku. Ale król zmarszczył brwi i rzekł:

— Nie powinnaś gardzić kimś, kto ci pomógł, gdy miałaś kłopoty!

Królewna ujęła żabę kciukiem i palcem wskazującym, położyła na podłodze przed drzwiami sypialni i szczelnie je zamknęła, ale żaba pukała i wołała:

— Wpuść mnie! Wpuść mnie!

W końcu królewna otworzyła drzwi i powiedziała:

— Dobrze, możesz wejść, ale musisz spać na podłodze.

Kazała żabie położyć się na podłodze w nogach łóżka, lecz zwierzę zawołało:

— Pozwól mi wejść do łóżka! Pozwól mi wejść do łóżka! Jestem tak samo zmęczony jak ty!

— Och, dobrze, na litość boską! — Królewna westchnęła, podniosła żabę i umieściła ją na poduszce daleko od siebie.

— Bliżej! Bliżej! — zawołała żaba.

Ale tego już było za wiele. Rozgniewana królewna chwyciła żabę i cisnęła nią w ścianę. Kiedy zwierzę upadło z powrotem na łóżko, ach, co za niespodzianka! Żaba zmieniła się w młodzieńca — królewicza — o pięknych, uśmiechniętych oczach.

Królewna od razu się w nim zakochała i chętnie przyjęła jego towarzystwo, tak jak życzyłby sobie tego król. Królewicz wyjaśnił, że rzuciła na niego urok zła czarownica i że mogła go uwolnić ze studni

tylko ona, królewna. Co więcej, następnego dnia przyjedzie karetą, by zabrać ich do królestwa jego ojca. Potem zasnęli obok siebie.

Nazajutrz rano, gdy tylko zbudziły ich promienie słońca, pod pałac zajechała karetą, tak jak powiedział królewicz. Ciągnęło ją osiem koni z kołyszącymi się strusimi piórami na głowach i złotymi łańcuchami na uprzęży. Z tyłu karety siedział wierny Henryk. Był sługą księcia i gdy się dowiedział, że jego pan został zmieniony w żabę, wpadł w taką rozpacz, że poszedł do kowala i kazał opasać sobie serce trzema żelaznymi obręczami, by nie pękło z żalu.

Wierny Henryk pomógł królewnie i królewiczowi wsiąść do karety, a potem zajął miejsce z tyłu. Bardzo się cieszył, że znowu widzi swojego pana.

Jechali przez pewien czas, gdy nagle królewicz usłyszał z tyłu głośny trzask. Odwrócił się i zawołał:

— Koło się urwało, Henryku!

— Nie, nie, panie, to po prostu moje serce. Kiedy byłeś żabą i mieszkałeś w studni, czułem tak wielki żal, że opasałem swoje serce żelaznymi obręczami, by nie pękło, bo żelazo jest silniejsze od smutku. Ale miłość jest silniejsza od żelaza i teraz, gdy stałeś się znowu człowiekiem, żelazne obręcze spadają.

Jeszcze dwa razy usłyszeli taki sam trzask. Za każdym razem myśleli, że to koło, ale się mylili: była to żelazna obręcz spadająca z serca wiernego Henryka, który czuł radość, że jego pan jest znowu bezpieczny.

* * *

Typ baśni: ATU 440, *Żabi król*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Wildów

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *The Frog, The Frog Prince, The Frog Sweetheart, The Paddo (Folk Tales of Britain)*³

Jedna z najbardziej znanych baśni. Główny motyw — przemiana odrażającej żaby w królewicza — jest tak atrakcyjny i niesie tak wiele implikacji moralnych, że stał się metaforą ludzkiego losu. Większość ludzi uważa, że żaba staje się księciem, gdy całuje ją królewna. Narrator braci Grimm wie, że było inaczej, podobnie jak narratorzy Briggs, u której żaba zmienia postać, kiedy ucina jej głowę dziewczycy. Jednak pocałunek ma wiele zalet. Jest stałym

elementem folkloru i jaki inny może być sens dzielenia łóżka z królowną?

Nie ulega wątpliwości, że żaba staje się królewiczem (*ein Königssohn*), choć w baśni nosi tytuł króla (*Der Froschkönig*). Może po objęciu tronu ciągle był on kojarzony z żabą? Nie jest to rzecz, o której można zapomnieć.

Postać Żelaznego Henryka pojawia się znikąd na końcu baśni i ma tak niewielki związek z resztą fabuły, że jest prawie zawsze pomijana, choć musiała być uznawana za ważną, skoro występuje w tytule. Żelazne obręcze na sercu to tak uderzający obraz, że niemal zasługują na odrębną opowieść.

Kot i mysz w jednym stały domu

Był raz kot, który zaprzyjaźnił się z myszą. Długo opowiadał, jak bardzo ją lubi, jaka jest dobra, jaka roztropna, jak ładnie kręci ogonkiem i tak dalej, aż w końcu mysz zgodziła się z nim zamieszkać.

— Musimy przygotować zapasy na zimę — rzekł kot. — Jeśli tego nie zrobimy, będziemy głodować, gdy spadnie śnieg. Taka mała myszka jak ty nie może szukać jedzenia na mrozie. Nawet gdybyś nie umarła z zimna, na pewno wpadłabyś w pułapkę.

Mysz uznała to za znakomity pomysł, więc złożyli się i kupili słoik smalcu. Następny problem polegał na tym, gdzie go schować. Długo o tym dyskutowali, aż wreszcie kot powiedział:

— Wiesz, chyba nie ma bezpieczniejszego miejsca niż kościół. Tam nikt się nie odważy niczego ukraść. Ukryjemy smalec pod ołtarzem i zabierzemy, gdy będzie nam naprawdę potrzebny.

Schowali słoik w kościele, ale wkrótce kot poczuł chętkę na pyszny smalec i rzekł do myszy:

— Ach, przypomniało mi się coś, o czym chciałem ci powiedzieć. Niedawno moja kuzynka urodziła kotka, białego w brązowe cętki.

— To cudownie! — zawołała mysz.

— Tak, i poprosili mnie na ojca chrzestnego. Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym zostawił cię na jeden dzień samą na gospodarstwie i potrzymał kociątko do chrztu?

— Nie, skądże znowu — odparła mysz. — Na pewno potem będzie coś smacznego do jedzenia. Jeśli dostaniesz jakiś pyszny kąsek, pomyśl o mnie. Chętnie spróbowałabym słodkiego czerwonego wina podawanego z okazji chrztu.

Oczywiście opowieść kota była stekiem kłamstw. W ogóle nie miał kuzynki i nikomu, kto go znał, nie przyszłoby do głowy prosić go na ojca chrzestnego. Poszedł prosto do kościoła, wczołgał się pod ołtarz, otworzył słoik i wylizał trochę smalcu z wierzchu.

Później powędrował przez miasto, spokojny i zadowolony, i wdrapał się dach, gdzie lubił się wylegiwać. Wygrzewał się na słońcu, czyszcząc sobie wąsy i z przyjemnością wspominając pyszny smalec. Wrócił do domu dopiero wieczorem.

— Witaj! — rzekła mysz. — Spędziłeś miły dzień? Jakie imię nadano kociątku?

— Trochę z Wierzchu! — odpowiedział bezczelnie kot, oglądając swoje pazury.

— Trochę z Wierzchu?! Dziwne imię dla małego kotka — zauważyła mysz. — Czy to stara tradycja rodzinna?

— Nie widzę w tym nic dziwnego — odparł kot. — Imię wcale nie dziwniejsze od Złodzieja Okruszków, a tak się nazywają wszyscy twoi chrześniacy.

Wkrótce potem kot znów poczuł chętkę na smalec i powiedział do myszy:

— Droga przyjaciółko, czy mogę cię prosić o przysługę? Poproszono mnie, bym został ojcem chrzestnym drugiego kociątka, a ponieważ ma na szyi białą obrózkę, nie wypada mi odmówić. Czy mogłabyś znowu zostać sama na gospodarstwie? Wrócę wieczorem.

Naiwna mysz się zgodziła. Nie miała nic przeciwko nieobecności kota i dobrze życzyła kociątku. Kot natychmiast wyruszył w drogę i ukradkiem podążył wzdłuż muru miejskiego do kościoła, wkradł się do środka i wylizał słoik do połowy.

Najlepiej smakuje to, co mamy tylko dla siebie, pomyślał.

— Jakie imię nadaliście dziecku? — spytała mysz, gdy wrócił do domu.

— Do Połowy — odpowiedział kot.

— Do Połowy?! Cóż to za imię?! Nigdy o takim nie słyszałam. Na pewno nie ma go w żywotach świętych.

Smalec był tak tłusty i smaczny, że kotu wkrótce znów zaczęła cieknać ślinka.

— Trójca to matka błogosławieństw — powiedział do myszy. — Wiesz, że znów mnie poproszono na ojca chrzestnego? Tym razem kociątko jest zupełnie czarne: na jego ciele nie ma ani jednego białego włoska, z wyjątkiem łapek. To bardzo rzadkie i zdarza się raz na kilka lat. Pozwolisz mi pójść, prawda?

— Trochę z Wierzchu? Do Połowy? — odezwała się mysz. — W twojej rodzinie używacie dziwnych imion. Zastanawia mnie to, szczerze mówiąc.

— Ach, ecie-pecie! — parsknął kot. — Od rana do wieczora siedzisz w domu i kręcisz ogonkiem, więc przychodzą ci do głowy

różne głupoty. Powinnaś odetchnąć świeżym powietrzem!

Mysz nie wiedziała, czy to dobra rada, ale pod nieobecność kota posprzątała cały dom, aż wszystko wyglądało czysto i schludnie.

Tymczasem kot poszedł do kościoła i wylizał słoik do czysta. Wygarnął resztkę smalcu łapkami, a potem usiadł, podziwiając swoje odbicie w dnie słoja.

Pusty słoik to symbol słodkiego smutku, pomyślał.

Wrócił dopiero późnym wieczorem. Kiedy wszedł do domu, mysz spytała, jakie imię nadano trzeciemu kociątku.

— Chyba też ci się nie spodoba — odparł kot. — Nazwaliśmy go Nic Nie Zostało.

— Nic Nie Zostało?! — wykrzyknęła mysz. — Ojej, ojej, bardzo mnie to martwi, naprawdę! Nigdy wcześniej nie spotkałam się z takim imieniem. Co to może znaczyć?!

Potem owinęła się ogonkiem i zasnęła.

Później już nikt więcej nie prosił kota na ojca chrzestnego. A kiedy przyszła zima i na dworze nie można było znaleźć nic do jedzenia, mysz pomyślała o słoju pysznego smalcu ukrytym pod ołtarzem w kościele.

— Chodź, kocie, odszukajmy smalec, który kupiliśmy na czarną godzinę. Pomyśl, jaki będzie pyszny!

— Tak — odpowiedział kot. — Wiem, że lubisz wystawiać z pyszczka swój mały, delikatny języczek.

Wyszli z domu. Kiedy przybyli do kościoła, słoje stał na swoim miejscu, lecz okazał się pusty.

— Ach! Ach! Ach! — zawołała mysz. — Wreszcie zaczynam rozumieć! Teraz wiem, jaki z ciebie przyjaciel! Nie byłeś ojcem chrzestnym! Przychodziłeś do kościoła i wyjadałeś smalec! Trochę z wierzchu...

— Uważaj! — przerwał kot.

— Potem do połowy...

— Ostrzegam cię!

— W końcu...

— Jeszcze jedno słowo i ciebie też zjem!

— Nic nie zostało! — dokończyła mysz, ale było już za późno: kot skoczył i w jednej chwili ją pożarł.

Cóż, czego innego się spodziewaliście? Właśnie takie jest życie.

* * *

Typ baśni: ATU 15, *Kradzież jedzenia przez fałszywego ojca chrzestnego*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Gretchen Wild

Podobne baśnie: Italo Calvino, *Mrs Fox and Mr Wolf (Italian Folktales)*; Joel Chandler Harris, *Mr Rabbit Nibbles Up the Butter (The Complete Tales of Uncle Remus)*

Prosta i bardzo powszechna baśń. W kilku wariantach pojawia się skatologiczny realizm: prawdziwy winowajca smaruje masłem podogonie śpiącego przyjaciela, by dowieść jego winy. Motyw odbicia w dnie dzbana zapożyczyłem z opowieści Wujaszka Remusa, która, podobnie jak wersja braci Grimm, kończy się wzruszeniem ramion z powodu niesprawiedliwości świata: „Śmierć czeka za rogiem, by nas wszystkich złapać” (*The Complete Tales of Uncle Remus*, str. 53).

3

O chłopcu, co ruszył w świat, by poznać strach

Żył raz ojciec, który miał dwóch synów. Starszy — roztropny i bystry — dawał sobie ze wszystkim radę, ale młodszy był tak tępy, że niczego nie rozumiał ani nie potrafił się nauczyć. Wszyscy, którzy go znali, mówili: „Ojciec będzie miał z nim kłopoty”.

Jeśli należało wykonać jakąś pracę, zawsze podejmował się tego starszy syn. Lecz nie chciał robić jednego. Kiedy ojciec prosił go o przyniesienie czegoś o zmroku albo gdy było już zupełnie ciemno — a droga prowadziła przez cmentarz lub podobne straszne miejsce — chłopiec odpowiadał: „O nie, ojcze, nie pójdę! Boję się! Chodzą mi po plecach ciarki!”.

Wieczorem, kiedy ludzie zbierali się wokół ognia i opowiadali historie o duchach albo o domach, w których straszy, czasami niejednen słuchacz mówił: „Ach, okropne! Chodzą mi po plecach ciarki!”.

Młodszy syn siedział w kącie i słuchał, lecz nie rozumiał, czym są ciarki.

— Wszyscy mówią: „Chodzą mi po plecach ciarki!”, a ja nie wiem, co to znaczy. Nie chodziły po mnie żadne ciarki, choć słuchałem równie uważnie jak wszyscy.

Pewnego dnia ojciec zwrócił się do niego:

— Posłuchaj, chłopcze, jesteś już duży i silny. Dorastasz i pora, żebyś zaczął zarabiać na życie. Spójrz na swojego brata! Nauczył się ciężko pracować, ale ty, jak mi się zdaje, niczego nie potrafisz.

— Chciałbym zarabiać na życie, naprawdę, ojcze — odparł młody człowiek. — Marzę o tym, by się dowiedzieć, co to znaczy mieć ciarki. W ogóle nie rozumiem, o co chodzi.

Usłyszał go starszy brat i wybuchnął śmiechem. Co za dureń, pomyślał. Nic z niego nie będzie. Z próżnego i Salomon nie należy.

— Cóż, nie zaszkodzi, jeśli się dowiesz, czym są ciarki, ale nie zarobisz w ten sposób na życie — zauważył z westchnieniem ojciec.

Kilka dni później wpadł do nich na pogawędkę kościelny. Ojciec nie mógł się powstrzymać i podzielił się z nim swoimi zmartwieniami: młodszy syn jest głupi, nie potrafi się niczego nauczyć, nic nie rozumie.

— Oto przykład — rzekł. — Kiedy zapytałem, jak chciałby zarabiać na życie, odparł, że pragnie się dowiedzieć, co to znaczy mieć ciarki ze strachu.

— W takim razie przyślij go do mnie — zaproponował kościelny. — Nastraszę go tak, że na pewno poczuje ciarki. Pora nauczyć go rozumu.

— Dobry pomysł — mruknął w zamyśleniu ojciec. — Może komuś uda się to lepiej niż mnie. Tak czy inaczej, nie zaszkodzi mu to.

Kościelny zabrał chłopaka do swojego domu i kazał mu bić w dzwon kościelny. Kiedy młody człowiek się tego nauczył, pewnego dnia kościelny zbudził go o północy, kazał wejść na wieżę i zadzwonić.

Zaraz się dowiesz, czym są ciarki, pomyślał, a gdy chłopak się ubierał, wszedł ukradkiem na dzwonnice.

Chłopiec wdrapał się na wieżę i kiedy się obrócił, by chwycić linę, ujrzał białą postać stojącą na szczycie schodów naprzeciwko dzwonu.

— Kto tam? — spytał.

Postać stała bez ruchu i milczała.

— Lepiej odpowiedz! — zawołał chłopak. — Nie masz prawa tu wchodzić w środku nocy!

Kościelny się nie odzywał. Był pewien, że chłopiec weźmie go za ducha.

— Ostrzegam cię! — krzyknął znowu chłopiec. — Odpowiadaj albo zrzucę cię ze schodów! Kim jesteś i czego chcesz?!

Na pewno nie zrzuci mnie ze schodów, pomyślał kościelny. Stał jak kamienny posąg, nie wydając dźwięku.

Młodzieniec krzyknął jeszcze raz, a gdy znów nie otrzymał odpowiedzi, wrzasnął:

— Cóż, sam tego chciałeś! Masz za swoje!

Podbiegł do białej postaci i zepchnął ją ze schodów. Duch stoczył się na dół i jęcząc, leżał na ziemi. Widząc, że nieznajomy nie będzie już sprawiał kłopotów, chłopiec uderzył w dzwon, jak mu kazano, i wrócił do łóżka.

Żona kościelnego czekała na męża, a kiedy się nie pojawiał, zaczęła się martwić. Poszła obudzić chłopca.

— Gdzie mój mąż? — spytała. — Widziałeś go? Wszedł przed tobą na dzwonnice.

— Nie mam pojęcia — odparł chłopak. — W ogóle go nie widziałem. Na schodach stał jakiś człowiek okręcony białym prześcieradłem. Nie odpowiadał na pytania ani nie chciał odejść, więc pomyślałem, że coś knuje, i zrzuciłem go ze schodów. Niech pani pójdzie i zobaczy: pewnie ciągle tam leży. Chyba pożałował, że wdrapał się na dzwonnice. Spadł z wielkim hukiem.

Kobieta popędziła do kościoła i znalazła męża. Miał złamaną nogę i jęczał z bólu. Z wysiłkiem zaniosiła go do domu, a potem pobiegła do ojca chłopca.

— Wiesz, co zrobił ten idiota twój syn?! — zawołała. — Zrzucił mojego męża z dzwonnicy! Biedak spadł ze schodów i ma złamaną nogę! Nie zdziwiłabym się, gdyby połowa pozostałych kości również była strzaskana! Zabierz tego nicponia z naszego domu, nim do reszty wszystko zniszczy! Nie chcę go więcej widzieć!

Ojciec był przerażony. Pobiegł do domu kościelnego i zaczął potrząsać śpiącym synem.

— Co ty, do licha, robisz?! — zawołał. — Napadasz na kościelnego?! Diabeł cię do tego nakłonił?!

— Ależ, ojcze, jestem niewinny — odrzekł chłopiec. — Nie miałem pojęcia, że to kościelny. Stał koło dzwonu okręcony białym prześcieradłem. Nie wiedziałem, kto to taki, i ostrzegłem go trzy razy.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął ojciec. — Mam przez ciebie same kłopoty! Zejdź mi z oczu, natychmiast! Nie chcę cię więcej oglądać!

— Bardzo chętnie — odpowiedział chłopak. — Pozwól mi zaczekać do świtu, a potem wyruszę w świat i zostawię cię w spokoju. Dowiem się, co to znaczy mieć ciarki, a wtedy zdobędę fach i wreszcie zacznę zarabiać na życie.

— Ciarki, doprawdy! Rób, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi! Masz tu pięćdziesiąt talarów. Weź je i idź w szeroki świat, ale pod żadnym pozorem nie mów nikomu, skąd pochodzisz ani kim jest twój ojciec. Przyniósłbyś mi wstyd!

— Dobrze, ojcze, zrobię, jak sobie życzysz. Jeśli to wszystko, czego żądasz, łatwo to zapamiętam.

Kiedy nadszedł ranek, chłopiec schował do kieszeni pięćdziesiąt talarów i wyruszył w drogę, przez cały czas mruczając pod nosem:

— Gdybym tylko się dowiedział, co to znaczy mieć ciarki! Gdybym tylko poznał, co to strach!

Jego słowa przypadkiem usłyszał mężczyzna idący w tym samym kierunku. Po pewnym czasie za zakrętem ukazała się szubienica.

— Popatrz — odezwał się mężczyzna. — Udzielę ci rady. Widzisz tę szubienicę? Siedmiu ludzi poślubiło tam córkę powroźnika, a teraz uczą się latać. Jeśli usiądziesz pod nimi i zaczekasz na nadejście nocy, zrozumiesz, czym są ciarki!

— Naprawdę? — spytał chłopiec. — To takie proste? Cóż, w takim razie wkrótce się wszystkiego dowiem. Jeśli w nocy poczuję ciarki, możesz wziąć moje pięćdziesiąt talarów. Przyjdź do mnie rano.

Podszedł do szubienicy i usiadł pod nią, czekając, aż zapadnie noc. Było mu zimno, więc rozpałił ognisko, ale o północy zerwał się wiatr i mimo płonących polan chłopiec nie mógł się ogrzać. Wiatr kołysał wisielcami, tak że ich ciała uderzały o siebie, i chłopiec pomyślał: Skoro ja marznę przy ognisku, tym biedakom na górze musi być jeszcze zimniej.

Ustawił drabinę, wspiął się na nią, odwiązał po kolei wisielców i położył wszystkich siedmiu na ziemi. Później dorzucił do ognia kilka gałęzi i umieścił trupy wokół ogniska, by się ogrzały, ale one leżały zupełnie nieruchomo, nawet gdy zapaliły się na nich ubrania.

— Hej, uważajcie! — zawołał. — Jeśli nie będziecie ostrożni, znowu was powieszę!

Oczywiście trupy nie zareagowały. W milczeniu wpatrywały się w przestrzeń, choć już płonęły im spodnie.

Chłopiec się rozgniewał.

— Mówiłem, żebyście uważali! — krzyknął. — Jesteście zbyt leniwi, by wyciągnąć nogi z ognia, ale ja nie chcę wywołać pożaru!

Znowu powiesił trupy na szubienicy, położył się przy ognisku i zasnął.

Rankiem, gdy się obudził, zobaczył nad sobą mężczyznę, który przyszedł po pięćdziesiąt talarów.

— Wczoraj w nocy miałeś ciarki ze strachu, prawda? — spytał nieznajomy.

— Nie — odrzekł chłopiec. — Czy ci durnie mogli mnie czegoś nauczyć? Nie powiedzieli ani słowa i leżeli nieruchomo nawet wtedy, gdy paliły im się spodnie.

Mężczyzna zrozumiał, że nie ma szans dostać pięćdziesięciu talarów, więc bezradnie rozłożył ręce i odszedł.

— Co za półgłówek! — mruknął. — Nigdy w życiu nie widziałem takiego idioty!

Chłopiec ruszył w dalszą drogę, ciągle powtarzając:

— Gdybym tylko się dowiedział, co to znaczy mieć ciarki!
Gdybym tylko poznał, co to strach!

Szedł za nim furman, usłyszał jego słowa, dogonił go i spytał:

— Kim jesteś?

— Nie wiem — odparł chłopiec.

— Skąd pochodzisz?

— Nie wiem.

— Kim jest twój ojciec?

— Nie wolno mi mówić.

— Co tam mruyczysz przez cały czas?

— Och, chciałbym się dowiedzieć, co to znaczy mieć ciarki ze strachu, ale nikt nie potrafi mi tego wyjaśnić.

— Prościzek z ciebie, chłopcze — stwierdził furman. — Chodź ze mną. Dopilnuję, żebyś miał gdzie przenocować.

Młodzieniec przyłączył się do furmana i wieczorem dotarli do gospody, w której postanowili spędzić noc. Kiedy weszli do głównej sali, chłopak znowu mruknął:

— Gdybym tylko się dowiedział, co to znaczy mieć ciarki!
Gdybym tylko poznał, co to strach!

Oberżysta usłyszał jego słowa i wybuchnął śmiechem.

— Jeśli właśnie na tym ci zależy, to masz szczęście — odezwał się. — Jest spora szansa, że twoje życzenie się spełni.

— Tss! — uciszyła go żona. — Nie mów o tym! Pomyśl o tych wszystkich biedakach, którzy stracili życie! Byłaby szkoda, gdyby piękne oczy tego młodego człowieka nigdy więcej nie ujrzały słońca!

— Chcę się dowiedzieć, co to znaczy mieć ciarki ze strachu — powtórzył chłopiec. — Właśnie dlatego opuściłem dom. O jakiej szansie mówisz? O co chodzi?

Nie przestawał się dopytywać, aż oberżysta wyjaśnił, że w pobliżu jest stare zamczysko, w którym straszy. Jeśli ktoś spędzi tam trzy noce, z łatwością się dowie, czym są ciarki.

— Król ogłosił, że ktokolwiek tego dokona, poślubi jego córkę. Przysięgam, że królewna to najpiękniejsza dziewczyna na świecie. Na dodatek w zamczysku są ogromne skarby, których pilnują złe duchy. Jeśli spędzisz tam trzy noce, możesz zdobyć te skarby i stać się bogaczem. Do zamku chodziło już wielu młodych ludzi, by spróbować szczęścia, ale żaden nie wrócił.

Nazajutrz rano chłopiec poszedł do króla i powiedział:

— Jeśli się zgodzisz, panie, spędzę trzy noce w nawiedzonym zamczysku.

Król popatrzył na niego i chłopak mu się spodobał.

— Pozwolę ci zabrać do zamku trzy rzeczy, ale nie mogą być żywe — oznajmił.

— W takim razie chciałbym wziąć hubkę i krzesiwo, tokarkę, stół stolarski i kordelas — odrzekł młodzieniec.

Król rozkazał, by rzeczy te zaniecono w ciągu dnia do zamczyska. Kiedy zapadła noc, chłopak poszedł tam i rozpałił jasny ogień na kominku w jednej z komnat. Następnie przysunął do ognia stół stolarski, wziął kordelas i usiadł przy tokarce.

— Och, gdybym tylko poczuł wreszcie ciarki! — powiedział. — Ale to miejsce również nie wygląda zbyt obiecująco...

Przed północą zaczął podsycać dogasający ogień. Akurat dmuchał na niego, gdy z kąta komnaty dobiegły go jakieś głosy.

— Miau! Miau! Tak nam zimno! — powtarzały.

— O co chodzi? — rzucił przez ramię. — Skoro wam zimno, chodźcie i usiądźcie przy ogniu.

Po chwili z mroku wyskoczyły dwa ogromne czarne koty i usiadły po jego obu stronach, przyglądając mu się płonącymi oczami.

— Masz ochotę pograć w karty? — spytały.

— Czemu nie? — rzekł chłopiec. — Ale najpierw chcę obejrzyć wasze pazury.

Koty wyciągnęły łapy.

— Wielki Boże, ależ są długie! — zawołał. — Muszę wam je przyciąć, nim siądziemy do gry.

Chwycił koty za karki, postawił na stole stolarskim i umieścił ich łapy w imadle.

— Nie podobają mi się wasze pazury — powiedział. — Nie mam już chęci grać z wami w karty.

Zabił oba koty i wrzucił je do fosy.

Ledwo usiadł, z kątów komnaty zaczęły wybiegać czarne koty i czarne psy, a każdy miał rozgrzaną do czerwoności obrożę i rozgrzany do czerwoności łańcuch. Przybywały ze wszystkich stron, aż wypełniły pomieszczenie, tak że chłopiec nie mógł się nawet ruszyć. Wyjąc, szczekając, straszliwie piszcząc, wskoczyły do kominka i rozrzuciły po komnacie płonące polana.

Chłopiec obserwował je z ciekawością przez kilka minut, lecz w końcu stracił cierpliwość. Chwycił kordelas i zawołał:

— Precz z wami, łajdaki!

Zaczął ciąć na prawo i lewo. Niektóre zwierzęta zabił, inne uciekły. Kiedy wszystkie żywe dały drapaka, wrzucił martwe do fosy i wrócił do komnaty, by się ogrzać.

Kleiły mu się oczy, więc podszedł do dużego łoża stojącego w rogu komnaty. Wygląda wygodnie, pomyślał. Wreszcie trochę odpocznę.

Ale kiedy się położył, łoże się poruszyło. Pojechało w stronę drzwi, które się otworzyły, a ono zaczęło sunąć przez zamczysko, nabierając prędkości.

— Nieźle, ale mam nadzieję, że pojedziemy jeszcze szybciej — mruknął chłopiec.

Łoże mknęło przez zamek jak powóz zaprzężony w sześć koni, po korytarzach, schodami w górę i w dół, aż nagle — hop! Obróciło się do góry nogami i przygniotło chłopca, który znalazł się w pułapce. Było ciężkie niczym góra.

Zdołał jednak odsunąć koce i poduszki i wygramolić się spod niego.

— Skończyłem z łożem! — zawołał. — Jeśli ktoś go potrzebuje, może je sobie wziąć!

Położył się koło kominka i spokojnie zasnął.

Rankiem do zamczyska przybył król, zobaczył chłopca leżącego na podłodze i rzekł ze smutkiem:

— Och, jaka szkoda! Zabiły go duchy. Taki przystojny młody człowiek!

Chłopiec usłyszał słowa króla i natychmiast wstał.

— Jeszcze mnie nie zabiły, Wasza Królewska Mość! — powiedział.

— Ach, ty żyjesz! — zawołał król. — Cieszę się, że cię widzę. Jak sobie radziłeś?

— Bardzo dobrze, dziękuję — odparł chłopiec. — Jedna noc zaliczona, zostały jeszcze dwie.

Wrócił do gospody.

— Ty żyjesz?! — wykrzyknął ze zdumieniem oberżysta. — Nie przypuszczałem, że cię jeszcze zobaczę! Miałeś ciarki ze strachu?

— Nie, ani razu. Mam nadzieję, że poczuje je dziś w nocy.

Drugiej nocy poszedł do zamczyska, rozпалиł ogień na kominku i usiadł.

— Och! — Westchnął. — Żeby wreszcie ktoś sprawił, że poczuje ciarki!

Kiedy zbliżała się północ, usłyszał hałasy w kominie. Coś tłuło w ściany, szamotało się, wrzeszczało, aż w końcu z głośnym krzykiem do kominka spadła dolna połowa ciała mężczyzny.

— Co robisz?! — zawołał chłopak. — Gdzie twój tułów?!

Dolna połowa, która nie miała oczu ani uszu, nie mogła go widzieć ani słyszeć. Biegała w kółko po komnacie, wpadając na meble, przewracając się i znowu wstając.

Nagle w kominie rozległ się nowy hałas i do paleniska spadła w chmurze sadzy górna połowa ciała mężczyzny, po czym szybko odczołgała się od ognia.

— Gorąco, prawda? — spytał chłopiec.

— Nogi! Nogi! Tutaj! Do mnie! — wrzeszczała górna połowa, ale dolna część nie słyszała i biegła w kółko, aż chłopiec chwycił ją za kolana i przytrzymał.

Górna część wskoczyła na nią i połowy znowu stały się jednym człowiekiem. Był odrażający. Rozwalił się na ławie przy kominku i nie chciał zrobić chłopcu miejsca, więc ten stracił go na ziemię i usiadł na ławie.

W kominie znów rozległ się hałas, po czym do paleniska wpadło kolejno sześć trupów. Miały dziewięć kości udowych i dwie czaszki, którymi zaczęły grać w kręgle.

— Mogę się przyłączyć do gry? — spytał chłopak.

— Masz pieniądze?

— Mnóstwo — odpowiedział. — Ale wasze kule do gry nie są okrągłe.

Wziął czaszki, położył je na tokarce i wyszlifował, aż stały się kuliste.

— Teraz lepiej — rzekł. — Będzie je łatwo turlać. Czeka nas świetna zabawa!

Przez pewien czas grał z umarlakami i stracił trochę pieniędzy. W końcu zegar wybił północ i wszystkie trupy znikły. Chłopiec spokojnie się położył i zasnął.

Nazajutrz rano do zamczyska znów przybył król, by zobaczyć, co się wydarzyło.

— Jak sobie poradziłeś tym razem? — spytał.

— Grałem w kręgle — odpowiedział chłopiec. — I straciłem trochę pieniędzy.

— Miałeś ciarki?

— Nie, ani trochę — odparł chłopak. — Miło mi się grało, to wszystko. Gdybym tylko mógł wreszcie poczuć ciarki...!

Trzeciej nocy usiadł na ławie przy kominku i westchnął.

— Została tylko jedna noc — mruknął. — Mam nadzieję, że wreszcie poczuję ciarki.

Kiedy dochodziła północ, usłyszał ciężkie kroki zbliżające się do komnaty i po chwili weszło sześciu olbrzymich mężczyzn dźwigających trumnę.

— Ach, ktoś nie żyje? — spytał. — Domyślam się, że to mój kuzyn. Zmarł kilka dni temu. — Gwizdnął, skinął dłonią i dodał: — Wyjdz,

kuzynie! Wyjdź i przywitaj się!

Sześciu mężczyzn postawiło trumnę na podłodze i opuściło komnatę. Chłopiec otworzył wieko i popatrzył na leżącego w środku nieboszczyka. Dotknął jego twarzy, ale oczywiście była zimna jak lód.

— Nie martw się — powiedział. — Rozgrzeję cię.

Zbliżył ręce do ognia, po czym przyłożył je do policzków zmarłego, lecz one pozostały zimne.

Później wyjął ciało z trumny, umieścił je przy kominku, opierając głowę nieboszczyka na swoich kolanach, i zaczął masować mu ramiona, by przywrócić krążenie. To również nie dało efektu.

— Mam! — wykrzyknął wreszcie. — Kiedy ludzie śpią w jednym łóżku, ogrzewają się nawzajem. Wezmę cię do łóżka, ot co!

Wsadził trupa do łóżka i sam ułożył się obok, nakrywając ich obu kocami. Po kilku minutach nieboszczyk zaczął się poruszać.

— Dobrze! — zawołał chłopiec, by go zachęcić. — Oby tak dalej, kuzynie! Jesteś już prawie żywy!

Ale trup nagle usiadł i ryknął:

— Kim jesteś, co?! Uduszę cię, plugawy draniu!

Wyciągnął ręce w stronę szyi chłopca, lecz ten okazał się znacznie szybszy i po krótkich zmaganiach wsadził go z powrotem do trumny.

— Piękne dzięki! — powiedział, przybijając gwoździami wieko.

Kiedy je umocował, znów pojawiło się sześciu mężczyzn. Dźwignęli trumnę i powoli wynieśli ją z komnaty.

— Och, to beznadziejne! — rzekł z rozpaczą chłopak. — Nigdy się tu nie dowiem, czym są ciarki!

Ledwie wypowiedział te słowa, z ciemnego rogu pokoju wynurzył się stary człowiek. Był jeszcze większy niż mężczyźni, którzy dźwigali trumnę; miał długą białą brodę i złe, płomieniste oczy.

— Ty żałosny robaku! — wrzasnął. — Szybko się dowiesz, czym są ciarki! Dziś w nocy umrzesz!

— Tak myślisz? Najpierw musisz mnie złapać — odparował chłopak.

— Nie uciekniesz przede mną, choćbyś biegał szybko jak wiatr!

— Jestem równie silny jak ty, a prawdopodobnie silniejszy!

— Jeszcze zobaczymy! — rzucił starzec. — Jeśli okażesz się ode mnie silniejszy, pozwolę ci odejść. Ale tak się nie stanie. Chodź ze mną!

Poprowadził młodzieńca przez zamczysko. Szli mrocznymi korytarzami i schodami, aż dotarli do kuźni położonej w głębi ziemi.

— Teraz się przekonamy, kto jest silniejszy — powiedział starzec, po czym wziął oskard i jednym uderzeniem wbił kowadło w ziemię.

— Potrafię zrobić coś lepszego — rzekł chłopiec.

Chwycił oskard i rozłupał nim drugie kowadło, po czym złapał brodę starca, wepchnął ją do szczeliny w kowadle i je ścisnął. Broda uwięzła w szczelinie i starzec znalazł się w pułapce.

— Mam cię! — zawołał chłopak. — Teraz zobaczymy, kto umrze dziś w nocy!

Wziął żelazny łom i tak bezlitośnie tłukł starca, aż ten zaczął skomleć, jęczeć i wołać:

— Już dobrze! Przestań! Poddaję się!

Obiecał chłopcu, że da mu wielkie skarby, jeśli ten go puści. Młody człowiek poszerzył szczelinę w kowadle i uwolnił brodę, a wtedy starzec zaprowadził go do innego lochu, położonego głęboko pod zamczyskiem, gdzie stały trzy skrzynie pełne złota.

— Jedna jest dla biednych, druga dla króla, a trzecia dla ciebie — wyjaśnił.

W tej samej chwili wybiła północ i starzec zniknął, a chłopiec został sam w mroku.

— Cóż, na tym koniec — mruknął. — Teraz muszę znaleźć drogę powrotną.

Posuwając się po omacku wzdłuż ścian, wrócił do komnaty i zasnął przy kominku.

Rankiem przyszedł król.

— Na pewno już wiesz, czym są ciarki — rzekł.

— Nie — odpowiedział chłopiec. — Zastanawiam się, co się wtedy czuje. Leżałem w łóżku z martwym kuzynem, potem przyszedł starzec z długą brodą i pokazał mi trochę kosztowności, ale dalej nie wiem, co to znaczy mieć ciarki.

Przyniesiono złoto i dokonano podziału, a później młodzieniec poślubił królową. W końcu został królem. Ale chociaż bardzo kochał żonę i był bardzo szczęśliwy, stale powtarzał:

— Gdybym tylko dowiedział się, co to znaczy mieć ciarki! Gdybym tylko mógł je poczuć!

W końcu zaczęło to denerwować młodą królową. Opowiedziała o wszystkim pokojówce, która rzekła:

— Zostaw to mnie, najjaśniejsza pani! Sprawię, że będzie miał ciarki.

Zeszła do strumienia i przyniosła wiadro cierników. Kazała królowej w środku nocy, gdy król będzie spał, odkryć go i wylać na niego całą zawartość wiadra.

Królowa posłuchała. Młody król najpierw poczuł zimną wodę, a potem maleńkie rybki podskakujące na skórze.

— Och! Och! Och! — zawołał. — Oooch! Co sprawiło, że mam ciarki?! Oooch! Au! Tak, mam ciarki! Nareszcie mam ciarki! Niechaj cię Bóg błogosławi, ukochana żono! Zrobiłaś to, czego nie potrafił nikt inny! Nareszcie mam ciarki...!

* * *

Typ baśni: ATU 326, *Młodzieniec, który chciał się dowiedzieć, czym jest strach*

Źródło: krótszy wariant opublikowano w pierwszej edycji baśni braci Grimm z 1812 roku, lecz obecna opowieść, oparta na pisemnej wersji, którą przesłał im Ferdinand Siebert z Treysy koło Kassel, ukazała się w drugim wydaniu z 1819 roku.

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Man Who Did Not Know Fear (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *The Boy Who Feared Nothing, The Dauntless Girl, A Wager Won (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *Dauntless Little John, The Dead Man's Arm, Fearless Simpleton, The Queen of the Three Mountains of Gold (Italian Folktales)*

Rozpowszechniona baśń, której inny wariant włączono do tomu komentarzy Grimmów do *Baśni domowych i dziecięcych*, wydanego w 1856 roku. Z czterech wersji Calvina najwięcej werwy i humoru ma *The Dead Man's Arm*, ale ponieważ bohater nie zamierza się dowiedzieć, czym jest strach, nie otrzymuje ostatecznej lekcji w postaci wiadra pełnego cierników. Podobnie bohaterka *The Dauntless Girl* Briggs, dobrej opowieści z Norfolku, w której nie ma wzmianki o losie nieszczęsnego kościelnego ani o duchu wskazującym skarb w piwnicy. Moim zdaniem wersja braci Grimm jest najlepsza.

Większość wariantów tej baśni odznacza się humorem: duchy i nieżywi ludzie są komiczni, a nie przerażający. Marina Warner w książce *From the Beast to the Blonde* sugeruje seksualną interpretację wiadra pełnego cierników.

4

Wierny Jan

Żył raz król, który zachorował. Leżąc, zbolały, pomyślał: Wkrótce umrę, zbliża się śmierć. A potem nakazał:

— Wezwijcie mojego wiernego Jana. Chcę z nim porozmawiać.

Wierny Jan był jego ulubionym sługą. Nosił ten przydomek, bo przez całe swoje długie życie wiernie służył królowi. Kiedy wszedł do sypialni, władca przywołał go skinieniem ręki i powiedział:

— Mój drogi wierny Janie, wkrótce odejdę z tego świata i martwię się o swojego syna. To dobry chłopiec, ale jest młody i nie zawsze wie, co dla niego najlepsze. Nie umrę w spokoju, jeśli mi nie przyrzekniesz, że będziesz dla niego jak przybrany ojciec i nauczysz go wszystkiego, co powinien wiedzieć.

— Chętnie się tego podejmę — odparł wierny Jan. — Nigdy go nie opuszczę i będę mu wiernie służył, choćbym miał poświęcić własne życie.

— To dla mnie wielka pociecha — rzekł król. — Mogę teraz spokojnie zamknąć oczy. Kiedy odejdę, pokaż mu cały zamek, wszystkie piwnice, komnaty, korytarze i skarby, które się tam znajdują. Ale nie pozwól mu wejść do komnaty na końcu długiej galerii. Wisi tam portret Księżniczki Złotego Pałacu; jeśli mój syn go zobaczy, zaraz się w niej zakocha. Będziesz wiedział, że to się stało, bo padnie nieprzytomny na ziemię. A potem zacznie się dla niej narażać na różne niebezpieczeństwa. Nie dopuść do tego, Janie: to ostatnia rzecz, o jaką cię proszę.

Wierny Jan przyrzekł spełnić prośbę swego władcy, a wtedy król opadł na poduszki i umarł. Po pogrzebie wierny sługa zwrócił się do młodego króla:

— Pora, żebyś obejrzał wszystkie swoje skarby, Wasza Królewska Mość. Twój ojciec kazał mi cię oprowadzić po zamku. Teraz należy on do ciebie i powinieneś wiedzieć, jakie dobra się w nim znajdują.

Jan pokazał mu cały zamek — parter, piętra, strychy i piwnice. Młody król obejrzał wszystkie wspaniałe komnaty — wszystkie

z wyjątkiem jednej, ponieważ wierny Jan nie zabrał go do pokoju na końcu długiej galerii, gdzie wisiał portret Księżniczki Złotego Pałacu. Malowidło znajdowało się w takim miejscu, że musiał je zobaczyć każdy, kto wszedł do środka, i było namalowane tak zręcznie i wiernie, że księżniczka zdawała się żyć i oddychać. Trudno by sobie wyobrazić piękniejszą istotę.

Król zauważył, że wierny Jan zawsze omija drzwi tej komnaty lub próbuje odwrócić jego uwagę, gdy są w pobliżu.

— Daj spokój, Janie, widzę, że nie chcesz, bym tam wszedł. Dlaczego nigdy nie otwierasz tych drzwi?

— W środku jest coś przerażającego, Wasza Królewska Mość. Nie powinieneś tego oglądać.

— Muszę to zobaczyć! Widziałem cały zamek, z wyjątkiem tej komnaty. Chcę wiedzieć, co w niej jest!

Usiłował otworzyć drzwi siłą, ale wierny Jan go powstrzymał.

— Obiecałem twojemu ojcu, królowi, że nie pozwolę ci zajrzeć do środka — powiedział. — Przyniesie to nam obu nieszczęście.

— Mylisz się — odparł młody król. — Tak bardzo pragnę zobaczyć, co jest w środku, że jeśli tam nie wejdem, właśnie to przyniesie nam nieszczęście. Nie zaznam spokoju we dnie ani w nocy, póki się nie dowiem, co tam jest! Otwórz drzwi, Janie!

Wierny Jan zrozumiał, że nie ma wyboru. Z ciężkim sercem, głęboko wzdychając, zdjął z kółka klucz i otworzył drzwi. Wszedł pierwszy w nadziei, że może zasłoni portret przed wzrokiem króla, ale na próżno — młodzieniec stanął na palcach i spojrzał mu przez ramię. I wydarzyło się to, co przepowiedział stary monarcha. Kiedy jego syn zobaczył portret, natychmiast padł nieprzytomny na podłogę.

Wierny Jan zaniósł młodego króla do jego komnaty. O Boże, pomyślał. To zły omen na samym początku panowania nowego władcy. Jakie nieszczęścia nas teraz spotkają?!

Król wkrótce odzyskał przytomność i powiedział:

— Cóż za piękne malowidło! Jaka śliczna dziewczyna! Kto to?

— Księżniczka Złotego Pałacu — odrzekł wierny Jan.

— Ach, zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, Janie! Kocham ją tak bardzo, że nie da się tego wyrazić słowami! Janie, mój wierny sługo, musisz mi pomóc! Jak mógłbym ją poznać?

Wierny Jan usilnie się nad tym zastanawiał. Wiadomo było, że księżniczka żyje w samotności. Jednak wkrótce Jan obmyślił pewien plan.

— Wszystko, co ją otacza, zostało zrobione ze złota — wyjaśnił królowi. — Stoły, krzesła, talerze, kanapy, noże i widelce, wszystko jest szczerozłote. Wśród swoich skarbów, najjaśniejszy panie, jak zapewne pamiętasz, masz pięć ton złota. Proponuję wezwać nadwornych złotników i kazać im z jednej tony kruszcu sporządzić różne piękne zabawki: ptaki, dziwne zwierzęta i tak dalej. Mogą się spodobać księżniczce. Zobaczymy, czy dopisze nam szczęście.

Król wezwał złotników i wytłumaczył im, o co chodzi. Pracowali dzień i noc, aż przygotowali mnóstwo pięknych przedmiotów. Młody król był pewien, że księżniczka nigdy nie widziała czegoś podobnego.

Złoto załadowano na statek, a wierny Jan i król przebrali się za kupców, i to tak udatnie, że byli nie do rozpoznania. Statek podniósł kotwicę i popłynął przez morze, aż dotarł do miasta, w którym mieszkała Księżniczka Złotego Pałacu.

— Myślę, że Wasza Królewska Mość powinien poczekać na pokładzie — powiedział wierny Jan. — Zejdę na ląd, by sprawdzić, czy potrafimy zainteresować księżniczkę naszym złotem. A ty, najjaśniejszy panie, wynieś trochę rzeczy na pokład, aby mogła na nie popatrzeć. Przystrój nieco nasz statek.

Król skwapliwie się tym zajął, a wierny Jan zszedł na ląd, niosąc w tobołku parę mniejszych przedmiotów, i podążył prosto do pałacu. Na dziedzińcu zobaczył piękną dziewczynę, która dwoma złotymi wiadrami nabierała wodę z dwóch studni; w pierwszej była zwykła woda, a w drugiej lśniąca barwami tęczy. Służąca już miała się odwrócić i odejść, gdy zauważyła wierne go Jana i spytała, kim jest.

— Jestem kupcem z dalekiego kraju — odrzekł. — Przybyłem sprawdzić, czy ktoś jest zainteresowany kupnem naszego złota.

Otworzył tobołek i pokazał złote przedmioty.

— Och, jakie piękne rzeczy! — zawołała dziewczyna. Postawiła wiadra i zaczęła po kolei oglądać zawartość tobołka. — Muszę powiedzieć o tym księżniczce. Uwielbia złoto i jestem pewna, że kupi od was to wszystko.

Wzięła wierne go Jana za rękę i zaprowadziła go na piętro, bo była pokojówką księżniczki. Kiedy księżniczka zobaczyła złote przedmioty, wykrzyknęła z zachwytem:

— Jeszcze nigdy nie widziałam takich kunsztownych wyrobów! Muszę je mieć! Podaj cenę! Kupię je wszystkie.

— Najjaśniejsza pani, tak naprawdę jestem tylko sługą — odparł wierny Jan. — Właścicielem tych wyrobów jest mój pan i to on ustala ceny. A te nieliczne próbki, które przyniosłem, nie mogą się równać

z tym, co mamy na statku. Przywieźliśmy najpiękniejsze rzeczy, jakie kiedykolwiek wykonano ze złota.

— Przynieście je do pałacu! — rozkazała księżniczka.

— Cóż, chcielibyśmy to zrobić, ale jest ich całe mnóstwo. Przetransportowanie ich tutaj trwałoby wiele dni, a twój pałac, chociaż wielki i wspaniały, nie ma dostatecznej liczby komnat, byśmy mogli rozłożyć wszystkie nasze towary.

Wierny Jan liczył na to, że podsyci ciekawość księżniczki, i nie pomylił się, bo odpowiedziała:

— W takim razie przyjdę na wasz statek i obejrzę skarby twojego pana. Zabierz mnie do portu.

Wierny Jan, bardzo zadowolony, zaprowadził ją na statek. Kiedy młody król zobaczył księżniczkę na nabrzeżu, zdał sobie sprawę, że jest jeszcze piękniejsza niż na portrecie, i serce mało nie wyskoczyło mu z piersi. Pomógł jej wejść po trapie, a potem zszedł z nią do ładowni, gdy tymczasem wierny Jan został na pokładzie.

— Rzućcie cumy i postawcie wszystkie żagle — zwrócił się do bosmana. — Niech statek pędzi jak wiatr!

W ładowni król pokazywał księżniczce złote naczynia i inne piękne przedmioty: ptaki, zwierzęta, drzewa i kwiaty, niektóre realistyczne, inne fantastyczne. Mijały godziny, a dziewczyna nawet nie zauważyła, że statek płynie. Kiedy obejrzała już wszystko, westchnęła z zadowoleniem.

— Dzięki, panie — powiedziała. — Co za piękny zbiór wyrobów ze złota! Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Naprawdę cudowne! Pora jednak, bym wracała do swego pałacu. — Wyjrzała przez bulaj i spostrzegła, że znajdują się na pełnym morzu. — Co robisz, panie?! — wykrzyknęła. — Gdzie jesteśmy?! Oszukałeś mnie! Mówiłeś, że jesteś kupcem, ale to na pewno nieprawda! Musisz być piratem! Czyżbym została porwana?! Och, wolałabym umrzeć...!

Król ujął ją za rękę i odrzekł:

— Rzeczywiście, nie jestem kupcem. Jestem królem, równie dobrze urodzonym jak ty. Podstępem zwabiłem cię na statek, bo kocham cię najmocniej na świecie. Kiedy ujrzałem w swoim pałacu twój portret, padłem nieprzytomny na podłogę.

Grzeczne zachowanie króla uspokoiło Księżniczkę Złotego Pałacu. Wzruszona jego słowami, zgodziła się go poślubić.

Statek płynął naprzód, a wierny Jan siedział na rufie, grając na skrzypcach. Nagle nad statkiem pojawiły się trzy kruki — krążyły przez chwilę, po czym usiadły na bukszprycie. Jan przestał grać i zaczął słuchać, o czym mówią, bo rozumiał mowę ptaków.

— Kra! Kra! — powiedział pierwszy. — Patrzcie! Król zabiera Księżniczkę Złotego Pałacu do swojego królestwa!

— Tak, ale jeszcze jej nie zdobył! — zakrakał drugi.

— Ależ zdobył! — rzekł trzeci. — Kra! Kra! Oto ona! Siedzi z nim na pokładzie!

— Nic mu to nie pomoże! — oświadczył pierwszy. — Kiedy zejda na ląd, powita ich kasztanowaty koń, a król spróbuje go dosiąć. Kra! Kra! Ale jeśli to zrobi, koń wzbije się w powietrze i odleci, a król nigdy więcej nie zobaczy księżniczki!

— Kra! Kra! — zakrakał drugi kruk. — Czy można temu zapobiec?

— Tak, naturalnie, ale oni o tym nie wiedzą. Jeśli ktoś inny wsiądzie na konia, wyjmie pistolet z olstra i zastrzeli zwierzę, król będzie bezpieczny. Kra! Kra! Jeśli ten, kto to zrobi, powie królowi, dlaczego zabił konia, jego nogi zmienią się w kamień od stóp do kolan.

— Wiem jeszcze więcej — odezwał się drugi kruk. — Nawet jeśli koń zginie, królowi wciąż zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy wejdą do pałacu, będzie tam na niego czekać piękna szata weselna leżąca na złotej tacy, z pozoru utkana ze złota i srebra, ale tak naprawdę zrobiona z siarki i smoły. Jeśli król ją przywdzieje, szata spali mu ciało do kości. Kra! Kra!

— I nie można go ocalić? — spytał trzeci kruk.

— Och, można, to proste, ale ludzie o tym nie wiedzą. Ktoś musi włożyć rękawiczki, wziąć szatę i wrzucić ją do ognia. Kiedy się spali, król będzie bezpieczny. Kra! Kra! Ale jeśli ten człowiek powie królowi, dlaczego spalił szatę, zmieni się w kamień od kolan do serca.

— Co za koszmarny los! — rzekł trzeci kruk. — Ale to nie koniec niebezpieczeństw. Nawet jeśli szata spłonie, król straci narzeczoną. Po ceremonii zaślubin, gdy rozpoczną się tańce, młoda królowa nagle zblednie i padnie martwa na posadzkę.

— Czy można ją uratować? — spytał pierwszy kruk.

— Tak, bardzo łatwo, jeśli zna się sposób. Ktoś powinien ją unieść, ugryźć w prawą pierś, wyssać trzy krople krwi, a następnie je wypluć. Wtedy królowa powróci do życia. Ale jeśli człowiek, który to robi, wyjaśni królowi przyczynę swojego postępowania, całe jego ciało zmieni się w kamień, od czubka głowy aż do stóp. Kra! Kra!

Kruki odleciały. Wierny Jan, który zrozumiał każde słowo, stał się smutny i milczący. Jeśli nie zrobi tego, o czym mówiły kruki, jego pan umrze, a jeżeli wytłumaczy mu, dlaczego tak dziwnie się zachowuje, zmieni się w kamień.

W końcu rzekł sobie w duchu: „To mój pan i ocalę mu życie, nawet jeśli będę musiał poświęcić własne”.

Kiedy przybili do brzegu, wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak opisał kruk. Do króla przybiegł galopem wspaniały kasztanowaty ogier ze złotym siodłem i uzdą.

— To dobry znak! — zawołał król. — Pojadę na nim do pałacu!

Już miał zamiar wskoczyć na siodło, gdy wierny Jan nagle go odepchnął i wsiadł na konia. Po chwili wyciągnął z olstra pistolet i zastrzelił rumaka.

Inni słudzy króla nie lubili Jana, więc zawołali:

— Wstyd zabić takiego pięknego ogiera! I nie wolno odpychać króla w taki sposób, gdy chce jechać do pałacu!

— Trzymajcie języki na wodzy! — rozkazał król. — Mówicie o wiernym Janie. Na pewno miał ważne powody, by tak postąpić!

Pojechali do pałacu. Jak przepowiedział kruk, w sieni czekała na króla piękna szata leżąca na złotej tacy. Wierny Jan obserwował wszystko uważnie i ledwie król sięgnął po szatę, on szybko chwycił ją dłońmi obleczonymi w rękawiczki i wrzucił do ognia. Natychmiast buchnęły wysokie płomienie.

Pozostali słudzy zaczęli szeptać między sobą:

— Widzicie?! Widzicie, co zrobił?! Spalił szatę weselną króla!

Ale młody władca ich uciszył.

— Dość tego! Jestem pewien, że Jan miał ważne powody. Zostawcie go w spokoju!

Później odbyły się zaślubiny. Po ceremonii zaczęły się tańce, a wierny Jan stał pod ścianą sali balowej, nie spuszczać wzroku z królowej. Nagle zbladła i runęła na posadzkę. Jan natychmiast do niej podbiegł, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni króla. Położył ją na łóżku, po czym uklęknął, ugryzł ją w prawą pierś, wyssał trzy krople krwi, a następnie je wypluł. Królowa od razu otworzyła oczy, rozejrzała się i usiadła. Oddychała normalnie i była zupełnie zdrowa.

Król widział wszystko i nie rozumiał, dlaczego Jan postąpił w ten sposób. Wpadł w gniew i kazał strażnikom natychmiast wtrącić go do lochu.

Nazajutrz rano wierny Jan został skazany na śmierć i zaprowadzony na szubienicę. Kiedy już stał z pętlą na szyi, odezwał się:

— Każdy skazany na śmierć ma prawo do ostatniego słowa. Czy ja również mam takie prawo?

— Tak — potwierdził król. — Masz takie prawo.

— Zostałem skazany niesprawiedliwie — rzekł Jan. — Zawsze byłem wobec ciebie lojalny, najjaśniejszy panie, podobnie jak wobec twojego zmarłego ojca. — I opowiedział o rozmowie kruków siedzących na bukszprycie statku, które opisały dziwne sposoby ocalenia króla i królowej przed śmiercią.

Wysłuchawszy Jana, król zawołał:

— O, mój wierny Janie! Ułaskawiam cię! Natychmiast sprowadźcie go na dół!

Ale z Janem zaczęło się dziać coś dziwnego: ledwie wypowiedział ostatnie słowo, jego stopy, nogi, tułów, ramiona, a w końcu i głowa zmieniły się w kamień.

Król i królowa byli zrozpaczeni.

— Ach, co za straszliwa nagroda za wierność! — wykrzyknął król, po czym kazał zanieść kamienny posąg do sypialni i postawić obok swojego łóża. Kiedy na niego patrzył, po policzkach ciekły mu łzy i mówił: — Ach, gdybym tylko mógł przywrócić ci życie, mój drogi wierny Janie!

Mijał czas i królowa urodziła dwóch synów — zdrowych, wesołych bliźniaków, którzy stali się dla niej źródłem wielkiej radości. Pewnego dnia, gdy poszła do kościoła, obaj chłopcy bawili się w sypialni ojca, a król spojrzał na kamienny posąg i tak jak zwykle rzekł:

— Ach, mój drogi wierny Janie, gdybym tylko mógł przywrócić ci życie...!

I nagle ku jego zdumieniu posąg odpowiedział:

— Możesz przywrócić mi życie, jeśli poświęcisz to, co kochasz najbardziej.

— Dla ciebie poświęcę wszystko, co mam! — odparł król.

— Musisz własnoręcznie uciąć głowy swoim synom i pokropić mnie ich krwią, a wtedy ożyję!

Król wpadł w przerażenie. Zabić swoje ukochane dzieci! Co za straszliwa cena! Ale pamiętał, że wierny Jan był gotów oddać własne życie za niego i królową. Zebrał siły, wyciągnął miecz i odrąbał głowy swoim synom. Kiedy pokropił kamienny posąg ich krwią, zmienił się on w żywego człowieka, poczynając od głowy, a kończąc na palcach nóg. I oto przed królem stał wierny Jan, żywy i zdrowy.

— Wasza Królewska Mość, dochowałeś mi wierności i spotka cię nagroda — powiedział do króla.

Wziął głowy dzieci, umieścił je na szyjach i posmarował ich własną krwią, a wtedy chłopcy ożyli. Usiedli, mrugając powiekami, po czym zaczęli się bawić i skakać, jakby nic się nie stało.

Król był wniebowzięty. Kiedy usłyszał, że królowa wraca z kościoła, kazał Janowi i dzieciom schować się w szafie.

— Modliłaś się, moja droga? — spytał, gdy weszła.

— Tak — odpowiedziała. — Jednak nie mogę przestać myśleć o wiernym Janie i strasznym losie, jaki go spotkał z naszego powodu.

— Cóż, możemy go wskrzesić, ale za wysoką cenę — odparł król. — Musimy poświęcić naszych synów.

Królowa pobladła. Serce zamarło jej z przerażenia, lecz rzekła:

— Jesteśmy mu to winni, bo wiernie nam służył.

Król poczuł radość, że zareagowała tak samo jak on, po czym otworzył drzwi szafy, z której wyszedł Jan wraz z dwoma małymi chłopcami.

— Niechaj Bogu będą dzięki! — zawołał. — Wierny Jan został ocalony, a nasi dwaj synowie żyją!

Opowiedział królowej całą historię. A później wszyscy żyli razem długo i szczęśliwie.

* * *

Typ baśni: ATU 516, *Wierny Jan*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Koshchey the Deathless* (*Russian Fairy Tales*)

W opowieści tej pojawia się kilka intrygujących motywów: portret, który trzeba ukryć; fatalna wiedza zdobyta przez podsłuchanie rozmowy ptaków; straszliwy los biednego Jana i koszmarny dylemat, przed którym stanął król.

Baśń Afanasjewa nie jest tak spójna i dobrze skonstruowana jak wersja braci Grimm, w której narracja toczy się bardzo szybko, zręcznie przechodząc od wydarzenia do wydarzenia. Podobnie jak w innych opowieściach, widać tu rękę Dorothei Viehmann, która świetnie uporządkowała materiał (por. [nota do Zagadki](#)).

Dwunastu braci

Byli raz król i królowa, którzy żyli w szczęściu i dobrze zarządzili królestwem. Mieli dwanaścioro dzieci, samych synów.

Pewnego dnia król rzekł do żony:

— Nosisz w swoim łonie trzynaste dziecko. Jeśli się okaże, że to dziewczynka, pozostała dwunastka musi umrzeć. Chcę, by córka odziedziczyła królestwo i wszystkie moje skarby.

Aby dowieść żonie, że mówi poważnie, kazał przygotować dwanaście trumien. Każdą z nich wysypano trocinami, a u wezgłowia położono puchową poduszkę i zwinięty całun. Król kazał je postawić w komnacie, którą zamknął, a klucz wręczył królowej.

— Nikomu o tym nie mów! — powiedział.

Matka przez cały dzień siedziała i płakała, aż najmłodszy syn, nazwany biblijnym imieniem Beniamin, spytał:

— Czemu jesteś taka smutna, matko?

— Nie mogę ci tego zdradzić, drogi synu — odparła królowa.

Beniamin nie był zadowolony z odpowiedzi. Nie dawał matce spokoju, aż otworzyła drzwi i pokazała mu dwanaście stojących rzędem trumien, trociny, poduszki i zwinięte całuny.

— Mój ukochany Beniaminie, te trumny są przeznaczone dla ciebie i twoich braci — wyjaśniła z płaczem. — Jeśli urodzę dziewczynkę, zostaniecie zabici i pochowani w tych trumnach.

Beniamin objął ją i rzekł:

— Nie płacz, matko! Uciekniemy i damy sobie radę.

— Tak! To dobry pomysł — przyznała. — Idźcie do lasu i znajdźcie wysokie drzewo. Obserwujcie wieżę zamkową. Jeśli urodzę chłopca, wywieszę białą flagę, a jeżeli dziewczynkę, czerwoną. Wtedy uciekajcie co sił w nogach. Niechaj Bóg ma was w swojej opiece! Będę wstawać każdej nocy i modlić się za was wszystkich. W zimie będę się modliła, żebyście zawsze mogli się ogrzać przy ogniu, a w lecie, by nie doskwierał wam skwar.

Dała dwunastu braciom swoje błogosławieństwo, a oni poszli do lasu i na zmianę obserwowali zamek z wysokiego dębu. Po jedenastu dniach przyszła kolej na Beniamina. Zauważył trzepot wywieszanej flagi, ale była czerwona, nie biała.

Zszedł z drzewa i powiedział o tym braciom. Byli wściekli.

— Dlaczego mamy cierpieć z powodu dziewczyny?! — pytali. — Musimy się zemścić! Pierwsza dziewczyna, jaką spotkamy, gorzko tego pożałuje! Zabijemy ją!

Ruszyli dalej w las i w najciemniejszym, najgłębszym zakątku puszczy natknęli się na małą chatkę. Siedziała przed nią staruszka z tobołkiem, gotowa do drogi.

— Nareszcie jesteście! — zawołała. — Chatka czeka na was, a ja dbałam, by była czysta i przytulna. Pod oknem zasadziłam dwanaście lilii. Dopóki kwitną, nie macie się czego obawiać. Teraz muszę iść.

Wzięła tobołek i odeszła ciemną ścieżką, nim zdążyli się odezwać.

— Cóż, zamieszkajmy tutaj — rzekli bracia. — Chatka zdaje się wygodna, a staruszka powiedziała, że jest przeznaczona dla nas. Beniaminie, jesteś najmłodszy i najsłabszy, więc zostaniesz w domu i będziesz prowadził gospodarstwo. My zajmiemy się polowaniem.

Starsi bracia codziennie wyruszali do lasu i chwytali zające, sarny, ptaki, wszystko, co nadawało się do jedzenia. Zanosili zwierzęta do domu, gdzie Beniamin gotował i podawał posiłki. Mieszkali w małej chatce, gdzie byli bezpieczni, dziesięć lat, a czas płynął szybko.

Tymczasem córka króla rosła. Była dobra i łagodna i miała piękną twarzyczkę ze złotą gwiazdą na czole. Pewnego dnia, gdy w pałacu prano bieliznę, zauważyła na sznurze dwanaście koszul, każdą nieco mniejszą od następnej, i spytała matkę:

— Czyje to koszule, matko? Są za małe na ojca.

— Należą do twoich dwunastu braci, skarbie — odparła ze smutkiem królowa.

— Nie wiedziałam, że mam dwunastu braci — rzekła królowa. — Gdzie oni są?

— Bóg jeden wie. Poszli do lasu i teraz mogą być wszędzie. Chodź ze mną, kochanie, wszystko ci opowiem.

Zabrała córkę do zamkniętej komnaty, pokazała jej dwanaście trumien, trociny, poduszki i całuny.

— Te trumny przygotowano dla twoich braci, ale uciekli przed twoimi narodzinami — wyjaśniła i opowiedziała o wszystkim, co się wydarzyło.

— Nie płacz, matko! — odrzekła dziewczyna. — Pójdę poszukać braci. Na pewno ich odnajdę.

Wyprasowała dwanaście koszul, spakowała je starannie i wyruszyła do lasu. Szła przez cały dzień i wieczorem dotarła do małej chatki. Weszła do środka i zobaczyła chłopca.

— Kim jesteś? — spytał. — Skąd przybywasz?

Wiedział, że jest królowną, bo miała na sobie wspaniałą suknię, ale był zdumiony jej urodą i złotą gwiazdą na czole.

— Jestem królowną i szukam swoich dwunastu braci — odpowiedziała. — Przyrzekłam, że pójdę choćby na koniec świata, by ich odnaleźć.

Pokazała mu dwanaście koszul, każdą nieco mniejszą od następnej. Benjamin natychmiast zrozumiał, że to jego siostra, i wykrzyknął:

— Znalazłaś nas! Jestem twoim najmłodszym bratem i mam na imię Benjamin!

Rozplakali się z radości, ucałowali i uściskali serdecznie. Ale chłopiec zaraz przypomniał sobie przysięgę złożoną przez braci i rzekł:

— Droga siostrzo, muszę cię ostrzec: moi bracia przysięgli, że pierwsza dziewczyna, jaką spotkają, zginie z ich ręki, bo musieliśmy uciec z królestwa z powodu dziewczyny.

— Chętnie oddałabym życie, by uwolnić braci z wygnania! — odpowiedziała.

— Nie, nie możesz umrzeć. Nie pozwolę na to. Schowaj się pod balią, żeby cię nie zobaczyli, gdy wrócą. Wszystkim się zajmę.

Królowna posłuchała. Kiedy o zmroku bracia wrócili z polowania, zasiedli do kolacji i spytali Beniamina:

— Jakież nowiny?

— Nie wiecie?! — zawołał ze zdziwieniem.

— Czego nie wiemy?

— Byliście cały dzień w lesie, a ja siedziałem w domu, ale wiem więcej od was!

— Co wiesz? Mów!

— Powiem, jeśli przyrzekniecie, że nie zabijecie pierwszej dziewczyny, jaką spotkacie.

Byli tak zaciekawieni, że wykrzyknęli jednym głosem:

— Dobrze! Przyrzekamy! Okażemy miłosierdzie! Mów, co się stało!

— Oto nasza siostra! — rzekł Benjamin i podniósł balię.

Królewna ukazała im się, ubrana we wspaniałe szaty, prześliczna, ze złotą gwiazdą na czole. Była delikatna, piękna, doskonała.

Bracia rozplakali się z radości, ściskając i całując siostrę. Natychmiast ją pokochali.

Od tamtej pory pomagała Benjaminowi prowadzić gospodarstwo. Jedenastu starszych braci codziennie wyruszało do lasu, by polować na sarny, gołębie i dziki, a królewna i Benjamin gotowali posiłki. Zbierali drewno na opał i zioła na przyprawy; po powrocie pozostałych braci podawali kolację. Sprząтали dom, zamiatali podłogi, ślali łóżka, a siostra prała i rozwieszała koszule, każdą trochę mniejszą od następnej, by wyschły na słońcu.

Pewnego dnia przyrzędziła smaczny gulasz i nim wszyscy zasiedli do stołu, pomyślała, że przydałoby się dodać trochę natki pietruszki. Wyszła na dwór i zebrała w małym ogródku warzywnym garść listków pietruszki, a potem dostrzegła dwanaście pięknych lilii rosnących pod oknem i postanowiła przystroić nimi stół, by sprawić braciom przyjemność.

Ale w chwili, gdy ścięła lilie, domek zniknął, a dwunastu braci zmieniło się w dwanaście kruków, które z przerażającym krakaniem wzbiły się nad drzewa i odleciały. Biedna dziewczyna została zupełnie sama na leśnej polanie.

Rozejrzała się z przerażeniem i zobaczyła stojącą w pobliżu staruszkę.

— Coś ty zrobiła, moje dziecko?! — zawołała kobieta. — Twoi bracia zmienili się w dwanaście kruków i nie ma sposobu, by przywrócić im ludzką postać!

— Żadnego sposobu?! — spytała z drżeniem królewna.

— Cóż, jest jeden sposób, ale zbyt trudny, by ktokolwiek zdołał tego dokonać — odparła staruszka.

— Powiedz mi, powiedz, proszę! — wykrzyknęła błagalnie dziewczyna.

— Musisz milczeć przez siedem lat, nie mówić nic ani też się nie śmiać. Jeśli w tym czasie wypowiesz choćby jedno słowo, nawet w ostatniej minucie ostatniego dnia ostatniego roku, wszystko pójdzie na marne, bo to słowo zabije twoich braci!

Staruszka śpiesznie odeszła cienistą ścieżką, nim królewna zdążyła coś powiedzieć.

„Mogę to zrobić — pomyślała. — Wiem, że potrafię! Ocalę swoich braci, wszyscy się przekonają!”

Wybrała wysokie drzewo, wdrapała się na jego szczyt, usiadła w rozwidleniu gałęzi i zaczęła prząść, powtarzając w duchu: „Nic nie

mów! Nie śmieję się!”.

Do tej części lasu przyjeżdżał czasem na łowy młody król. Miał on ulubionego charta i pewnego razu, kiedy król podążał ścieżką, pies nagle podbiegł do drzewa, zaczął szczekać i skakać na pień. Król ruszył za nim, a gdy zobaczył przepiękną królową ze złotą gwiazdą na czole, natychmiast się w niej zakochał. Zawołał do niej, czy zechce zostać jego żoną.

Dziewczyna milczała, ale kiwnęła głową i król zrozumiał, że się zgadza. Wspiął się na drzewo, pomógł jej zejść, posadził ją na swojego konia i pojechali razem do jego pałacu.

Wyprawiono wspaniałe, radosne wesele, ale ludzie się dziwili, że panna młoda nic nie mówi. Nie odzywała się słowem ani nawet się nie śmiała.

Małżeństwo okazało się szczęśliwe, jednak po kilku latach matka króla zaczęła oczerniać młodą królową. Mówiła synowi: „Ta dziewczucha, którą przywiozłeś do domu z polowania, nie jest lepsza od zwykłej żebraczki. Kto wie, co knuje w głębi serca? Może być niemową, ale każdy normalny człowiek od czasu do czasu się śmieje. Ludzie, którzy się nie śmieją, mają coś na sumieniu, to pewne”.

Na początku król nie chciał tego słuchać, ale gdy matka wciąż mu to powtarzała, oskarżając młodą królową o różne złe uczynki, w końcu zaczął wierzyć, że ma rację. Dziewczynę postawiono przed sądem złożonym z ulubienic starej królowej, które bez wahania skazały ją na śmierć.

Na dziedzińcu rozpalono wielki ogień, by ją spalić. Król patrzył na to z okna na piętrze, a po policzkach płynęły mu łzy, bo ciągle bardzo ją kochał. Królową przywiązano do pala i czerwone płomienie zaczęły już lizać jej suknię, gdy właśnie w tym momencie skończył się siedmioletni okres jej milczenia.

Nagle nadleciało dwanaście kruków — trzepot ich skrzydeł wypełnił dziedziniec. Kiedy ptaki dotknęły pazurami ziemi, znów zmieniły się w braci królowej. Podbiegli do ognia, rozrzućili kopniakami płonące polana, rozwiązali siostrę i ugasili suknię, która już się tliła od fruwających iskier. Ucałowali ją i uściskali, odciągając daleko od stosu.

Młoda królowa śmiała się i mówiła tak jak przed laty, a król nie mógł wyjść ze zdumienia. Teraz, gdy odzyskała mowę, wytłumaczyła, dlaczego tak długo milczała. Był uradowany, kiedy usłyszał, że nie popełniła tych wszystkich okropności, o które ją oskarżała jego matka.

Tym razem oskarżono staruchę i sąd szybko uznał ją za winną. Wsadzono ją do beczki pełnej jadowitych węży i wrzącego oleju i wkrótce dokończyła swego żywota.

* * *

Typ baśni: ATU 451, *Dziewczyna, która szuka swoich braci*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Julię i Charlotte Ramus

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Magic Swan Geese (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *The Seven Brothers (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Calf with the Golden Horns, The Twelve Oxen (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Siedem kruków (Baśnie domowe i dziecięce)*

Ta baśń ma wielu krewnych i łatwo zrozumieć dlaczego. Uroczy chór niemal identycznych braci zmienionych w ptaki; siostra, która mimo woli wywołuje ich przemianę i musi przestrzegać prawie niemożliwego zakazu; jej wierność, odwaga i straszliwy los, przed którym z pozoru nie ma ucieczki; idealnie wybrany moment powrotu braci, trzepot ich skrzydeł — wszystko to składa się na bardzo ładną opowieść.

Wersja braci Grimm niezręcznie rozwiązuje kwestię magicznej chatki i lilii. W mojej wersji stara kobieta pojawia się wcześniej niż w oryginale; starałem się poprawić schemat czasowy fabuły.

Ciekawym szczegółem jest to, że matka króla zostaje najpierw nazwana *Mutter*, a później, kilka zdań dalej, *Stiefmutter*, jakby poprawiono przejęzyczenie. Czy jest matką, czy macochą? To niejedyny moment, gdy pojawia się to pytanie. Decyzję musi podjąć narrator; nie może tego zrobić nikt inny.

6

Braciszek i siostrzyczka

Braciszek wziął siostrzyczkę za rękę.

— Posłuchaj! — szepnął. — Po śmierci matki nie byliśmy ani przez chwilę szczęśliwi. Macocha codziennie nas bije, a jej jednooka córka kopie, ledwie się do niej zbliżymy. Co więcej, dostajemy do jedzenia tylko skórki czerstwego chleba. Pies pod stołem żywi się lepiej niż my, bo często rzucają mu smaczny kawałek mięsa. Boże, gdyby nasza matka widziała, jakie mamy życie! Wyruszmy razem w szeroki świat. Nie będzie nam gorzej, nawet jeśli zostaniemy włóczęgami.

Siostrzyczka kiwnęła głową, bo każde słowo braciszka było prawdą.

Odczekali, aż macocha zapadnie w drzemkę, i wyszli z domu, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi. Przez cały dzień szli przez łąki i pola, przez pastwiska i po kamienistych ścieżkach. Zaczęło padać i siostrzyczka powiedziała:

— Bóg płacze, a nasze serca płaczą razem z nim.

Wieczorem dotarli do lasu. Byli tacy zmęczeni, głodni i smutni, tak przerażeni zapadającą ciemnością, że wdrapali się na drzewo, weszli do dziupli i zasnęli.

Kiedy rano się obudzili, na drzewo padały promienie słońca.

— Obudź się, siostro! — powiedział braciszek. — Jest ciepło i słonecznie, a mnie chce się pić. Zdaje się, że słyszę źródło. Chodźmy się napić.

Siostrzyczka się obudziła i oboje zeszli na ziemię, po czym wzięli się za ręce i ruszyli szukać źródła, które słyszeli między drzewami.

Niestety, ich macocha była wiedźmą. Potrafiła widzieć przez zamknięte powieki i śledziła dzieci przez cały czas od chwili, gdy wymknęły się z domu. Czołgała się za nimi, jak to robią wiedźmy, rozplaszczona na ziemi, a nim popełzła z powrotem do swojej chaty, rzuciła zaklęcie na wszystkie źródła w lesie.

Braciszek i siostrzyczka wkrótce znaleźli źródło, które słyszeli, i zobaczyli świeżą, zimną wodę płynącą po lśniących kamieniach. Wyglądała tak zachęcająco, że oboje uklękli, by się napić.

Ale siostrzyczka nauczyła się rozumieć mowę płynącej wody i usłyszała słowa źródła. W chwili gdy braciszek unosił złączone dłonie do spierzchniętych warg, zawołała:

— Nie pij! Źródło jest zaczarowane! Każdy, kto się z niego napije, zmieni się w tygrysa. Wylej tę wodę, wylej! Rozszarpiesz mnie na kawałki!

Braciszek wylał wodę, choć bardzo chciało mu się pić. Szli dalej i znaleźli następne źródło. Tym razem siostrzyczka uklękła pierwsza i zbliżyła głowę do wody.

— Nie, to też jest zaczarowane — powiedziała. — „Kto się ze mnie napije, zmieni się w wilka”. Myślę, że to macocha musiała rzucić na nie zakęcie.

— Ale tak bardzo mi się chce pić! — odparł braciszek.

— Jeśli zmienisz się w wilka, natychmiast mnie pożresz.

— Daję słowo, że tego nie zrobię!

— Wilki nie dotrzymują słowa. Musi być źródło, którego nie zaczarowała. Szukajmy dalej.

Niebawem znaleźli trzecie źródło. Siostrzyczka znów się pochyliła i usłyszała, jak woda mówi: „Kto się ze mnie napije, zmieni się w jelenia. Kto się ze mnie napije, zmieni się w jelenia”.

Obróciła się, by ostrzec brata, ale było już za późno. Tak chciało mu się pić, że rzucił się na ziemię i zanurzył twarz w wodzie. I natychmiast rysy mu się zmieniły, twarz się wydłużyła, skórę pokryły delikatne włoski, a ręce i nogi stały się smukłe i wyrosły na nich kopyta. Po chwili wstał, kołysząc się niepewnie — i oto siostrzyczka miała przed sobą młodego jelenka.

Zobaczyła, że rozgląda się nerwowo, jakby zamierzał uciec, i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Braciszku, to ja! Twoja siostra! Nie uciekaj, bo na zawsze się zgubimy! Ach, coś ty zrobił, braciszku! Coś ty zrobił...!

Płakała i jelen również płakał. W końcu opanowała się i rzekła:

— Przestań płakać, mój słodki mały jelenku! Nigdy cię nie opuszczę, nigdy! Chodź, spróbujmy jakoś sobie poradzić.

Zdjęła z nogi złocistą podwiązkę i założyła jelenkowi na szyję, a potem splotła sznur z sitowia i doczepiła go do podwiązki. Ruszyła naprzód, prowadząc jelenka coraz dalej i dalej w las.

Wreszcie, po wielu godzinach, dotarli do polany i zobaczyli małą chatkę.

Siostrzyczka zatrzymała się i rozejrzała. Wszędzie panowała cisza. Ogród był starannie utrzymany, a drzwi chatki uchylone.

— Jest tu kto?! — zawołała.

Nikt nie odpowiedział. Weszła z jelonkiem do środka i zobaczyli wyjątkowo czysty, schludny pokoik. Jeszcze nigdy nie widzieli takiego ładnego mieszkania. Ich macocha wiedźma nie troszczyła się o gospodarstwo: jej dom był zawsze zimny i brudny. Ale ten wyglądał pięknie.

— Zaopiekujmy się tą chatką — powiedziała siostrzyczka. — Właściciele się nie obrażą, jeśli zadbamy, by zawsze była schludna i czysta.

Przez cały czas mówiła do jelonka. Dobrze ją rozumiał i słuchał jej poleceń: „Nie jedz roślin w ogródku, a kiedy chcesz się wysuszać albo zrobić kupkę, idź do lasu”.

Zrobiła mu przy kominku posłanie z mchu i liści. Każdego ranka wychodziła i zbierała dla siebie jedzenie: dzikie jagody, orzechy, słodkie korzonki, a w ogródku warzywnym rosła marchewka, fasola i kapusta. Zawsze też zrywała mnóstwo świeżej, słodkiej trawy dla jelonka, który jadł jej z ręki. Bardzo lubił się z nią bawić, a wieczorem, gdy się umyła i odmówiła pacierz, kładła się obok niego, opierając głowę na jego grzbiecie. Gdyby braciszek był człowiekiem, ich życie byłoby idealne.

Zyli w ten sposób przez jakiś czas. Aż pewnego dnia król urządził w lesie wielkie polowanie. Wśród drzew rozlegały się dźwięki rogów, szczekanie psów, wesołe okrzyki myśliwych. Jelonek nadstawił uszu i zapragnął wziąć udział w polowaniu.

— Pozwól mi tam pobiec, sostro! — prosił. — Oddałbym wszystko, by się przyłączyć do polowania!

Prosił tak uparczywie, aż wreszcie ustąpiła.

— Ale koniecznie wróć przed wieczorem — rzekła, otwierając drzwi. — Zamknę drzwi na klucz na wypadek, gdyby w pobliżu przejeżdżali nieokrzesani myśliwi, więc daj mi znać, że to ty. Zapukaj i powiedz: „W mroku pogrąża się świat! To ja, droga sostro, twój brat!”. Jeśli tego nie powiesz, nie otworzę drzwi.

Młody jelonek jak błyskawica wybiegł na dwór i popędził w stronę drzew. Nigdy nie czuł się taki szczęśliwy ani wolny jak wtedy, gdy myśliwi go zauważyli i zaczęli gonić, ale nie mogli złapać. Gdy się zbliżali i już byli pewni, że zaraz go dościgną, dawał susa w zarośla i znikał.

O zachodzie słońca pobiegł do chatki i zapukał do drzwi.

— W mroku pogrąża się świat! To ja, droga sostro, twój brat!

Siostrzyczka otworzyła drzwi, a uszczęśliwiony jelonek wbiegł do domu i opowiedział jej o polowaniu. Spał mocno przez całą noc.

Rankiem znów usłyszał w dali granie rogów i ujadanie psów. Nie mógł się powstrzymać.

— Siostrzo, proszę! Otwórz drzwi, błagam! Muszę iść na polowanie, bo umrę z tęsknoty!

Siostrzyczka otworzyła drzwi i rzekła ze smutkiem:

— Nie zapomnij o wierszyku, gdy będziesz wracał.

Nie odpowiedział, tylko popędził do lasu. Kiedy król i myśliwi zobaczyli jelenia ze złocistą obrożą, natychmiast zaczęli go ścigać. Przez cały dzień gnali za nim przez zarośla i chaszczce, przez gęstwiny i przez polany, ale on sprytnie im umykał. Kilka razy prawie go złapali, a o zachodzie słońca drasnęła go w nogę kula wystrzelona ze strzelby. Nie mógł już szybko biec i jeden z myśliwych tropił go aż do samej chatki, gdzie zobaczył, jak jelonek puka do drzwi, i usłyszał słowa: „W mroku pograża się świat! To ja, droga siostrzo, twój brat!”.

Myśliwy ujrzał otwierające się drzwi i dziewczynę, która wpuściła jelenia do środka. Opowiedział o wszystkim królowi.

— Czy to prawda? — rzekł król. — Cóż, jutro postaramy się go złapać!

Siostrzyczka się przeraziła, zobaczywszy, że jelonek jest ranny. Zmyła mu z nogi krew i przyłożyła do rany kompres z ziół. Rana była niegroźna i nazajutrz rano, gdy się obudził, już o niej nie pamiętał. Poprosił siostrę, by mu pozwoliła po raz trzeci pobiec do lasu.

— Siostrzo, nawet sobie nie wyobrażasz, jaką mam ochotę iść na polowanie! Muszę tam pobiec, bo oszaleję!

Siostrzyczka się rozplakała.

— Wczoraj cię zranili, a dzisiaj zabiją! — szlochała. — A ja zostanę w tym dzikim lesie zupełnie sama! Zastanów się nad tym! Nie mam nikogo prócz ciebie! Nie mogę cię puścić, nie mogę!

— W takim razie umrę tu przed tobą! Kiedy słyszę granie rogów, każda cząsteczka mojego ciała drży z radości! Tak bardzo pragnę tam być, siostrzo! Błagam cię, pozwól mi iść!

Nie potrafiła się oprzeć jego błaganiom i z ciężkim sercem otworzyła drzwi. Jelonek wyskoczył na dwór i popędził w las, nie oglądając się za siebie.

Król zakazał myśliwym zabijać jelenia ze złotą obrożą.

— Jeśli go wytropicie, unieście strzelby i odwołajcie psy. Dziesięć złotych dukatów dla tego, kto pierwszy go zobaczy!

Cały dzień krążyli po lesie, aż w końcu, o zachodzie słońca, król wezwał myśliwego, który poprzedniego dnia wyszedł jelonka.

— Pokaż mi drogę do chatki. Skoro nie możemy go złapać, zastawimy pułapkę. Jak brzmiał ten wierszyk?

Myśliwy go powtórzył. Kiedy dotarli do chatki, król zastukał do drzwi i rzekł:

— W mroku pogrąża się świat! To ja, droga siostrzyczko, twój brat!

Drzwi natychmiast się otworzyły. Król wszedł do środka i ujrzał prześliczną dziewczynę, najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek spotkał. Przestraszyła się, widząc obcego mężczyznę, a nie jelonka, ale ten mężczyzna miał na głowie złotą koronę i uśmiechał się łagodnie. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Czy pojedziesz ze mną do mego pałacu i zostaniesz moją żoną? — spytał.

— O tak — odpowiedziała siostrzyczka. — Ale musi nam towarzyszyć mój jelonek. Nie pojedę bez niego.

— Naturalnie, że może nam towarzyszyć — odrzekł król. — Będzie żyć razem z nami i niczego mu nie zabraknie.

Ledwie wypowiedział te słowa, do chatki wpadł jelonek. Siostrzyczka chwyciła złocistą obrożę i przywiązała do niej sznur z sitowia. Król posadził dziewczynę na koniu i pojechali razem do pałacu. Jeleń kłusował dumnie za siostrą i królem.

Wkrótce potem wyprawiono huczne wesele i siostrzyczka została królową. Odtąd jelonek, jej braciszek, mógł sobie hasać po całym ogrodzie pałacowym i zajmowało się nim kilku służących: Nadworny Ścinacz Trawy, Opiekun Rogów i Kopyt oraz Pani Złotego Zgrzebła, która codziennie całego go czyściła, nim poszedł spać, usuwając z jego sierści kleszcze, pchły i wszy. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi.

Na początku zła macocha myślała, że dzieci zostały rozszarpane przez dzikie zwierzęta, ale kiedy przeczytała w gazecie, że siostrzyczka została królową i że stale towarzyszy jej jeleń, szybko się domyśliła, co się stało.

— Ten przekłety chłopak musiał się napić wody ze źródła, które zaczarowałam, i zmienił się w jelenia! — powiedziała do córki.

— To niesprawiedliwe! — jęknęła dziewczyna. — To ja powinnam być królową, nie ona!

— Przestań się mazać! — prychnęła starucha. — Przyjdzie czas, że nią zostaniesz! Zasługujesz na to!

Mijał czas i królowa urodziła dziecko, ładnego chłopczyka. Tego dnia król wybrał się na polowanie. Wiedźma i jej córka poszły do pałacu, przebrane za pokojówki, i wkradły się do sypialni królowej.

— Twoja kąpiel jest gotowa, Wasza Królewska Mość! — zwróciła się wiedźma do królowej, która słaba i wyczerpana leżała w łóżku. — Poczujesz się po niej znacznie lepiej. Chodź z nami!

Zaniosły ją do łazienki i wsadziły do wanny. Później rozpały wielki ogień, aż królowa udusiła się od dymu. Aby ukryć swoją zbrodnię, czarodziejskim sposobem stworzyły w miejscu drzwi do łazienki ścianę i powiesiły na niej gobelin.

— Teraz wejdź do jej łóżka — rzekła wiedźma do córki, a gdy ta spełniła polecenie, rzuciła na nią czar, który sprawił, że wyglądała dokładnie tak samo jak królowa. Nie mogła tylko ukryć tego, że dziewczyna nie ma jednego oka. — Wtul policzek w poduszkę — rozkazała wiedźma. — Jeśli ktoś się do ciebie odezwie, mów niewyraźnie.

Kiedy wieczorem król wrócił do pałacu i dowiedział się, że ma syna, ogromnie się ucieszył. Poszedł do sypialni ukochanej żony i już miał odsłonić okna, by na nią popatrzeć, gdy fałszywa pokojówka powiedziała:

— Nie rób tego, Wasza Królewska Mość! Pod żadnym pozorem nie rozsuwaj zasłon! Królowa potrzebuje odpoczynku i nie wolno jej niepokoić!

Król odszedł na palcach i nie zorientował się, że w łóżku leży fałszywa królowa.

Tej nocy jelen nie mógł zasnąć. Wszedł ze stajni, wspiał się po schodach do pokoju dziecinnego, gdzie leżało niemowlę, i nie chciał od niego odejść. Nie mógł wytłumaczyć, dlaczego to robi, bo po śmierci królowej utracił zdolność mówienia. Położył się koło kołyski i zasnął.

O północy piastunka, która spała w pokoju dziecięcym, nagle się obudziła i zobaczyła wchodzącą do pokoju królową. Cała ociekała wodą, jakby przed chwilą się kąpała. Nachyliła się nad kołyską i pocałowała dziecko, po czym pogładziła jelonka i rzekła:

*Czy moi ukochani cierpią tu katusze?
Przyjdę jeszcze dwa razy, potem zniknąć muszę...*

A potem, już bez słowa, wyszła z pokoju.

Piastunka była tak przerażona, że nikomu o tym nie powiedziała. Myślała, że królowa ciągle leży w łóżku, odzyskując siły po porodzie.

Ale następnej nocy wydarzyło się to samo, lecz tym razem królową otaczały małe płomyki. Odezwała się:

*Czy moi ukochani cierpią tu katusze?
Jutro przyjdę raz jeszcze, potem zniknąc muszę...*

Piastunka pomyślała, że powinna donieść o tym królowi. Następnej nocy czekał wraz z nią w pokoju dzieciennym, a gdy wybiła północ, królowa znów weszła do pokoju. Tym razem otaczał ją gęsty czarny dym.

— Wielki Boże, co to takiego?! — zawołał król.

Zjawa nie zwróciła na niego uwagi, tylko tak jak poprzednio podeszła do dziecka i jelonka, a potem powiedziała:

*Czy moi ukochani cierpią tu katusze?
Przyszłam po raz ostatni — teraz zniknąc muszę...*

Król próbował objąć żonę, ale zmieniła się w obłok dymu i znikła.

Jeleń pociągnął króla za rękaw i zaprowadził do miejsca, gdzie wisiał gobelin. Zerwał go ze ściany i zaczął uderzać w nią rogami. Król zrozumiał i kazał służącym zburzyć ścianę. Korzystając z zamieszania, fałszywa królowa wstała z łóżka i chyłkiem opuściła pałac. Po zburzeniu ściany odkryto łazienkę czarną od dymu, a w wannie leżało czyste, białe i nietknięte ciało królowej.

— Moja żono, moja ukochana żono! — zawołał król.

Pochylił się, by ją objąć, i z łaski Boga ożyła. Opowiedziała o straszliwej zbrodni, której padła ofiarą, a król wysłał najszybszego posłańca do bram zamkowych, więc strażnicy zdążyli aresztować wiedźmę i jej córkę, gdy usiłowały się wymknąć.

Obie postawiono przed sądem, który skazał je na śmierć. Córkę zaprowadzono do lasu, gdzie pożarły ją dzikie zwierzęta, a wiedźmę spalono na stosie. Kiedy starucha rozsypała się w proch, jej czary straciły moc i jelonek z powrotem zmienił się w człowieka. A potem braciszek i siostrzyczka żyli razem długo i szczęśliwie.

* * *

Typ baśni: ATU 450, *Braciszek i siostrzyczka*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Hassenpflugów

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Sister Alionushka, Brother Ivanushka (Russian Fairy Tales)*; Giambattista Basile, *Nennillo and Nennella (The Great Fairy Tale Tradition, red. Jack Zipes)*; Jacob

i Wilhelm Grimm, *Trzy krasnoludki w lesie* (*Baśnie domowe i dziecięce*); Arthur Ransome, *Alenoushka and Her Brother* (*Old Peter's Russian Tales*)

Jedna z nielicznych baśni o duchach w zbiorze braci Grimm, podobna do [Trzech krasnoludków w lesie](#).

David Luke pisze we wstępie do *Brothers Grimm: Selected Tales*, że w pierwszej wersji tej opowieści z 1812 roku istniał tylko jeden zaczarowany strumień, toteż braciszek od razu zmienił się w jelonka, lecz Wilhelm Grimm w późniejszym wydaniu dodał dwa pozostałe strumienie, by stworzyć baśniową triadę.

Baśń braci Grimm zaczyna się dobrze, po czym kuleje. Końcowa część zawiera luki i przeskoki, które nie pomagają czytelnikowi. Skoro czarownica i jej córka zamordowały siostrzyczkę w łazience królowej, co się stało z ciałem? Dlaczego jelonek się nie odezwał, gdy zobaczył ducha? Dlaczego w ogóle nic nie zrobił? Czemu piastunka mówi królowi o zjawie dopiero po upływie „wielu nocy”? Czy córka czarownicy przez cały ten czas leżała w łóżku?

Nie są to rzeczy, które pomija się w baśniach i o które nie warto pytać, bo niemądrze byłoby spodziewać się odpowiedzi. To coś więcej — narracja jest prowadzona niezręcznie. Uznałem, że można coś z tym zrobić, i poprawiłem tekst.

Rozpunka

Żyli raz mąż i żona, którzy bardzo pragnęli mieć dziecko, lecz przez długi czas próżno na nie czekali. Aż wreszcie żona zauważyła nieomylnie znaki, że Bóg spełnił ich życzenie.

W ścianie ich domu znajdowało się okienko, z którego widać było wspaniały ogród, pełen rozmaitych owoców i warzyw. Ogród był otoczony murem i nikt nie śmiał tam wchodzić, bo należał do bardzo potężnej wiedźmy, której wszyscy się bali. Pewnego dnia kobieta stała w oknie i zobaczyła poletko sałaty rozpunki, tak świeżej i zielonej, że zapragnęła jej spróbować. Z każdym dniem coraz bardziej o tym marzyła, aż w końcu ciężko zachorowała.

— Co się stało, kochana żono? — spytał zaniepokojony mąż.

— Ach, umrę, jeśli nie zjem rozpunki z ogrodu za naszym domem — odpowiedziała kobieta.

Mężczyzna popatrzył na nią czule i pomyślał: Muszę zdobyć trochę rozpunki, by nie umarła. Cena nie gra roli.

Kiedy zaczęło się ściemniać, przeszedł przez wysoki mur i dostał się do ogrodu czarownicy, gdzie wyrwał garść rozpunki. Czym prędzej wrócił i dał ją żonie, a ona natychmiast zrobiła z niej sałatkę, którą łapczywie zjadła.

Rozpunka bardzo jej smakowała. Tak bardzo, że miała na nią coraz większą i większą ochotę, więc poprosiła męża, by przyniósł następną porcję. Kiedy się już ściemniało, wyszedł z domu i znowu przelazł przez mur. Ale gdy stanął na ziemi i odwrócił się, by iść po rozpunkę, z przerażeniem ujrzał przed sobą wiedźmę.

— Więc to ty jesteś tym łotrem, który kradnie mi rozpunkę! — zawołała, spoglądając na niego z wściekłością. — Zapłacisz mi za to, jeszcze się przekonasz!

— Nie mogę zaprzeczyć, że kradnę ci rozpunkę, ale pozwól mi wszystko wyjaśnić i prosić o litość — odparł mężczyzna. — Moja żona zobaczyła ją z okna i poczuła na nią wielką ochotę; wiesz, jak to

jest z kobietami. Bardzo jej pragnęła i bała się, że umrze, jeśli jej nie dostanie. Naprawdę nie miałem wyboru.

Wiedźma się domyśliła, że żona mężczyzny jest w ciąży. Z jej twarzy zniknął gniew i skinęła głową.

— Rozumiem — powiedziała. — Cóż, w takim razie możesz wziąć tyle roszpunki, ile zechcesz. Ale pod jednym warunkiem: dziecko, które urodzi twoja żona, będzie należało do mnie. Nic mu nie grozi: zaopiekuję się nim jak rodzona matka.

Przerażony mężczyzna się zgodził, narwał roszpunki i pośpieszył do domu. A kiedy po jakimś czasie jego żona urodziła dziewczynkę, przy łóżeczku pojawiła się wiedźma i wzięła niemowlę na ręce.

— Nadaję ci imię Roszpunka! — rzekła i znikła wraz z dzieckiem.

Rozpunka wyrosła na najpiękniejszą dziewczynę na świecie. Kiedy miała dwanaście lat, wiedźma zaprowadziła ją w głąb lasu i zamknęła w wieży, która nie miała drzwi, schodów ani okien, z wyjątkiem jednego malutkiego okienka, w pokoiku na samym szczycie. Kiedy wiedźma chciała wejść, wołała:

*Ach, Roszpunko, dziecię moje!
Rzuć mi na dół loki swoje!*

Rozpunka miała piękne włosy, jasne i lśniące jak złotogłów. Kiedy słyszała wołanie wiedźmy, odwijala z głowy warkocz, wiązała go wokół haka przy oknie i rzucała na dół. Spadał na ziemię, znajdującą się dwadzieścia metrów niżej, a wiedźma wspinała się po nim do niewielkiego pokoiku.

Rozpunka spędziła w wieży kilka lat, aż pewnego dnia przez las przejeżdżał królewicz. Kiedy mijał wieżę, usłyszał tak piękną pieśń, że się zatrzymał i zaczął słuchać. Oczywiście był to śpiew samotnej Roszpunki, która zabijała w ten sposób czas, a głos miała śliczny.

Królewicz chciał wejść na górę, ale nie mógł znaleźć drzwi. Zdziwiony odjechał, lecz postanowił przybyć tu ponownie i poszukać sposobu dostania się na szczyt wieży.

Wrócił następnego dnia, ale znowu nie znalazł wejścia. Taka piękna pieśń, a nie mógł zobaczyć śpiewającej ją dziewczyny! Kiedy się nad tym zastanawiał, usłyszał, że ktoś się zbliża, i schował się za drzewem. Była to wiedźma. Dotarła do podnóża wieży i królewicz usłyszał jej wołanie:

*Ach, Roszpunko, dziecię moje!
Rzuć mi na dół loki swoje!*

Ku swojemu zdumieniu ujrzał złoty warkocz wypadający z okna. Wiedźma chwyciła go, wdrapała się po nim na szczyt wieży i weszła przez okno.

Cóż, skoro tak się tam wchodzi, ja też spróbuję, pomyślał.

Następnego dnia, gdy zapadał zmrok, podjechał do wieży i zawołał:

*Ach, Roszpunko, dziecię moje!
Rzuć mi na dół loki swoje!*

Warkocz opadł na sam dół, a królewicz ujął w dłonie pachnące sploty, wdrapał się na szczyt wieży i wskoczył przez okno do pokoju.

W pierwszej chwili Roszpunka się przeraziła. Nigdy dotąd nie widziała mężczyzny. Był zupełnie inny niż wiedźma, dziwny i obcy, lecz tak przystojny, że miała mętlik w głowie i nie wiedziała, co powiedzieć. Jednak królewicz szybko ją uspokoił. Poprosił, by się nie bała, i wytłumaczył, że usłyszał prześliczną pieśń dobiegającą z okna wieży. Myśl o odnalezieniu śpiewającej dziewczyny nie dawała mu spokoju, a teraz, gdy ją odszukał, przekonał się, że jej oblicze jest jeszcze piękniejsze od głosu.

Rozpunka była oczarowana i szybko przestała się bać. Towarzystwo młodego królewicza sprawiało jej przyjemność i chętnie pozwoliła, by znowu ją odwiedził. Wkrótce przyjaźń zmieniła się w miłość, a gdy królewicz poprosił ją o rękę, zgodziła się bez wahania.

Z początku wiedźma niczego nie podejrzewała. Ale pewnego dnia Roszpunka zwróciła się do niej:

— Wiesz, to zabawne, ale ubrania przestały na mnie pasować. Wszystkie sukienki są za ciasne.

Wiedźma od razu zrozumiała, co to znaczy.

— Ty występna dziewucho! — zawołała. — Oszukałaś mnie! Przez cały czas przyjmowałaś gacha, a teraz widzimy konsekwencje! Skończę z tym!

Lewą ręką chwyciła piękne włosy Roszpunki, a prawą nożyce i ciach-ciach! — Lśniący warkocz, po którym wspinał się książę, upadł na podłogę.

Potem za pomocą czarów przeniosła Roszpunkę do dalekiego, dzikiego miejsca. Biedna młoda kobieta bardzo cierpiała, a po kilku miesiącach urodziła bliźnięta, chłopca i dziewczynkę. Żyli jak włóczędzy: bez pieniędzy i domu, mieli tylko to, co wyżebrali od przygodnych ludzi, którzy słyszeli śpiew Roszpunki, i często

przymierali głodem. W zimie niemal zamarzali, a w lecie paliło ich gorące słońce.

Ale wróćmy do wieży.

Wieczorem w dniu, gdy wiedźma ucięła Roszpuncie włosy, królewicz jak zwykle przyszedł pod wieżę i zawołał:

*Ach, Roszpunko, dziecię moje!
Rzuć mi na dół loki swoje!*

Wiedźma tylko na to czekała. Przywiązała warkocz Roszpunki do haka przy oknie, a gdy usłyszała wołanie królewicza, rzuciła warkocz na ziemię, jak to wcześniej robiła dziewczyna. Królewicz wspiął się do pokoiku na wieży, lecz zamiast ukochanej Roszpunki ujrzał brzydką starą kobietę, która szalała z wściekłości.

— Jesteś jej kochankiem, prawda?! — wrzasnęła, piorunując go wzrokiem. — Wkradasz się do wieży, wkradasz się w jej łaski, wkradasz się do jej łóżka, ty kanalio, łotrze, rozpustniku, dobrze urodzony kundlu! Cóż, ptaszka nie ma już w gniazdku! Złapał go kot! Co ty na to?! I niedługo wydrapie ci te twoje ładne oczka! Roszpunki nie ma, rozumiesz?! Nigdy więcej jej nie zobaczysz!

Wiedźma popychała księcia do tyłu, coraz mocniej i mocniej, aż wypadł przez okno. Uratował go przed śmiercią ciernisty krzak, ale straszliwym kosztem, bo kolce wykuły mu oczy. Oślepiiony i załamany, odszedł.

Przez pewien czas żył jako żebrak, nie wiedząc, w jakim kraju się znajduje. Ale pewnego dnia usłyszał znajomy, ukochany głos i ruszył w jego kierunku. Po chwili rozległy się dwa inne głosy, głosy dzieci — nagle przestały śpiewać, bo ich matka Roszpunka poznała królewicza i pobiegła ku niemu.

Rzucili się sobie w objęcia, płacząc z radości, a kiedy dwie łzy Roszpunki padły na oczy królewicza, natychmiast odzyskał wzrok. Ujrzał ukochaną Roszpunkę i po raz pierwszy zobaczył dwójkę swoich dzieci.

Kiedy znaleźli się znowu razem, wrócili do jego królestwa, gdzie serdecznie ich przyjęto, i żyli tam długo i szczęśliwie do końca swoich dni.

* * *

Typ baśni: ATU 310, *Dziewczyna w wieży*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Friedricha Schultza, oparta na opowieści zatytułowanej *Persinette* ze zbioru *Les Contes des contes* (Baśnie baśni, 1698) Charlotte-Rose de Caumont de La Force

Podobne baśnie: Giambattista Basile, *Petrosinella* (*The Great Fairy Tale Tradition*, red. Jack Zipes); Italo Calvino, *Prezzemolina* (*Italian Folktales*)

Podobnie jak [Zabi król](#), *Rozpunka* funkcjonuje w zbiorowej wyobraźni jako pojedyncze wydarzenie, a nie narracja opisująca ciąg wypadków. Trudno zapomnieć obraz długiego warkocza opadającego z okna wieży, ale często nie myślimy o tym, co się zdarzyło przed epizodem z włosami i po nim. Na przykład co się stało z ubogimi rodzicami? Przez długie lata marzą, by mieć dziecko, a kiedy rodzi się *Rozpunka*, zabiera ją wiedźma i nigdy więcej już o nich nie słyszymy. Oczywiście jest to jedna z cech odróżniających bajki od powieści.

W późniejszych wydaniach baśni Wilhelm Grimm ocenzurował rozmowę *Rozpunka* i wiedźmy, która istniała we wszystkich poprzednich edycjach, łącznie w pierwszą, opublikowaną w 1812 roku. Przedtem *Rozpunka* zdradzała, że jest w ciąży, mówiąc, że jej ubranie stało się za ciasne, a teraz pyta wiedźmę, dlaczego znacznie trudniej ją unieść niż młodego królewicza. To nie ulepszenie: *Rozpunka* wydaje się przez to bardziej głupia niż niewinna. Poza tym dominującym motywem opowieści jest ciąża: Marina Warner pisze w *From the Beast to the Blonde*, że roślina, którą chce zdobyć żona, pierwotnie pietruszka, była powszechnie znanym środkiem poronnym. Co więcej, *Persinette*, tytuł baśni La Force, na której oparto *Rozpunkę*, oznacza „mała pietruszka”.

Trzy krasnoludki w lesie

Żył raz mężczyzna, któremu umarła żona, i kobieta, której umarł mąż; mężczyzna miał córkę i kobieta miała córkę. Dziewczyny się znały i pewnego dnia wybrały się razem na spacer, aż w końcu przyszły do domu kobiety.

Kobieta wzięła córkę mężczyzny na stronę i gdy jej własna córka nie słuchała, rzekła:

— Wiesz, chciałabym poślubić twojego ojca. Powtórz mu to i zobacz, co powie. Jeśli się zgodzi, obiecuję, że codziennie będziesz myła sobie twarz mlekiem. To bardzo dobre na cerę. I będziesz piła wino, a moja córka tylko wodę. Tak bardzo pragnę go poślubić!

Dziewczyna poszła do domu i powtórzyła ojcu słowa kobiety.

— Ożenić się z nią? — Mężczyzna westchnął. — O mój Boże... Co robić?! Małżeństwo to dobra rzecz, ale może też być utrapieniem, wiesz.

Nie potrafił się zdecydować. W końcu zdjął but i powiedział do córki:

— Weź ten but. Ma dziurę w podeszwie. Powieś go na strychu i napełnij wodą. Jeśli woda nie wycieknie, wezmę sobie żonę, a jeśli wycieknie, pozostanę wdowcem.

Dziewczyna zrobiła to, co kazał. Skóra napęczniała od wody i dziura się zasklepiła, więc woda nie wyciekła. Dziewczyna powiadomiła o tym ojca, który poszedł na strych, by się przekonać na własne oczy.

— Popatrzcie tylko! Będę musiał się z nią ożenić! — zawołał. — Kiedy się da słowo, nie można się wycofać.

Włożył najlepszy garnitur i poszedł poprosić wdowę o rękę. Wkrótce wzięli ślub.

Następnego ranka, gdy obie dziewczyny wstały, córka mężczyzny zauważyła przygotowane mleko, którym miała sobie umyć twarz. Dostała też wino do picia, a córka kobiety tylko wodę.

Drugiego ranka obie dziewczyny myły się wodą i piły wodę.

Trzeciego dnia córka mężczyzny dostała wodę, ale córka kobiety miała mleko do umycia twarzy i wino do picia. I tak już zostało.

Tak naprawdę kobieta nienawidziła pasierbicy i każdego ranka wymyślała nowe sposoby, by ją dręczyć. A wszystko to z powodu gorzkiej zazdrości, bo pasierbica była śliczna i miała dobry charakter, a jej własna córka była samolubna i brzydka i nie pomogło jej nawet tłuste mleko.

Pewnego zimowego dnia, gdy mróz skuł wszystko lodem, kobieta wycięła z papieru sukienkę, zawołała pasierbicę i powiedziała:

— Włóż tę sukienkę, idź do lasu i nazbieraj mi truskawek. Mam ochotę na truskawki i nic innego mnie nie zadowoli.

— Ale przecież w zimie nie ma truskawek — odparła dziewczyna. — Wszędzie leży śnieg, a ziemia jest twarda jak skała. Dlaczego muszę nosić sukienkę z papieru? Będzie mi zimno, a kolczaste gałęzie podrą ją na kawałki.

— Jak śmiesz się ze mną sprzeczać?! — zawołała macocha. — Ruszaj w drogę i nie wracaj bez pełnego koszyka truskawek! — Dała dziewczynie kromkę zeschniętego chleba. — To twoje jedzenie — oznajmiła. — Musi ci to starczyć na cały dzień, nie jesteśmy bogaczami!

A skrycie pomyślała: Jeśli nie umrze z zimna, to zginie z głodu i nigdy więcej jej nie zobaczę.

Dziewczyna spełniła polecenie. Włożyła cienką sukienkę z papieru, wzięła koszyk i wyszła z domu. Oczywiście wszędzie leżał śnieg, nie było zielonych liści ani truskawek. Nie wiedziała, gdzie szukać, więc ruszyła nieznaną ścieżką przez las i wkrótce dotarła do niewielkiej chatki, której dach znajdował się na wysokości jej głowy. Na ławce przed domem siedziało trzech krasnoludków, paląc fajki. Sięgali jej do kolan, co zobaczyła, gdy wstali i grzecznie się uklonili.

— Dzień dobry! — powiedziała.

— Jaka miła dziewczyna! — odezwał się pierwszy krasnoludek.

— Dobrze ułożona — dodał drugi.

— Zaprośmy ją do domu — zaproponował trzeci. — Jest mróz.

— Nosi papierową sukienkę — zauważył pierwszy.

— To taka miejska moda, jak się domyślam — wtrącił pierwszy.

— Ale na pewno jest jej zimno — stwierdził trzeci.

— Czy chciałabyś wejść do domu, panienko? — spytali chórem.

— Tak, chciałabym — odpowiedziała dziewczyna. — To bardzo miło z waszej strony, że mnie zapraszacie.

Zgasili i oczyścili fajki, po czym otworzyli drzwi.

— Nie wolno palić w pobliżu papieru — rzekł pierwszy.

— Może się w mgnieniu oka zająć ogniem — dodał drugi.

— To strasznie niebezpieczne — uzupełnił trzeci.

Posadzili ją na małym foteliku, a sami usiedli na ławie koło kominka. Poczuli głód i wyjęła swoją kromkę chleba.

— Czy nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli zjem śniadanie? — spytała.

— Co to takiego?

— Po prostu kawałek chleba.

— Możemy spróbować?

— Oczywiście — odrzekła i przełamała kromkę na dwie części.

Była tak twarda, że musiała nią uderzyć w krawędź stołu. Dała krasnoludkom większy kawałek, a sama zaczęła jeść mniejszy.

— Co robisz w środku lasu? — spytali.

— Mam nazbierać truskawek — odpowiedziała. — Nie wiem, gdzie je znajdę, ale nie wolno mi wrócić do domu bez pełnego koszyka.

Pierwszy krasnoludek szepnął coś do drugiego, a drugi do trzeciego. Potem wszyscy popatrzyli na dziewczynę.

— Zamieciesz nam ścieżkę? — spytali. — W rogu stoi miotła. Po prostu usuń śnieg ze ścieżki za domem.

— Dobrze, bardzo chętnie. — Wzięła miotłę i wyszła, a krasnoludki zaczęły rozmawiać.

— Co jej podarujemy? Taka grzeczna dziewczyna! Podzieliła się z nami chlebem, a nic więcej nie miała! Dała nam większy kawałek! Dobra i uprzejma. Co jej podarujemy?

— Sprawię, że z każdym dniem będzie się stawała coraz piękniejsza — powiedział pierwszy krasnoludek.

— Sprawię, że kiedy tylko się odezwie, z jej ust wypadnie złota moneta — rzekł drugi.

— Sprawię, że pojmie ją za żonę król — dodał trzeci.

Tymczasem dziewczyna zmiotła śnieg ze ścieżki i znalazła pod nim truskawki, całe mnóstwo, czerwone i dojrzałe jak w lecie. Popatrzyła na dom i zauważyła, że trzy krasnoludki spoglądają na nią przez okno. Tak, kiwnęli głowami, możesz wziąć, ile zechcesz.

Napełniła koszyk i poszła podziękować krasnoludkom. A oni, stojąc w szeregu, skłonili się i uścisnęli jej rękę.

— Do zobaczenia! Do zobaczenia! Do zobaczenia!

Wróciła do domu i dała koszyk macosze.

— Skąd je wzięłaś? — warknęła kobieta.

— Znalazłam mały domek... — zaczęła dziewczyna i z jej ust wypadła złota moneta. Mówiła dalej, a na podłogę leciało coraz

więcej sztuk złota, aż utworzyły stos wokół jej kostek.

— Popatrzcie tylko, jak się popisuje! — prychnęła przyrodnia siostra. — Ja też mogłabym to zrobić, gdybym chciała! To bardzo proste!

Oczywiście gryzła ją zazdrość i gdy została sama z matką, powiedziała:

— Pozwól mi iść do lasu i nazbierać truskawek! Chcę to zrobić, naprawdę!

— Nie, kochanie, jest zbyt zimno — odparła matka. — Mogłabyś zamarznąć na śmierć!

— Och, daj spokój! Proszę! Dam ci połowę złotych monet, które wypadną mi z ust! Proszę!

W końcu matka uległa. Przerobiła swoje najlepsze futro, by pasowało na córkę, i dała jej kanapki z pasztetem z wątróbek drobiowych oraz dużą porcję ciasta czekoladowego.

Córka kobiety poszła do lasu i znalazła mały domek. Trzy krasnoludki były w środku i patrzyły przez okno, ale ich nie zauważyła. Otworzyła drzwi i bez pytania weszła do chatki.

— Odsuńcie się! — rozkazała. — Chcę usiąść przy ogniu!

Krasnoludki przycupnęły na ławie, obserwując, jak dziewczyna wyjmuje kanapki z pasztetem z wątróbek drobiowych.

— Co to takiego? — spytały.

— Moje śniadanie — odpowiedziała z pełnymi ustami.

— Możemy się poczęstować?

— W żadnym wypadku!

— Może dasz nam trochę ciasta? To duży kawałek. Chcesz zjeść wszystko sama?

— Ledwo mi starczy. Sami upieczcie sobie ciasto!

Kiedy skończyła jeść, krasnoludki powiedziały:

— Teraz zmieć śnieg ze ścieżki za domem.

— Nie będę zmiatać żadnego śniegu! — prychnęła. — Uważacie mnie za swoją służącą?! Co za tupet!

Krasnoludki paliły fajki i patrzyły na dziewczynę, a ponieważ było oczywiste, że nie zamierzają jej niczego dać, wyszła i zaczęła szukać truskawek.

— Co za niegrzeczna dziewczyna! — odezwał się pierwszy krasnoludek.

— A do tego samolubna! — rzekł drugi.

— Zupełnie inna niż tamta — dodał trzeci. — Co jej podarujemy?

— Sprawię, że codziennie będzie coraz brzydsza.

— Sprawię, że kiedy tylko się odezwie, z jej ust wyskoczy ropucha.

— Sprawię, że umrze straszną śmiercią.

Dziewczyna nie znalazła truskawek, więc poszła do domu, by się poskarżyć. Kiedy otwierała usta, wyskakiwała z nich ropucha i wkrótce podłoga pokryła się dziesiątkami oślizgłych, pełzających, skaczących zwierząt, które nawet jej matka uznała za odrażające.

Po tym wydarzeniu macochę ogarnęła obsesja. Wydawało się, że jej mózg toczy czerw. Myślała tylko o tym, jak uprzykrzyć pasierbicy życie. Męczyła się tym bardziej, że dziewczyna stawała się z każdym dniem piękniejsza.

W końcu przygotowała motek przędzy i dała go dziewczynie.

— Weź siekierę i wyrąb przerębłę w lodzie na rzece — powiedziała. — Wypłucz przędzę i niech ci to nie zajmie całego dnia!

Oczywiście miała nadzieję, że pasierbica wpadnie do wody i utonie.

Dziewczyna spełniła polecenie. Poszła nad rzekę z przędzą i siekierą. Już miała wejść na łód, gdy obok zatrzymała się karetka. Jechał w niej król.

— Stój! Co robisz?! — zawołał. — Lód może się załamać!

— Muszę wypłukać przędzę — wyjaśniła dziewczyna.

Król zobaczył, że jest bardzo piękna, i otworzył drzwi karety.

— Chcesz ze mną pojechać? — spytał.

— Tak, bardzo chętnie — odrzekła, zadowolona, że uwolni się od macochy i jej córki.

Wsiadła i karetka ruszyła.

— Tak się składa, że szukam żony — oznajmił król. — Moi doradcy twierdzą, że powinienem się ożenić. Nie jesteś mężatką, prawda?

— Nie — odpowiedziała dziewczyna i zgrabnie schowała do kieszeni złotą monetę, która wypadła jej z ust.

Król był zafascynowany.

— Co za sprytna sztuczka! — zawołał. — Zostaniesz moją żoną?

Dziewczyna się zgodziła i szybko wyprawiono wesele. Krasnoludki dotrzymały obietnicy.

Po roku młoda królowa urodziła chłopca. Cały kraj ogarnęła radość i pisały o tym wszystkie gazety. Te wieści dotarły też do macochy. Udała się wraz z córką do pałacu pod pozorem, że chcą złożyć królowej przyjacielską wizytę. Tego dnia król akurat wyjechał, a gdy nikogo nie było w pobliżu, kobieta i jej córka chwyciły królową i wyrzuciły z okna do rzeki płynącej w dół.

Natychmiast utonęła: jej ciało poszło na dno i przykryły je wodorosty.

— Teraz połów się w jej łóżku — nakazała kobieta córce. — I nie odzywaj się ani słowem!

— Dlaczego?

— Ropuchy! — odpowiedziała kobieta i podniosła jedną z nich, która akurat wypadła z ust dziewczyny. Wyrzuciła ją przez okno, w ślad za królową. — Leż i milcz! Rób, co ci każe!

Przykryła głowę córki, która stawała się z każdym dniem coraz brzydsza, nie wspominając o ropuchach wyskakujących jej z ust. Kiedy król wrócił do pałacu, kobieta oznajmiła, że królowa ma gorączkę.

— Potrzebuje spokoju — dodała. — Nie wolno z nią rozmawiać. Pozwól jej wypocząć, Wasza Królewska Mość.

Król wyrzekł kilka ciepłych słów do leżącej pod kocami dziewczyny i odszedł. Nazajutrz rano znów ją odwiedził i nim kobieta zdążyła powstrzymać córkę, ta odpowiedziała na jego pytanie i z ust wyskoczyła jej ropucha.

— Wielki Boże! — zawołał król. — Cóż to takiego?!

— Nie mogę nic na to poradzić! — jęknęła dziewczyna, a z jej ust wyskoczyła kolejna ropucha. — To nie moja wina! — I jeszcze jedna.

— Co się dzieje?! — spytał król. — O co tu chodzi?!

— Ma ropuszą grypę — wyjaśniła kobieta. — To bardzo zaraźliwe. Ale królowa szybko wyzdrowieje, jeśli nikt nie będzie jej niepokoił.

— Mam nadzieję, że wyzdrowieje! — rzekł król.

Tego wieczoru kuchcik czyścił w pałacowej kuchni garnki i rondle, gdy nagle zobaczył białą kaczkę płynącą kanałem odprowadzającym wodę do rzeki.

— Dla króla sny, a dla mnie łyzy! — przemówiła kaczka.

Kuchcik nie wiedział, co odpowiedzieć. Po chwili kaczka znowu się odezwała:

— A moi goście?

— Już śpią ichmoście — wybąkał kuchcik.

— A mój syneczek?

— Śni o stadzie owieczek — odparł kuchcik.

Kaczkę otoczyło białe światło i zmieniła się w królową. Poszła na górę do kołyski dziecka, wyjęła je i nakarmiła, a potem delikatnie ułożyła z powrotem w kołysce, otuliła i pocałowała. Następnie wróciła do kuchni, znów zmieniła się w kaczkę i odpłynęła kanałem do rzeki.

Kuchcik ją śledził i wszystko widział.

Następnej nocy znowu się pojawiła i wydarzyło się to samo. Trzeciej nocy zjawa rzekła do kuchcika:

— Idź i opowiedz królowi, co widziałeś. Niech weźmie miecz, machnie nim trzy razy nade mną, a potem utnie mi głowę.

Kuchcik pobiegł do króla i wszystko mu opowiedział. Król był przerażony. Poszedł na palcach do komnaty królowej, uniósł koc przykrywający jej głowę i przeżył szok na widok brzydkiej córki, która leżała w łóżku, pochrapując. Obok na poduszce siedziała ropucha.

— Zaprowadźcie mnie do zjawy! — rzekł, przypasując miecz.

Kiedy dotarli do kuchni, stanęła przed nim zjawa królowej, a król trzy razy machnął nad nią mieczem. Widmo rozbłysło i zmieniło się w białą kaczkę, a król uciął jej głowę. Kaczka natychmiast znikła i na jej miejscu stanęła prawdziwa królowa, cała i zdrowa.

Powitali się z radością. Król obmyślił plan, a królowa zgodziła się ukryć w innej komnacie sypialnej aż do następnej niedzieli, gdy miały się odbyć chrzciny dziecka. W czasie uroczystości fałszywa królowa, szczelnie okryta woalem, stała blisko swojej matki. Obie udawały, że córka nie może mówić z powodu choroby.

— Jaka kara powinna spotkać winowajcę, który wyciągnął niewinną ofiarę z łóżka i wrzucił ją do rzeki, by się utopiła? — spytał król.

— To straszna zbrodnia — odpowiedziała natychmiast macocha. — Mordercę należy wsadzić do wielkiej beczki nabitej gwoździami i stoczyć ze wzgórza do wody.

— A więc tak uczynimy — rzekł król.

Rozkazał zrobić taką beczkę, a gdy była gotowa, wsadzono do środka kobietę i jej córkę, po czym przybito wieko. Beczkę stoczono ze wzgórza, aż wpadła do rzeki, i taki był ich koniec.

* * *

Typ baśni: ATU 403, *Czarna i biała narzeczona*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dortchen Wild

Podobne baśnie: Italo Calvino, *Belmiele and Belsole, The King of the Peacocks (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Braciszek i siostrzyczka, Biała i czarna narzeczona (Baśnie domowe i dziecięce)*

Druga część przypomina baśń [*Braciszek i siostrzyczka*](#), ale początek, gdzie występują komiczne postacie trzech krasnoludków, jest utrzymany w zupełnie innej tonacji. W mojej wersji krasnoludki mówią więcej niż u braci Grimm.

Jaś i Małgosia

Na skraju wielkiego lasu mieszkał biedny drwal z żoną i dwojgiem swoich dzieci, chłopcem o imieniu Jaś i dziewczynką o imieniu Małgosia. Nawet w dobrych czasach rodzinie źle się wiodło, a co gorsza, w kraju panował głód i ojciec często nie mógł zarobić na codzienny chleb.

Pewnej nocy, gdy leżał w łóżku, martwiąc się ich biedą, westchnął i powiedział do żony:

— Co się z nami stanie? Jak możemy nakarmić dzieci, kiedy sami nie mamy co jeść?

— Powiem ci, co zrobimy — odparła żona. — Jutro wczesnym rankiem zaprowadzimy je w głąb lasu, przygotujemy im wygodne posłanie, rozpalimy ognisko, by miały ciepło, damy im po kawałku chleba, a potem zostawimy je same. Nie znajdą drogi do domu i w ten sposób się ich pozbędziemy.

— Nie, nie, nie! — wykrzyknął mąż. — Nie zrobię tego! Zostawić własne dzieci w lesie?! Nigdy! Rozszarpią je dzikie zwierzęta!

— Głupiec z ciebie! — prychnęła żona. — Jeśli się ich nie pozbędziemy, wszyscy umrzemy z głodu. Możesz już zacząć heblować deski na nasze trumny.

Nie dawała mu spokoju, aż wreszcie ustąpił.

— Nie podoba mi się to — powiedział. — Żal mi ich i nic na to nie poradzę...!

Leżące w sąsiedniej izbie dzieci nie mogły zasnąć z głodu i słyszały każde słowo macochy.

Małgosia zaczęła rozpaczliwie szlochać.

— Och, Jasiu, koniec z nami! — szepnęła.

— Ćśś! Nie martw się! — uspokoił ją brat. — Wiem, co zrobimy!

Kiedy dorośli zasnęli, wstał z łóżka, włożył starą bluzę, otworzył dolną część drzwi i wyczołgał się na dwór. Księżyc świecił jasno i białe kamyki przed domem lśniły jak srebrne monety. Jaś ukucnął

i napełnił sobie nimi kieszenie, po czym wrócił do domu, wślizgnął się do łóżka i szepnął:

— Nie martw się, Małgosiu. Spróbuj zasnąć. Bóg nas ochroni. Mam pewien pomysł.

O świcie, jeszcze przed wschodem słońca, kobieta weszła do pokoju dzieci i ściągnęła z nich pościel.

— Wstawajcie, próżniaki! Idziemy do lasu po drewno! — zawołała. Potem dała im po kromce suchego chleba. — To wasz obiad. Nie zjedzcie wszystkiego od razu, bo nic więcej nie dostaniecie.

Małgosia schowała chleb w fartuchu, ponieważ kieszenie brata były pełne kamyków. Cała rodzina wyruszyła do lasu. Od czasu do czasu Jaś przystawał i oglądał się na dom, aż wreszcie ojciec powiedział:

— Co robisz, chłopcze? Idź szybciej! Nie zatrzymuj się!

— Patrzę na swojego białego kotka — odparł Jaś. — Siedzi na dachu i chce mnie pożegnać.

— Co za głupi chłopak! — prychnęła kobieta. — To nie twój kot, tylko słońce świecące nad kominem!

Jaś przez całą drogę rzucał kamyki na ścieżkę, którą szli, i zerkał do tyłu, by sprawdzić, czy je widać.

Kiedy znaleźli się w środku lasu, ojciec rzekł:

— Idźcie nazbierać trochę chrustu. Rozpalę ognisko, żebyście nie zmarzli.

Dzieci przyniosły stos cienkich gałązek, a ojciec je podpalił. Kiedy buchnęły płomienie, kobieta się odezwała:

— Połóżcie się wygodnie przy ognisku i przytulcie do siebie, kochani. My udamy się w las narąbać trochę drewna, a gdy skończymy, przyjdziemy po was.

Jaś i Małgosia siedzieli przy ogniu. Gdy stwierdzili, że pewnie minęło już południe, zjedli swój chleb. Słyszeli niedaleko stukot siekiery, więc myśleli, że ojciec jest w pobliżu, ale była to nie siekiera, tylko gałąź przywiązana do uschłego drzewa. Kołysała się na wietrze, uderzając w pień.

Dzieci siedziały tak przez długi czas, aż w końcu poczuły, że kleją im się oczy. Kiedy minęło popołudnie i zaczęło zmierzchać, przytuliły się do siebie i mocno zasnęły.

Obudziły się w ciemności. Małgosia wybuchnęła płaczem.

— Jak znajdziemy drogę do domu?! — zapytała, szlochając.

— Poczekaj, aż wzejdzie księżyc — odparł Jaś. — Wtedy zobaczysz, co wymyśliłem.

Wreszcie na niebie pojawił się księżyc w pełni. Świecił bardzo jasno, a kamyki, które Jaś rzucał na ziemię, lśniły jak świeżo wybite monety. Wzięli się za ręce i ruszyli przez ciemny las. O świcie dotarli do domu ojca.

Drzwi były zamknięte, więc dzieci głośno zastukały. Kobieta otworzyła drzwi, a w jej oczach pojawiło się zdumienie.

— Okropne dzieciaki! Martwiliśmy się o was! — Ścisnęła oboje tak mocno, że przez chwilę nie mogli oddychać. — Dlaczego spaliście tak długo?! Myśleliśmy, że chcecie uciec z domu!

Uszczypnęła je w policzki, jakby naprawdę się cieszyła, że je widzi. Po chwili nadszedł ojciec i jego twarz rozjaśniła się autentyczną radością i ulgą, bo wcale nie chciał zostawiać dzieci w lesie.

Na razie Jaś i Małgosia byli bezpieczni. Ale wkrótce znów zaczęło brakować jedzenia i wielu ludzi cierpiało głód. Pewnej nocy dzieci usłyszały, jak kobieta mówi do ich ojca:

— Jest niedobrze. Zostało nam tylko pół bochenka chleba, a potem wszyscy będziemy głodować. Musimy się pozbyć dzieci, tym razem na zawsze. Poprzednio wymyśliły jakąś sztuczkę, ale jeśli zaprowadzimy je naprawdę daleko w las, nigdy nie znajdą drogi do domu.

— Och, bardzo mi się to nie podoba! — odparł ojciec Jasia i Małgosi. — W lesie żyją nie tylko dzikie zwierzęta, ale też gobliny, wiemy i Bóg jeden wie co jeszcze. Czy nie powinniśmy po prostu podzielić się chlebem z dziećmi?

— Nie bądź głupcem! — fuknęła kobieta. — Jaki to ma sens?! Jesteś słaby, na tym właśnie polega kłopot! Słaby i głupi!

Długo krytykowała go, nie zostawiając na nim suchej nitki, a on nie potrafił się bronić: kto raz ustąpi, ustępuje już zawsze.

Dzieci nie spały i słyszały całą tę rozmowę. Kiedy dorośli zasnęli, Jaś wstał i znów próbował wyjść z domu, ale kobieta zamknęła drzwi i schowała klucz. Wróciwszy do łóżka, zaczął jednak pocieszać siostrę.

— Nie martw się, Małgosiu! Idź spać. Bóg nas ochroni.

Nazajutrz wczesnym rankiem kobieta obudziła dzieci. Tak jak poprzednio dała im dwa kawałki chleba, tym razem jeszcze mniejsze. Kiedy poszli do lasu, Jaś drobił chleb i rzucał okruszki na ścieżkę. Od czasu do czasu przystawał, by sprawdzić, czy je widać.

— Chodź, Jasiu! — powiedział ojciec. — Przestań się bez przerwy oglądać na dom.

— Patrzyłem na swojego gołębia siedzącego na dachu — odparł chłopiec. — Chce mnie pożegnać.

— To nie gołąb, głupcze, tylko słońce świecące nad kominem! — prychnęła kobieta. — Przestań marudzić!

Jaś więcej się nie oglądał, ale nadal ukradkiem kruszył chleb i rzucał na ścieżkę. Kobieta wciąż ich ponaglała, aż zaszli bardzo daleko w las. Dzieci jeszcze nigdy nie były w takiej głuszy.

— Wystarczy — rzekła w końcu i znów rozpalili ognisko, przy którym usiadły dzieci. — Nie odchodźcie stąd — rozkazała. — Siedźcie i nie ruszajcie się, aż po was przyjdziemy. I bez waszego włączenia się po lesie mamy dość zmartwień. Wrócimy wieczorem.

Dzieci usiadły więc przy ognisku, a gdy uznały, że minęło południe, podzieliły się małym kawałkiem chleba Małgosi, bo swój chleb Jaś pokruszył. Później zasnęły. Upłynął cały dzień, ale nikt do nich nie przyszedł.

Kiedy się obudziły, było już ciemno.

— Cicho, nie płacz, Małgosiu! — powiedział Jaś. — Jak tylko wszędzie księżyc, zobaczymy okruszki chleba i znajdziemy drogę do domu.

Pojawił się księżyc i oboje zaczęli szukać okruszków, ale znikły. Wydziobały je tysiące ptaków żyjących w lesie i na polach.

— Poradzimy sobie! — rzekł Jaś.

Długo krążyli po lesie, lecz nie mogli znaleźć drogi do domu. Szli przez całą noc, potem przez cały następny dzień i ciągle nie wiedzieli, gdzie są. Byli głodni, straszliwie głodni, bo zjedli tylko kilka jagód, które udało im się zebrać. Ogarnęło ich takie znużenie, że położyli się pod drzewem i natychmiast zasnęli. Trzeciego dnia, gdy się obudzili, z trudem wstali i ruszyli dalej. Bezradni i zagubieni, z każdym krokiem zapuszczali się coraz głębiej w las. Wiedzieli, że umrą, jeśli szybko nie znajdą pomocy.

W południe zobaczyli nieopodal na gałęzi śnieżnobiałego ptaszka. Śpiewał tak pięknie, że przystanęli, by posłuchać, a gdy rozpostarł skrzydła i poleciał, ruszyli za nim. Znów usiadł na gałęzi i zaśpiewał, po czym znów poleciał do przodu. Wydawało się, że dokądś ich prowadzi.

Nagle ujrzeli przed sobą niewielką chatę. Ptak przysiadł na dachu, który wyglądał trochę dziwnie. Okazało się, że...

— Jest z czekolady! — wykrzyknął Jaś.

A ściany...

— Są z piernika! — zawołała Małgosia.

A szyby zrobiono z lukru.

Biedne dzieci były takie głodne, że nawet nie pomyślały, by zapukać do drzwi i prosić o pozwolenie. Jaś ułamał kawałek dachu, a Małgosia wybiła szybę. Usiedli tam, gdzie stali, i natychmiast zaczęli jeść.

Kiedy przełknęli kilka kęsów, ze środka dobiegł ich cichy głos:

*Myszko, myszko, zmrok zapada!
Któż to moją chatkę zjada?*

Dzieci odpowiedziały:

*Szumi wiatr nad rzeczką!
To niebiańskie dziecko!*

I dalej jadły, bo były straszliwie głodne. Jasiowi tak bardzo smakował dach, że oderwał kawałek długości ramienia, a Małgosia ostrożnie wybiła drugą szybę z lukru i zaczęła ją gryźć.

Nagle otworzyły się drzwi i z domku wykuśtykała bardzo stara kobieta. Jaś i Małgosia byli tacy zaskoczeni, że przestali jeść, patrząc na nią z otwartymi ustami pełnymi jedzenia.

Staruszka pokręciła głową i powiedziała:

— Nie bójcie się, kochane dzieci! Skąd się tu wzięłyście?! Wejdźcie do środka, maleństwa, wejdźcie, odpocznijcie i poczęstujcie się smakołykami! Moja chatka to najbezpieczniejsze miejsce na świecie!

Czule uszczypnęła je w policzki, wzięła za rękę i wprowadziła do domku. W środku czekał stół nakryty na dwie osoby, jakby się spodziewała, że ktoś ją odwiedzi. Podała dzieciom pyszny posiłek złożony z mleka i naleśników z cukrem, cynamonem, jabłkami i orzechami.

Później wprowadziła dzieci do niewielkiej sypialni, gdzie stały dwa zasłane łóżka. Jaś i Małgosia położyli się w śnieżnobiałej pościeli, myśląc, że są w niebie, i natychmiast zasnęli.

Ale staruszka tylko udawała, że jest miła. Tak naprawdę była złą wiedźmą i zbudowała dom z ciasta, czekolady i lukru, by zwabiać do siebie dzieci. Kiedy złapała jakieś dziecko, chłopca lub dziewczynkę, zabijała je, gotowała i zjadała. Taki dzień był dla niej świętem. Podobnie jak inne wiedźmy, miała czerwone oczy i źle widziała, ale doskonały węch od razu pozwalał jej wyczuć, że w pobliżu są ludzie. Kiedy Jaś i Małgosia leżeli w łóżku, roześmiała się i zatarła sękatę rękę.

— Mam ich! — mruknęła. — Już mi nie uciekną!

Nazajutrz wczesnym rankiem wstała, poszła do pokoju, gdzie spały dzieci, i popatrzyła na nie. Ledwo się powstrzymała, by nie dotknąć ich krągłych różowych policzków.

Pyszności, pomyślała.

Chwyciła Jasia i nim zdążył krzyknąć, zaciągnęła go do niewielkiej szopy i tam zamknęła w klatce. Chłopiec krzyczał, lecz nikt go nie słyszał.

Później obudziła Małgosię i powiedziała:

— Wstawaj, leniu! Przynieś wody ze studni i ugotuj coś dla swojego brata! Jest w szopie i muszę go utuczyć! Kiedy przytyje, zamierzam go zjeść!

Małgosia się rozplakała, ale nic to nie dało: musiała być posłuszna rozkazom wiedźmy. Odtąd Jaś dostawał codziennie pyszne jedzenie, a jego siostra żywiła się byle czym.

Każdego ranka wiedźma kuśtykała do szopy, podpierając się laską, i mówiła do Jasia:

— Wyciągnij palec, chłopcze! Sprawdzę, czy jesteś wystarczająco tłusty!

Jaś był jednak sprytny: wystawiał przez kratę kawałek kości, a wiedźma spoglądała na nią czerwonymi oczkami i myślała, że to palec. Nie mogła zrozumieć, dlaczego chłopiec wciąż nie jest dość tłusty.

Minęły cztery tygodnie i uważała, że Jaś jest nadal za chudy. Ale pomyślała o jego ładnych czerwonych policzkach i krzyknęła do Małgosi:

— Hej, dziewczyno! Idź i przynieś dużo wody! Napełnij kocioł i zagotuj ją! Nieważne, czy twój brat jest chudy, czy tłusty: jutro go zarżnę i zrobię gulasz!

Biedna Małgosia! Płakała i płakała, ale musiała posłuchać rozkazu wiedźmy i przynieść wodę.

— Boże, proszę, pomóż nam! — szlochała. — Wolałabym, by pożarły nas w lesie wilki, bo przynajmniej umarlibyśmy razem!

— Przestań się mazać! — prychnęła wiedźma. — Nic ci to nie pomoże!

Rankiem poleciła Małgosi rozpalić ogień w piecu chlebowym.

— Najpierw wypieczemy chleb — rzekła. — Już przygotowałam ciasto. Czy piec jest już gorący?

Zaciągnęła Małgosię do drzwiczek, za którymi szalały w palenisku płomienie.

— Wejdz i zobacz, czy w piecu jest gorąco! — rozkazała. — Wchodź, ale już!

Oczywiście po wejściu Małgosi do pieca wiedźma zamierzała zamknąć drzwiczki i ją także upiec. Ale Małgosia domyśliła się, o co chodzi, i powiedziała:

— Nie rozumiem. Chcesz, żebym weszła do środka? Jak mam to zrobić?

— Co za głupia gęś! — warknęła wiedźma. — Odsuń się, pokażę ci! To bardzo proste!

Pochyliła się i wsadziła głowę do pieca. Kiedy to zrobiła, Małgosia mocno ją pchnęła, tak że starucha straciła równowagę i wpadła do środka. Małgosia natychmiast zatrzasnęła drzwiczki i zaryglowała je żelazną sztabą. Z pieca dochodziły straszliwe krzyki, wrzaski i wycia, ale Małgosia zatkała sobie uszy i wybiegła na dwór. I tak wiedźma się spaliła.

Dziewczynka popędziła prosto do szopy i zawołała:

— Jasiu, jesteśmy bezpieczni! Stara wiedźma nie żyje!

Jaś wypadł na zewnątrz, czując się jak ptak wypuszczony z klatki. Dzieci były takie szczęśliwe! Zarzuciły sobie ręce na szyje, skacząc z radości, ściskając się, całując w policzki. Nie musiały się już bać, więc pobiegły do chatki i rozejrzały się dokoła. W każdym kącie stały skrzynie i kufry z klejnotami.

— To lepsze od kamyków! — stwierdził Jaś, wrzucając garść klejnotów do kieszeni.

— Ja też wezmę trochę — powiedziała Małgosia i napełniła nimi fartuch.

— A teraz chodźmy — rzekł chłopiec. — Opuśćmy ten zaczarowany las.

Szli przez kilka godzin, aż dotarli do jeziora.

— Trudno będzie się przeprowić na drugą stronę — zauważył Jaś. — Nigdzie nie widzę grobli.

— Nie ma też żadnych łodzi. Ale spójrz, to biała kaczka! Spytaam, czy pomoże nam przedostać się na drugi brzeg — powiedziała Małgosia i zawołała:

*Przewieź nas, proszę, mała kaczuszeko,
Przez wodę zimną, głęboką!
Niech twój grzbiet będzie dla nas poduszką,
Wygodną, miękką, szeroką!*

Kaczka podpłynęła, a Jaś usiadł jej na grzbiecie.

— Chodź, Małgosiu! Siadaj obok mnie! — krzyknął.

— Nie — odparła Małgosia. — Kaczka nie udźwignie nas obojga. Musimy płynąć pojedynczo.

I dobry mały ptak zabrał ich osobno, po kolei. Kiedy dotarli bezpiecznie na drugi brzeg, ruszyli dalej i wkrótce las wydał im się znajomy. Wreszcie zobaczyli w oddali własny dom — popędzili naprzód, wpadli do środka i rzucili się w objęcia swojemu ojcu.

Odkąd mężczyzna zostawił dzieci w lesie, czuł się bardzo nieszczęśliwy. Niebawem zmarła mu żona i został zupełnie sam, w jeszcze większej biedzie. Teraz jednak Małgosia rozwinęła fartuch, z którego wysypały się klejnoty, pokrywając całą podłogę, a Jaś zaczął dorzucać kolejne ich garście.

Wszystkie kłopoty się skończyły i cała trójka żyła długo i szczęśliwie.

Mysz uciekła, koniec baśni.

A jeżeli ktoś potrafi schwytać ją w pułapkę,

Może sobie z jej futerka uszyć wielką czapkę.

* * *

Typ baśni: ATU 327, *Jaś i Małgosia*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Wildów

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Baba Yaga and the Brave Youth (Russian Fairy Tales)*; Giambattista Basile, *Nennillo and Nennella (The Great Fairy Tale Tradition, red. Jack Zipes)*; Italo Calvino, *Chick, The Garden Witch (Italian Folktales)*; Charles Perrault, *Little Thumbling (Perrault's Complete Fairy Tales)*

Najbardziej znane bajki, takie jak niewątpliwie ta, żyją w niezliczonych antologiach, ilustrowanych książkach dla dzieci i adaptacjach teatralnych (w tym wypadku operowych), aż stają się tak znane, że przestajemy dostrzegać ich znakomite cechy. Ale ta opowieść jest wielką klasyką, mającą w sobie coś drapieżnego. Jadalny dom to doskonały pomysł, a bezwzględne okrucieństwo więdźmy oraz inteligencja i odwaga Małgosi, która sprytnie sobie z nią radzi, robią niezapomniane wrażenie.

Matka czy macocha? W pierwszej edycji baśni braci Grimm z 1812 roku kobieta jest nazywana po prostu „matką”. W siódmym wydaniu z 1857 roku staje się macochą i tak już zostało. Marina

Warner w książce *From the Beast to the Blonde* pisze bardzo ciekawie o przyczynach zmiany dokonanej przez Grimmów (jedyne sposoby, by zachować idealny wizerunek matki, polegał na jej usunięciu i zastąpieniu macochą), a także o freudowskiej interpretacji Brunona Bettelheima (podział na matkę i macochę pozwala słuchającym dzieciom bez poczucia winy radzić sobie ze złością na własną matkę z powodu jej groźnych cech). Z punktu widzenia narracji opowiadam się za prostotą.

Jack Zipes zauważa w *Why Fairy Tales Stick*, że podstawą tej baśni, uznawanej przez wielu ludzi za czysty twór wyobraźni, jest nieszczęśliwa codzienność wiejskiej biedoty i perspektywa autentycznego głodu, jaki cierpiało wiele rodzin. W czasach pełnych rozpaczki stosuje się rozpaczliwe środki zaradcze, ale czy ojciec nie powinien zostać potępiony w nieco bardziej zdecydowany sposób? Śmierć macochy jest wygodna, zwłaszcza ze względu na skojarzenie macochy z czarownicą, które wykorzystuje wielu współczesnych autorów (łącznie ze mną). Gdyby dzieci wróciły do domu i okazało się, że macocha ciągle wszystkim rządzi, byłoby to bardzo smutne zakończenie. Może ojciec ją zabił? Gdybym przerabiał tę baśń na powieść, tak by się stało.

Epizod z kaczką to dziwny, krótki dodatek, pochodzący z ostatniego wydania baśni braci Grimm. Wcześniej nie istniał, przynajmniej w druku, ale myślę, że funkcjonuje dobrze, więc ja również go wykorzystalem. Jezioro to nieprzebyta bariera między groźnym lasem a bezpiecznym domem. Bariery są rzeczą pożyteczną, chyba że znajdujemy się po ich niewłaściwej stronie; jednak można je przekroczyć dzięki połączeniu dobroci natury i ludzkiej pomysłowości.

Trzy węzowe liście

Żył raz ubogi człowiek, który nie był już w stanie utrzymać swego jedyne go syna. Kiedy chłopak to zrozumiał, powiedział:

— Ojczy, nie ma sensu, żebym tu dłużej mieszkał. Jestem dla ciebie ciężarem. Opuszczę dom i zobaczę, czy potrafię sam na siebie zarobić.

Ojciec dał mu swoje błogosławieństwo i rozstali się w smutku.

Król pobliskiego kraju był potężnym władcą i właśnie prowadził wojnę. Młody człowiek zaciągnął się do wojska i wkrótce znalazł się na pierwszej linii walki w wielkiej bitwie. Świszczały kule, było strasznie niebezpiecznie, a wokół padali martwi żołnierze. Kiedy zginął sam generał, reszta wojska chciała już uciec, ale młody człowiek zajął miejsce dowódcy i krzyknął:

— Nie damy się pokonać! Za mną! Niech Bóg chroni króla!

Poprowadził atak, a żołnierze pobiegli za nim i szybko zmusili nieprzyjaciół do ucieczki. Kiedy król usłyszał, że młody człowiek przyczynił się do zwycięstwa, mianował go feldmarszałkiem. Dał mu złoto i skarby i nagrodił go najwyższymi zaszczytami w królestwie.

Król miał córkę, która była bardzo piękna, ale wpadła na dziwny pomysł. Przysięgła, że poślubi tylko tego mężczyznę, który obieca, że da się pogrzebać żywcem, gdyby umarła pierwsza. „Skoro będzie mnie naprawdę kochał, dlaczego miałby chcieć żyć po mojej śmierci?”, mówiła. I obiecała, że ona zrobi to samo: da się pogrzebać żywcem, jeśli mąż umrze pierwszy.

Ten ponury warunek zniechęcał wielu młodych ludzi, którzy inaczej z radością by ją poślubili, ale żołnierz był tak zachwycony jej urodą, że nic nie mogło go powstrzymać. Poprosił króla o rękę córki.

— Wiesz, co musisz obiecać? — spytał król.

— Jeśli umrze przede mną, muszę dać się z nią pogrzebać żywcem — odpowiedział żołnierz. — Ale kocham ją tak bardzo, że jestem gotów zaryzykować.

Król się zgodził i wyprawiono wspaniałe wesele.

Przez pewien czas żyli szczęśliwie, ale pewnego dnia królowna zachorowała. Z całego królestwa zjechali doktorzy, jednak żaden z nich nie potrafił jej pomóc i wkrótce umarła. I wtedy młody żołnierz przypomniał sobie o obietnicy, którą złożył, i zadrzał z trwogi. Nie mógł się wycofać, nawet gdyby chciał złamać słowo, ponieważ król postawił strażników przy grobie i wokół cmentarza na wypadek, gdyby próbował uciec. Kiedy nadszedł dzień pogrzebu królowny, jej ciało zaniesiono do królewskiej krypty. Później wprowadzono tam młodego człowieka, po czym król osobiście zamknął i zaryglował drzwi.

W krypcie pozostawiono trochę zapasów: cztery świece, cztery bochenki chleba i cztery butelki wina. Żołnierz przez wiele dni siedział obok ciała księżniczki, od czasu do czasu tylko jedząc kęs chleba i wypijając łyk wina, by starczyło na dłużej. Ale kiedy wypił przedostatni łyk wina, kiedy zjadł przedostatni kęs chleba i został mu już ledwie króciutki ogarek świecy, zrozumiał, że nadchodzi koniec.

Siedział pogrążony w rozpacz, gdy wtem zobaczył węża wychodzącego z rogu krypty i pełznącego w stronę ciała królowny. Młody człowiek pomyślał, że wąż chce ją pożreć, i wyciągnął miecz.

— Dopóki żyję, nie dotkniesz jej! — zawołał i uderzył węża trzy razy, tnąc go na kawałki.

Wkrótce potem z rogu krypty wypełzł drugi wąż. Zbliżył się do pociętego na kawałki ciała pierwszego, popatrzył na nie, po czym się odczołgał. Niebawem powrócił, tym razem niosąc w pysku trzy zielone liście. Ostrożnie połączył części martwego węża, położył liść na każdej z ran i po chwili wąż ożył, rany się zasklepiły i znów był cały. Dwa węże czym prędzej odpełzły.

Liście ciągle leżały tam, gdzie zostawił je drugi wąż, i młody człowiek pomyślał, że skoro mają takie cudowne właściwości, iż przywróciły do życia węża, mogą zrobić to samo z człowiekiem. Wziął liście i położył na bladej twarzy żony — jeden na wargach, a dwa na oczach.

Kiedy to zrobił, jej serce znowu zaczęło bić. Na policzkach pojawiły się zdrowe rumieńce, odetchnęła i otworzyła oczy.

— Wielki Boże! — zawołała. — Gdzie ja jestem?!

— Ze mną, kochana żono — odparł żołnierz i opowiedział, co się wydarzyło.

Dał jej ostatni kęs chleba i ostatni łyk wina, po czym oboje zaczęli walić w drzwi i krzyczeć tak głośno, że strażnicy za drzwiami usłyszeli ich wołanie i pobiegli do króla.

Władca przybył na cmentarz i własnoręcznie otworzył drzwi krypty, a królowna padła mu w ramiona. Król uściskał młodemu człowiekowi rękę i wszyscy radowali się z cudownego zmartwychwstania królowny.

Żołnierz był człowiekiem ostrożnym i nikomu nie powiedział, że ożywił żonę trzema węzowymi liśćmi. Miał służącego, człowieka uczciwego i godnego zaufania, więc dał mu je na przechowanie.

— Strzeż ich jak oka w głowie — rzekł. — Noś je przy sobie zawsze i wszędzie. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

Po zmartwychwstaniu królownie zmienił się charakter. Przestała kochać męża, choć ciągle udawała miłość, i kiedy zaproponował, żeby wyruszyli w podróż morską, bo chciałby odwiedzić swojego starego ojca, natychmiast się zgodziła.

— Będzie mi bardzo przyjemnie poznać szlachetnego ojca mojego ukochanego męża! — powiedziała.

Ale gdy wypłynęli w morze, zapomniała o wielkim uczuciu, jakie okazywał jej młody człowiek, ponieważ coraz bardziej pożądała kapitana statku. Marzyła, by pójść z nim do łóżka, i wkrótce zostali kochankami. Pewnej nocy, leżąc w ramionach kapitana, szepnęła:

— Ach, gdyby tylko mój mąż nie żył! Bylibyśmy takim wspaniałym małżeństwem!

— Możemy to szybko załatwić — odpowiedział kapitan.

Wziął kawał sznura i zakradł się wraz z księżniczką do kabiny, w której spał młody człowiek. Królowna chwyciła jeden koniec sznura, a kapitan owinął drugi wokół szyi jej męża, po czym oboje mocno pociągnęli sznur i chociaż żołnierz próbował się szarpać, nie zdołał się uwolnić i wkrótce go udusili.

Królowna i kapitan podnieśli martwego młodzieńca, trzymając go za głowę i nogi, i wyrzucili za burtę.

— Płynmy z powrotem — rzekła królowna. — Powiem ojcu, że mój mąż umarł na morzu, i będę cię wychwalała. Pozwoli ci się ze mną ożenić i w końcu zostaniesz królem.

Ale wierny sługa widział ich zbrodnię i gdy tylko się odwrócili, opuścił na wodę szalupę i popłynął szukać ciała swojego pana. Wkrótce je odnalazł i wciągnął do łodzi. Zdjął linę z szyi i położył na wargach i oczach trzy węzowe liście, a wtedy młody człowiek natychmiast ożył.

Później obaj wzięli się do wiosł. Wiosłowali dzień i noc, nie przerywając ani na chwilę, i łódź pędziła szybko po falach. Dopłynęli do brzegu na dzień przed statkiem i poszli prosto do pałacu. Król zdumiał się na ich widok.

— Co się stało? — spytał. — Gdzie moja córka?

Wszystko mu opowiedzieli. Kiedy usłyszał o zdradzie królowny, był wstrząśnięty.

— Nie mogę uwierzyć, że moja córka mogła zrobić coś tak strasznego! — zawołał. — Ale prawda wkrótce wyjdzie na jaw.

Tak się też stało. Niebawem statek wpłynął do portu, a gdy król się o tym dowiedział, kazał młodemu człowiekowi i jego słudze skryć się w komnacie obok, w której mogli wszystko słyszeć.

Królowna przyszła do ojca zapłakana, cała w czerni.

— Dlaczego wracasz samotnie? — spytał. — Gdzie twój mąż? I czemu nosisz żałobę?

— Ach, drogi ojcze, jestem zrozpaczona! — odparła. — Mąż mój zachorował na żółtą febrę i umarł. Kapitan i ja musieliśmy go pochować w morzu. Gdyby kapitan mi nie pomógł, nie wiem, co bym zrobiła. To bardzo dobry człowiek: opiekował się moim ukochanym mężem w czasie gorączki, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Sam może ci o tym opowiedzieć.

— A więc twój mąż nie żyje, tak? — odezwał się król. — Przekonajmy się, czy potrafię go wskrzesić.

Otworzył drzwi i zaprosił do komnaty młodego człowieka i jego sługę.

Kiedy królowna zobaczyła męża, runęła na ziemię, jakby uderzył w nią piorun. Usiłowała tłumaczyć, że jej mąż w gorączce miał przywidzenia, że wzięli głęboką śpiączkę za śmierć, ale służący pokazał sznur. Wobec nieodpartych dowodów przyznała się do winy.

— Tak, zrobiliśmy to, ojcze! — rzekła, szlochając. — Proszę, okaż nam miłosierdzie!

— Nie mów mi o miłosierdziu — odpowiedział król. — Twój mąż był gotów dać się żywcem pogrzebać razem z tobą, przywrócił ci życie, a ty udusiłaś go we śnie! Będziesz ukarana tak, jak na to zasługujesz.

Królownę i kapitana wsadzono na pokład łodzi, w której kadłubie zostały wywiercone otwory, po czym wypuszczono ich w morze podczas sztormu. Łódź wkrótce poszła na dno i nigdy więcej nikt o nich nie słyszał.

* * *

Typ baśni: ATU 612, *Trzy węzowe liście*

Źródło: bajki opowiedziane braciom Grimm przez Johanna Friedricha Krausego i rodzinę Haxthausenów
Podobne baśnie: Italo Calvino, *The Captain and the General*, *The Lion's Grass (Italian Folktales)*

Żywa, intrygująca opowieść, która dzieli się na dwie części — pierwsza na charakter magiczny, a druga romantyczno-realistyczny. Wersja braci Grimm zręcznie łączy obie części za pomocą tytułowych liści. Nie zmieniłem fabuły, z wyjątkiem sposobu uśmiercenia młodego człowieka. W oryginale jest po prostu wyrzucony za burtę statku, ale w dwóch podobnych opowieściach Calvina zostaje stracony. W pierwszej baśni staje przed plutonem egzekucyjnym, a w drugiej ginie na szubienicy. Dzięki temu istnieje pewność, że jest martwy, nim będzie wskrzeszony za pomocą magicznych liści. Uznałem, że młody człowiek z tej baśni również powinien zginąć w dramatyczny sposób, stąd uduszenie, co pozwala służącemu pokazać sznur i udowodnić winę żony.

Na ile części przecięto węża? Wydaje się, że to kluczowe pytanie wprowadziło wszystkich w błąd, łącznie z samymi braćmi Grimm. Tekst stwierdza jednoznacznie: *und hieb sie in drei Stücke* — „i przeciął na trzy części” — a David Luke, Ralph Mannheim i Jack Zipes pozostawiają to w swoich przekładach. Ale młody człowiek potrzebowałby do tego dwóch uderzeń mieczem i w efekcie byłyby tylko dwa miejsca, gdzie można by położyć liście, nie trzy. Powinniśmy dostrzegać to, co najważniejsze, a najważniejsza jest liczba trzy (trzy liście, oczy i usta królowny, klasyczna triada baśni), dlatego muszą istnieć trzy miejsca, gdzie drugi wąż kładzie liście, i trzy uderzenia, które jednak przecięłyby węża nie na trzy, tylko na cztery części. Ale przyjęcie tej wersji wprowadza do umysłu czytelnika lub słuchacza ideę liczby CZTERY. Myślę, że zastosowałem najlepsze rozwiązanie.

Rybak i jego żona

Żył raz rybak, który mieszkał ze swoją żoną w chałupie tak brudnej i odrażającej, że przypominała latrynę. Codziennie wypływał w morze i łowił ryby. Robił to całymi godzinami. Pewnego dnia siedział z wędką bardzo długo, wpatrując się w przejrzystą wodę. W końcu linka opadła na dno, a gdy ją wyciągnął, na haczyku szamotała się wielka flądra.

— Posłuchaj, rybaku — powiedziała. — A może darowałbyś mi życie, co? Nie jestem zwykłą flądram. Jestem zaczarowanym księciem. Co zyskasz, jeśli mnie zabijesz? Nie będę smaczna. Wrzuć mnie z powrotem do wody, dobry człowieku.

— Zgoda, wierzę, że jesteś księciem — odparł rybak. — Nie musisz nic więcej mówić. Wystarczy mi słowo gadającej ryby.

Wrzucił flądrę z powrotem do morza, a ryba dała nurka w stronę dna, pozostawiając na wodzie długi ślad krwi.

Rybak wrócił do żony siedzącej w ich brudnej chacie.

— Nic dzisiaj nie złowiłeś? — spytała.

— Owszem, złowiłem — odrzekł. — Wielką flądrę. Ale powiedziała, że jest zaczarowanym księciem, więc wypuściłem ją na wolność.

— To cały ty! — prychnęła żona. — Dlaczego o nic jej nie poprosiłeś?

— Nie wiem — odpowiedział rybak. — O co miałbym poprosić?

— Zaczarowani książęta mogą wszystko — zauważyła żona. — Popatrz tylko na naszą chałupę! Cuchnie, do środka leje się deszcz, a półki spadają ze ścian. Trudno żyć w takim strasznym miejscu. Idź, zawołaj flądrę i powiedz jej, że chcemy mieć ładną chatkę, czystą i schludną.

Rybak wcale nie miał ochoty tego robić, ale wiedział, co się stanie, jeśli nie spełni polecenia żony, więc wrócił na brzeg morza. Kiedy tam dotarł, zobaczył, że woda straciła swą przejrzystość — była teraz ciemnozielona i brudnożółta.

Staął na brzegu i zawołał:

*Flądro, troskę w sercu noszę!
Przybądź do mnie, bardzo proszę!
Ilona, piękna szalenie,
Chce, bym spełnił jej życzenie!*

Flądra wypłynęła na powierzchnię i spytała:

— Więc czego chce twoja żona?

— Ach, jesteś! Wiesz, to nie mój pomysł, ale żona kazała mi o coś cię poprosić. Mówi, że ma dość mieszkania w tej ohydnej chałupie i chce dostać nową, ładną chatkę.

— Wracaj do żony — odpowiedziała flądra. — Już spełniłam jej życzenie.

Rybak poszedł do domu i zobaczył żonę stojącą na progu czystej małej chatki.

— Popatrz! — odezwała się. — Czy nie wygląda lepiej?

Od frontu znajdował się niewielki ogródek, a wewnątrz składało się z przytulnego saloniku, sypialni z łóżkiem zasłanym puchową pościelą, kuchni i spiżarni. Wszystkie pokoje były pięknie umeblowane, a cynowe misy i miedziane rondle aż lśniły w promieniach słońca. Z tyłu rybak zobaczył małe podwórko ze stadkiem kurcząt, staw, w którym pływały kaczki, ogród warzywny i sad.

— Czy nie miałam racji, że kazałam ci o to poprosić? — spytała żona.

— O tak! — przyznał rybak. — Chatka jest bardzo ładna. Będzie nam tu wygodnie.

— Zobaczmy — powiedziała żona.

Zjedli kolację i poszli spać.

Przez tydzień lub dwa wszystko układało się dobrze. A potem żona stwierdziła:

— Posłuchaj, ta chatka jest za mała. W kuchni ledwie się można obrócić, a ogród ma tylko sześć kroków długości. Flądra mogłaby dać nam większy dom, dla niej to bez różnicy. Chcę mieszkać w marmurowym pałacu. Idź i poproś o pałac.

— Ach, żono, przecież ta chatka nam wystarczy — odparł mężczyzna. — Nie potrzebujemy pałacu. Co byśmy tam robili?!

— Wiele rzeczy! — odpowiedziała żona. — Ty zadowolasz się byle czym, ot co! Idź i poproś flądre o pałac!

— O Boże, sam nie wiem... Niedawno dała nam chatkę. Nie chcę znowu zawracać jej głowy. Jeszcze się na mnie rozgniewa!

— Nie bądź taki miękki! Flądra może nam dać pałac! Nie będzie miała nic przeciwko temu. No, idź!

Rybakowi nie podobała się prośba żony. Nie chciał iść nad morze. Nie powinienem tego robić, pomyślał, ale i tak poszedł.

Kiedy dotarł na brzeg, woda znowu zmieniła kolor. Teraz była ciemnoniebieska, fioletowa i szara. Stał na plaży i powiedział:

*Flądro, troskę w sercu noszę!
Przybądź do mnie, bardzo proszę!
Ilona, wdzięczna szalenie,
Chce, bym spełnił jej życzenie!*

— Czego chce tym razem? — spytała flądra.

— Eeee... widzisz... mówi, że chatka jest za mała. Chciałaby mieszkać w pałacu.

— Wracaj do żony. Stoi już przed drzwiami pałacu.

Rybak ruszył do domu, a gdy przybył na miejsce, zamiast chatki zobaczył wspaniałą marmurowy pałac. Jego żona stała na szczycie schodów i właśnie zamierzała otworzyć drzwi.

— Chodź! — zawołała. — Szybciej, nie guzdraj się! Musimy się tu rozejrzeć!

Rybak wszedł razem z żoną do pałacu. Znaleźli się w ogromnym przedsionku z czarno-białą kamienną posadzką. W każdej ścianie znajdowały się wielkie drzwi, a stojący przy nich lokaje, nisko się kłaniając, natychmiast je otworzyli. Rybak i jego żona ujrzeli mnóstwo olbrzymich komnat, w których ściany były pomalowane na białą i pokryte pięknymi gobelinami. W każdej komnacie stały złociste fotele i stoły, a z sufitów zwieszały się kryształowe żyrandole, migoczące tysiącami brylantów. Dywany były tak puszyste, że stopy zapadały się w nich po kostki. W sali jadalnej zobaczyli gigantyczne, suto zastawione stoły, wzmocnione dębowymi rozporami, by nie zawaliły się pod ciężarem jadła. Przed pałacem rozciągał się duży dziedziniec wysypany specjalnie oszlifowanymi białymi kamykami; stał na nim rząd czerwonych karet różnej wielkości, zaprzężonych w białe konie, które skłoniły się i dygnęły, kiedy rybak i jego żona wyszli z pałacu. Za dziedzińcem znajdował się przepiękny ogród z drzewami owocowymi uginającymi się od jabłek, gruszek, pomarańczy i cytryn, a woń rosnących tam kwiatów wypełniała powietrze na wiele kilometrów

dokoła. Dalej, za ogrodem, był park, który ciągnął się prawie na kilometr; żyły w nim łosie, jelenie, zające i różne dzikie zwierzęta z dalekich krajów.

— Prawda, że ładnie? — odezwała się żona.

— O tak — przyznał rybak. — Dla mnie to aż za wiele. Niczego nam tu nie zabraknie.

— To się jeszcze okaże — odparła żona. — Chodźmy spać. Zobaczymy, jak się będziemy czuć jutro rano.

Nazajutrz obudziła się pierwsza. Słońce dopiero wschodziło, a gdy usiadła na łóżku, zobaczyła ogród, park i góry wznoszące się w oddali. Jej mąż smacznie pochrapywał, ale szturchnęła go w bok i powiedziała:

— Obudź się i wstań! Chcę, żebyś wyjrzał przez okno!

Rybak ziewnął, przeciągnął się i podszedł do okna.

— O co chodzi? — spytał.

— Cóż, mamy ogród. Bardzo dobrze. Mamy też ładny, duży park. Ale popatrz dalej! Góry! Chcę zostać królową, żeby góry również należały do nas.

— Ach, żono — odpowiedział rybak — nie chcę być królem. Do czego to nam potrzebne? Przecież jeszcze nawet nie widzieliśmy wszystkich komnat tego pałacu!

— To cały ty! — prychnęła żona. — Nie masz za grosz ambicji! Nawet jeśli ty nie chcesz zostać królem, ja chcę zostać królową!

— Nie mogę poprosić o to flądry, żono. Okazała się już taka hojna. Nie mogę jej powiedzieć, że chcę zostać królem!

— Wręcz przeciwnie, możesz! Idź, natychmiast!

— Ach... — westchnął rybak.

Z ciężkim sercem powlókł się nad morze. Flądrze się to nie spodoba, pomyślał, ale mimo to poszedł.

Kiedy dotarł na brzeg, woda była ciemnoszara, a z głębin wydobywał się wstrętny odór.

Rybak zawołał:

*Flądro, troskę w sercu noszę!
Przybądź do mnie, bardzo proszę!
Ilona, dobra szalenie,
Chce, bym spełnił jej życzenie!*

— Co teraz? — spytała flądra.

— Przepraszam, ale moja żona chce zostać królową.

— Wracaj do niej. Już jest królową.

Rybak ruszył w drogę powrotną. Kiedy przybył na miejsce, okazało się, że pałac jest teraz dwa razy większy niż poprzednio, a nad wejściem wznosi się wysoka wieża z czerwoną flagą powiewającą na szczycie. Przy drzwiach stali wartownicy, a gdy rybak ostrożnie się zbliżył, pozdrowili go, prezentując broń — ich karabiny wydały taki trzask, że skulił się ze strachu. Rozległy się werble i fanfary, po czym otworzyły się wielkie drzwi.

Wsunął się na palcach do środka i zobaczył, że wszystko jest połączone i dwa razy większe niż wcześniej. Każda poduszka była pokryta czerwonym aksamitem ze złotym haftem. Wszystko ozdabiały złote frędzle, a na ścianach wisiały portrety rybaka i jego żony w strojach cesarzy rzymskich, królów i mitologicznych bogów. Zegary grały kuranty na jego powitanie. Później rozwarły się ogromne drzwi, za którymi czekał już tłum dworzan.

— Jego Wysokość Rybak! — zagrział szambelan.

Rybak wszedł do komnaty i ruszył w stronę tronu. Rozstąpiły się przed nim setki szlachetnie urodzonych panów i dam, składając głęboki ukłon. Na tronie siedziała jego żona w jedwabnej szacie pokrytej perłami, szafirami i szmaragdami. Na głowie miała złotą koronę, a w ręku trzymała złote berło wysadzone rubinami wielkości przepiórczych jaj. Po obu stronach tronu stały rzędem dwórki, każda o głowę niższa od poprzedniej, i wszystkie dygnęły, gdy rybak się zbliżył.

— Cóż, żono — odezwał się — czy zostałam królową?

— Tak, zostałam królową — odpowiedziała żona.

— Miło mi to słyszeć — rzekł rybak. — Bardzo się cieszę. Teraz już nie musimy mieć więcej życzeń.

— Hm... — mruknęła żona, stukając palcem w oparcie tronu. — Nie byłabym tego taka pewna. Jestem królową od tak dawna, że zaczyna mnie to nudzić. Idź z powrotem do flądry i powiedz, że chcę zostać cesarzową.

— Ach, żono, zastanów się! — zawołał rybak. — Flądra nie może cię zrobić cesarzową ani mnie cesarzem! Jest już przecież cesarz, a cesarz może być tylko jeden!

— Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób! Jestem królową, nie zapominaj! Rób, co ci każę, i idź do flądry! Skoro zrobiła mnie królową, może mnie zrobić cesarzową. To dla niej żadna różnica. Idź już!

Rybak poszedł, ale był bardzo niespokojny. To się źle skończy, pomyślał. Z powodu tych ciągłych życzeń flądra się rozżołości.

Kiedy dotarł na brzeg, woda była czarna, gęsta i spieniona. Staął i zawołał:

*Flądro, troskę w sercu noszę!
Przybądź do mnie, bardzo proszę!
Ilona, słodka szalenie,
Chce, bym spełnił jej życzenie!*

— Cóż, powiedz! — odezwała się flądra.

— Chce zostać cesarzową.

— Wracaj do niej. Już jest cesarzową.

Rybak wrócił do domu i zobaczył, że pałac jest jeszcze wyższy niż przedtem i że w każdym rogu są wieżyczki. Przed wejściem stał rząd armat i defilował pułk grenadierów w czerwonych mundurach. Kiedy go zobaczyli, stanęli na baczność i zaszalutowali, a armaty oddały salwę tak głośną, że rozboleły go uszy. Brama się otworzyła, rybak wszedł do środka i odkrył, że całe wnętrze pałacu jest pozłacane, a wzdłuż ścian stoją alabastrowe posągi jego i jego żony w heroicznym pozach. Gdziekolwiek poszedł, otwierali przed nim drzwi księżęta i diukowie, nisko się kłaniając. W sali tronowej zastał żonę siedzącą na szczerozłotym tronie, wysokim na trzy kilometry — widział ją tylko dlatego, że nosiła koronę, która miała trzy metry wysokości i dwa metry szerokości. Była zrobiona ze szczerego złota, wysadzana rubinami i szmaragdami. Żona rybaka w jednej ręce trzymała berło, a w drugiej cesarskie jabłko. Straż przyboczna składała się z dwóch rzędów żołnierzy. Każdy był niższy od poprzedniego, poczynając od olbrzymów wielkości tronu do karzełek nie większych od palca; wszyscy prezentowali broń. W pobliżu stali w usłużnych pozach księżęta, diukowie, hrabiowie i baronowie.

Rybak zbliżył się do stóp tronu i zawołał:

— Żono, czy zostałaś cesarzową?

— Jak wyglądam?

— Bardzo imponująco. Spodziewam się, że na tym poprzestaniesz.

— To cały ty! Brak ci ambicji. Zapewniam cię, że to mi nie wystarczy!

— Och, żono, tylko nie nowe życzenia!

— Idź z powrotem do flądry. Powiedz jej, że chcę zostać papieżem.

— Przecież nie możesz zostać papieżem! We wszystkich krajach chrześcijańskich jest tylko jeden papież!

— Jestem cesarzową! — wrzasnęła. — Mówię ci, żebyś wrócił do flądry i kazał jej zrobić mnie papieżem!

— Nie, nie, to za wiele! Daj spokój! Nie mogę tego uczynić!

— Nonsens! Rozkazuję ci iść do flądry! Ruszaj!

Rybak się przestraszył. Czuł mdłości, drżały mu kolana. Wiał silny wiatr i zrywał liście z drzew. Zapadał zmrok. Kiedy rybak dotarł na brzeg, ryczały fale, uderzając w skały z hukiem kul armatnich. Zauważył na morzu miotane falami statki, które wystrzeliwały race sygnalizacyjne, wzywając pomocy. Na niebie pozostał tylko skrawek błękitu, ale otaczały go krwistoczerwone chmury i zygzaki błyskawic.

Zrozpaczony rybak zawołał:

*Flądro, troskę w sercu noszę!
Przybądź do mnie, bardzo proszę!
Ilona, tkliwa szalenie,
Chce, bym spełnił jej życzenie!*

— No, czego teraz chce?

— Zostać papieżem.

— Wracaj do niej. Już jest papieżem.

Kiedy rybak wrócił do domu, zamiast pałacu zobaczył gigantyczną katedrę. Otaczały ją pałace różnych rozmiarów i kształtów, ale nad wszystkim górowała wieża katedry. Wokół tłoczyło się mnóstwo ludzi, usiłując dostać się do środka. Wewnątrz panował jeszcze większy ścisk, więc rybak musiał się mocno przepychać, by przejść dalej. Katedrę oświetlały tysiące świec; w każdym kącie stały konfesjonały, gdzie księża słuchali spowiedzi. W samym środku wznosił się ogromny złoty tron, na którym siedziała jego żona z trzema koronami na głowie i w szkarłatnych trzewikach na nogach. Rząd biskupów czekał, by na klęczkach zbliżyć się i ucałować prawy trzewik, a równie długa kolejka opatów czekała, by ucałować lewy. Na palcu prawej dłoni żona rybaka miała pierścień wielki jak kogut, a na palcu lewej — wielki jak gęś. Kardynałowie podchodzili, by ucałować prawy pierścień, a arcybiskupi lewy; jedni i drudzy czekali w długich kolejkach.

— Żono, czy zostałaś papieżem? — zawołał rybak.

— Wyglądam jak papież?

— Nigdy nie widziałem papieża. Nie wiem. Jesteś wreszcie zadowolona?

Żona siedziała w zupełnym bezruchu i milczała. Odgłos pocałunków składanych na jej rękach i nogach przypominał mlaskanie. Rybak pomyślał, że go nie usłyszała, i znowu krzyknął:

— Żono, czy jesteś wreszcie zadowolona?

— Nie wiem. Nie jestem pewna. Muszę się nad tym zastanowić.

Położyli się do łóżka. Rybak spał dobrze, bo spędził pracowity dzień, ale jego żona przez całą noc przewracała się z boku na bok. Nie mogła się zdecydować, czy jest zadowolona, czy nie, i nie wiedziała, czego jeszcze mogłaby sobie życzyć, skoro już została papieżem, więc spędziła bezsenną noc.

W końcu wzeszło słońce. Kiedy ujrzała brzask, natychmiast usiadła na łóżku.

— Mam! — zawołała. — Mężu, obudź się! Szybko, obudź się!

— Co znowu? Czego chcesz?

— Idź z powrotem do flądry! Chcę zostać Bogiem!

Rybak natychmiast się poderwał.

— Co takiego?!

— Chcę zostać Bogiem. Chcę rządzić wschodem słońca i księżyca. Nie mogę znieść myśli, że pojawiają się na niebie, a ja nie mam z tym nic wspólnego. Gdybym była Bogiem, mogłabym nimi rządzić. Mogłabym sprawić, że poruszałyby się wstecz. Idź i powiedz flądrze, że chcę zostać Bogiem!

Rybak przetarł oczy ze zdumienia i popatrzył na żonę, ale wyglądała na kompletnie szaloną, więc się przestraszył i wstał szybko z łóżka.

— Idź! Natychmiast! — wrzasnęła.

— Och, proszę, żono! — rzekł błagalnie, padając na kolana. — Zastanów się nad tym jeszcze raz, kochanie, zastanów się! Flądra zrobiła cię cesarzową i papieżem, ale nie może cię zrobić Bogiem! To niemożliwe!

Żona zerwała się z łóżka i uderzyła go. Miała rozczochrane włosy i toczyła dziko oczami. Zdarła z siebie koszulę nocną, podeptała ją i zaczęła krzyczeć:

— Nie będę dłużej czekać! Nie zniosę tego! Doprowadzasz mnie do obłędu! Idź i zrób, co ci każe!

Rybak wciągnął spodnie, wybiegł z sypialni i popędził nad morze. Szalał tak straszliwy sztorm, że ledwo mógł ustać. Deszcz chłostał go po twarzy, wiatr wyrывał drzewa z korzeniami, burzył domy, miotał wielkimi kamieniami odrywającymi się od klifów. Biły pioruny,

niebo rozświeślały zygzaki błyskawic, huczały spienione fale, wysokie jak domy.

*Flądro, troskę w sercu noszę!
Przybądź do mnie, bardzo proszę!
Ilona, skromna szalenie,
Chce, bym spełnił jej życzenie!*

— Czego chce?

— Eee, widzisz, chce zostać Bogiem.

— Wracaj do niej. Jest znowu w waszej dawnej chałupie podobnej do latryny.

I rzeczywiście, rybak zastał żonę w nędznej, brudnej chałupie. Mieszkają tam do dziś.

* * *

Typ baśni: ATU 555, *Rybak i jego żona*

Źródło: bajka spisana przez Philippa Ottona Rungego

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Goldfish (Russian Fairy Tales)*; Italo Calvino, *The Dragon with Seven Heads (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Złote dzieci (Baśnie domowe i dziecięce)*

Popularna, rozpowszechniona baśń. Wersja Calvina, *The Dragon with Seven Heads*, pokazuje, że opowieść rozpoczynająca się w bardzo podobny sposób może podążać w zupełnie innym kierunku.

Wersja braci Grimm jest pełna werwy i pomysłówych szczegółów. Podobnie jak [Jałowiec](#), wyszła spod pióra malarza romantycznego Philippa Ottona Rungego (1777—1810) i została napisana w *Plattdeutsch*, czyli dialekcie dolnoniemieckim, używanym na terenie jego rodzinnego Pomorza:

Dar wöör maal eens en Fischer und syne Fru, de waanden tosamen in’n Pijßputt, dicht an der See...

Bracia Grimm otrzymali tę opowieść za pośrednictwem pisarzy Clemensa Brentana i Achima von Arnima, z którymi łączyło ich zainteresowanie baśniami ludowymi. Na podstawie tych dwóch

opowieści można sądzić, że Runge był nie tylko utalentowanym malarzem, lecz również pisarzem. Kulminacja zbliża się szybko, w sposób niezwykle efektowny, a nadciągająca burza pełni funkcję niebiańskiego komentarza na temat narastającej obsesji żony.

Większość tłumaczy przekłada wyraz *Pißputt* jako „chlew”, „lepianka” lub coś podobnego. Nie znalazłem lepszego określenia niż „latryna”.

Dzielny krawczyk

Pewnego słonecznego ranka mały krawczyk jak zwykle siedział po turecku na stole, przy wychodzącym na ulicę oknie, na najwyższym piętrze swojego domu. Był w znakomitym nastroju i szył z całych sił, gdy ulicą nadeszła staruszka handlująca marmoladą.

— Marmolada! Marmolada! Kupujcie słodką marmoladę!

Krawczyk się ucieszył i zawołał:

— Chodź na górę ze swoją marmoladą, kochana! Przyjrzymy się jej!

Staruszka wniosła kosz na drugie piętro. Kiedy weszła, krawczyk kazał jej wyjąć wszystkie słoiki z marmoladą. Oglądał je uważnie, ważył w dłoni, patrzył pod światło, wąchał marmoladę i tak dalej. W końcu rzekł:

— Ta marmolada truskawkowa wygląda pysznie. Odważ mi z osiemdziesiąt gramów, dobra kobieto, a nawet i sto dziesięć.

— Nie chcesz całego słoika?

— Wielki Boże, nie! Stać mnie tylko na odrobinę.

Kobieta odważyła marmoladę, z niezadowoleniem mrużąc coś pod nosem, i odeszła.

— Cóż, niechaj Bóg błogosławi marmoladę i da zdrowie i siłę wszystkim, którzy ją jedzą! — rzekł krawczyk. Przyniósł bochenek chleba i nóż, ukroił grubą pajdę i posmarował ją marmoladą. — Smakowita kanapka, ale najpierw skończę surdut — powiedział.

Znów wskoczył na stół, wziął igłę i zaczął szyć, coraz szybciej i szybciej. Tymczasem słodki zapach marmolady wypełnił pokój i uleciał przez okno. Poczul go rój much ucztujących na ścierwie psa na ulicy. Natychmiast wzbiły się w powietrze, by poszukać źródła tego zapachu. Wleciały przez okno i usiadły na chlebie.

— Hej, ktoś was tu prosił?! — zawołał krawczyk i machnął ręką, by je odpędzić.

Nie rozumiały ani słowa, a poza tym zajmowały się marmoladą i nic ich nie obchodziło.

W końcu krawczyk wpadł w gniew.

— Dobrze, same tego chciałyście! — krzyknął, chwycił kawałek płótna i wściekle zaatakował muchy. Kiedy skończył i popatrzył na pole bitwy, siedem much leżało martwych, z łapkami do góry. — Ach, jestem bohaterem! — mruknął. — Powinno się o tym dowiedzieć całe miasto.

Chwycił nożyczki, szybko wyciął szarfę z czerwonego jedwabiu i naszył na niej złoty napis: SIEDMIU JEDNYM CIOSEM!

Włożył szarfę i przejrzał się w lustrze.

— Miasto? — mruknął. — Powinien się o tym dowiedzieć cały świat!

Ogarnęła go radość i serce zabiło mu mocniej. Zanim wyruszył, by opowiedzieć światu o swoim zwycięstwie, rozejrzał się za czymś, co mógłby ze sobą zabrać, ale znalazł tylko gomółkę sera. Schował ją do kieszeni, zbiegł po schodach i wyszedł na ulicę. Przed bramą miejską znalazł wróbla zaplątanego w gałęzie i jego również włożył do kieszeni. Potem pomaszerował gościńcem.

Był lekki i zwinny, więc nie odczuwał zmęczenia. Dotarł na szczyt góry i ujrzał tam odpoczywającego olbrzyma, który siedział na kamieniu i podziwiał widoki.

Krawczyk podszedł do niego i rzekł:

— Dzień dobry, przyjacielu! Czy wyruszyłeś w drogę, by zobaczyć świat? Bo ja właśnie to zamierzam zrobić. Może połączymy siły i będziemy wędrować razem?

Olbrzym popatrzył na małego człowieczka z głęboką pogardą.

— Z tobą, ty wypierdku?! Z tobą, karle?! Połączyć siły z takim karaluchem jak ty?!

— Uważasz mnie za słabeusza?! — Krawczyk rozpiął płaszcz i pokazał olbrzymowi szarfę. — Oto dowód, kim jestem!

Olbrzym powoli odczytał literę po literze: SIEDMIU JEDNYM CIOSEM! Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— To budzi szacunek! — powiedział, ale czuł, że powinien poddać małego człowieczka jakiejś próbie, więc ciągnął: — Może zabiłeś jednym ciosem siedmiu ludzi, lecz to niewielki wyczyn, jeśli wszyscy byli takimi małymi myszkami jak ty. Zobaczmy, jaki jesteś silny. Czy potrafisz zrobić coś takiego?

Chwycił kamień i ścisnął go tak mocno, że zaczęła mu drżeć ręka. Twarz mu poczerwieniała, żyły na skroniach nabrzmiały. W końcu zdołał wycisnąć z kamienia kilka kropel wody.

— Zobaczmy, czy potrafisz to zrobić! — odezwał się. — Ciekawe, czy starczy ci sił?

— Tylko tyle? — prychnął krawczyk. — To nic wielkiego. Popatrz! Wyjął z kieszeni gomółkę sera i ścisnął. Oczywiście ser był nasiąknięty wodą, więc wkrótce zaczęła ona spływać po dłoni krawczyka i kapać na ziemię.

— Robię to lepiej od ciebie! — powiedział.

Olbrzym podrapał się po głowie.

— Hm — mruknął. — W porządku. W takim razie spróbuj zrobić coś takiego!

Podniósł inny kamień i rzucił go do góry. Kamień poleciał tak wysoko, że prawie zniknął.

— Nieźle — pochwalił go krawczyk. — Ale spójrz, twój kamień spada. Potrafię zrobić coś lepszego.

Wyjął z kieszeni wróbla i rzucił w powietrze. Kiedy tylko ptak poczuł wolność, rozpostarł skrzydła i odleciał.

— Jak ja rzucam coś w górę, to nigdy nie spada na ziemię — oznajmił. — Co o tym sądzisz, mój ogromny przyjacielu?

— Hm — znów mruknął olbrzym. — Potrafisz ścisnąć i rzucać kamienie. Ale oto prawdziwy sprawdzian: zobaczmy, co potrafisz udźwignąć!

Zaprowadził krawczyka na skraj lasu, gdzie niedawno ścięto ogromny dąb.

— Pomóż mi przenieść to drzewo — powiedział.

— Z przyjemnością. Ty weź pień, a ja będę niósł liście i gałęzie, które, jak wiadomo, są najcięższe.

Olbrzym pochylił się, wstrzymał oddech i zarzucił sobie dąb na plecy. Widząc, że olbrzym nie może się obejrzeć do tyłu, krawczyk dał susa i usadowił się wygodnie między gałęziami. Zaczął pogwizdywać piosenkę o trzech dzielnych krawcach, a tymczasem olbrzym mozolnie posuwał się ścieżką, dźwigając na swych barkach całe drzewo.

Nie uszedł daleko, bo drzewo było ogromne, i wkrótce się zatrzymał.

— Hej, posłuchaj! Nie mogę iść dalej! — zawołał, a krawczyk zeskoczył, nim olbrzym zdążył się odwrócić, i chwycił rękami gałęzie i liście, udając, że je niesie.

— Taki olbrzym jak ty nie jest w stanie unieść połowy drzewa?! — odezwał się szyderczo. — Ach, doprawdy, chyba powinienes trochę poćwiczyć!

Szli przez jakiś czas, aż dotarli do rosnącej na polu czereśni. Olbrzym ujął najwyższą gałąź i przygiął ją do ziemi, pokazując krawczykowi dojrzałe owoce.

— Potrzymaj przez chwilę gałąź, bo muszę wyjąć sobie kamyk z buta — powiedział.

Krawczyk chwycił gałąź, ale kiedy olbrzym ją puścił, wyprostowała się gwałtownie i wyrzuciła go w powietrze.

Był zwinny i na swoje szczęście spadł na trawiasty stok, po czym stoczył się z niego, nie odnosząc żadnych ran. Na koniec fiknął zgrabnego koziołka i wylądował na nogach.

— Nie masz dość siły, by przygiąć drzewo do ziemi! — prychnął olbrzym. — Ha!

— Wcale nie — odparł krawczyk. — Człowiek, który zabił siedmiu jednym ciosem, może przygiąć do ziemi tyle drzew, ile zechce. Myśliwi zaczęli celować w zarośla, więc postanowiłem się odsunąć. Założę się, że nie potrafisz skakać tak wysoko jak ja. No już, spróbuj!

Olbrzym wziął rozbieg i próbował skoczyć, ale był bardzo ciężki, więc wylądował w koronie czereśni i zaplątał się w gałęziach. Krawczyk wygrał również te zawody.

— Cóż — powiedział olbrzym, gdy zszedł na ziemię — skoro uważasz się za wielkiego bohatera, przyjdź i spędź noc w naszej jaskini. Mieszkam z dwoma innymi olbrzymami i niełatwo nam zaimponować, możesz mi wierzyć.

Krawczyk chętnie się zgodził i wyruszyli do jaskini. Kiedy tam dotarli, zapadł już zmrok, a dwa inne olbrzymy siedziały przy ogniu. Każdy trzymał w rękach upieczoną owcę i pożerał ją ze smakiem, straszliwe mlaszcząc.

Krawczyk się rozejrzał.

— Ta jaskinia jest dużo większa od mojego warsztatu — zauważył. — Gdzie mam spać?

Olbrzym wskazał gigantyczne łóżko. Krawczyk wspiął się na nie i położył, ale nie było mu wygodnie, więc kiedy olbrzymy rozmawiały cicho przy ogniu, zeskoczył na ziemię i zaszył się w kącie jaskini.

O północy pierwszy olbrzym, myśląc, że krawczyk śpi na łóżku, wziął wielką maczugę i jednym uderzeniem rozłupał je na pół.

Rozgniotłem tego konika polnego na miazgę, pomyślał.

Nazajutrz wczesnym rankiem olbrzymy się obudziły i poszły do lasu. Zupełnie zapomniały o krawczyku. A on wstał, wesoły i beztroski, po czym pobiegł za nimi, pogwizdując i śpiewając. Kiedy olbrzymy go zobaczyły, wpadły w przerażenie.

- On żyje!
- Ratunku!
- Uciekajmy!

Olbrzymy wzięły nogi za pas.

— Cóż, w ten sposób skończyliśmy z olbrzymami — rzekł do siebie krawczyk. — Chodźmy poszukać następnej przygody.

Wędrował tu i tam przez kilka dni, aż wreszcie ujrzał piękny pałac. Powiewały na nim flagi, żołnierze zmieniali się na warcie, a krawczyk usiadł na trawiastym wzgórzu i podziwiał widok. Ogarnęła go senność, położył się, zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Kiedy spał, kilku przechodzących obok niego ludzi zauważyło szkarłatną szarfę ze złotym napisem: SIEDMIU JEDNYM CIOSEM! Zaczęli ze sobą rozmawiać:

— Musi być wielkim bohaterem!

— Co on tu robi?

— Przecież panuje pokój.

— Jestem pewien, że to księżę albo inny arystokrata. Jego twarz ma w sobie tyle szlachetności...

— Nie, myślę, że to człowiek z ludu, ale na pewno walczył na wojnie. Nawet gdy śpi, widać jego dumną, żołnierską postawę.

— Siedmiu jednym ciosem! Wyobrażacie sobie?!

— Lepiej powiedzmy o tym królowi.

— Dobry pomysł. Chodźmy do niego!

Natychmiast poprosili o audiencję u króla, który wysłuchał ich z wielką uwagą. Powiedzieli, że należą za wszelką cenę skłonić nieznanego bohatera, by wstąpił do służby królewskiej. Może to być korzystne na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót i wybuchła wojna,

— Macie całkowitą rację — rzekł król i wezwał szefa sztabu swojej armii. — Idź i poczekaj, aż ten jegomość się zbudzi — rozkazał. — Zaproponuj mu stanowisko feldmarszałka. Nie możemy dopuścić, by służył władcy innego królestwa.

Szef sztabu poszedł na wzgórze i poczekał, aż krawczyk się obudzi.

— Jego Królewska Mość chciałby zaproponować ci, panie, stanowisko feldmarszałka i dowództwo nad całą swoją armią — oznajmił.

— Doskonały pomysł! — zawołał krawczyk. — Chętnie wstąpię do armii waszego króla i będę mu służyć z całą swoją odwagą i walecznością.

Krawczyk został uroczyście przyjęty na dworze, a gwardia królewska oddała mu honory. Przydzielono mu apartament w pałacu i pozwolono samemu zaprojektować dla siebie mundur.

Jednak żołnierzy, którymi miał dowodzić, dręczyły różne wątpliwości.

— A jeśli poczuje do nas antypatię?

— Przypuśćmy, że wyda rozkaz, który nam się nie spodoba, i zaczniemy się z nim sprzeczać?

— Tak! Może zabić siedmiu z nas jednym ciosem! Jesteśmy tylko zwykłymi żołnierzami. Nie możemy walczyć z takim mocarzem!

Rozmawiali o tym w koszarach, a następnie wysłali delegację do króla.

— Wasza Królewska Mość, prosimy o zwolnienie z armii! Nie możemy służyć pod rozkazami człowieka, który może zabić siedmiu z nas jednym ciosem. To chodząca broń masowego rażenia!

— Pozwólcie mi się nad tym zastanowić — odparł król.

Był przerażony. Stracić wszystkich swoich wiernych żołnierzy z powodu jednego człowieka?! Ale jeśli spróbuje się pozbyć krawczyka, kto wie, co się stanie? Krawczyk mógłby zabić króla i wszystkich żołnierzy, a później sam zasiąść na tronie!

Długo się nad tym zastanawiał, aż wreszcie wpadł na pewien pomysł. Posłał po krawczyka i powiedział do niego:

— Feldmarszałku, tylko ty możesz wykonać to zadanie. Taki wielki bohater jak ty nie odmówi, jestem tego pewien. W jednym z moich lasów żyje para olbrzymów, które sieją zniszczenie w całej okolicy: rabują, mordują, grabią, palą domy i Bóg jeden wie co jeszcze. Nikt nie ośmiela się do nich zbliżyć z obawy o własne życie. Jeśli ich pokonasz, dam ci za żonę swoją córkę, a oprócz jej posagu otrzymasz połowę królestwa. Możesz dostać do pomocy stu kawalerzystów.

Właśnie na taką propozycję czekałem, pomyślał krawczyk.

— Wasza Królewska Mość, z przyjemnością przyjmuję to zadanie — odrzekł. — Potrafię sobie radzić z olbrzymami. Ale nie potrzebuję kawalerzystów. Człowiek, który zabił siedmiu jednym ciosem, nie musi się obawiać dwóch olbrzymów.

Pomaszerował odważnie do lasu, rozglądając się na wszystkie strony. Wkrótce odnalazł olbrzymy. Spały pod dębem, chrapiąc tak głośno, że gałęzie się kołysały. Nie tracił ani chwili. Nazbierał pełne kieszenie kamieni, wspiął się na drzewo i usiadł na gałęzi bezpośrednio nad olbrzymami.

Zaczął rzucać kamienie na pierś jednego z olbrzymów. Z początku ten niczego nie czuł, ale wreszcie się obudził i szturchnął swojego towarzysza.

— Co ty sobie myślisz?! Dlaczego rzucasz we mnie kamieniami?!

— Nie rzucam w ciebie kamieniami! — odpowiedział drugi olbrzym. — Coś ci się przywidziało!

— Au! Przestań!

— Co mam przestać?! O czym ty gadasz?!

Olbrzymy kłóciły się przez pewien czas, ale były zmęczone pładrowaniem królestwa i wkrótce znowu zasnęły. Krawczyk wybrał największy kamień, starannie wycelował i trafił pierwszego olbrzyma prosto w nos.

Olbrzym obudził się z rykiem bólu.

— Tego już za wiele! — wrzasnął. — Dłużej tego nie zniosę!

Pchnął drugiego olbrzyma na drzewo, aż się zatrzęsło. Krawczyk przywarł do gałęzi, by nie spaść, i patrzył, jak dwa olbrzymy stają do walki. Uderzały się i kopały, aż w końcu ogarnęła je taka wściekłość, że wyrwały drzewa z korzeniami i zaczęły się nimi okładać. Po chwili oba padły martwe.

Krawczyk zeskoczył na ziemię.

Dobrze, że nie wyrwały drzewa, na którym siedziałem, pomyślał. Musiałbym przeskoczyć na inne jak wiewiórka. Na szczęście w mojej rodzinie mężczyźni zawsze byli zwinni.

Wyciągnął szablę, kilkakrotnie ciął każdego olbrzyma w pierś, a potem wrócił do kawalerzystów czekających na skraju lasu.

— Załatwione — oznajmił. — Wykończyłem ich obu. Przez kilka minut było gorąco, bo wyrwali drzewa i próbowali się bronić. Ale nic im to nie pomogło. Nie mieli szans w walce z człowiekiem, który potrafi zabić siedmiu jednym ciosem.

— Czy Wasza Dostojność jest ranny?

— Nie, nawet mnie nie drasnęli. Cóż, mam trochę podarty mundur, jak widać. Jeśli mi nie wierzycie, idźcie popatrzeć na trupy olbrzymów.

Kawalerzyści wjechali do lasu i znaleźli dwa martwe, zakrwawione ciała, leżące wśród wyrwanych z korzeniami drzew.

Krawczyk wrócił do króla, licząc na nagrodę. Ale król długo się nad wszystkim zastanawiał i zaczął żałować, że obiecał rękę córki temu człowiekowi, który mógł być niebezpieczny.

— Zanim oddam ci córkę i połowę królestwa, powinieneś wykonać jeszcze jedno zadanie godne bohatera — powiedział. —

W lesie żyje straszliwy nosorożec, który wyrządza wielkie szkody. Chciałbym, żebyś go schwytał.

— Drobnostka, Wasza Królewska Mość — odrzekł krawczyk. — Jeden nosorożec to nic w porównaniu z dwoma olbrzymami.

Wziął siekierę i zwój liny i pomaszerował do lasu, znów rozkazując towarzyszącym mu żołnierzom, by zaczekali na niego. Szybko odnalazł nosorożca. Zwierzę popędziło w jego stronę, zamierzając przebić go rogiem. Krawczyk stał nieruchomo, aż nosorożec znalazł się w odległości metra, po czym zwinnie odskoczył w bok. Tuż za plecami miał drzewo. Róg nosorożca wbił się głęboko w pień.

— Ach, ładne z ciebie zwierzątko! — odezwał się krawczyk. — Wpadłeś w pułapkę, prawda?

Obwiązał mu szyję liną i uwolnił róg, rąbiąc siekierą pień drzewa. Bestia stała spokojnie i bez oporu pozwoliła się wyprowadzić z lasu.

Krawczyk zabrał nosorożca do pałacu i podarował królowi.

— Ach... hm... — mruknął król. — Jeszcze jedna sprawa. Zanim poślubisz moją córkę, powinienesz schwytać groźnego odyńca, który niszczy sady i pola. Pomogą ci moi myśliwi.

— Nie będę ich potrzebował — odparł krawczyk.

Spodobało się to myśliwym, bo kilkakrotnie natknęli się na odyńca i nie mieli ochoty znowu go spotkać. Jednak pojechali z krawczykiem, by się popisać. Zatrzymali się na skraju lasu i zaczęli grać w kości, czekając, by razem z nim wrócić do pałacu.

W lesie znajdowała się niewielka kaplica. Krawczyk poszedł do niej i zaczął się, wiedząc, że odyniec poczuje jego zapach i zaszarżuje. Niebawem pojawiła się ogromna bestia i tratując zarośla, ruszyła do ataku. Odyniec miał pysk pokryty pianą i kły ostre jak brzytwy. Ujrzawszy dzika, krawczyk wbiegł do kaplicy, a zwierzę wpadło za nim do środka.

Krawczyk wyskoczył przez okno, pędem okrążył kaplicę i zamknął drzwi, nim odyniec się zorientował, co się dzieje. W ten sposób bestia znalazła się w pułapce. Myśliwi zgotowali krawczykowi owację i dmąc w rogi, wrócili wraz z nim do pałacu.

Bohater udał się do króla, który chcąc nie chcąc musiał wreszcie dotrzymać słowa. Wesele było bardzo uroczyste, choć nikt się szczególnie nie cieszył, i krawczyk został królem.

Wkrótce potem młoda królowa usłyszała, jak mąż woła przez sen: „Chłopcze! Pośpiesz się z tym surdudem! Załataj spodnie albo dostaniesz miarką krawiecką!”.

Nazajutrz poszła do swego ojca.

— Tato, myślę, że mój mąż to po prostu zwykły krawiec — rzekła i opowiedziała ojcu o tym, co mąż wykrzykuje przez sen.

— Podejrzywałem coś takiego — odparł król. — Oto, co zrobimy. Nie zamykaj dziś na klucz drzwi sypialni; będą za nimi czekać moi słudzy. Kiedy tylko twój mąż zaśnie, wyjdź cicho z pokoju, a moi ludzie wejdą do środka, zwiążą go i wsadzą na statek płynący do Chin.

Młodej królowej spodobał się ten plan. Jednak miecznik królewski, niziutki mężczyzna, który bardzo podziwiał krawczyka, podsłuchiwał rozmowę i doniósł mu o spisku.

— Zajmę się tym — powiedział krawczyk. — Zostaw to mnie.

Tego wieczoru położył się o zwykłej porze. Kiedy żona myślała, że zasnęła, ruszyła na palcach w stronę drzwi, ale krawczyk, który tylko udawał, że śpi, zawołał głośno:

— Chłopcze! Szybko uszyj ten surdut i załataj spodnie, bo inaczej dostaniesz miarką krawiecką! Powaliłem siedmiu jednym ciosem, zabiłem dwóch olbrzymów, oswoiłem dzikiego nosorożca, schwytałem wściekłego odyńca! Czy mam się bać kilku zatrwożonych służących stojących za drzwiami?!

Kiedy słudzy to usłyszeli, wpadli w takie przerażenie, że odwrócili się i czym prędzej dali drapaką, jakby ich goniła sfora ogarów. Żaden z nich nigdy więcej nie ośmielił się zbliżyć do krawczyka.

Krawczyk pozostał królem i był nim do końca swoich dni.

* * *

Typ baśni: ATU 1640, *Dzielny krawczyk*

Źródło: opowieść opublikowana w *Wegkürtzer* Martinusa Montanusa (ok. 1557)

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Foma Berennikov*, *Ivan the Simpleton* (*Russian Fairy Tales*); Katharine M. Briggs, *John Glaick, the Brave Tailor* (*Folk Tales of Britain*); Italo Calvino, *Jack Strong, Slayer of Five Hundred* i *John Balento* (*Italian Folktales*)

Popularna opowieść, mająca krewnych w wielu językach. Mały, zwinny, inteligentny bohater, stawiający czoła groźnemu, niezgrabnemu olbrzymowi, zawsze staje się ulubieńcem odbiorców; najbardziej znany przykład to Dawid i Goliat. Wersja braci Grimm jest jedną z najżywszych.

Angielskie przysłowie mówi: „Z dziewięciu krawców będzie jeden mężczyzna”, ale niełatwo zrozumieć dlaczego.

Kopciuszek

Żył raz bogacz, którego żona zachorowała. Kiedy poczuła, że nadchodzi śmierć, wezwała do siebie swoją jedyną córkę i rzekła:

— Drogie dziecko, bądź zawsze dobra, grzeczna i posłuszna, a wtedy Pan Bóg nie pozwoli cię skrzywdzić. Będę patrzyła na ciebie z nieba i pozostanę blisko.

Wypowiedziawszy te słowa, zamknęła oczy i umarła.

Dziewczynka codziennie chodziła na grób matki w pobliżu gołębnika i płakała. Była dobra, grzeczna i posłuszna. Kiedy przyszła zima, grób pokrył się białym całunem śniegu, a gdy wiosenne słońce stopiło śnieg, bogacz poślubił inną kobietę.

Nowa żona miała dwie córki. Były piękne, ale samolubne i pyszne, o twardych sercach. Po ślubie matka i córki wprowadziły się do domu bogacza i nastały ciężkie czasy dla biednej pasierbicy.

— Dlaczego ta głupia gęś ma siedzieć z nami w salonie? — pytały siostry. — Skoro chce jeść chleb, musi na niego zapracować. Niech idzie do kuchni!

Zabrały piękne suknie, które matka dla niej uszyła, i dały jej brzydką szarą sukienkę i drewniane chodaki.

— Nasza księżniczka pięknie się wystroiła! — szydziły, prowadząc ją do kuchni.

Dziewczynka musiała harować od rana do nocy. Wstawała skoro świt, przynosiła wodę ze studni, czyściła kominki, paliła w piecach, gotowała jedzenie i zmywała naczynia. Ale to nie wszystko, bo siostry ciągle starały się uprzykrzać jej życie. Szydziły z niej, wyśmiewały ją przy swoich niemądrych przyjaciółkach i wymyśliły specjalną torturę, która zawsze je bawiła: wrzucały suszony groch lub soczewicę do paleniska, a biedna dziewczyna musiała wybierać z niego ziarna. Wieczorem była bardzo zmęczona, ale czy mogła odpocząć w wygodnym łóżku? Ależ skąd! Musiała spać przy kominku, wśród popiołu i kopciu. Nigdy nie mogła się umyć ani oczyścić, więc zawsze była brudna i usmolona.

Z tego powodu siostry wymyśliły dla niej przezwisko.

— Jak ją nazwiemy? Czarna Buźka?

— Usmolony Zadek?

— Kopciuch?

— Kopciuszek! Tak jest!

Pewnego dnia ojciec musiał pojechać w interesach do miasta i spytał pasierbice, co im przywieźć.

— Suknie! — odpowiedziała pierwsza. — Mnóstwo ślicznych sukni!

— Dla mnie klejnoty! — rzekła druga. — Perły, rubiny i inne szlachetne kamienie!

— A dla ciebie, Kopciuszkule? — spytał.

— Ojczy, przywieź mi pierwszą gałąź, która muśnie twój kapelusz, gdy będziesz wracał do domu.

Ojciec wrócił z miasta z pięknymi sukniemi dla pierwszej pasierbicy i drogimi kamieniami dla drugiej. Kiedy jechał przez las, musnęła mu kapelusz gałązka leszczyny, więc odłamał ją i zabrał dla Kopciuszka.

Podziękowała mu i natychmiast zasadziła ją na grobie matki. Podlewała ją łzami i gałąź wyrosła na piękne drzewo. Doglądała go, chodząc tam trzy razy dziennie, i stało się ulubionym drzewem ptaków — siadały na nim gołębie i gołębice.

Pewnego dnia z pałacu króla przyszło zaproszenie na wielki bal, który miał trwać trzy dni. Zaproszono na niego wszystkie młode damy w królestwie, aby syn króla mógł wybrać sobie narzeczoną. Kiedy dowiedziały się o tym dwie siostry przyrodnie Kopciuszka, wpadły w zachwyty i natychmiast rozpoczęły przygotowania.

— Chodź tu, Kopciuszkule! Pośpiesz się, dziewczyno! Wyszczotkuj mi włosy. Nie tak mocno! Ostrożnie! A teraz wypoleruj sprzączki moich butów! Podciągnij mi suknię pod pachami! Daj mi naszyjnik swojej matki! Upnij mi włosy jak na tym obrazie. Nie, nie tak ciasno, ty idiotko!

I tak dalej, i tak dalej.

Kopciuszek wykonywał wszystkie polecenia, ale był smutny, bo też chciał iść na bal. Zaczął prosić o to macochę.

— Ty?! Na bal?! Za kogo ty się uważasz?! Jesteś brudnym małym kocmołuchem, to wszystko! Myślisz, że potrafiłabyś się zachować na balu w eleganckim towarzystwie?! Nie masz wdzięku, urody ani umiejętności prowadzenia konwersacji! Wracaj do kuchni, dziecko!

Kopciuszek dalej prosił, więc macocha wreszcie straciła cierpliwość i wrzuciła do kominka miskę soczewicy.

— Jeśli w dwie godziny — powiedziała — wybierzesz te ziarna i oddzielisz dobre od złych, możesz iść na bal.

Dziewczyna wyszła tylnymi drzwiami do ogrodu. Stała pod leszczyną i zawołała:

*Ptaki, co latacie po niebie,
Synogarlice i gołębice,
Wzywam was dzisiaj do siebie:
Przebierzcie mi soczewicę!
Rozsypana jest w popiele,
Jest w nim ziaren bardzo wiele!*

Przez drzwi wleciały do kuchni dwie synogarlice i zaczęły wybierać soczewicę z popiołu. Kiwały głowami i dziobały, dziobały, dziobały! A potem przyszyły gołębice leśne, gołębice skalne, turkawki i grzywacze. Dołączyły do synogarlic i również dziobały, dziobały, dziobały! Skończyły w niespełną godzinę, po czym wyleciały.

Kopciuszek zaniósł miskę do macochy, myśląc, że teraz pozwoli jej ona iść na bal.

— Wykluczone! — powiedziała kobieta. — Nie masz sukni i nie umiesz tańczyć. Chcesz, żeby wszyscy się z ciebie śmiali? — Wsypała do kominka dwie miski soczewicy i dodała: — Przebierz te ziarna! Jeśli zajmie ci to mniej niż godzinę, możesz iść na bal!

Nigdy mi się to nie uda, pomyślała dziewczyna.

Znów wyszła przez tylne drzwi, stanęła pod leszczyną i zawołała:

*Ptaki, lećcie do leszczyny,
Wysłuchajcie próśb dziewczyny!
Niechaj białe gołębice
Przebierają soczewicę!
Rozsypana jest w popiele,
Jest w nim ziaren bardzo wiele!*

Po chwili do kuchni wleciały dwie białe gołębice i zaczęły dziobać, dziobać, dziobać! Potem dwa rudziki, potem dwa kosy, potem dwie pliszki, potem dwa drozdy, potem dwa drożdżiki, potem dwa strzyżyki i wszystkie dziobały, dziobały, dziobały!

Nie minęło pół godziny, gdy Kopciuszek zaniósł miski do macochy. Biedna dziewczyna była tak naiwna, że myślała, iż tym razem kobieta się zgodzi.

— Niemożliwe! — prychnęła macocha. — Nie masz ładnych butów. Myślisz, że można iść na bal w drewnianych chodakach? Ludzie uznaliby cię za prostaczkę! Gdyby ktoś nas z tobą zobaczył, spaliłybyśmy się ze wstydu!

I odjechała z dwiema córkami, zostawiając Kopciuszka samego.

Najpierw dziewczyna umyła się od stóp do głów i uczesała, aż nie pozostała ani jedna drobinka popiołu i sadzy. Potem wyszła tylnymi drzwiami i szepnęła do leszczyny:

*Leszczyno, wybiła godzina!
Niedługo bal się zaczyna!
Muszę wyglądać dziś pięknie!
Podaruj mi nową sukienkę!*

— Jakiego koloru? — szepnęły liście.

— Ach, chciałabym suknię koloru gwiazdzistego nieba.

Liście cichutko zaszeleściły i na najniższej gałęzi, tuż koło Kopciuszka, pojawiła się piękna suknia balowa koloru gwiazdzistego nieba i para jedwabnych pantofelków.

— Dziękuję! — szepnął Kopciuszek i wbiegł do domu, by się ubrać.

Suknia i pantofelki pasowały jak ulał. Nie miała lusterka, więc nie wiedziała, że wygląda ślicznie, i kiedy przybyła na bal, była zaskoczona, że wszyscy odnoszą się do niej z ogromną atencją. Ustępowano jej miejsca, damy częstowały ją herbatą, a panowie zapraszali do tańca. Wcześniej rzadko traktowano ją uprzejmie: to, że ludzie ją podziwiają i szukają jej towarzystwa, było dla niej czymś zupełnie nowym.

Jednak nie chciała tańczyć z żadnymi panami, młodymi czy starymi, bogatymi czy przystojnymi. Wstała i poszła do sali balowej, dopiero gdy sam królewicz skłonił się przed nią i zaprosił ją do tańca. Tańczyła lekko i z taką gracją, że wszyscy znieruchomieli i patrzyli na nią z zachwytem, nawet dwie siostry przyrodnie. W ogóle jej nie poznały — myślały, że Kopciuszek śpi w domu przy kominku i że piękna nieznajoma jest księżniczką z dalekiego kraju. Jej uroda dziwnie na nie działała — w ich małych, twardych sercach nie pojawiła się zazdrość, lecz obie czuły jedynie szczerzy podziw.

Ale Kopciuszek nie został długo na balu. Dziewczyna zatańczyła raz z królewiczem i przyrzekła, że będzie już tańczyć tylko z nim, po czym skorzystała z przerwy w muzyce, by się wymknąć i pobiec do domu.

Królewicz podążył za nią, ale pędziła tak szybko, że nie mógł dotrzymać jej kroku. Kiedy dotarli do domu, nagle znikła mu z oczu. Czekał jakiś czas, aż wreszcie pojawił się ojciec dziewczyny.

— Widział pan tajemniczą księżniczkę? — spytał królewicz. — Wydaje mi się, że weszła do gołębnika.

Czyżby to Kopciuszek? — pomyślał ojciec. Przyniósł klucz do gołębnika i otworzył go. W środku nikogo nie było. Królewicz musiał wrócić na bal samotnie.

Kopciuszek wymknął się z gołębnika tylnym wyjściem, zdjął suknię o barwie gwiazdzistego nieba i jedwabne pantofelki, po czym powiesił je na leszczynie. Drzewo zaszeleściło, suknia i buty znikły. Kopciuszek położył się w swoim starym ubraniu koło zimnego kominka. Kiedy macocha i siostry przyrodnie wróciły do domu, obudziły ją i kazały zdjąć sobie gorsety, bo prawie nie mogły oddychać.

— Uf! Teraz lepiej! — powiedziała pierwsza.

— Ach, Kopciuszku, szkoda, że cię tam nie było! — dodała druga.

— Co za sensacja! — ciągnęły. — Na bal przybyła księżniczka z dalekiego kraju. Nikt nie zna jej imienia, a królewicz nie chciał tańczyć z nikim innym. Była tak śliczna, że wprost trudno to sobie wyobrazić. Ciągle ją widzę! Miała cudowną suknię koloru gwiazdzistego nieba. Nie mam pojęcia, skąd wzięła taki strój! W naszym kraju nie ma nikogo, kto potrafiłby uszyć taką suknię. Ach, Kopciuszku, nigdy w to nie uwierzysz, ale sprawiła, że wszyscy wyglądali trochę niemodnie, nawet my!

Następnego dnia siostry spędziły jeszcze więcej czasu na przygotowaniach. Kopciuszek musiał długo szcotokować ich kręcone włosy, jeszcze ciaśniej związać gorsety i wyczyścić pantofelki, by lśniły jak lustro.

Kiedy wyszły z domu, pobiegła do leszczyny i szepnęła:

*Leszczyno, wybiła godzina!
Niedługo bal się zaczyna!
Muszę wyglądać dziś pięknie!
Podaruj mi inną sukienkę!*

— Jakiego koloru? — spytały liście.

— Chciałabym suknię koloru księżycowego światła — odpowiedziała dziewczyna.

Rozległ się szelest i tuż obok niej pojawił się wieszak z suknią koloru księżycowego światła i para srebrnych pantofelków.

— Dziękuję! — szepnęła, włożyła suknię i pośpieszyła na bal.

Tym razem królewicz już na nią czekał, a gdy się pojawiła, natychmiast zaprosił ją do tańca. Nie pozwalał jej tańczyć z innymi kawalerami i powtarzał: „Ta dama tańczy tylko ze mną”.

Wieczór upłynął tak jak poprzedni, choć wśród gości panowało jeszcze większe podniecenie. „Kim jest ta śliczna nieznajoma? — zastanawiali się. — To na pewno księżniczka z wielkiego, bogatego królestwa”. Nikt jej nie znał i nikt z wyjątkiem królewicza nie zauważył, że się wymknęła. Pobiegł w ciemności za dziewczyną i podążał za nią aż do jej domu. W ogrodzie rosła piękna grusza obsypana dojrzałymi owocami. Kopciuszek wspiął się na nią zwinnie i ukrył między gałęziami. Królewicz nie miał pojęcia, co się stało z piękną nieznajomą.

Kiedy ojciec Kopciuszka wrócił do domu, spotkał królewicza w ogrodzie.

— Myślę, że weszła na to drzewo — powiedział młodzieniec.

Przecież to nie mógł być Kopciuszek, pomyślał ojciec.

Wziął siekierę i ściał gruszę, ale między gałęziami nikogo nie było. Kopciuszek zszedł z drugiej strony, zabrał suknię koloru księżycowego światła i powiesił na leszczynie, po czym wszedł do domu i jak zwykle ułożył się do snu przy kominku.

Trzeciego wieczoru wszystko przebiegło tak jak poprzednio. Macocha i przyrodnie siostry pojechały na bal, a Kopciuszek szepnęła do leszczyny:

*Leszczyno, wybiła godzina!
Niedługo bal się zaczyna!
Dziś chcę wyglądać najpiękniej!
Przyślij mi nową sukienkę!*

— Jakiego koloru? — zaszeleściły liście.

— Tym razem chciałabym suknię barwy promieni słonecznych — odpowiedziała dziewczyna.

Drzewo znów zaszeleściło i na ziemię spadła suknia tak piękna, że Kopciuszek z początku nie śmiał jej dotknąć. Była uszyta z czystego złota; lśniła i mieniła się jak poranne słońce. Obok stała para złotych pantofelków.

— Dziękuję! — szepnął Kopciuszek.

Na balu królewicz nie patrzył na nikogo innego. Tańczył z dziewczyną przez cały wieczór i nie odstępował jej ani na krok. Kiedy powiedziała, że musi odejść, chciał jej towarzyszyć, ale się

wymknęła, nim zdążył ją zatrzymać. Jednak tym razem zastawił pułapkę. Kazał służącym rozlać smołę na schodach, a gdy Kopciuszek zbiegał na dół, jeden z maleńkich pantofelków przylepił się do smoły i Kopciuszek musiał go zostawić.

Królewicz podniósł pantofelek. Nie pozwolił go nikomu dotknąć i własnoręcznie oczyścił ze smoły, a wtedy zobaczył, że jest on zrobiony z czystego złota.

Rankiem w całym królestwie wydano obwieszczenie: „Dziewczyna, która zgubiła pantofelek na królewskim balu, może przyjść do pałacu. Jeśli pantofelek będzie pasował na jej stopę, zostanie ona żoną królewicza”.

Z całego królestwa zaczęły przybywać szlachetne damy, służące, chłopki i księżniczki. Przyjeżdżały nawet z zagranicy, ale żadna nie mogła włożyć pantofelka, bo był za mały. W końcu przyszła kolej na przyrodnie siostry Kopciuszka. Tak się złożyło, że miały drobne stopy — kształtne i zgrabne — i każda z nich myślała, że zdoła włożyć pantofelek. Ale na wszelki wypadek matka wzięła pierwszą córkę na bok i szepnęła:

— Jeśli nie będzie pasował, weź nóż i utnij sobie kawałek pięty. Przez chwilę będzie bolało, ale za to zostaniesz królową!

Pierwsza siostra poszła do sypialni przymierzyć pantofelek. Nie mogła wsunąć stopy, więc skorzystała z rady matki i ucięła sobie kawałek pięty. Włożyła pantofelek i wyszła, kulejąc i próbując się uśmiechać.

Królewicz musiał dotrzymać słowa. Uznał ją za swoją narzeczoną i posadził na swojego konia. Ale kiedy odjeżdżał, z leszczyny odezwały się gołębice:

*Tirli! Tirli! Tirli-ri!
W pantofelku pełno krwi!
To nie ona! To nie ona!
To nie narzeczona!*

Królewicz popatrzył na jej stopy i zobaczył, że ptaki mają rację. Z pantofelka kapła krew. Zostawił dziewczynę i odjechał do pałacu.

Matka powiedziała do drugiej siostry:

— Jeśli nie będzie pasował, utnij sobie duży palec. Poczujesz tylko ukłucie, ale za to poślubisz księcia!

Druga siostra postąpiła zgodnie z radą matki, a królewicz posadził ją na konia i już odjeżdżał, gdy z leszczyny znowu odezwały się gołębice:

*Tirli! Tirli! Tirli-ri!
W pantofelku pełno krwi!
Gruba noga! To nie ona!
To nie narzeczona!*

Królewicz odwiózł dziewczynę z powrotem i zwrócił się do ojca Kopciuszka:

— Jestem pewien, że tajemnicza księżniczka weszła do tego domu. Czy masz jeszcze jedną córkę?

— Tak, Kopciuszka, ale to na pewno nie ona — odparł mężczyzna.

— Wykluczone! — wtrąciła macocha. — Nie pozwalamy jej wychodzić, Wasza Królewska Mość. Jest za brudna, by ktoś ją oglądał!

— Skoro macie jeszcze jedną córkę, chcę ją zobaczyć — oznajmił królewicz. — Natychmiast ją przyprowadźcie!

Poszli do kuchni po Kopciuszka. Dziewczyna najpierw musiała się umyć i trzeba było opłukać złoty pantofelek, więc królewicz długo czekał. W końcu weszła do pokoju i dygnęła przed królewiczem, któremu na jej widok mocniej zabiło serce. A ona usiadła i włożyła pantofelek. Okazało się, że pasuje jak ulał.

— Oto moja narzeczona! — zawołał królewicz i uściskał Kopciuszka.

Macocha i siostry przyrodnie zbladły jak kreda i o mało nie zaczęły gryźć palców ze złości i upokorzenia.

Królewicz posadził Kopciuszka na swojego konia i odjechał, a gołębice zaśpiewały na leszczynie:

*Tirli! Tirli! Tirli-ri!
W pantofelku nie ma krwi!
Oto ona! Oto ona!
Piękna narzeczona!*

Później wzbiły się w powietrze i usiadły na ramionach Kopciuszka, jeden po prawej stronie, a drugi po lewej.

Na weselu dwie siostry przyrodnie podlizywały się królewskiej parze, mając nadzieję, że skorzystają na szczęściu Kopciuszka. Kiedy księżę i jego narzeczona weszli do kościoła, starsza siostra ustawiła się po prawej stronie młodej pary, a młodsza po lewej, gdy wtem nadleciały gołębice i wydziobały im oczy.

Za złość i fałsz ukarano je ślepotą do końca życia.

Typ baśni: ATU 510A, *Kopciuszek*

Źródło: anonimowy gawędziarz ze Szpitala św. Elżbiety w Marburgu, z uzupełnieniami Dorothei Viehmann

Podobne baśnie: Giambattista Basile, *The Cat Cinderella (The Great Fairy Tale Tradition*, red. Jack Zipes); Katharine M. Briggs, *Ashpitel, The Little Cinder-Girl, Mossycoat, Rashin Coatie (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *Grattula-Bedattulla (Italian Folktales)*; Charles Perrault, *Cinderella (Perrault's Complete Fairy Tales)*; Neil Philip, *The Cinderella Story* (zawiera dwadzieścia cztery różne wersje baśni o Kopciuszku z doskonałym komentarzem)

Historia Kopciuszka to jedna z najdokładniej przebadanych baśni ludowych. Powstały całe książki na temat tej opowieści i jej wariantów; stała się podstawą najpopularniejszej pantomimy na świecie. Co najważniejsze, zawsze się sprawdza jako utwór literacki.

Kopciuszek zawdzięcza dużą część swojej popularności Charles'owi Perraultowi, którego pomysłowa, czarująca wersja zachwyca czytelników od 1697 roku, gdy opublikowano *Histoires ou contes du temps passé* (Opowieści lub baśnie z minionych wieków; bardziej znane są pod nazwą *Bajki Babci Gąski*, stanowiącą podtytuł książki). Wszyscy uważają, że Perrault pomylił *vair*, futro, z *verre*, szkłem, ale ja w to nie wierzę. Perrault miał dość inwencji, by pomyśleć o szklanym pantofelku, który jest niedorzeczny, niemożliwy, magiczny i nieskończenie głębiej zapada w pamięć niż futro. To również Perrault sprawił, że Kopciuskowi pomaga matka chrzestna (zawsze udziela mu pomocy ucieleśnienie matki, czy jest to leszczyna wyrastająca z grobu prawdziwej matki, koza, krowa, czy gołębica), której funkcja jest oczywista.

Popularnym błędem jest traktowanie tej opowieści jako prostej historii typu „od nędzy do pieniędzy”. W baśni o Kopciuszku pojawiają się nędza i pieniądze, ale Bruno Bettelheim pisze w książce *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni (The Uses of Enchantment, 1976)*, że podstawowy temat to rywalizacja między rodzeństwem, połączona z osiągnięciem przez dziewczynkę dojrzałości seksualnej, symbolizowanej przez małżeństwo. Właśnie dlatego baśniowa matka chrzestna jest taka ważna: zastępuje matkę,

robiąc to, co powinna robić dobra matka, i pomagając Kopciuszkowi ubrać się w sposób przystający do jej piękna duchowego.

Motyw, że suknie Kopciuszka są wielobarwne, zapożyczyłem z brytyjskiej baśni *Mossycoat*, która jest moim zdaniem najlepszą wersją tej opowieści.

W pierwszym wydaniu baśni braci Grimm z 1812 roku przyrodnie siostry nie zostają ukarane. Historia się kończy, gdy gołębice ogłaszają, że Kopciuszek jest prawdziwą narzeczoną królewicza. Karę oślepienia dodano w edycji z 1819 roku i pojawia się ona we wszystkich późniejszych wersjach. Oślepienie dobrze funkcjonuje w tekście literackim, ale byłoby trudne do zniesienia na scenie. To nie *Król Lir*. Złe siostry nie zostają oślepione w pantomimie ani w operach: *Cendrillon* Masseneta (1899) i *Kopciuszek* Rossiniego (1817) kończą się happy endem. W wersji Perraulta, gdzie królujecie słodczy, siostry przyrodnie wychodzą za mąż za królewskich dworzan.

Kopciuszek ma wiele imion. Bracia Grimm nazywają ją *Aschenputtel*, w języku angielskim przyjęło się określenie *Cinderella*. W dzisiejszych domach z centralnym ogrzewaniem bardzo niewiele dzieci widziało kopeć lub spalone węgielki. Kopciuszek brzmi ładnie, ale uznałem, że potrzebny jest również pewien kontekst.

14

Zagadka

Żył raz książę, który wyruszył w podróż po świecie w towarzystwie tylko jednego wiernego sługi. Pewnego dnia wędrowali przez wielki las, a gdy nadszedł wieczór, nie mogli znaleźć schronienia. Nie wiedzieli, gdzie przenocować.

Nagle książę zauważył małą chatkę i idącą ku niej dziewczynę. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że jest młoda i piękna.

Książę dogonił dziewczynę i spytał:

— Powiedz mi, moja panno, czy ja i mój sługa możemy przenocować w tej chacie?

— Tak, możecie, ale myślę, że to niedobry pomysł — odparła smutno dziewczyna. — Na waszym miejscu bym tam nie wchodziła.

— Dlaczego? — spytał książę.

Dziewczyna westchnęła.

— Mieszka tam moja macocha, która para się czarną magią. Co gorsza, nie lubi obcych. Ale skoro musicie wejść, nie jedzcie ani nie pijcie niczego, co wam poda.

Książę zrozumiał, że to chata czarownicy. Ale zapadł już zmrok i nie mogli jechać dalej, a poza tym nie znał strachu. Zapukał i wszedł do chaty.

Przy piecu siedziała w fotelu stara kobieta. Kiedy spojrzała na księcia, jej oczy rozżarzyły się jak węgle.

— Dobry wieczór, młodzi panowie! — rzekła przyjaznym tonem. — Usiądźcie i odpocznijcie.

Roznieciła ogień i zaczęła coś mieszać w małym rondelku. Książę i jego sługa, ostrzeżeni przez dziewczynę, niczego nie jedli ani nie pili. Owinęli się płaszczami i smacznie przespali do rana.

O świcie zaczęli się szykować do odjazdu. Książę siedział już na koniu, gdy starucha wyszła z chaty i powiedziała:

— Zaczekajcie chwilę! Wypijcie strzemiennego! Zaraz przyniosę butelkę trunku!

Kiedy weszła z powrotem do chaty, książę odjechał, ale sługa musiał poprawić popręg i gdy wiedźma pojawiła się z napitkiem, ciągle stał obok swojego konia.

— Proszę! — powiedziała. — Zabierz to dla swojego pana.

Sługa wziął butelkę z rąk staruchy, ale szkło pękło i trunek ochlapał konia. Była to oczywiście trucizna, tak mocna, że biedne zwierzę natychmiast padło martwe. Sługa pobiegł za księciem i powiedział, co się stało. Ruszyliby od razu ze swoim panem, ale nie chciał zostawić siodła, więc wrócił po nie. Kiedy dotarł do martwego konia, zobaczył, że na jego głowie siedzi kruk i wydziobuje mu oczy.

Kto wie, może nie uda się nam dziś znaleźć nic lepszego do jedzenia, pomyślał. Zabił kruka i wziął go ze sobą.

Przez cały dzień krążyli po lesie, lecz nie zdołali się z niego wydostać. Wieczorem natrafili jednak na gospodę, a sługa dał oberżyscie kruka i kazał go przyrządzić na kolację.

Nie wiedzieli, że znaleźli się w kryjówce rozbójników — bandy morderców. Kiedy książę i sługa siadali do posiłku, pojawiło się dwunastu łotrów, którzy zamierzali ich zabić, ale gdy zobaczyli kolację, postanowili najpierw coś zjeść. Był to ich ostatni posiłek, bo ledwie przełknęli łyżkę gulaszu z kruka, padli martwi. Trucizna, od której zginął koń, przeszła do ciała ptaka i wszystkich zabiła.

Widząc, co się stało, oberżysta uciekł i w domu została tylko jego córka. Była dobrą dziewczyną i nie miała nic wspólnego z bandą morderców. Otworzyła ukryte drzwi i pokazała księciu skarby, które zrabowali: stosy złota, srebra i klejnotów. Książę rzekł, by je zatrzymała: nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

I wraz ze swoim sługą ruszył w dalszą drogę.

Przez długi czas podróżowali, aż pewnego dnia przybyli do miasta, gdzie mieszkała bardzo piękna, lecz bardzo dumna księżniczka. Ogłosiła, że poślubi tego, kto zada jej zagadkę, której ona nie zdoła rozwiązać. Jednak jeśli znajdzie rozwiązanie i potwierdzi to dwunastu mędrców, autor zagadki zostanie ścięty. Mogła się zastanawiać przez trzy dni, ale była tak bystra, że zawsze znajdowała odpowiedzi długo przed czasem. Jak dotąd zgłosiło się dziewięciu mężczyzn i każdy zginął z rąk kata.

Ale książę się tym nie przejął. Uroda księżniczki tak go oczarowała, że był gotów zaryzykować życie. Poszedł do pałacu i powiedział:

— Zabił jednego, a jednak dwunastu. Co to takiego?

Księżniczka nie miała pojęcia, o co chodzi. Myślała i myślała, lecz nic nie wymyśliła. Zaglądała do ksiąg z zagadkami, ale nigdzie nie

znalazła odpowiedzi. Wydawało się, że wreszcie natrafiła na problem, którego nie rozwiąże.

Nie zamierzała się poddać, więc tej samej nocy wysłała pokojówkę, by zakradła się do sypialni księcia i uważnie słuchała wszystkiego, co młody człowiek mówi przez sen — mógłby zdradzić rozwiązanie zagadki. Ale nic z tego nie wyszło, bo miejsce księcia zajął jego sługa, a gdy pojawiła się pokojówka, zerwał z niej szatę i przegonił ją kijem. Ten plan się nie powiódł.

Drugiej nocy księżniczka wysłała inną pokojówkę w nadziei, że bardziej dopisze jej szczęście. Służący znów zerwał z niej szatę i przegonił ją jeszcze grubszym kijem. To także się nie powiodło.

Trzeciej nocy książę postanowił osobiście zobaczyć, co się stanie. Tym razem przyszła sama księżniczka. Miała na sobie piękną szatę, zwiewną jak szara mgiełka. Usiadła cicho na łóżku, czekając, aż książę zapadnie w sen.

— Zabił jednego. O co tu chodzi? — szepnęła.

— Kruk zjadł ciało otrutego konia i umarł — odpowiedział książę, który wcale nie spał.

— A jednak zabił dwunastu. Co to znaczy?

— Dwunastu morderców zjadło gulasz przyrządzony z kruka i umarło.

Księżniczka była pewna, że poznała rozwiązanie zagadki, i próbowała po cichu odejść, ale książę chwycił jej szatę i trzymał tak mocno, że musiała ją zostawić.

Nazajutrz rano księżniczka ogłosiła, że rozwiązała zagadkę. Posłała po dwunastu mędrców i wyjaśniła jej znaczenie. Wydawało się, że los księcia jest przesądzony, ale młodzieniec poprosił, by go wysłuchano.

— Księżniczka przyszła do mojej sypialni, myśląc, że śpię, i spytała o rozwiązanie zagadki — powiedział. — Inaczej nigdy by go nie znalazła.

Mędracy się naradzili i pytali:

— Czy masz jakieś dowody?

Po chwili sługa księcia przyniósł trzy szaty. Kiedy zobaczyli zwiewną jak mgiełka szatę, którą nosiła wyłącznie księżniczka, zwrócili się do niej:

— Każ ozdobić tę szatę złotym i srebrnym haftem, Wasza Wysokość, bo będzie to twoja suknia ślubna. Młody człowiek zwyciężył!

* * *

Typ baśni: ATU 851, *Księżniczka, która nie potrafi rozwiązać zagadki*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Princess Who Wanted to Solve Riddles (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *The Young Prince (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Son of the Merchant from Milan (Italian Folktales)*

To bardzo rozpowszechniony typ baśni, której wariant pojawia się na przykład w operze Pucciniego *Turandot* z 1926 roku. Wersja braci Grimm jest znacznie lepsza od większości innych ze względu na swoją prostotę i przejrzystą trzyczęściową strukturę. Prostota i przejrzystość to wielkie zalety baśni. Historia ta pochodzi od Dorothei Viehmann, handlarki owoców z Zwehrn koło Kassel, gdzie mieszkali bracia Grimm. Opowiedziała im kilka bajek, których część znajduje się w niniejszym zbiorze. Posiadała rzadką umiejętność prowadzenia narracji w sposób żywy i potoczny, a następnie powtarzania opowieści zdanie po zdaniu, by Grimmowie mogli dokładnie wszystko zanotować. Oddali jej hołd w przedmowie do pierwszego wydania:

Ci, co sądzą, że historie przekazywane ustnie są nieustannie fałszowane, że ulegają zniekształceniom wskutek niedbalstwa i że wygłaszanie długich opowieści jest z zasady niemożliwe, powinni mieć okazję usłyszeć, jak dokładnie trzyma się ona fabuły i jak bardzo się stara opowiedzieć ją poprawnie. Kiedy coś powtarza, nigdy nie zmienia treści i poprawia błąd, gdy tylko go zauważy, nawet jeśli musi sama sobie przerwać.

(Cytowane w przekładzie przez Marię Tatar
w *The Hard Facts of the Grimms' Fairy Tales*)

Mysz, ptak i kielbasa

Mysz, ptak i kielbasa postanowili zamieszkać razem. Przez długi czas żyli szczęśliwie, starczało im na życie i mogli nawet coś zaoszczędzić. Ptak codziennie leciał do lasu i dostarczał chrust na opał, mysz przynosiła wodę ze studni, paliła w piecu i nakrywała do stołu, a kielbasa gotowała.

Ale nigdy nie jesteśmy zadowoleni ze swojego losu i zawsze uważamy, że mógłby być lepszy. Któregoś dnia ptak spotkał w lesie innego ptaka i zaczął się chwalić swoim przyjemnym życiem. Na co tamten nazwał go żalonym naiwniakiem.

— O co ci chodzi?

— A kto wykonuje lwią część pracy? Ty. Musisz latać tam i z powrotem, dźwigając ciężkie gałązki, a mysz i kielbasa się nie przepracowują. Wykorzystują cię, to jasne.

Ptak zaczął się zastanawiać. To prawda, że gdy mysz rozpaliła ogień i przyniosła wodę, zwykle szła do swojego małego pokoiku i uciniała sobie drzemkę, nim musiała wstać i nakryć do stołu. Kielbasa spędzała większość czasu przy rondlu, pilnując gotujących się warzyw, a od czasu do czasu wskakiwała do zupy, by nadać jej smak. Jeśli zupę trzeba było lepiej przyprawić, pływała szybciej. Na tym polegała cała jej praca. Kiedy ptak wracał do domu z gałązkami, układał je schludnie koło pieca, zjadał posiłek, a potem spał smacznie aż do następnego ranka. Tak wyglądało ich życie i czuli się doskonale.

Jednak ptak nie mógł przestać myśleć o słowach drugiego ptaka i nazajutrz rano odmówił pójścia po drewno.

— Już za długo haruję dla was jak niewolnik — oświadczył. — Chyba bierzecie mnie za głupca! Najwyższy czas, byśmy podzielili obowiązki sprawiedliwiej.

— Przecież wszystko funkcjonuje bardzo dobrze! — odpowiedziała mysz.

— Tak sądzisz?

— Poza tym nasze obowiązki pasują do indywidualnych talentów każdego z nas — zauważyła kielbasa.

— Tak się wydaje tylko dlatego, że nigdy nie próbowaliśmy niczego zmienić.

Mysz i kielbasa nadal oponowały, ale ptak nie dał się przekonać. W końcu przyjaciele urządzili losowanie. Zbieranie chrustu przypadło kielbasie, mysz miała gotować, a ptak przynosić wodę i palić w piecu.

Do czego to doprowadziło?

Kiedy kielbasa poszła nazbierać chrustu, ptak rozpałił ogień, a mysz postawiła rondel na piecu. Później czekali na powrót kielbasy z pierwszą partią gałązek, ale nie było jej tak długo, że zaczęli się o nią martwić, więc ptak poleciał sprawdzić, czy nic się nie stało.

Niedaleko domu spotkał oblizującego się ze smakiem psa.

— Widziałeś może kielbasę?

— Tak, przed chwilą ją zjadłem. Pycha!

— Co takiego?! Jak mogłeś to zrobić?! To okropne! Każę cię aresztować!

— Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Kielbasa nie podlega ochronie prawnej.

— Oczywiście, że to przestępstwo! Nic ci nie zrobiła, tylko po prostu szła po chrust! To zwykłe morderstwo!

— Mylisz się, kolego. Miała przy sobie fałszywe dokumenty, a to zbrodnia karana śmiercią.

— Fałszywe dokumenty?! Jeszcze nigdy nie słyszałem czegoś równie niedorzecznego! Gdzie one są? Gdzie te dokumenty?!

— Także je zjadłem.

Ptak nie mógł nic zrobić. Nie miał żadnych szans w walce z psem. Wrócił do domu i opowiedział myszy, co się stało.

— Zjedzona?! — zawołała mysz. — Ach, to okropne! Będzie mi jej bardzo brakowało!

— To bardzo smutne. Musimy sobie jakoś radzić bez kielbasy — odparł ptak.

Nakrył do stołu, a mysz kończyła gotować zupę. Przypomniała sobie, z jaką łatwością kielbasa pływała w kółko w rondlu, by dodać smaku potrawie, i pomyślała, że może zrobić to samo. Weszła na rączkę rondla i wskoczyła do zupy, ale była ona za gorąca i mysz się ugotowała, a może nie potrafiła pływać i się utopiła — tak czy inaczej zginęła.

Kiedy ptak zauważył, że zupa warzywna zaczyna bulgotać i że pływa w niej martwa mysz, wpadł w panikę. Właśnie rozpałił ogień

na kominku, a szok i przerażenie sprawiły, że upuścił płonące polana na podłogę i podpalił dom. Popędził do studni, by przynieść trochę wody, którą mógłby ugasić ogień, ale noga zaplątała mu się w linie. Kiedy wiadro zaczęło zjeżdżać do studni, poleciał wraz z nim w dół. Utonął i taki był koniec trójki przyjaciół.

* * *

Typ baśni: ATU 85, *Mysz, ptak i kielbasa*

Źródło: opowieść opublikowana w *Wunderliche und Wahrhaftige Gesichte Philanders von Sittewald* (Cudowna prawdziwa historia Philandera von Sittewalda, 1650) Hansa Michaela Moscheroscha

W odróżnieniu od [kota i myszy](#) te istoty pasują do siebie jako mieszkańcy jednego domu. Mogłyby bardzo długo żyć szczęśliwie pod jednym dachem, gdyby ptak nie poczuł się niezadowolony. To morał tej historii, lecz podobnie jak opowieść o kocie i myszy, jest ona czymś w rodzaju bajki zwierzęcej, więc należy się spodziewać morału.

Niektórzy dociekliwi czytelnicy mogliby spytać, o jaki gatunek kielbasy chodzi. Według źródeł internetowych, w Niemczech istnieje przeszło tysiąc pięćset gatunków kielbasy. Która z nich może się odznaczać takim zamiłowaniem do życia domowego? Cóż, na pewno *bratwurst*. Ale wyraz *bratwurst* nie jest tak zabawny jak słowo „kielbasa”. Według sławnego komika, którego imienia zapomniałem, „kielbasa” (ang. *sausage*) to najśmieszniejsze słowo w języku angielskim. Opowieść na pewno miałaby inny wydźwięk, gdyby opowiadała o myszy, ptaku i kotlecie jagnięcym.

Czerwony Kapturek

Żyła raz mała dziewczynka, która była taka słodka i dobra, że wszyscy ją uwielbiali. Babcia, która bardzo ją kochała, dała jej czepek z czerwonego z aksamitu, a dziewczynka ładnie w nim wyglądała i stale go nosiła. Dlatego nazywano ją Czerwonym Kapturkiem.

Pewnego dnia matka rzekła do dziewczynki:

— Czerwony Kapturku, mam dla ciebie zadanie. Twoja babcia źle się czuje i chcę, żebyś jej zaniosiła ciasto i butelkę wina. To ją postawi na nogi. Ucałuj babcię ode mnie i zachowuj się grzecznie. A idąc przez las, bądź ostrożna, nie schodź ze ścieżki i uważaj, żebyś się nie potknęła, nie stłukła butelki i nie upuściła ciasta, bo wtedy babcia nic nie dostanie. Jak wejdziesz, powiedz: „Dzień dobry, babciu!” i nie szperaj tam po kątach.

— Zrobię wszystko jak trzeba, nie martw się, mamo — odpowiedział Czerwony Kapturek i pocałował matkę na pożegnanie.

Babcia mieszkała w lesie, pół godziny drogi od domu dziewczynki. Czerwony Kapturek szedł zaledwie kilka minut, gdy nagle zastąpił mu drogę wilk. Dziewczynka nie wiedziała, że to złe zwierzę, więc się go nie bała.

— Dzień dobry, Czerwony Kapturku! — odezwał się wilk.

— Dzień dobry, wilku!

— Dokąd idziesz tak wcześnie rano?

— Do domu babci.

— A co niesiesz w koszyku?

— Babcia źle się czuje, więc niosę jej ciasto i trochę wina. Wczoraj upiekliśmy ciasto z mąki i jajek. Kiedy babcia je zje, nabierze sił i poczuje się lepiej.

— Gdzie mieszka twoja babcia, Czerwony Kapturku?

— Muszę iść tą ścieżką aż do trzech dużych dębów. Dom babci jest za żywopłotem z leszczyn. To niedaleko, chyba kwadrans drogi stąd. Na pewno znasz to miejsce — powiedział Czerwony Kapturek.

Ta delikatna dziewczynka wygląda pysznie, pomyślał wilk. Będzie smaczniejsza od staruszki, ale jeśli się postaram, zjem jedną i drugą.

Przez pewien czas siedł razem z Czerwonym Kapturkiem, aż w końcu rzekł:

— Spójrz na te kwiaty, Czerwony Kapturku! Czyż nie są śliczne? Zwłaszcza tamte, rosnące pod drzewami. Dlaczego nie podejdziesz bliżej, by się im przyjrzeć? Wyglądasz, jakbyś szła do szkoły, poważna i zamyślona. Będąc w takim nastroju, nigdy nie usłyszysz śpiewu ptaków. W lesie jest tak pięknie! Wstyd nie zwracać na to uwagi!

Czerwony Kapturek spojrział na miejsce wskazane przez wilka. Kiedy zobaczył promienie słońca tańczące między drzewami i piękne kwiaty dokoła, pomyślał: Mogłabym nazbierać dla babci trochę kwiatów! Będzie bardzo zadowolona. Jest jeszcze wczesnie; zdążę to zrobić i wrócić do domu na czas.

Zeszła ze ścieżki i skręciła między drzewa. Kiedy zrywała kwiat, za każdym razem dostrzegała trochę dalej jeszcze ładniejszy i podchodziła, by też go zerwać. I tak zapuszczała się coraz głębiej w las.

Czerwony Kapturek zrywał kwiaty, a tymczasem wilk pobiegł prosto do chatki babci i zapukał do drzwi.

— Kto tam?

— Czerwony Kapturek — odpowiedział wilk. — Przyniosłam ci trochę ciasta i wina, babciu! Otwórz drzwi!

— Po prostu podnieś haczyk — odrzekła babcia. — Jestem za słaba, by wstać z łóżka.

Wilk podniósł haczyk i drzwi się otworzyły. Wszedł do środka, rozejrzał się po chatce, by zobaczyć, gdzie jest staruszka, a potem doskoczył do niej i połknął ją w całości. Później włożył jej koszulę nocną i czepek, zaciągnął zasłony i wgramolił się do łóżka.

W tym czasie dziewczynka wciąż zrywała kwiaty. Kiedy zebrała ich już cały bukiet, przypomniała sobie, co miała zrobić, i ruszyła ścieżką do chatki babci. Gdy znalazła się na miejscu, trochę się zdziwiła, bo drzwi były otwarte i w środku panował mrok.

O Boże, nie podoba mi się to, pomyślała. Boję się, choć zwykle dobrze się czuję u babci.

— Dzień dobry! — zawołała, lecz nikt nie odpowiedział.

Podeszła do łóżka i rozsunęła zasłony. Staruszka leżała w łóżku. Miała na głowie czepek i wyglądała bardzo dziwnie.

— Ach, babciu, jakie masz wielkie uszy!

— Żeby cię lepiej słyszeć.

- Oj, babciu, jakie masz wielkie ręce!
- Żeby cię mocniej tulić.
- Och, babciu, jakie masz wielkie, przerażające zęby...
- Żeby cię zjeść!

Wypowiedziawszy te słowa, wilk wyskoczył z łóżka i połknął Czerwonego Kapturek. Kiedy go pożarł, poczuł się syty i zadowolony, a ponieważ łóżko było wygodne i miękkie, położył się na nim i zapadł w głęboki sen. I zaczął strasznie głośno chrapać.

Kilka minut później obok chatki babci przechodził myśliwy.

Bardzo głośno dziś chrapie ta staruszka, pomyślał. Lepiej pójde zobaczyć, czy dobrze się czuje.

Wszedł do chatki, a gdy zbliżył się do łóżka, ze zdumienia stanął jak wryty.

Ach, to ty, stary łotrze, pomyślał. Długo cię szukałem i wreszcie znalazłem!

Uniósł strzelbę, lecz zaraz ją opuścił, bo przyszło mu do głowy, że wilk mógł pożreć staruszkę i może uda się ją uratować. Odłożył strzelbę i wziął nożyce, po czym zaczął rozcinać pękaty brzuch wilka. Po dwóch cięciach zobaczył czerwony aksamitny czepek, a gdy rozciął brzuch dalej, wyskoczyła z niego dziewczynka.

— Ach, to okropne! — zawołała. — Byłam taka przerażona! W brzuchu wilka było bardzo ciemno!

Po chwili z brzucha wygramoliła się babcia, nieco zdyszana, lecz cała i zdrowa. Myśliwy pomógł jej usiąść w fotelu, a Czerwony Kapturek wybiegł na dwór i przyniósł kilka ciężkich kamieni. Napełnili nimi brzuch wilka, po czym Czerwony Kapturek ładnie go zaszył. W końcu obudzili bestię.

Widząc myśliwego ze strzelbą, wilk wpadł w panikę i wybiegł na dwór, ale nie uciekł daleko. Kamienie tak mu ciążyły, że wkrótce padł martwy.

Wszyscy troje byli bardzo zadowoleni. Myśliwy zdarł z wilka skórę i zabrał ją do domu, babcia zjadła ciasto i wypła wino, a Czerwony Kapturek pomyślał: Cudem uniknęłam śmierci! Dopóki żyję, nigdy więcej nie zejde ze ścieżki! Będe zawsze słuchać mamy!

* * *

Typ baśni: ATU 333, *Czerwony Kapturek*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Jeanette i Marie Hassenpflug

Podobne baśnie: Italo Calvino, *The False Grandmother, The Wolf and the Three Girls (Italian Folktales)*; Charles Perrault, *Little Red Riding Hood (Perrault's Complete Fairy Tales)*

Przypuszczam, że [Czerwony Kapturek](#) i [Kopciuszek](#) to najbardziej znane bajki (przynajmniej w Wielkiej Brytanii); obie zawdzięczają dużą część swojej popularności Charles'owi Perraultowi (por. [nota do Kopciuszka](#)). Jego wersja różni się od wersji braci Grimm głównie tym, że kończy się pożarciem Czerwonego Kapturka przez wilka. Dzielny myśliwy nie ratuje dziewczynki; zamiast tego pojawia się moralizujący wierszyk, który ostrzega, że nie wszystkie wilki wyglądają groźnie — niektóre potrafią uwodzić gładkimi słówkami.

Myśliwy to interesujący szczegół. Niemieckie lasy nie były bezpiecznym pustkowiem: często należały do ludzi o tytułach książęcych. Po okresie wielkiego niszczenia lasów w związku ze wzrostem zapotrzebowania na drewno do budowy okrętów i koniecznością tworzenia pól uprawnych i pastwisk, by wyżywić armie uczestniczące w wojnie trzydziestoletniej, właściciele lasów oczekiwali od nich przede wszystkim przyjemności i rozrywek — jednym słowem, polowań. Jak pisze John Eliot w mającej się ukazać pracy na temat Jana Sebastiana Bacha: „Jeśli chodzi o wpływ na sposób zarządzania lasami [należącymi do książąt], myśliwi byli ważniejsi od zawodowych leśniczych (podobnie jak obecnie gajowi i opiekunowie bażantów są ważniejsi od drwali)”.

Być może leśnik, mniej pewny siebie w kontakcie z dzikimi zwierzętami niż myśliwy i rzadziej noszący strzelbę, odszedłby po cichu, na palcach, od śpiącego wilka i pozostawił Czerwonego Kapturka i babcię w jego brzuchu.

Bez względu na to, jakie jest tego prawdopodobieństwo, zarówno Perrault, jak i bracia Grimm kładą nacisk na konwencjonalną burżuazyjną moralność. W wersji braci Grimm Czerwonemu Kapturkowi nie trzeba moralizatorsko przypominać, by nie zbaczal ze ścieżki — sam o tym wie. (W okresie historycznego strachu przed pedofilią baśń tę często wykorzystywano, by ostrzegać dzieci przed zagrożeniami ze strony obcych). Nigdy więcej z niej nie zoczy.

Sławny sztych Gustave'a Dorého przedstawiający Czerwonego Kapturka w łóżku z wilkiem, opublikowany w 1863 roku jako ilustracja baśni Perraulta, przypomina nam, skąd się bierze część siły tej opowieści: wilki są seksowne. Podobnie jak lisy, o czym wiedziała Beatrix Potter, tworząc i rysując uprzejmego

„dżentelmena o bokobrodach koloru piasku” z *Kaczki Tekli Kałużyńskiej* (*The Tale of Jemima Puddle-Duck*, 1908), swojej własnej wersji bajki o Czerwonym Kapturku. Perrault natychmiast by go rozpoznał.

Powab bohaterki w najbardziej wyrazisty sposób podsumował Charles Dickens. Cytuje go Bruno Bettelheim: „Czerwony Kapturek był moją pierwszą miłością. Czuję, że gdybym mógł go poślubić, osiągnąłbym idealne szczęście” (*Cudowne i pożyteczne: o znaczeniach i wartościach baśni*; cyt. za *The Uses of Enchantment*, str. 23).

Muzykanci z Bremy

Żył raz człowiek, który miał osła. Przez wiele lat osioł bez słowa skargi dźwigał do młyna worki zboża, a gdy w końcu opuściły go siły i nie mógł już pracować tak ciężko jak dawniej, jego pan uznał, że pora przestać go karmić. Osioł to zauważył i bardzo mu się to nie spodobało, więc uciekł i ruszył gościńcem do Bremy. Postanowił zostać muzykantem.

Przez jakiś czas wędrował, aż napotkał psa myśliwskiego leżącego na gościńcu. Pies dyszał, jakby przebiegł wiele kilometrów.

— Dlaczego tak dyszysz, ogarze? — spytał osioł.

— Cóż, starzeję się i nie potrafię biegać tak szybko jak dawniej — odparł pies. — Mój pan doszedł do wniosku, że do niczego się nie nadaję, i chciał mnie zabić, więc uciekłem. Nie wiem, jak zarobić na życie, i jestem głodny.

— Coś ci powiem — rzekł osioł. — Jestem mniej więcej w tej samej sytuacji, ale mam plan. Idę do Bremy, bo dobrze tam płacą muzykantom. Chodź ze mną i też zostań muzykantem. Zamierzam grać na lutni, co wydaje mi się dość łatwe, a ty możesz grać na bębnie.

— To bardzo dobry pomysł — stwierdził pies i przyłączył się do osła.

Wędrowali przez jakiś czas, aż zobaczyli kota, który siedział na skraju gościńca z bardzo ponurą miną.

— Masz kłopoty, kocie? — spytał osioł.

— Ach, wpadłem w potworne tarapaty! — odpowiedział kot. — Trochę się postarzałem. Pewnie tego nie zauważyliście, lecz nie jestem już taki młody jak dawniej, a moje zęby zrobiły się tępe. Kiedyś łapałem myszy, szczury i inne gryzonie, ale teraz wolę leżeć przy piecu i drzemać. Moja pani chciała mnie utopić, więc uciekłem. Nie mam pojęcia, co robić. Macie jakieś pomysły?

— Chodź z nami do Bremy — rzekł osioł. — Zamierzamy zostać muzykantami. Potrafisz ładnie śpiewać: wiele razy słyszałem cię po

nocach. Przyłącz się do nas!

Kot uznał to za bardzo dobry pomysł i zaczęli wędrować razem. Po pewnym czasie dotarli do gospodarstwa. Na dachu stał kogut i piał z całych sił.

— Dlaczego piejesz? — spytał osioł. — Ranek już minął.

— Przepowiadam pogodę — odparł kogut. — Dziś Dzień Zwiastowania, gdy Matka Boska pierze koszulki Dzieciątka Jezus i wiesz je, żeby wyschły. Oznajmiam, że będzie sucho i słonecznie. Można by pomyśleć, że gospodarze powinni być mi wdzięczni, ale wcale nie są. Jutro będą mieli gości i chcą mnie zjeść. Żona gospodarza powiedziała kucharce, że dziś wieczorem odrąbie mi głowę. Zamierzam pisać i pisać, dopóki starczy mi sił.

— Cóż, przykra sprawa — odezwał się osioł. — A może pójdziesz z nami do Bremy? Chcemy zostać muzykantami. Masz piękny głos, a kiedy wystąpimy razem, wszyscy będą zachwyceni.

Kogut się zgodził. Wyruszyli w drogę, ale nie mogli dotrzeć do Bremy w ciągu jednego dnia i wieczorem postanowili przenocować w lesie, przez który wędrowali. Osioł i pies położyli się pod wielkim drzewem, kot usadowił się na jego gałęzi, a kogut pofrunął na sam czubek. Po chwili wrócił na dół z nowinami. Przed zaśnięciem rozejrzał się po okolicy — popatrzył na północ, południe, wschód i zachód i stwierdził, że w pobliżu musi być dom, bo zauważył światło.

— Dobrze, chodźmy tam — powiedział osioł. — Na pewno nie będzie nam gorzej niż tutaj.

— Jeśli to dom, może znajdzie się w nim parę kości z resztkami mięsa — dodał pies.

Ruszyli w stronę światła i wkrótce zobaczyli je między drzewami. Stawało się coraz większe, aż znaleźli się na wprost niego. Osioł, najwyższy z nich, podszedł do okna i zajrzał do środka.

— Co widzisz, ośle? — spytał kogut.

— Stół zastawiony smacznymi potrawami i trunkami, ale...

— Ale co?

— Przy stole siedzi dwunastu rozbójników i strasznie się opychają.

— Szkoda, że to nie my! — rzekł z westchnieniem kogut.

Zaczęli dyskutować, jak się pozbyć rozbójników, i wymyślili plan: osioł oprze przednie nogi o parapet, pies stanie na ośle, kot na psie, a kogut na kocie. A potem zaśpiewają. Przygotowali się, osioł dał znak i zaczęli śpiewać najgłośniej, jak potrafili: osioł ryczał, pies

szczełał, kot miauczał, a kogut piał. Kiedy skończyli, wskoczyli przez okno do domu, rozbijając szybę i robiąc straszliwy hałas.

Rozbójnicy zerwali się na równe nogi, myśląc, że to sam diabeł, a przynajmniej duch, i w okropnym strachu uciekli do lasu. Czterej muzykanci usiedli przy stole i zaczęli pałaszować, jakby od miesiąca nic nie jedli.

Kiedy skończyli posiłek, poczuli się zmęczeni po całodziennym wędrówce, więc poszli spać. Każdy znalazł miejsce, które najbardziej mu odpowiadało: osioł położył się obok stosu łąna przed domem, pies zwinął się w kłębek za drzwiami, kot wyciągnął się przy kominku, a kogut przysiadł na belce pod sufitem.

O północy rozbójnicy, którzy obserwowali dom z pewnej odległości, zauważyli, że światło zgasło.

— Nie powinniśmy byli dać się tak łatwo przepędzić — powiedział herszt. — Nie świadczy to zbyt dobrze o naszej odwadze, prawda? Idź tam i zobacz, co się dzieje, Lewak.

Lewak podkradł się do domu. Nic nie słyszał, więc wszedł na palcach do kuchni i rozejrzał się. Zauważył czerwone kocie oczy, które wziął za żarzące się węgielki. Zapalił zapalną, by rozniecić ogień na kominku, i niechcący dotknął nią kociego nosa.

Oczywiście kotu się to nie spodobało. Skoczył, piszcząc i plując, i pazurami podrapał bandycie twarz.

— Aaaa! — wrzasnął Lewak i popędził w stronę drzwi.

Potknął się o psa, który zatopił zęby w jego łydce.

— Uuuu! — zawył rozbójnik i wybiegł na podwórze.

Wyrwany ze snu osioł kopnął go mocno w zadek.

— Eeeee! — krzyknął Lewak, co obudziło koguta, który zapiął: „Kukuryku!”. — Neeeeee! — ryknął Lewak i popędził do lasu, lękając się o własne życie.

— Co się stało?! Co się tam dzieje?! — spytał herszt.

— Nie możemy tam wrócić! — zawołał Lewak. — W kuchni jest okropna wiedźma, która podrapała mnie pazurami! Za drzwiami czai się człowiek z nożem i dźgnął mnie w nogę! A przed domem stoi potężny drab z pałąką, który walnął mnie tak mocno, że chyba złamał mi krzyż! Na dachu siedzi sędzia. Kiedy mnie zobaczył, krzyknął: „Przyprowadzić skazanego!”. Więc uciekłem co sił w nogach!

Od tamtej pory rozbójnicy nigdy nie odważyli się wrócić do tego domu. A czterej muzykanci z Bremy tak bardzo go polubili, że już w nim pozostali. Ciągle tam mieszkają, a ich historia stała się sławna.

* * *

Typ baśni: ATU 130, *Zwierzęta nocujące w domu*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Haxthausenów i Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *The Bull, the Tup, the Cock and the Steg, How Jack Went to Seek His Fortune (Folk Tales of Britain)*

Biedne stare zwierzęta, które przestały być potrzebne i marzą, by zostać muzykantami w Bremie, w końcu triumfują, i bardzo dobrze. Lubię tę bajkę z powodu jej prostoty i siły. Kiedy opowieść jest ukształtowana tak dobrze, że wydaje się, iż linia narracji nie może biec inaczej, a każde ważne wydarzenie prowadzi do finału, można tylko z szacunkiem skłonić głowę przed narratorem.

Śpiewająca kość

Dawno, dawno temu w pewnym królestwie pojawił się straszliwy odyniec, który niszczył pola uprawne, rozszarpał swymi kłami bydło i ludzi. Król wyznaczył wielką nagrodę za uwolnienie kraju od bestii, ale zwierzę było tak ogromne i potężne, że nikt nie ośmielał się zbliżyć do lasu, w którym mieszkało. W końcu król oznajmił, że ten, kto zabije lub schwyta odyńca, poślubi jego jedyną córkę.

W królestwie żyło dwóch braci, synów ubogiego człowieka, którzy oświadczyli, że wykonają to straszne zadanie. Starszy brat, przebiegły i sprytny, zrobił to z pychy, lecz młodszym, prostym i niewinnym, kierowało dobre serce.

— Jeśli chcecie mieć pewność, że znajdziecie odyńca, powinniście wejść do lasu z przeciwnych stron — rzekł król.

Bracia posłuchali jego rady — starszy wszedł do lasu od zachodu, a młodszy od wschodu.

Młodszy brat szedł przez kilka minut, gdy wtem na ścieżce pojawił się mały człowieczek niosący czarną włócznię.

— Dam ci tę włócznię, bo masz czyste serce — powiedział. — Możesz zabić nią odyńca, na pewno ci się uda. Nie spotka cię nic złego.

Młodszy brat podziękował człowieczkowi i zapuścił się głębiej w las, niosąc włócznię na ramieniu. Wkrótce napotkał wielką bestię. Odyniec go zaatakował, ale młodszy brat trzymał mocno włócznię i pędzące zwierzę, zaślepione szałem, nadziało się na nią. Grot włóczni przebił mu serce.

Młody człowiek zarzucił sobie odyńca na plecy i ruszył w drogę powrotną. Zamierzał zanieść zwierzę do króla, ale gdy dotarł do skraju lasu, napotkał oberżę, w której trwała wesoła zabawa. Wśród śpiewających i tańczących ludzi był jego starszy brat. Miał on nikczemny charakter i bał się wejść do lasu. Uznał, że odyniec może poczekać, i postanowił napić się wina, by nabrać odwagi. Kiedy

zobaczył młodszego brata wychodzącego z lasu z odyńcem na plecach, w jego złym sercu obudziła się zazdrość.

— Bracie! — zawołał. — Dokonałeś wielkiego czynu! Gratuluję! Chodź i usiądź, wypijmy za twoje zwycięstwo!

Młody człowiek w swojej naiwności niczego nie podejrzewał. Opowiedział bratu o małym człowieczku i czarnej włóczni, którą zabił dzika.

Zostali w oberży do wieczora, a potem wyruszyli razem. Kiedy zapadł zmrok, dotarli do mostu na strumieniu.

— Idź pierwszy — powiedział starszy brat.

Młodszy brat poszedł przodem. Kiedy znalazł się na środku mostu, starszy brat uderzył go mocno w głowę, zabijając na miejscu. Zakopał ciało na brzegu strumienia, zarzucił odyńca na plecy i zaniósł do króla.

— Zabiłem bestię, ale nie widziałem swojego biednego brata — skłamał. — Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Król dotrzymał słowa i starszy brat poślubił królową. A po pewnym czasie, gdy młodszego brata ciągle nie było, powiedział:

— Obawiam się, że odyniec go rozszarpał! Ach, mój biedny brat!

Wszyscy mu uwierzyli i myśleli, że to koniec całej sprawy.

Ale nic się nie ukryje przed okiem Boga. Po wielu latach pasterz prowadził owce przez most i zauważył coś białego na brzegu strumienia. Postanowił sprawdzić, co to jest, więc zszedł na brzeg i znalazł śnieżnobiałą kość. Zabrał ją do domu i wyrzeźbił z niej ustnik do rogu.

Ku jego zdumieniu, kiedy zaczął dąć w róg, kość zaśpiewała:

*Graj, pasterzu, na rogu, a ja prawdę wyśpiewam!
Niech świat cały usłyszy mój głos!
Brat mnie zabił na moście i pochował pod drzewem:
Okrutny spotkał mnie los!
Czyn popełnił występny,
By zostać mężem królowy!*

— Co za cudowny ustnik! — powiedział pasterz. — Sprawia, że róg sam śpiewa pieśń! Muszę go zanieść do króla.

Kiedy poszedł do króla, róg znowu zaczął śpiewać, tak jak poprzednio. Król nie był głupcem: natychmiast zrozumiał, co się wydarzyło, i kazał rozkopać ziemię koło mostu. Znalezione tam szkielet człowieka — brakowało tylko jednej kości.

Nikczemny brat nie mógł się wyprzeć swojej zbrodni. Z rozkazu króla zaszyto go w worku i utopiono w tym samym strumieniu, przy którym pogrzebał ciało brata. A młodszego brata pochowano w pięknym grobie na cmentarzu przy kościele.

* * *

Typ baśni: ATU 780, *Śpiewająca kość*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dortchen Wild

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Miraculous Pipe* (*Russian Fairy Tales*); Katharine M. Briggs, *Binnorie* (*Folk Tales of Britain*); Italo Calvino, *The Peacock Feather* (*Italian Folktales*)

Gdyby usunąć z tej opowieści elementy nadprzyrodzone — śpiewającą kość i małego człowieczka, który daje młodszemu bratu włócznie pozwalającą zabić dzika — mogłaby to być jedna z niewyszukanych bajek z niezwykle popularnej antologii Johanna Petera Hebla, *Schatzkästlein des Rheinischen Hausfreundes*, która ukazała się w 1811 roku, na rok przed pierwszym wydaniem baśni braci Grimm. Specjalnością Hebla były opowieści o codziennym życiu. Miały one charakter komiczny, sensacyjny lub moralizatorski; morderstwo odkryte przez przypadek pojawia się w wielu jego anegdotach.

Jednak nadprzyrodzony charakter tej baśni jest ważny i szeroko rozpowszechniony. Magiczny instrument, który wyśpiewuje prawdę, bywa czasem zrobiony z kości, niekiedy z trzciny, a w brytyjskiej *Binnorie* jest to harfa wykonana z mostka i włosów ofiary. A prawda zawsze wychodzi na jaw.

Diabeł i trzy złote włosy

Żyła raz uboga kobieta, której syn urodził się w czepku. To znak szczęścia, a gdy usłyszał o tym wiejski wróżbiarz, przepowiedział, że w wieku czternastu lat chłopiec poślubi królową.

Kilka dni później do wioski przybył sam król. Podróżował w przebraniu, więc nikt go nie poznał, a kiedy spytał, co się niedawno tu wydarzyło i o czym rozmawiają ludzie, powiedziano mu, że we wsi przyszedł na świat chłopiec urodzony w czepku. Oznacza to, że będzie miał w życiu szczęście, a według wróżby w wieku czternastu lat poślubi królową.

Król był złym człowiekiem i przepowiednia nie przypadła mu do gustu. Poszedł do rodziców chłopca i rzekł:

— Przyjaciele, wasz syn jest w czepku urodzony, a ja jestem bogaty. Oto pierwsza oznaka pomyślności: powierzcie mi dziecko, a ja się nim troskliwie zaopiekuję.

Na początku odmówili, ale gdy nieznajomy zaproponował im dużo złota, w końcu na to przystali.

— Cóż, nasz syn to szczęściarz, więc tak czy inaczej wszystko będzie dobrze — powiedzieli i oddali niemowlę mężczyźnie.

Król włożył niemowlę do skrzyni i odjechał. Po pewnym czasie dotarł do głębokiej rzeki. Wrzucił skrzynię do wody i pomyślał: Spełniłem dobry uczynek. Ocaliłem córkę przed małżeństwem z synem biedaków.

A potem odjechał. Gdyby został nad rzeką, zobaczyłby, że skrzynia nie zatonała, jak się spodziewał, lecz unosiła się na wodzie, a do środka nie przenikła ani jedna kropelka. Skrzynia popłynęła w dół rzeki, dotarła do młyna znajdującego się w odległości trzech kilometrów od stolicy i zatrzymała się w śluzie. Akurat łowił tam ryby czeladnik młynarski i wyciągnął ją bosakiem — myślał, że znalazł skarb. Kiedy otworzył skrzynię, ze zdumieniem ujrzał w niej zdrowe, różowiotkie niemowlę. Nie wiedząc, co z nim zrobić, zaniósł

je do młynarza i młynarzowej. Byli zachwyceni chłopczykiem, bo nie mieli własnych dzieci.

— Zesłał go nam Bóg! — powiedzieli.

Wzięli chłopca i zaopiekowali się nim. Dobrze go wychowali, nauczyli, jak się zachowywać, jak być szczerym i uczciwym.

Mijał czas i kilkanaście lat później król schronił się w młynie przed burzą, która zaskoczyła go w trakcie polowania. Spytał młynarza i młynarzową, czy urodziwy młody człowiek, którego widział, jest ich synem.

— Nie — odparli. — To znajda. Czternaście lat temu nasz czeladnik wyłowił koło śluzy skrzynię z niemowlęciem.

Król zdał sobie sprawę, że chłopiec to nikt inny, tylko w czepku urodzone dziecko, które własnoręcznie wrzucił do wody, i powiedział:

— Moi dobrzy ludzie, czy pozwolicie temu młodemu człowiekowi zanieść list do królowej? Zapłacę mu dwie sztuki złota.

Młynarz i młynarzowa zgodzili się i kazali chłopcu się przygotować. Tymczasem król wziął papier i napisał: „Kiedy tylko otrzymasz ten list, każ uśmiercić i pochować chłopca, który go dostarczy. Musi to być zrobione przed moim powrotem”.

Chłopiec wziął list i wyruszył w drogę, ale wkrótce się zgubił i do wieczora błąkał się w wielkim lesie. W zapadającej ciemności zobaczył pojedyncze światełko między drzewami. Nie widział innych świateł, więc poszedł w tę stronę i niebawem znalazł się przed małą chatką. W środku drzemała przy kominku staruszka. Wzdrygnęła się na jego widok i spytała:

— Skąd się tu wzięłeś? Dokąd idziesz?

— Przychodzę z młyna i niosę list do królowej — odparł chłopiec.

— Ale zabłądziłem w lesie i chciałym tu przenocować. Proszę, pozwól mi zostać.

— Biedny chłopcze, przybyłeś do kryjówki rozbójników. W tej chwili ich nie ma, bo zajmują się rabunkiem, ale kiedy wrócą, zabiją cię. To pewne jak amen w pacierzu.

— Niech wracają — odpowiedział chłopiec. — Nie boję się rozbójników. Muszę się położyć i przespać, bo jestem wykończony.

Położył się na ławie i natychmiast zasnął. Wkrótce rozbójnicy wrócili i spytali gniewnie:

— Co to za smarkacz tu leży?

— Po prostu niewinny chłopiec — odrzekła staruszka. — Zabłądził w lesie i pozwoliłam mu się położyć, bo był bardzo zmęczony. Niesie list do królowej.

— Naprawdę? — spytał herszt. — Przeczytajmy go.

Wyjęli list z kieszeni chłopca i otworzyli. Okazało się, że posłaniec ma zostać zabity zaraz po doręczeniu listu.

— Och, to niesprawiedliwe! — mruknął herszt. — Brudna sztuczka...

Nawet bandyci o twardych sercach poczuli litość. Herszt wziął arkusz papieru i napisał nowy list, z poleceniem, by córka króla natychmiast poślubiła chłopca, który ten list dostarczy. Rozbójnicy pozwolili mu spać na ławie aż do rana, a kiedy się obudził, dali mu list i pokazali drogę do pałacu.

Kiedy przybył i wręczył list królowej, natychmiast wyprawiała wspaniałe wesele i chłopiec został mężem królowej. Był przystojny, miły i uprzejmy, więc dziewczyna nie miała nic przeciwko temu.

W końcu król wrócił i odkrył, że przepowiednia się sprawdziła i że jego córkę poślubił wiejski chłopak.

— Jak mogło do tego dojść?! — rzekł do królowej. — Dostałaś mój list? Nie pisałem w nim o małżeństwie.

Królowa pokazała mu list. Król przeczytał go i zrozumiał, co się stało. Posłał po chłopca i spytał:

— O co w tym wszystkim chodzi? To zupełnie inny list niż ten, który ci dałem. Czy potrafisz to wyjaśnić?

— Obawiam się, że nie, Wasza Królewska Mość — odpowiedział chłopiec. — Spędziłem noc w lesie i ktoś musiał zamienić list, gdy spałem.

— Cóż, nie myśl, że ujdzie ci to na sucho! — warknął król. — Mąż mojej córki musi dotrzeć do samego piekła i przywieźć trzy złote włosy z głowy diabła!

— Ach, zrobię to! — odparł chłopiec. — Przywiozę Waszej Królewskiej Mości złote włosy z głowy diabła: wcale się go nie boję.

Pożegnał się i wyruszył w drogę. Wkrótce przybył do dużego miasta, przy którego bramie stał strażnik.

— Czym się zajmujesz i co wiesz?

— Wiem wszystko — odrzekł chłopiec. — A jeśli czegoś nie wiem, mogę się dowiedzieć.

— Cóż, w takim razie wyświadczy nam przysługę. Na rynku jest fontanna, z której niegdyś tryskało wino, a teraz nawet nie leci woda. Co się z nią dzieje?

— Dowiem się tego na pewno — obiecał chłopiec. — Powiem ci w drodze powrotnej.

Powędrował dalej i wkrótce przybył do miasta, gdzie strażnik zadał mu to samo pytanie:

— Czym się zajmujesz i co wiesz?

— Wiem wszystko — odrzekł chłopiec. — A jeśli czegoś nie wiem, mogę się dowiedzieć.

— Wobec tego coś mi wyjaśnij: w parku rośnie drzewo, które dawniej rodziło złote jabłka. Ale stało się coś złego i teraz nawet nie wypuszcza liści.

— Zostaw to mnie — odparł chłopiec. — Powiem ci w drodze powrotnej.

Pomaszerował dalej i dotarł do rzeki, gdzie czekał przewoźnik przeprowadzający ludzi z brzegu na brzeg.

— Czym się zajmujesz i co wiesz?

— Wiem wszystko — odpowiedział chłopiec. — A jeśli czegoś nie wiem, mogę się dowiedzieć.

— Cóż, zadam ci pytanie. Dlaczego muszę bez końca pływać przez rzekę i nikt mnie nigdy nie zastąpi?

— Nie martw się — odrzekł chłopiec. — Na pewno znajdę odpowiedź.

Przeprowadził się na drugi brzeg i wkrótce znalazł wejście do piekła. Okazało się ciemne, zadymione i plugawe. Diabła akurat nie było, ale w dużym fotelu siedziała jego babka i czytała gazetę.

— Czego chcesz? — spytała.

Nie wyglądała złowrogo, więc chłopiec wyjaśnił, po co przyszedł.

— Król powiedział, że jeśli nie zdobędę trzech złotych włosów z głowy diabła, nie mogę pozostać mężem królowej.

— To niełatwa sprawa — oznajmiła babka. — Jeśli diabeł cię tu znajdzie, prawdopodobnie cię zje. Ale ładny z ciebie chłopiec i żal mi ciebie, więc zrobię wszystko, co w mojej mocy. Najpierw zmienię cię w mrówkę.

Zrobiła to i wzięła go na czubek palca, by mieć pewność, że ją słyszy.

— Schowaj się pod moją spódnicą — nakazała. — Wyrwę dla ciebie włosy.

— Jest jeszcze jedna sprawa — odezwała się mrówka. — Muszę znać odpowiedź na kilka pytań. Dlaczego z fontanny na rynku miejskim nie leci woda, choć kiedyś tryskało z niej wino? Dlaczego drzewo w parku, które niegdyś rodziło złote jabłka, przestało nawet wypuszczać liście? I dlaczego przewoźnik musi stale przeprowadzać ludzi przez rzekę?

— To nie takie proste — odparła babka. — Nie mogę niczego obiecać. Ale siedź cicho i bacznie słuchaj wszystkiego, co mówi diabeł.

Mrówka skinęła maleńkim łepkiem, a babka wsunęła ją pod spódnicę. W samą porę, bo właśnie do domu wszedł diabeł i zaczął ryczeć.

— O co chodzi? — spytała babka.

— Czuję zapach człowieka! Kto tu był, co?!

Obszedł pokój, unosząc krzesła i zaglądając do każdego kąta.

— Na wszechpotężne zło! — zawołała babka. — Niedawno posprzątałam mieszkanie, nie widzisz?! Znowu narobisz bałaganu! Usiądź, zjedz kolację i przestań się awanturować bez powodu!

— Coś mi tu śmierdzi! — mruknął diabeł. — Czuję zapach człowieka!

Ale usiadł przy stole i łapczywie zjadł kolację, a potem się położył i oparł głowę na kolanach babki.

— Wyiskaj mi wszy, babuniu — poprosił.

Zaczęła go iskać, a on po chwili zasnął, głośno chrapiąc. Kiedy babka usłyszała chrapanie, wyrwała jeden ze złotych włosów.

— Au! — ryknął diabeł, natychmiast się budząc. — Co robisz?!

— Miałam sen — powiedziała babka, kładąc złoty włos obok siebie, w miejscu, gdzie diabeł nie mógł go widzieć.

— Jaki sen? O czym?

— Przyśniła mi się fontanna na rynku miejskim. Przed laty tryskało z niej wino i każdy mógł się napić, ale teraz nie leci z niej nawet woda.

— Ludzie to głupcy! — mruknął diabeł, znowu kładąc głowę na kolanach babki. — Powinni po prostu wykopać ropuchę spod kamienia w fontannie. Kiedy ją zabiją, wino znowu popłynie.

Babka znów zaczęła go iskać, a diabeł zasnął. Przeszukując jego splecione kołtuny, znalazła drugi włos o barwie złota i wyrwała go.

— Au! Dlaczego ciągle wyrywasz mi włosy?!

— Przepraszam, skarbie — odpowiedziała. — Miałam nowy sen i nie wiedziałam, co robię.

— Nowy sen? O co tym razem chodziło?

— W parku rośło drzewo, ale przestało wypuszczać liście. A przed laty rodziło złote jabłka.

— W tym mieście mieszkają sami głupcy. Powinni rozkopać ziemię wokół korzeni i znaleźć mysz, która je podgryza. Kiedy zabiją mysz, drzewo znów zacznie rodzić złote jabłka.

— Ach, gdybym była taka sprytna jak ty, nie musiałabym cię budzić! — odpowiedziała babka. — Idź z powrotem spać, kochany!

Diabeł przekręcił się na drugi bok i znów oparł głowę na kolanach staruszki. Wkrótce rozległo się chrapanie. Tym razem

babka poczekała trochę dłużej, aż wreszcie wyrwała trzeci złoty włos i dołożyła go do pozostałych.

— Au! Znowu to zrobiłaś! Co się z tobą dzieje, głupia stara kobieto?!

— Och, bez przerwy mam sny. To chyba z powodu sera, który jadłam na kolację — odparła.

— Ty i twoje sny! Jeśli jeszcze raz tak zrobisz, to cię walnę! Co ci się przyśniło?!

— Przewoźnik. Od wielu lat przeprowia ludzi przez rzekę i nikt nie chce go zastąpić.

— Ach, czy ludzie naprawdę są tacy głupi?! Musi po prostu wręczyć drąg do popychania łodzi następnej osobie, która zechce przepłynąć przez rzekę. I ta osoba będzie musiała go zastąpić.

— No dobrze, idź z powrotem spać, mój śliczniutki! Nic więcej mi się nie przyśni.

Ponieważ zostawiła go w spokoju na resztę nocy, diabeł smacznie spał. Kiedy raniem się obudził i poszedł do swojej roboty, babka odczekała, aż się oddalił, a potem wyjęła mrówkę spod spódnicy i zmieniła ją z powrotem w chłopca.

— Słyszałeś wszystko? — spytała.

— Tak, każde słowo. Udało ci się zdobyć trzy włosy?

— Oto one. — Wręczyła je chłopcu.

Młody człowiek grzecznie podziękował i wyruszył w drogę powrotną, zadowolony, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

Kiedy dotarł do rzeki, przewoźnik spytał:

— No i co? Czegoś się dowiedziałeś?

— Najpierw przewieź mnie na drugą stronę — odparł chłopiec, a gdy znaleźli się na przeciwległym brzegu, powiedział: — Wszystko, co musisz zrobić, to wręczyć drąg następnemu człowiekowi, który będzie chciał się przeprowić przez rzekę. I wtedy staniesz się wolny.

Ruszył przed siebie, aż dotarł do miasta, w którym rosło jałowe drzewo. Strażnik przy bramie oczekiwał na odpowiedź.

— Zabijcie mysz, która podgryza korzenie, a drzewo znów zacznie rodzić złote jabłka — rzekł chłopiec.

Burmistrz i radni miejscy byli tacy zadowoleni, że podarowali chłopcu dwa osły obładowane złotem. Prowadząc je w stronę domu, zatrzymał się w mieście, w którym wyschła fontanna.

— Wykopcie kamień w fontannie i zabijcie ropuchę, która się pod nim ukrywa — powiedział.

Posłuchali jego rady i wkrótce potem z fontanny znów trysnęło wino. Wypili zdrowie chłopca i też nagrodzili go dwoma osłami

obladowanymi złotem.

Powędrował do domu, prowadząc cztery osły. Wszyscy bardzo się ucieszyli na jego widok, zwłaszcza żona. Kiedy król zobaczył zwierzęta i cały ładunek, wpadł w prawdziwy zachwyt.

— Mój drogi chłopcze, jak cudownie, że cię widzę! — zawołał. — To włosy z głowy diabła, prawda? Znakomicie! Połóż je na kredensie. Ale gdzie zdobyłeś to złoto?!

— Przewoźnik zawiózł mnie na drugi brzeg rzeki, gdzie zamiast piasku jest złoto i każdy może go zebrać, ile chce. Na miejscu Waszej Królewskiej Mości wziąłbym kilka worków.

Król był bardzo chciwy i natychmiast wyruszył w drogę. Jechał śpiesznie przez cały dzień, aż dotarł do rzeki i niecierpliwie skinął dłonią, wzywając przewoźnika.

— Ostrożnie! — rzekł przewoźnik, gdy król wszedł na pokład. — Nie wolno kołysać łodzią! Czy Wasza Królewska Mość mogłby potrzymać drąg?

Oczywiście król się zgodził, a przewoźnik szybko wyskoczył na brzeg. Śmiał się, śpiewał i skakał z radości, po czym uciekł, a król pozostał już na zawsze w łodzi i przewoził ludzi przez rzekę, ponosząc karę za swoje grzechy.

* * *

Typ baśni: ATU 930, *Proroctwo*, kontynuowane jako ATU 461, *Trzy włosy z głowy diabła*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Marco the Rich and Vassily the Luckless (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *Fairest of All Others, The Fish and the Ring, The Stepney Lady (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Feathered Ogre, The Ismailian Merchant, Mandorlinfiore (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Bajka o gryfie (Baśnie domowe i dziecięce)*

Baśń ta dzieli się na dwie części, podobnie jak [Trzy węzowe liście](#). W niektórych pokrewnych opowieściach przepowiednia, że nowo narodzone dziecko (zwykle dziewczynka) poślubi bogatego człowieka, wiąże się ze sprawdzianem innego rodzaju: zamiast zdobyć trzy włosy diabła (bądź piórka ogra czy cokolwiek innego), bohaterka musi odnaleźć pierścień wrzucony do morza przez

narzeczonego, który nie chce się z nią ożenić. Wesele może się odbyć dopiero po odzyskaniu pierścienia — i w końcu odnajduje się on w brzuchu ryby. Lubię wersję braci Grimm, ponieważ nagrodzona zostaje odwaga, a nie tylko szczęście.

Dziewczyna bez rąk

Żył raz młynarz, który stopniowo popadał w biedę, aż w końcu został mu tylko młyn i rosnąca za nim piękna jabłoń. Pewnego dnia wybrał się do lasu po drewno, gdy nagle podszedł do niego starzec, którego nigdy wcześniej nie widział.

— Dlaczego się męczysz, rąbiąc drewno? — spytał. — Obiecaj, że dasz mi wszystko, co się znajduje za twoim młynem, a uczynię cię bogaczem.

Za młynem jest tylko jabłoń, pomyślał młynarz.

— Zgoda, niechaj tak będzie — rzekł.

Starzec przygotował cyrograf, a młynarz go podpisał. Nieznajomy schował papier i dziwnie się zaśmiał.

— Za trzy lata wrócę po to, co mi się należy. Nie zapomnij!

Młynarz pośpieszył do domu, a żona wyszła mu na spotkanie.

— Ach, mężu, nie uwierzysz, co się stało! — zawołała. — W całym domu stoją kufry i skrzynie ze skarbami, złotem, klejnotami! Skąd się to wszystko wzięło?! Czy dobry Bóg wreszcie nas pobłogosławił?

— A zatem dotrzymał umowy... — mruknął młynarz i opowiedział żonie o starcu, którego spotkał w lesie. — Musiałem tylko podpisać cyrograf, że dam mu wszystko, co się znajduje za młynem. Te skarby są więcej warte od jabłoni, prawda?

— Och, mężu! Nie wiesz, co zrobiłeś! To na pewno był diabeł! Chodziło mu nie o jabłoń, tylko o naszą córkę! Zamiała ścieżkę za domem!

Córka młynarza, która była piękną dziewczyną, przez następne trzy lata pokornie czciła Boga. Kiedy nadszedł czas, by Zły ją zabrał, umyła się od stóp do głów, włożyła białą sukienkę i kredą narysowała wokół siebie krąg na podłodze. Z samego ranka przybył diabeł i zobaczył, że nie może się do niej zbliżyć.

— Dlaczego pozwoliłeś jej się umyć, stary głupcze?! — warknął na młynarza. — Nie dawaj jej ani kropli wody, bo inaczej nie będę mógł jej dotknąć!

Młynarz był przerażony. Spełnił rozkaz diabła i choć córce bardzo chciało się pić, nie dał jej ani kropli wody. Następnego ranka diabeł wrócił.

— Popatrz, ma czyste ręce! Dlaczego pozwoliłeś, by je umyła?!

Okazało się, że dziewczyna płakała przez całą noc i umyła sobie dłonie łzami. Diabeł był wściekły, bo dalej nie mógł jej dotknąć.

— Dobrze — powiedział. — A więc teraz musisz odrąbać jej ręce.

Młynarza ogarnęła trwoga.

— Nie mogę tego zrobić! — zawołał. — To moje dziecko! Nie mogę tego zrobić...!

— Cóż, w takim razie będę musiał zabrać ciebie zamiast córki — odparł diabeł.

Młynarz przeraził się jeszcze bardziej. Poszedł do dziewczyny i rzekł:

— Ukochana córko, muszę odrąbać ci ręce albo zabierze mnie diabeł. Bardzo się boję. Przebacz mi, dziecko! Pomóż mi i przebacz!

— Ukochany ojczy, jestem twoją córką — odezwała się dziewczyna. — Możesz zrobić ze mną, co zechcesz. — Wyciągnęła ręce i pozwoliła ojcu je odrąbać.

Diabeł przyszedł po raz trzeci, ale dziewczyna znowu płakała i umyła łzami kikuty rąk, więc były idealnie czyste. Musiał się poddać, bo mógł próbować się do niej zbliżyć tylko trzy razy, nie więcej.

— Moja droga, dzięki tobie jesteśmy bogaci — powiedział młynarz. — Nigdy ci niczego nie zabraknie. Sprawię, że będziesz żyła w luksusie do końca swoich dni.

— Nie mogę tu dłużej mieszkać — odparła dziewczyna. — Muszę odejść. Zatrąszczę się o mnie obcy ludzie.

Poprosiła rodziców, by związali jej na plecach okaleczone ręce, i odeszła. Wędrowała przez cały dzień i wieczorem dotarła na brzeg strumienia. Świecił księżyc i widziała na drugim brzegu królewski ogród, w którym rosły drzewa obsypane pięknymi owocami. Miała ochotę coś zjeść, ale nie mogła się dostać do ogrodu.

Nie jadła nic przez cały dzień i dręczył ją głód.

Ach, gdybym tylko znalazła się w tym ogrodzie, pomyślała. Mogłabym jeść owoce prosto z drzew. Umrę, jeśli się tam nie dostanę.

Uklękła i zaczęła się modlić. Natychmiast pojawił się anioł. Podążył na brzeg strumienia i zamknął śluzę. Woda przestała płynąć i dziewczyna przeszła suchą stopą na drugą stronę.

Wkroczyła wraz z aniołem do ogrodu. Zobaczyła drzewo uginające się od pięknych dojrzałych gruszek — wszystkie ponumerowano, żeby nikt ich nie ukradł. Nie mogła się powstrzymać; podeszła do drzewa i zjadła jedną gruszkę, by trochę zaspokoić głód. Później ukryła się w zaroślach.

Obserwował ją ogrodnik, ale zobaczył anioła i myślał, że dziewczyna także jest duchem. Nie ośmielił się odezwać.

Następnego ranka do ogrodu przybył król. Rozejrzał się i gdy zobaczył, że zjedzono jedną z gruszek, wezwał ogrodnika.

— Ach, Wasza Królewska Mość, wczoraj w nocy pojawił się duch, przeszedł przez strumień i zjadł gruszkę prosto z drzewa. Nie miał rąk, panie!

— Jak przeszedł przez strumień?

— Nadleciał anioł i zamknął służę, aż woda przestała płynąć. Bałem się, Wasza Królewska Mość, więc się nie odezwałem i nie próbowałem go powstrzymać. Po zjedzeniu gruszki duch odszedł.

— Nie brzmi to prawdopodobnie — zauważył król. — Dziś w nocy będę czuwał razem z tobą na wypadek, gdyby miało się to powtórzyć.

Wieczorem król potajemnie przybył do ogrodu. Towarzyszył mu ksiądz, który miał porozmawiać z duchem, gdyby ten znów się pojawił. Usiedli i zaczęli czekać. O północy z zarośli wyszła dziewczyna, zbliżyła się do drzewa i zjadła gruszkę, chwytając ją ustami. Obok niej stał na straży anioł w białej szacie.

Ksiądz podszedł do dziewczyny i anioła.

— Skąd przybywasz, moje dziecko? — spytał. — Czy zesłał cię Bóg? Czy jesteś duchem, czy śmiertelną istotą?

— Nie jestem duchem. Jestem biedną kobietą, którą opuścili wszyscy oprócz Boga — odpowiedziała dziewczyna.

Król usłyszał jej słowa i rzekł:

— Nawet jeśli opuścił cię cały świat, ja tego nie zrobię.

Zabrał ją do zamku. Była tak piękna i dobra, że zakochał się w niej, pojął ją za żonę i kazał jej zrobić dłonie ze srebra. Żyli razem szczęśliwie.

Po roku król musiał wyruszyć na wojnę. Pozostawił młodą królową pod opieką swojej matki.

— Jeśli urodzi dziecko, opiekuj się nią i niemowlęciem. Natychmiast mnie zawiadom.

Wkrótce potem królowa urodziła pięknego synka. Królowa matka napisała do króla, przekazując mu radosną nowinę.

Ale w drodze do króla posłaniec zatrzymał się nad strumieniem, by odpocząć. Przez cały czas diabeł obserwował dziewczynę, mając zamiar zniszczyć jej szczęście. Ukradł list i zastąpił go innym, który mówił, że królowa urodziła potwora.

Kiedy król go przeczytał, przeraził się i zasmucił, ale odpisał, by do jego powrotu dobrze się nią opiekowano. Wracając, posłaniec znów zasnął, a diabeł zastąpił list innym, który rozkazywał zabić królową i dziecko.

Królowa matka przeczytała list ze zdumieniem i trwogą. Napisała do syna, lecz otrzymała tę samą odpowiedź, bo diabeł czuwał i znów podmienił listy. Ostatni list nakazywał, by zachować oczy i język dziewczyny jako dowód jej śmierci. Kiedy stara królowa przeczytała to, rzewnie zapłakała, że ma być przelana niewinna krew, ale przyszedł jej do głowy pewien pomysł — kazała zabić łąnię, po czym wyłupić jej oczy i uciąć język, i je zachować.

— Moja droga, nie możesz tu zostać — powiedziała do królowej.
— Nie wiem, dlaczego król wydał taki straszliwy rozkaz, ale oto list napisany jego charakterem pisma. Musisz uciec wraz z dzieckiem i nigdy tu nie wracać.

Królowa matka przywiązała dziecko do pleców matki i biedna dziewczyna, płacząc, natychmiast wyruszyła w drogę. Szła i szła, aż dotarła do głębokiej, mrocznej puszczy i uklękła, by się pomodlić.

I znów, tak jak poprzednio, ukazał jej się anioł, ale tym razem zaprowadził ją do małej chatki. Nad drzwiami znajdował się napis: „Wszyscy są tu mile widziani i wszyscy żyją wolni”.

Z chatki wyszła dziewczyna w śnieżnobiałej szacie i powiedziała:

— Wejdz do środka, Wasza Królewska Mość!

Zdjęła niemowlę z pleców młodej królowej i przystawiła do jej piersi, by dziewczyna mogła je nakarmić. Później zaprowadziła matkę z dzieckiem do pięknie zaśnieżonego łóżka.

— Skąd wiesz, że jestem królową?

— Jestem aniołem zesłanym przez Boga, by się tobą opiekować. Nie musisz się niczym martwić.

Królowa mieszkała w małej chatce przez siedem lat. Anioł bardzo się o nią troszczył. W tym czasie dzięki łasce niebios i pobożności dziewczyny odrosły jej ręce.

W końcu król wrócił z wojny i przede wszystkim chciał powitać ukochaną żonę i syna.

Jego stara matka wybuchła płaczem.

— Zły człowieku! Jak możesz mówić, że chcesz ich powitać, skoro kazałeś ich zabić?!

Król zdumiał się na te słowa, ale pokazała mu listy podrobione przez diabła.

— Wypełniłam twój rozkaz! — oznajmiła. — Oto dowód: jej oczy i język!

Król zapłakał jeszcze żałośniej niż jego matka. W końcu stara kobieta zlitowała się nad nim i powiedziała:

— Na pewno maczał w tym palce diabeł. Ale nie ma powodu do płaczu, bo twoja żona żyje. To oczy i język łani. Przywiązałam dziecko do pleców matki i kazałam jej iść w świat. Przyrzekła, że nigdy tu nie wróci, skoro jesteś tak na nią zagniewany.

— Masz rację — przyznał król. — To dzieło diabła. Ale pójdę jej szukać. Nie będę jadł, pił ani spał w łóżku, dopóki nie odnajdę ukochanej żony i syna.

Król wędrował po świecie prawie przez siedem lat, przeszukując każdą jaskinię i szalas, każde miasto i wioskę. Nie znalazł śladu żony, więc doszedł do wniosku, że umarła. Tak jak obiecał, przez cały ten czas nie jadł ani nie pił; pozostawał przy życiu dzięki łasce niebios. W końcu przybył do wielkiego lasu, w którym napotkał niewielką chatę z napisem nad drzwiami: „Wszyscy są tu mile widziani i wszyscy żyją wolni”.

Z chaty wyszedł śnieżnobiały anioł i ujął go za rękę.

— Witaj, Wasza Królewska Mość! Skąd przybywasz?

— Wędruję po świecie prawie od siedmiu lat — odparł król. — Szukam swojej żony i dziecka, ale nie mogę ich odnaleźć.

Anioł zaproponował mu coś do jedzenia i picia, ale król podziękował, mówiąc, że chciałby tylko trochę odpocząć. Położył się i zakrył sobie twarz chustką.

Anioł wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie siedziała królowa wraz z synem, którego nazwała imieniem Smutny.

— Idź do głównej izby i weź ze sobą syna — odezwał się anioł. — Przybył twój mąż, który cię szuka.

Królowa pośpieszyła tam, gdzie leżał mąż, a chustka zsunęła mu się z twarzy.

— Podnieś chustkę, Smutny, i nakryj nią z powrotem twarz ojca — powiedziała królowa.

Chłopiec podniósł chustkę i położył ją na twarzy króla, który usłyszał przez sen słowa królowej i celowo pozwolił, by chustka znów spadła na ziemię.

Dziecko zniecierpliwiło się i rzekło:

— Jak mogę nakryć twarz ojca, mamó? Mówiłaś, że nie mam ojca na tym świecie, tylko mam jednego ojca w niebiosach, do którego się

modłę: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”. Czy ten dziki człowiek może być moim ojcem?

Usłyszawszy te słowa, król usiadł i spytał kobietę, kim jest.

— Twoją żoną — odpowiedziała. — A to twój syn, Smutny.

Król popatrzył na jej ręce i zobaczył, że ma normalne dłonie.

— Moja żona miała srebrne ręce — oznajmił.

— W swojej wspaniałomyślności dobry Bóg sprawił, że mi odrosły — odparła.

Anioł przyniósł z sąsiedniej komnaty srebrne dłonie, co przekonało króla. Nie miał wątpliwości, że to jego ukochana żona i dziecko. Ucałował ich, uściskał i zawołał radośnie:

— Kamień spadł mi z serca!

Anioł dał im coś do zjedzenia i pojechali do pałacu, do dobrej starej matki. Kiedy w królestwie rozeszły się wieści o ich powrocie, wszyscy bardzo się cieszyli. Król i królowa wyprawili nowe wesele, a potem żyli razem długo i szczęśliwie.

* * *

Typ baśni: ATU 706, *Panna bez rąk*

Źródło: baśnie opowiedziane braciom Grimm przez Marie

Hassenpflug, Dorotheę Viehmann i Johanna H.B. Bauera

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Armless Maiden*

(*Russian Fairy Tales*); Katharine M. Briggs, *The Cruel Stepmother,*

Daughter Doris (Folk Tales of Britain); Italo Calvino, *Olive, The*

Turkey Hen (Italian Folktales)

To bardzo rozpowszechniony typ baśni. Szczegóły są wyraziste i ponure, lecz wszystko dobrze się kończy — król odzyskuje rodzinę, a królowa ręce. Obraz pięknej bezrękiej dziewczyny w bieli jedzącej gruszkę w obecności anioła, w ogrodzie zalanym księżycowym światłem, zapada w pamięć i wydaje się dziwny.

Jednak sama opowieść budzi niesmak. Najbardziej odpychający aspekt to tchórzostwo młynarza, które nie zostaje ukarane.

Świątoszkowaty, pobożny ton napęlnia odrazą, a przywrócenie rąk biednej kobiecie to niedorzeczność.

Lecz czyż wszystkie baśnie nie są niedorzeczne?

Nie. Na przykład w [Jałowcu](#) zmartwychwstanie małego chłopca ma w sobie coś autentycznego i właściwego. Tu wydaje się po prostu niemądre: zamiast czuć nabożny lęk, wybuchamy śmiechem. To

jakaś groteska. Jednak ta baśń i jej warianty musiały głęboko przemawiać do wielu grup słuchaczy, bo inaczej nie rozprzestrzeniłyby się tak szeroko. Może ludzie lubią historyjki o okaleczeniach, okrucieństwie i sentymentalnej pobożności?

21

Elfy

Opowieść pierwsza

Żył raz szewc, który popadł w taką biedę (bez swojej winy), że zostało mu skóry tylko na jedną parę butów. Wieczorem pociął ją, zamierzając dokończyć pracę rano, i poszedł spać. Nie miał nic na sumieniu, więc odmówił modlitwę i spał spokojnie.

Następnego ranka, gdy się obudził, zjadł kęs suchego chleba, usiadł przy warsztacie i ze zdumieniem zobaczył, że buty są już gotowe. Chwycił je i obejrzał dokładnie ze wszystkich stron. Ściegi były równe i mocne — buty uszyto idealnie. Sam nie zrobiłby tego lepiej.

Wkrótce pojawił się klient, szukając butów właśnie w tym rozmiarze, i tak mu się spodobały, że natychmiast je kupił za dobrą cenę.

Szewc miał teraz pieniądze, żeby kupić skórę na dwie pary butów. Tak też uczynił i znów pociął ją wieczorem, by dokończyć pracę rano, ze świeżym zapalem do pracy. Ale nie musiał tego robić, bo kiedy wstał, buty były już gotowe, tak jak poprzednio uszyte ręką doświadczonego rzemieślnika. Niebawem znalazł na nie kupców i mógł nabyć skórę na cztery pary butów. Następnego ranka były gotowe i udało mu się je sprzedać. Powtarzało się to codziennie i butów było coraz więcej. Każdego wieczoru szewc ciął skórę, a rano znajdował uszyte buty. Zaczął dobrze zarabiać i szybko stał się bogatym człowiekiem.

Pewnego wieczoru tuż przed Bożym Narodzeniem jak zwykle pociął skórę na kilka par butów, a potem, kładąc się spać, zwrócił się do żony:

— A może czuwajmy dziś w nocy, by zobaczyć, kto nam pomaga?

Żona uznała to za dobry pomysł. Zapalili lampę i ukryli się za ubraniami suszącymi się na sznurze w rogu warsztatu.

O północy pod drzwiami przecisnęły się dwa maleńkie nagie ludziki. Wskoczyły na stół, po czym natychmiast zabrały się do pracy — zszywały pociętą skórę tak szybko, że szewc nie wierzył własnym oczom. A kiedy skończyły, położyły wszystkie pary butów na stole i wypęły przez szparę pod drzwiami.

Rankiem żona szewca powiedziała:

— Myślę, że powinniśmy się odwdzięczyć tym ludzikom. Uczyniły nas bogaczami, a same chodzą bez ubrania i marzną. Uszyję im kilka koszul i kurtek, bieliznę i spodnie, a potem zrobię na drutach pończochy. A ty przygotuj im buty.

— To dobry pomysł — uznał szewc i zabrali się do pracy.

Tego wieczoru położyli na stole ubrania zamiast pociętej skóry na buty i znowu się ukryli, by zobaczyć, co zrobią maleńkie istoty. O północy ludziki weszły do warsztatu i wskoczyły na stół, by wziąć się do pracy, i nagle stanęły jak wryte, patrząc na ubrania i drapiąc się ze zdziwieniem po głowach. Wreszcie zrozumiały, co się stało, i zaczęły podskakiwać z radości. Ubrały się szybko i zaśpiewały:

*Skoro piękne stroje mamy,
Nie będziemy już szewcami!*

Skakały niczym para kociąt, po krzesłach, stole, kominku, parapecie, aż wreszcie wyczołgały się pod drzwiami i zniknęły.

Tajemnicze istoty nigdy więcej się nie pojawiły, ale szewcowi dobrze się wiodło. Od tej pory wszystko mu się udawało. On i jego żona byli szczęśliwi i bogaci aż do końca swoich dni.

Opowieść druga

Żyła raz uboga służąca, która zawsze ciężko pracowała, pilnie wykonując wszystkie swoje obowiązki. Każdego dnia zamiatała dom i wyrzucała śmieci na podwórko, koło tylnych drzwi.

Pewnego ranka, gdy zabierała się do pracy, zobaczyła w śmieciach list. Nie umiała czytać, więc postawiła miotłę w kącie i zniosła list do swojej pani. Okazało się, że jest to zaproszenie od elfów — miała zostać matką chrzestną ich dziecka.

— Nie mam pojęcia, co robić, proszę pani! — powiedziała.

— To trudna sprawa, Małgosiu — odparła pani. — Ale słyszałam, że niedobrze odrzucać zaproszenie elfów. Myślę, że powinnaś je przyjąć.

— Cóż, skoro pani tak mówi — rzekła służąca.

Pani pomogła jej napisać odpowiedź, że przyjmuje zaproszenie. Zostawiła list w miejscu, gdzie znalazła ten pierwszy, a gdy się odwróciła, natychmiast zniknął. Wkrótce potem pojawiły się trzy elfy i zaprowadziły ją do pieczary w podziemiach góry. Musiała lekko pochylić głowę, by wejść, a gdy znalazła się w środku, zdumiało ją piękno tego, co zobaczyła — wszystko było nieopisanie delikatne i wykonane z drogocennych materiałów.

Młoda matka leżała na łożu z najczarniejszego hebanu inkrustowanego macicą perłową. Narzuta na łóżko była wyszywana złotem, kołyskę zrobiono z kości słoniowej, a niewielką wanienkę ze złota. Noworodek był nie większy od paznokcia małego palca dziewczyny.

Służąca podała dziecko do chrztu, a potem chciała iść do domu, bo nazajutrz musiała wrócić do pracy, ale elfy poprosiły, żeby została z nimi trzy dni. Długo ją namawiały, a były takie miłe, że w końcu uległa. Świetnie się bawiła w świecie elfów, a one bardzo się starały, by uprzyjemnić jej czas.

Kiedy minęły trzy dni, powiedziała elfom, że naprawdę musi już wracać do domu. Napełniły jej kieszenie złotem i wyprowadziły z podziemi. Ruszyła w drogę powrotną i dotarła do domu koło południa. Znalazła miotłę w kącie na podwórzu, tam gdzie ją zostawiła. Wzięła ją i jak zwykle zaczęła zamiatać, ale ze zdumieniem spostrzegła, że z domu wychodzą obcy ludzie. Zapytali ją, co robi. Okazało się, że jej dawna chlebodawczyni już nie żyje, a ona spędziła w górach nie trzy dni, jak myślała, tylko siedem lat.

Opowieść trzecia

Elfy wykradły matce niemowlę z kołyski i włożyły tam odmieńca, małego potworka z wielką głową i wybałuszonymi oczami, który tylko jadł i pił.

Kobieta w rozpaczy poszła do sąsiadki i poprosiła o radę. Sąsiadka kazała jej przynieść odmieńca do kuchni, położyć przy piecu i rozpalić ogień. Potem wziąć skorupki jajka i zagotować w nich wodę. To sprawi, że odmieniec zacznie się śmiać, a gdy się roześmieje, będzie musiał odejść.

Kobieta zrobiła wszystko, co nakazała sąsiadka. Kiedy położyła skorupki jajka na piecu, by zagotować wodę, odmieniec zaśpiewał:

*Jak Westerwald jestem stary
I podobny do maskary,
Ale żeby ktoś w jajku chciał gotować wodę,
Tegom jeszcze nie widział. Dobrze, że nie z lodem...!*

A potem ryknął śmiechem. Kiedy to zrobił, pojawiła się gromada małych elfów, niosąc prawdziwe dziecko. Położyły je na podłodze i zabrały odmienca, a kobieta nigdy więcej ich nie widziała.

* * *

Typ baśni: pierwsza opowieść: ATU 503, *Dary elfów*; druga opowieść: ATU 476, *Akuszerka w podziemnym świecie*; trzecia opowieść: AT 504, *Odmieniec*

Źródło: wszystkie trzy baśnie opowiedziała braciom Grimm Dortchen Wild

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *Food and Fire and Company, Goblin Combe, That's Enough to Go On With, The Two Humphs (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Two Hunchbacks (Italian Folktales)*

To grupa bardzo nielicznych baśni braci Grimm, w których występują elfy. Jakkolwiek nazywamy te nadprzyrodzone istoty — elfami, baśniowymi duszkami czy krasnoludkami (w Wielkiej Brytanii zwykle stosuje się określenie *brownies*) — istnieją ściśle określone zasady, których należy przestrzegać, gdy się ma z nimi do czynienia. Katharine Briggs, wielki autorytet w zakresie brytyjskich baśni ludowych, pisze: „Proponowanie elfowi nagrody za jego usługi sprawiało, że natychmiast znikął; było to absolutnie zakazane” (*A Dictionary of Fairies*, str. 46). Jednak wydaje się temu przeczyć historia *That's Enough to Go On With*, w której grzeczne dzieci otrzymują nagrodę, a nieokrzesany chłop zostaje ukarany. Może po prostu trzeba mieć trochę szczęścia, a także być ostrożnym?

W obecnej postaci druga i trzecia baśń to niewiele więcej niż anegdota, choć oczywiście można by je rozbudować. Pierwsza jest dość znana: niektórzy czytelnicy mogą dostrzec nikielne podobieństwo do książki Beatrix Potter *Krawiec i jego kot (The Tailor of Gloucester, 1902)*.

Narieczona mordercy

Żył raz młynarz, który miał piękną córkę. Kiedy dojrzała do małżeństwa, postanowił znaleźć dla niej odpowiedniego męża. Jeśli nadarzy się jakiś porządny człowiek, wydam ją za niego, pomyślał.

Rozeszły się o tym wieści i wkrótce potem pojawił się elegancki pan, który spytał o piękną córkę. Młynarz porozmawiał z nim, nie zauważył niczego, co budziłoby podejrzenia, i przyrzekł mu rękę dziewczyny.

Ale narieczony nie podobał się córce. Było w nim coś, co sprawiało, że nie czuła do niego zaufania. Co gorsza, kiedy o nim myślała lub słyszała jego imię, serce ścisnęło jej się z trwogi.

Pewnego dnia mężczyzna powiedział do narieczonej:

— Wiesz, moja droga, jesteśmy zaręczeni, ale jeszcze nigdy mnie nie odwiedziłaś. Dlaczego nie przyjdiesz do mojego domu? W końcu niedługo tam zamieszkasz.

— Nie wiem, gdzie jest twój dom — odparła dziewczyna.

— W lesie — wyjaśnił. — Stoi w pięknej okolicy, zobaczysz.

— Chyba nigdy nie uda mi się tam trafić.

— Nie, nie, musisz przyjść w niedzielę. Zaprosiłem kilku gości, którzy bardzo chcieliby cię poznać. Wysypię wśród drzew ścieżkę z popiołu, żebyś nie zabłądziła.

W niedzielę dziewczynę ogarnęły złe przeczucia i dałaby wszystko, żeby nie iść przez las do domu narzeczonego. Napełniła kieszenie grochem, by na wszelki wypadek oznaczyć drogę. Na skraju lasu znalazła ścieżkę z popiołu i co krok rzucała w prawo i lewo dwa ziarenka grochu. Szła niemal przez cały dzień, aż dotarła do odległej części lasu, gdzie drzewa były tak grube i wysokie, że panował pod nimi półmrok, i tam, w sercu puszczy, znalazła dom narzeczonego. Był ciemny, cichy i wydawał się pusty. W środku zobaczyła tylko ptaka w klatce, ale poczuła się nieswojo, bo zaśpiewał:

*Strzeż się! Uciekaj! Uważaj na siebie!
To dom mordercy! Zabije i ciebie!*

Dziewczyna spojrzała na ptaka i spytała:
— Czy możesz mi powiedzieć coś więcej, ptaszku?
Ptak zaśpiewał znowu:

*Strzeż się! Uciekaj! Uważaj na siebie!
To dom mordercy! Zabije i ciebie!*

Chodziła z pokoju do pokoju, ale nie spotkała nikogo. Dopiero w piwnicy ujrzała bardzo starą kobietę siedzącą przy ogniu i kiwającą głową.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, czy tu mieszka mój narzeczony? — spytała.

— Och, biedne dziecko! — zawołała staruszka. — Dlaczego przyszedł do tego domu?! To jaskinia morderców. Mówisz o narzeczonym? Jedyne narzeczony, jakiego poślubisz, to śmierć! Widzisz ten wielki kocioł wody? Kazali mi ją zagotować. Kiedy wrócą, porąbią cię na kawałki, wrzucą do kotła, poczekają, aż ciało zmięknie, a potem zjedzą. To ludożercy! Żal mi ciebie, bo jesteś niewinną dziewczyną, a poza tym masz ładną buzię. Chodź tutaj.

Staruszka kazała jej wejść za dużą kadź, gdzie była niewidoczna z pozostałych części piwnicy.

— Siedź tutaj i ani mru-mru! — rzekła. — Jeśli cię usłyszą, zginiesz! Później, gdy zasną, uciekniemy.

Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy do domu wróciła banda morderców, wlokąc schwytaną dziewczynę. Krzyczała i szlochała, ale byli pijani i nie zwracali uwagi na jej błagania o litość. Zmusili ją, by wypła kieliszek czerwonego wina, potem kieliszek białego, a następnie żółtego. Po trzecim kieliszku nie mogła już wytrzymać — pękło jej serce.

Bandyty zerwali z niej piękne suknie, położyli ją na stole, porąbali na kawałki i posypali solą. Biedna narzeczona siedziała za kadzią i dygotała na całym ciele, widząc, jaki los chcą jej zgotować mordercy.

Później jeden z nich zauważył złoty pierścień na palcu martwej dziewczyny. Wziął siekiere i odrąbał palec, który wyleciał w powietrze, zatoczył łuk nad kadzią i wylądował na kolanach narzeczonej. Bandyta nie zauważył, gdzie upadł palec, więc wziął latarnię i zaczął go szukać.

— Zajrzyj za wielką kadź! — powiedział inny morderca. — Zdaje mi się, że poleciał w tamtą stronę!

— Chodźcie na kolację! — zawołała stara kobieta. — Palec nie ucieknie, możecie go poszukać rano!

— Racja! — stwierdzili bandyci, po czym usiedli na krzesłach i zabrali się do jedzenia.

Stara kobieta dolała im do wina środka usypiającego, więc nim skończyli jeść, wszyscy osunęli się na ziemię i zasnęli.

Kiedy narzeczona usłyszała, że chrapią, wyszła zza kadzi. Musiała przejść nad śpiącymi mordercami, leżącymi na podłodze piwnicy. Strasznie się bała, że nadeptnie na któregoś z nich i go obudzi.

— Kochany Boże, pomóż mi! — szepnęła.

Bezpiecznie dotarła do wyjścia z piwnicy, gdzie czekała stara kobieta. Poszły na górę, otworzyły drzwi i czym prędzej opuściły dom.

Dobrze, że dziewczyna oznaczyła drogę powrotną ziarnkami grochu, ponieważ wiatr rozwał ścieżkę z popiołu. Ziarnka grochu wypuściły kielki i widziała je w świetle księżyca. Przez całą noc szła ze staruszką do młyna; przybyły tam o wschodzie słońca. Dziewczyna opowiedziała ojcu wszystko, co się stało, od początku do końca, a staruszka to potwierdziła.

Kiedy nadszedł dzień ślubu, pojawił się narzeczony. Uśmiechał się i był dla wszystkich bardzo uprzejmy. Młynarz zaprosił swoich krewnych i przyjaciół, a przystojny, miły mężczyzna zrobił na nich duże wrażenie. Zasiedli do stołu i każdego gościa poproszono, by opowiedział jakąś historię. Narzeczona milczała, słuchając kolejnych opowieści, aż w końcu narzeczony spytał:

— A ty, kochanie? Nie opowiesz nam żadnej historii?

— Dobrze, opowiem swój sen — odparła dziewczyna. — Spacerowałam po lesie, aż dotarłam do ponurego domu. Nigdzie nie było widać żywej duszy i zobaczyłam tylko ptaka w klatce, który zaśpiewał: „Strzeż się! Uciekaj! Uważaj na siebie! To dom mordercy! Zabije i ciebie!”. Powtórzył te słowa, ale to tylko sen, najdroższy. Przeszłam przez wszystkie pokoje i chociaż nikogo tam nie było, dom miał w sobie coś niesamowitego. W końcu zeszłam do piwnicy, gdzie spotkałam starą kobietę, która kiwała głową. Spytałam ją: „Czy w tym domu mieszka mój narzeczony?”, a ona odpowiedziała: „Niestety, biedne dziecko, jesteś w domu mordercy. Twój narzeczony rzeczywiście tu mieszka, ale porąbie cię na kawałki, wrzuci do kotła i zje”.

— Tak nie jest! — wtrącił narzeczony.

— Nie martw się, najdroższy, to tylko sen. Stara kobieta ukryła mnie za wielką kadzią i wkrótce do domu wrócili bandyci, wlokąc biedną dziewczynę, która krzyczała i błagała o litość. Zmusili ją do wypicia trzech kieliszków wina: czerwonego, białego i żółtego. Pękło jej serce i umarła.

— Tak nie jest, tak nie było! — zawołał narzeczony.

— Siedź spokojnie, najdroższy! To tylko sen. Zdjęli z niej piękne suknie, położyli ją na stole, porąbali na kawałki i posypali solą.

— Tak nie jest, tak nie było! Niechaj Bóg broni, aby się sprawdziło! — wykrzyknął narzeczony.

— Najdroższy, uspokój się! To tylko sen. Potem jeden z bandytów zauważył złoty pierścień na palcu biednej dziewczyny. Wziął siekiere i odrąbał palec, który poleciał w moim kierunku i wylądował mi na kolanach. Oto palec i pierścień.

Wypowiedziawszy te słowa, uniosła palec i pierścień, by wszyscy je zobaczyli.

Narzeczony, blady jak kreda, zerwał się z miejsca i usiłował uciec, ale goście chwycili go, obezwładnili i zaprowadzili do sądu. Wysłano żołnierzy, by złapali pozostałych bandytów, i skazano ich na śmierć za nikczemne zbrodnie.

* * *

Typ baśni: ATU 955, *Narzeczony rozbójnik*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Marie Hassenpflug

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *The Cellar of Blood*, *Dr Foster*, *Mr Fox (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Marriage of a Queen and a Bandit (Italian Folktales)*

W baśni tej nie ma absolutnie niczego nadprzyrodzonego — to porządna krwawa opowieść, która ma szokować słuchaczy. Jest twardo osadzona w realnym świecie i nie należy się dziwić, że w jednej z wersji, *The Cellar of Blood* Katharine M. Briggs, rodzice dzielnej dziewczyny telefonują do Scotland Yardu, prosząc o przysłanie detektywów na przyjęcie, podczas którego tajemnica wychodzi na jaw.

Z jakichś przyczyn szczególnie wiele wariantów tej baśni występuje w Wielkiej Brytanii. Okrzyki, jakimi reaguje narzeczony

na sen dziewczyny, zapożyczyłem z jeszcze innej wersji,
zatytułowanej *Mr Fox*. To samo zrobił Szekspir:

BENEDICK: Jak w starej opowieści, panie: Tak nie jest, tak nie było!
Niechaj Bóg broni, aby się sprawdziło!

(*Wiele hałasu o nic*, akt I, scena 1,
przeł. Maciej Słomczyński)

Śmierć ojcem chrzestnym

Pewien ubogi człowiek miał dwanaścioro dzieci i musiał harować dzień i noc, by je wyżywić. Kiedy jego żona urodziła trzynaste dziecko, nie wiedział, co robić, i wybiegł na gościniec — postanowił poprosić pierwszą napotkaną osobę, by została ojcem chrzestnym.

Pierwszym, kogo zobaczył, był sam Bóg. Ponieważ Bóg wiedział wszystko, nie musiał pytać, o co chodzi mężczyźnie.

— Żał mi ciebie, biedny człowieku — rzekł. — Chętnie będę trzymał twojego syna do chrztu. Zaopiekuję się nim, nic się nie martw.

— Kim jesteś? — spytał mężczyzna.

— Bogiem.

— Cóż, idź swoją drogą. Nie chcę cię na ojca chrzestnego. Jesteś łaskawy dla bogaczy, którym niczego nie brakuje, a biedakom pozwalasz głodować.

Oczywiście powiedział to tylko dlatego, że nie wiedział, jaki cel ma Bóg, gdy jest dobry dla bogaczy, a okrutny dla ubogich.

Ruszył gościńcem i po chwili napotkał jegomościa ubranego w piękny kaftan.

— Chętnie ci pomogę — powiedział nieznajomy. — Uczyń mnie ojcem chrzestnym swojego syna, a dam mu wszystkie bogactwa świata i sprawię, że będzie się cieszył życiem.

— Kim jesteś?

— Diabłem.

— Co takiego?! Nie chcę takiego ojca chrzestnego! Oszukujesz ludzi i doprowadzasz do grzechu. Słyszałem o tobie.

Szedł dalej i po pewnym czasie spotkał starca idącego w jego stronę na chudych nogach.

— Zrób mnie ojcem chrzestnym swojego syna — powiedział nieznajomy.

— Kim jesteś?

— Śmiercią. Sprawiam, że wszyscy są równi.

— W takim razie jesteś właściwą osobą — odparł ubogi. — Zabierasz biednych i bogatych. Zostaniesz ojcem chrzestnym mojego dziecka.

— To mądra decyzja — powiedział starzec. — Sprawię, że twój syn będzie bogaty i sławny. Tym, co mają mnie za przyjaciela, dobrze się wiedzie.

— A więc w przyszłą niedzielę — rzekł mężczyzna. — Koniecznie przybądź punktualnie.

Zgodnie z obietnicą Śmierć pojawiła się na chrzcinach, złożyła wymagane przysięgi i zachowywała się nienagannie.

Chłopiec rósł, a gdy osiągnął pełnoletniość, ojciec chrzestny przyszedł do jego domu i powiedział:

— Chodź ze mną, młody człowieku.

Zaprowadził chłopca do lasu, gdzie pokazał mu pewne ziele.

— To dar od twojego ojca chrzestnego — oznajmił. — Sprawię, że staniesz się sławnym medykiem. Kiedy wezwą cię do łóża chorego, rozejrzyj się i zaraz mnie zauważysz. Jeśli będę stał koło głowy pacjenta, powiesz rodzinie, że chory wyzdrowieje. Potem daj mu trochę tego ziele. Możesz je stosować w dowolnej formie: liści do ssania, naparu z kwiatów, tabletek z roztartych korzeni. Nie ma to żadnego znaczenia; za dzień lub dwa pacjent będzie zdrowy. Ale jeśli zobaczysz mnie stojącego w nogach łóżka, chory należy do mnie, rozumiesz? Masz mówić, że nie ma dla niego ratunku, że nie pomoże mu żaden lekarz na świecie. Przestrzegaj tych zasad i wszystko będzie dobrze, ale uważaj: jeśli dasz ziele komuś, kto należy do mnie, spotka cię coś bardzo złego.

Młody człowiek posłuchał rad ojca chrzestnego i wkrótce został najsłynniejszym medykiem na świecie. Ludzi zdumiewała jego umiejętność przewidywania, czy pacjent wyzdrowieje, czy umrze. Przybywali ze wszystkich krajów świata, by prosić go o radę, i płacili dużo pieniędzy, aż stał się bardzo bogatym człowiekiem.

Pewnego dnia zachorował król. Poślano po sławnego lekarza i spytano go, czy władca wyzdrowieje. Kiedy młody człowiek wszedł do sypialni, zobaczył ojca chrzestnego stojącego w nogach łóżka. Los króla był przypieczętowany. Oczywiście nie była to wiadomość, jaką chciała usłyszeć rodzina królewska.

Gdybym tylko choć raz mógł się sprzeciwić ojcu chrzestnemu, pomyślał młody człowiek. Śmierć na pewno się wścieknie, ale w końcu jestem jej chrześniakiem. Może mi wybaczy? Tak czy inaczej, zaryzykuję.

Obrócił łóżko, tak że Śmierć znalazła się obok głowy króla, po czym dał choremu do wypicia napar z kwiatów. Wkrótce król usiadł na łóżku i poczuł się znacznie lepiej.

Jednak kiedy młody człowiek znalazł się sam, przyszła do niego Śmierć. Zmarszczyła gniewnie brwi i pokiwała palcem.

— Oszukałeś mnie! — powiedziała. — Bardzo mi się to nie podoba! Tym razem przymknę na to oko, bo jesteś moim synem chrzestnym, ale spróbuj to zrobić jeszcze raz, a pożałujesz! Kiedy będę odchodził, zabiorę ciebie!

Wkrótce potem poważnie zachorowała córka króla. Była jego jedynym dzieckiem, więc król płakał dzień i noc, aż oczy tak mu zapuchły, że prawie nic nie widział. Kazał ogłosić, że ktokolwiek uleczy dziewczynę, poślubi ją i odziedziczy tron.

Naturalnie młody człowiek postanowił spróbować szczęścia, podobnie jak wielu innych. Kiedy wszedł do sypialni królowy, zobaczył Śmierć stojącą koło jej nóg. Jednak tym razem prawie nie zwrócił uwagi na ojca chrzestnego, bo gdy spojrział na twarz dziewczyny, zapomniał o całym świecie. Była tak piękna, że nie mógł myśleć o niczym innym. Śmierć marszczyła brwi, prychała i wygrażała pięścią, ale młody człowiek nie zwracał na nią uwagi. Obrócił łóżko, dał chorej dwie tabletki i królowa natychmiast usiadła, a jej policzki znów się zaróżowiły.

Ale Śmierć, oszukana po raz drugi, nie miała ochoty czekać. Chwyciła medyka kościstą ręką i powiedziała:

— W porządku, chłopcze, koniec z tobą!

Odciągnęła go od łóżka królowy, wyprowadziła z pałacu, potem z miasta, a jej lodowaty chwyt był taki silny, że młody człowiek nie mógł się wyrwać, chociaż ciągle próbował. Powiodła go do wielkiej jaskini w górach, w której paliły się tysiące świec, niektóre wysokie, niektóre średniej długości, inne zaś tak krótkie, że powinny zaraz zgasnąć. Przez cały czas jedne świece gasły, a inne się zapalały, toteż wydawało się, że niewielkie płomyki tańczą po jaskini.

— Widzisz te świece? — spytał ojciec chrzestny. — Każdy człowiek żyjący na ziemi ma tu zapaloną świecę. Wysokie należą do dzieci, średnie do ludzi w kwiecie wieku, a krótkie do starców. W większości. Niektórzy młodzi ludzie mają bardzo krótkie świece.

— Która jest moja? — spytał młody człowiek, myśląc, że jego świeca powinna być dość długa.

Śmierć wskazała dopalający się ogarek. Młody człowiek wpadł w przerażenie.

— Ach, ojcie chrzestny, drogi ojcie chrzestny, zapal dla mnie drugą świecę, błagam! Bardzo pragnę poślubić królową! Musiałem obrócić jej łóżko, bo natychmiast się w niej zakochałem! Nie mogłem nic na to poradzić! Proszę, drogi ojcie chrzestny, pozwól mi żyć!

— To niemożliwe — odpowiedziała Śmierć. — Nie mogę zapalić drugiej świecy, nie zgasiwszy pierwszej.

— Och, błagam cię, postaw nową świecę na szczycie starej, żeby się paliła, gdy pierwsza zgaśnie!

Śmierć udała, że zamierza to zrobić. Wzięła długą świecę i umieściła koło ogarka, który prawie się wypalił, ale postanowiła się zemścić — kiedy pochyliła nową świecę, by ją zapalić, pozwoliła, by ogarek zgasł. Medyk natychmiast osunął się bez życia na ziemię, bo nie różnił się od innych ludzi: wpadł w ręce Śmierci.

* * *

Typ baśni: ATU 332, *Śmierć ojcem chrzestnym*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Marie Elisabeth Wild

Podobne baśnie: Italo Calvino, *The Land Where No One Ever Dies (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Imć pan kum (Baśnie domowe i dziecięce)*

Druga baśń braci Grimm tego typu, *Imć pan kum*, jest krótka i humorystyczna; brakuje jej siły wyrazu tej opowieści. Wersja Calvina jest podobna tylko pod względem zakończenia — że nikt nie zdoła uniknąć śmierci. Oczywiście istnieją niezliczone warianty tej baśni; najbardziej znany to *Opowieść przekupnia relikwii* Geoffreya Chaucera.

Jałowiec

Przed dwoma tysiącami lat — tak czy inaczej, bardzo dawno temu — żył bogacz, który miał dobrą i piękną żonę. Bardzo się kochali. Do pełnego szczęścia brakowało im tylko dziecka, ale chociaż o nim marzyli, a kobieta modliła się o nie w dzień i w nocy, dziecko się nie pojawiało i nic nie mogło tego zmienić.

Przed domem małżonków znajdował się dziedziniec, na którym rósł jałowiec. Pewnego zimowego dnia kobieta, stojąc pod drzewem, obierała jabłko. Skaleczyła się w palec, a kropla krwi upadła na śnieg.

— Ach! — rzekła z westchnieniem. — Gdybym urodziła dziecko o wargach czerwonych jak krew i skórze białej jak śnieg!

Kiedy to powiedziała, zrobiło jej się lekko na sercu i poczuła się szczęśliwa. Wróciła do domu, pewna, że wszystko dobrze się skończy.

Minął jeden miesiąc i śnieg stopniał.

Minęły dwa miesiące i świat się zazielenił.

Minęły trzy miesiące i na łąkach zakwitły kwiaty.

Minęły cztery miesiące i gałęzki drzew w lesie wzmocniły się i splotły ze sobą. W całym lesie rozbrzmiewał śpiew ptaków, a z kwitnących drzew spadały płatki kwiatów.

Minęło pięć miesięcy i kobieta stanęła pod jałowcem. Pachniał tak słodko, że zabiło jej mocno serce i upadła na kolana, pełna radości.

Minęło sześć miesięcy. Jagody stały się dojrzałe i ciężkie, a kobieta żyła w oczekiwaniu.

Kiedy minęło siedem miesięcy, zerwała jagody jałowca i zjadła ich tak dużo, że poczuła mdłości i ogarnął ją smutek.

Kiedy minął ósmy miesiąc, wezwała męża i powiedziała:

— Jeżeli umrę, pochowaj mnie pod jałowcem.

Uspokoila się, kiedy jej to obiecał, a po upływie kolejnego miesiąca urodziła syna o wargach czerwonych jak krew i skórze

białej jak śnieg. Gdy zobaczyła niemowlę, z radości pękło jej serce i umarła.

Mąż pochował ją pod jałowcem. Na początku płakał rzewnymi łzami, ale po pewnym czasie pierwsza rozpacz minęła i chociaż ciągle płakał, łzy były mniej rzewne. A kiedy upłynęło jeszcze trochę czasu, wziął sobie drugą żonę.

Urodziła mu córkę, ale z pierwszego małżeństwa miał syna o wargach czerwonych jak krew i skórze białej jak śnieg. Druga żona kochała swoją córkę, a gdy spoglądała na małego chłopca, czuła w sercu piekącą nienawiść, bo wiedziała, że to on odziedziczy bogactwa męża, i bała się, że jej córka nic nie dostanie. W końcu opętał ją diabeł i nie mogła myśleć o niczym innym. Od tamtej pory nie dawała chłopcu spokoju: policzkowała go, biła, wyzywała, stawiała do kąta, aż biedne dziecko było tak przerażone, że ledwo się ośmielało wracać ze szkoły do domu i nie mogło zaznać chwili wytchnienia.

Pewnego dnia kobieta poszła do spiżarni, po czym zajrzała tam jej mała córka Marlenka i spytała:

— Mamo, czy mogę dostać jabłko?

— Oczywiście, kochanie — odpowiedziała kobieta i dała jej piękne czerwone jabłko ze skrzyni, która miała ciężkie wieko z ostrą żelazną krawędzią.

— Mamo, czy mój brat też może dostać jabłko? — spytała Marlenka.

Wzmianka o chłopcu rozwścieczyła kobietę, ale opanowała się i rzekła:

— Tak, oczywiście, gdy wróci ze szkoły.

W tej samej chwili wyjrzała przez okno i zobaczyła małego chłopca wracającego do domu. Nagle jakby opętał ją diabeł. Wyrwała dziewczynce jabłko i powiedziała:

— Nie zjesz jabłka przed swoim bratem. — Wrzuciła jabłko do skrzyni i zamknęła ją, a Marlenka poszła na górę do swojego pokoju.

A kiedy chłopiec wszedł do domu, diabeł kazał kobiecie spytać słodko:

— Chciałbyś zjeść jabłko, synku?

W jej oczach płonęła wściekłość.

— Wydajesz się bardzo rozgniewana, mamo! — odparł chłopiec. — Tak, chciałbym zjeść jabłko.

Kobieta nie mogła się powstrzymać. Musiała zrobić następny krok.

— Chodź tutaj — rzekła i otworzyła wieko skrzyni. — Wybierz sobie jabłko. Pochyl się, o tak! Najlepsze leżą z tyłu.

Kiedy chłopiec pochylił się nad skrzynią, diabeł popchnął kobietę do zbrodni. Trzask-prask! Zatrzasnęła wieko, a odcięta głowa chłopca potoczyła się między jabłka.

Ogarnął ją straszliwy strach i pomyślała: Co robić?! Ale może jest sposób... Pobiegła na piętro i wzięła z komody białą chustkę, po czym usadziła chłopca w fotelu obok kuchennych drzwi, umieściła mu głowę na szyi i owinęła chustkę wokół rany, by nic nie było widać. Włożyła mu do ręki jabłko i poszła do kuchni zagotować kocioł wody.

Po chwili Marlenka weszła do kuchni i powiedziała:

— Mamo, mój brat siedzi koło drzwi i trzyma w ręku jabłko, a twarz ma taką bladą! Poprosiłam, żeby dał mi jabłko, ale nie odpowiedział i zaczęłam się bać.

— Cóż, wróć tam i odezwij się do niego jeszcze raz — odparła matka. — Jeśli nie odpowie, uderz go w twarz.

Marlenka podeszła do chłopca i rzekła:

— Bracie, daj mi jabłko!

Chłopiec siedział nieruchomo i milczał, więc uderzyła go w twarz, a wtedy odpadła mu głowa. Biedna Marlenka przeraziła się. Wrzasnęła, pobiegła do matki i zawołała:

— Och, matko, matko, oderwałam bratu głowę! — Szlochała, łkała, nie mogła się uspokoić.

— Ach, Marlenko, zła dziewczyno, coś ty zrobiła?! — odezwała się matka. — Cicho sza, niech to będzie tajemnica! Co się stało, to się nie odstanie. Nikomu o tym nie powiemy. Zrobimy z niego gulasz.

Wzięły chłopca, porąbały go na kawałki i włożyły do garnka. Marlenka bez przerwy płakała. Do wody wpadło tyle łez, że nie trzeba było soli.

Wkrótce do domu przyszedł ojciec i usiadł przy stole. Rozejrzał się i spytał:

— Gdzie mój syn?

Kobieta postawiła na stole duże naczynie z gulaszem. Marlenka zanosila się od płaczu.

— Gdzie mój syn? — powtórzył ojciec. — Dlaczego nie siedzi przy stole?

— Ach, pojechał odwiedzić rodzinę stryja swojej matki. Zostanie z nimi przez jakiś czas.

— Ale dlaczego? Nawet się nie pożegnał.

— Chciał do nich pojechać. Mówił, że spędzi tam sześć tygodni. Nie martw się, będą o niego dbali.

— To mi się nie podoba — rzekł ojciec. — Nie powinien wyjeżdżać, nie pytając mnie o pozwolenie. Przykro mi, że go tu nie ma. Powinien się pożegnać. — Zaczął jeść i dodał: — Dlaczego płaczesz, Marlenko? Twój brat wróci, nie martw się. — Zjadł jeszcze trochę gulaszu i powiedział: — Żono, to najlepszy gulasz, jaki kiedykolwiek jadłem. Jest pyszny! Daj mi dokładkę. A wy nic nie jecie... Chyba cały gulasz jest dla mnie. — Zjadł wszystko, aż do dna, i rzucił kości pod stół.

Marlenka poszła do swojego pokoju i wyjęła z komody swoją najlepszą białą chustkę. Zebrała kości spod stołu, zawiązała w chustkę i wyszła. W końcu zabrakło jej łez i płakała żywą krwią.

Położyła kości na zielonej trawie pod jałowcem. Kiedy to uczyniła, zrobiło jej się źlej na sercu i przestała płakać.

Jałowiec zaczął się ruszać. Najpierw gałęzie odsunęły się od siebie, a potem zbliżyły, jak ręce człowieka bijącego brawo. W tej samej chwili między gałęziami pojawiła się złocista mgielka i uniosła niczym płomień — w środku płomienia znajdował się piękny ptak, który wzleciał w powietrze, wesoło śpiewając i ćwierkając. Kiedy zniknął, jałowiec znów był taki sam jak zawsze, ale chustka i kości znikły. Marlenka poczuła się szczęśliwa, jakby jej brat ciągle żył. Pobiegła do domu, usiadła przy stole i zjadła kolację.

Tymczasem ptak poleciał do miasta, usiadł na dachu domu złotnika i zaczął śpiewać:

*Moja matka ucięła mi głowę,
A mój ojciec mnie zjadł!
Moja siostra pochowała me kości
Pod jałowcem, zielonym jałowcem!
Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie
Piękniejszej ptaszyny ode mnie!*

Złotnik robił w warsztacie złoty łańcuch. Usłyszał śpiewającego ptaka i pieśń bardzo mu się spodobała, więc wstał i wybiegł na dwór, by zobaczyć, co to za ptak. Wypadł z domu w takim pośpiechu, że zgubił po drodze pantofel. Stał na środku ulicy, w skórzanym fartuchu, ze szczypcami w jednej ręce i złotym łańcuchem w drugiej. Spojrzał w niebo, wypatrując ptaka i osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem, i zawołał:

— Hej, ptaku! Piękna piosenka! Zaśpiewaj ją dla mnie jeszcze raz!

— O nie! — odparł ptak. — Nie śpiewam dwa razy za darmo! Daj mi złoty łańcuch, a znów zaśpiewam swoją piosenkę!

— Dobrze, bardzo chętnie — odpowiedział złotnik. — Przyleć tu i weź łańcuch, ale zaśpiewaj ją jeszcze raz!

Ptak podleciał do złotnika, chwycił prawą łapką łańcuch, usiadł na płocie otaczającym ogród i zaśpiewał:

*Moja matka ucięła mi głowę,
A mój ojciec mnie zjadł!
Moja siostra pochowała me kości
Pod jałowcem, zielonym jałowcem!
Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie
Piękniejszej ptaszyny ode mnie!*

Później odleciał, odnalazł dom szewca, usiadł na dachu i zaśpiewał:

*Moja matka ucięła mi głowę,
A mój ojciec mnie zjadł!
Moja siostra pochowała me kości
Pod jałowcem, zielonym jałowcem!
Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie
Piękniejszej ptaszyny ode mnie!*

Szewc uderzał młotkiem w kopyto, ale gdy usłyszał piosenkę, od razu przerwał robotę. Wybiegł z domu i popatrzył na dach. Musiał osłonić oczy przed jaskrawym słońcem.

— Ptaku! — zawołał. — Jak ty pięknie śpiewasz! Jeszcze nigdy nie słyszałem takiej piosenki! — Wpadł z powrotem do domu i krzyknął: — Żono, wyjdź i posłuchaj śpiewu tego ptaka! Jest cudowny!

Zawołał córkę, jej dzieci, czeladników i służącą. Wszyscy wyszli na ulicę i ze zdumieniem spojrzeli na ptaka. Jego pióra, czerwono-zielone, ze złocistą obrózką na szyi, lśniły w słońcu, a jego oczy błyszcząły jak gwiazdy.

— Ptaku, zaśpiewaj tę piosenkę jeszcze raz! — poprosił szewc.

— O nie! — odpowiedział ptak. — Nie śpiewam dwa razy za darmo. Daj mi czerwone pantofelki, które widzę w twoim warsztacie.

Żona pobiegła do warsztatu i przyniosła pantofelki, a ptak przyleciał i chwycił je lewą łapką. Potem wzbił się w powietrze i zaśpiewał:

*Moja matka ucięła mi głowę,
A mój ojciec mnie zjadł!
Moja siostra pochowała me kości
Pod jałowcem, zielonym jałowcem!
Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie
Piękniejszej ptaszyny ode mnie!*

Później opuścił miasto i poleciał wzdłuż rzeki, trzymając w prawej łapce złoty łańcuch, a w lewej czerwone pantofelki. Leciał i leciał, aż dotarł do młyna, w którym koło wodne obracało się, skrzypiąc: klipety-klap, klipety-klap, klipety-klap. Przed młynem siedziało dwudziestu czeladników, wykuwając nowy kamień młyński, tiki-tik, tiki-tik, tiki-tik. A koło wodne wciąż skrzypiało: klipety-klap, klipety-klap, klipety-klap.

Ptaka zatoczyło koło, usiadł na lipie stojącej przed młynem i zaśpiewał:

Moja matka ucięła mi głowę...

Jeden z czeladników przestał pracować i spojrzał w górę.

A mój ojciec mnie zjadł...

Dwóch następnych przerwało pracę i zaczęło słuchać.

Moja siostra pochowała me kości...

Czterech przestało wykuwać kamień młyński.

Pod jałowcem, zielonym jałowcem...

Ośmiu odłożyło dłuta.

Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie...

Czterech kolejnych czeladników rozejrzało się dokoła.

Piękniejszej ptaszyny ode mnie!

Wreszcie ostatni czeladnik usłyszał śpiew ptaka i odłożył dłuto. Wszystkich dwudziestu zaczęło bić brawo, krzyczeć i rzucać czapki do góry.

— Ptaku, to najlepsza piosenka, jaką znam! — zawołał ostatni. — Ale słyszałem tylko końcową linijkę. Zaśpiewaj dla mnie całą jeszcze raz!

— O nie — odpowiedział ptak. — Nie śpiewam dwa razy za darmo. Daj mi kamień młyński, który wykuwacie, a wtedy znów zaśpiewam.

— Gdyby tylko należał do mnie, chętnie bym ci go dał — odparł czeladnik. — Ale...

— Och, przestań! — zawołali inni. — Jeśli zaśpiewa tę piosenkę jeszcze raz, może wziąć kamień młyński!

Dwudziestu czeladników chwyciło długą belkę, wsadziło ją pod kamień młyński i postawiło go na sztorc: „Hej-ho! Hej-ho! Hej-ho!”.

Ptak usiadł na ziemi i włożył głowę w otwór w kamieniu młyńskim. Niosąc go na szyi, poleciał z powrotem na drzewo i zaśpiewał:

*Moja matka ucięła mi głowę,
A mój ojciec mnie zjadł!
Moja siostra pochowała me kości
Pod jałowcem, zielonym jałowcem!
Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie
Piękniejszej ptaszyny ode mnie!*

Kiedy skończył pieśń, rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze. W prawej łapce miał złoty łańcuch, w lewej pantofelki, a na szyi kamień młyński. Poleciał z powrotem do domu ojca.

W domu ojciec, matka i Marlenka siedzieli przy stole.

— Wiecie, z jakiegoś powodu jestem dziś szczęśliwy — odezwał się ojciec. — Od wielu dni nie czułem się tak dobrze.

— Bardzo się cieszę, ale ja nie czuję się dobrze — odparła żona. — Chyba nadchodzi wielka burza.

Marlenka tylko płakała.

I wtedy przyleciał ptak. Okrążył dom i usiadł na dachu, a gdy to zrobił, ojciec powiedział:

— Nie, nigdy nie czułem się tak dobrze. Na dworze świeci słońce i mam wrażenie, że wkrótce zobaczę starego przyjaciela.

— Och, ja się czuję koszmarnie — rzekła kobieta. — Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jest mi na przemian zimno i gorąco. Szczękają mi

zęby, a w moich żyłach płonie ogień.

Rozpięła drżącymi rękami gorset. Marlenka siedziała w kącie, płacząc żałośnie. Cała jej chusteczka była mokra od łez.

Po chwili ptak przeleciał z dachu na jałowiec, gdzie wszyscy troje mogli go zobaczyć, i zaśpiewał:

Moja matka ucięła mi głowę...

Kobieta zatkała sobie dłońmi uszy i zamknęła oczy. Szumiało jej w głowie i widziała błyski pod powiekami.

A mój ojciec mnie zjadł...

— Żono, popatrz! — zawołał mężczyzna. — Nigdy nie widziałem takiego pięknego ptaka! Śpiewa jak anioł, a słońce świeci tak jasno i powietrze pachnie cynamonem!

Moja siostra pochowała me kości...

Marlenka wtuliła głowę w kolana, płacząc i szlochając, a ojciec powiedział:

— Wychodzę. Muszę zobaczyć tego ptaka z bliska!

— Nie! Nie rób tego! — wykrzyknęła żona. — Wydaje mi się, że cały dom drży i płonie!

Ale ojciec wybiegł na słońce i patrzył na ptaka, który śpiewał:

Pod jałowcem, zielonym jałowcem!

Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie

Piękniejszej ptaszyny ode mnie!

Kiedy wyśpiewał ostatnią nutę, upuścił złoty łańcuch, który spadł ojcu prosto na szyję. Pasował na niego jak ulał. Ojciec natychmiast wbiegł do domu i zawołał:

— Co za piękny ptak! Zobaczcie tylko, co mi dał!

Kobieta była zbyt przerażona, by spojrzeć. Runęła na podłogę, a czepek spadł jej z głowy i potoczył się do kąta.

Potem ptak zaśpiewał jeszcze raz:

Moja matka ucięła mi głowę...

— Nie! Nie mogę tego znieść! Wolałabym być tysiąc metrów pod ziemią, byle tylko nie słyszeć tego śpiewu!

A mój ojciec mnie zjadł...

Kobieta znowu upadła, jakby coś uderzyło ją w głowę, i zaczęła drapać paznokciami podłogę.

Moja siostra pochowała me kości...

Marlenka otarła oczy i wstała.

— Wyjdę i zobaczę, czy ptak coś mi da! — zawołała i wybiegła na dwór.

Pod jałowcem, zielonym jałowcem!

Wyśpiewawszy te słowa, ptak rzucił na dół czerwone pantofelki.

*Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie
Piękniejszej ptaszyny ode mnie!*

Marlenka włożyła pantofelki i okazało się, że pasują idealnie. Była zachwycona — przybiegła w podskokach do domu i zawołała:

— Och, co za piękny ptak! Kiedy wychodziłam, byłam taka smutna, ale zobaczcie, co mi dał! Mamo, popatrz, jakie śliczne pantofelki!

— Nie! Nie! — krzyknęła kobieta. Zerwała się na równe nogi i włosy zjeżyły jej się na głowie. — Dłużej tego nie wytrzymam! Mam wrażenie, że zbliża się koniec świata! To nie do zniesienia!

Wypadła na dwór, na trawę, i nagle — łup! Ptak upuścił na jej głowę kamień młyński, który ją całą zmiażdżył.

Ojciec i Marlenka usłyszeli trzask i wybiegli na zewnątrz. W miejscu, gdzie zginęła kobieta, widać było płomienie i dym. Po chwili rozwiął je podmuch wiatru. Kiedy zniknęły, Marlenka zobaczyła swojego braciszka.

Ujął jedną ręką dłoń ojca, a drugą dłoń Marlenki i wszyscy troje poczuli się bardzo szczęśliwi. Weszli do domu, usiedli przy stole i zjedli kolację.

* * *

Typ baśni: ATU 720, *Jałowiec*

Źródło: opowieść napisana przez Philipa Ottona Rungego

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *The Little Bird, The Milk-White Doo, Orange and Lemon, The Rose Tree (Folk Tales of Britain)*

Opowieść ta nie ma sobie równych pod względem piękna, grozy i doskonałości formy. Podobnie jak [Rybak i jego żona](#), jest dziełem malarza Philipa Ottona Rungego i dotarła do braci Grimm w postaci rękopisu w pomorskim dialekcie *Plattdeutsch*, czyli języka dolnoniemieckiego.

Porównanie z kilkoma wersjami zawartymi w *Folk Tales of Britain* Katharine M. Briggs dowodzi, jak bardzo Runge udoskonalił główny wątek narracji. Wersje Katharine M. Briggs są mdłe i pozbawione wyrazu — tu mamy do czynienia z arcydziełem.

Preludium, z prześlicznym opisem zmian pór roku, gdy rozwija się ciąża żony, łączy dziecko znajdujące się w jej łonie z życiodajnymi siłami natury, a zwłaszcza z samym jałowcem. Po śmierci matki rozpoczyna się pierwsza część właściwej opowieści, ponura historia macochy i małego chłopca, zakończona pojawieniem się ptaka. Byłby to zwykły teatr grozy, gdyby nie wyjątkowa głębia nikczemności matki. Interesujące są również paralele z dramatem greckim (Atreusz karmiący Tiestesa ciałem jego własnego syna) i Szekspirem (Tytus Andronikus karmiący Tamorę ciałami jej synów). To, że ojciec zjada ciało własnego syna, można interpretować na wiele sposobów. Jeden z moich studentów zasugerował kiedyś, że ojciec podświadomie zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakim jest dla syna macocha, i umieszcza go w miejscu, gdzie chłopiec jest absolutnie bezpieczny. Uznałem tę interpretację za pomysłówą.

Po grozie tej pierwszej części wszystko staje się słońcem i światłem. Na początku nie rozumiemy, co robi ptak, ale złoty łańcuch i czerwone pantofelki są ładne, a epizod, gdy złotnik wybiega z domu i gubi pantofel, wprowadza element komizmu. W końcu przybywamy do młyna — druga część opowieści kończy się, gdy ptak w nieprawdopodobny, lecz przekonujący sposób odlatuje z kamieniem młyńskim, pantofelkami i łańcuchem. Wtedy zaczynamy rozumieć.

Ostatnia część przypomina punkt kulminacyjny *Rybaka i jego żony*, a burza współgra z apogeum winy i szaleństwa kobiety. Tym razem burza ma charakter wewnętrzny: ojciec i Marlenka z radością

witają powrót małego chłopca, natomiast macocha z przerażenia traci rozum.

Sposób prowadzenia narracji w interesujący sposób potwierdza literacki charakter opowieści. Duże znaczenie ma dokładna kolejność zdarzeń, gdy rozwija się ciąża kobiety, liczba czeladników, którzy przestają wykuwać kamień młyński po każdej linijce wiersza, a także śpiew ptaka oraz podarki w postaci łańcucha i pantofelków, wzmagające trwogę macochy. Precyzja narracji Rungego wymaga całkowitej wierności — i daje satysfakcję.

Możliwość opowiedzenia tej historii to zaszczyt.

Śpiąca królewna

Żyli raz król i królowa, którzy codziennie powtarzali: „Jak cudownie byłoby mieć dziecko!”. Bardzo pragnęli zostać rodzicami, lecz nie pomagały modlitwy, drogie medykamenty ani specjalne diety — dziecko się nie pojawiało.

Pewnego dnia, gdy królowa kąpała się w rzece, z wody wyskoczyła żaba, usiadła na brzegu i rzekła:

— Twoje życzenie się spełni. Przed upływem roku urodzisz dziewczynkę.

Przepowiednia żaby się sprawdziła. Po niespełna roku królowa urodziła córeczkę, która była tak piękna, że król nie posiadał się z radości. Nakazał przygotować wielką uroczystość, na którą zaprosił nie tylko swoich krewnych ze wszystkich okolicznych krajów, lecz także przyjaciół i wybitne osobistości. Było wśród nich trzynaście Mądrych Czarodziejek. Król chciał je dobrze usposobić wobec córki, ale kłopot polegał na tym, że miał tylko dwanaście złotych talerzy, by podać jedzenie. Jedna Mądra Czarodziejka musiała zostać w domu.

Uczty i zabawy trwały przez kilka dni, a na zakończenie Mądre Czarodziejki dały królewnie specjalne podarunki. Pierwsza cnotę, druga piękno, trzecia bogactwo i tak dalej. Dziewczynka dostała wszystko, o czym mogłaby marzyć.

Kiedy jedenasta Mądra Czarodziejka ofiarowała swój dar (cierpliwość), przy drzwiach powstało zamieszanie. Strażnicy nie chcieli wpuścić jakiejś kobiety, ale ich odsunęła i weszła do sali biesiadnej. Była to trzynasta Mądra Czarodziejka.

— A więc nie uznaliście mnie za godną zaproszenia? — zwróciła się do króla. — Popełniliście wielki błąd! Oto moja odpowiedź na ten afront: w piętnastym roku życia królewna ukłuje się w palec wrzecionem i umrze!

Obróciła się na pięcie i wyszła.

Wszyscy byli wstrząśnięci. Ale dwunasta Mądra Czarodziejka, która nie ofiarowała jeszcze swojego daru, postąpiła krok naprzód

i rzekła:

— Nie mogę unieważnić złego zaklęcia, lecz potrafię je złagodzić. Królowna nie umrze, tylko zaśnie na sto lat.

Król chciał chronić córkę i rozkazał spalić wszystkie wrzeciona w kraju. Kiedy królowna dorosła, stało się jasne, że dary Mądrych Czarodziejek były bardzo hojne — dziewczyna odznaczała się dobrocią, pięknem, inteligencją i miłym usposobieniem. Wszyscy ją kochali.

W dniu, w którym skończyła piętnaście lat, król i królowa wyjechali, toteż królowna przebywała sama. Spacerowała po zamku, zaglądając do komnat, do piwnic i na strychy. Chodziła wszędzie, gdzie chciała, aż wreszcie dotarła do starej wieży, w której nigdy wcześniej nie była. Wspięła się po zakurzonych kręconych schodach i stanęła przed niewielkimi drzwiami z zardzewiałym kluczem w zamku.

Zaciekawiona, przekręciła klucz i drzwi natychmiast się otworzyły. W niewielkim pokoiku siedziała staruszka z wrzecionem w ręku i przędła len.

— Dzień dobry! — odezwała się królowna. — Co pani robi?

— Przędę — odparła stara kobieta.

Oczywiście dziewczyna nigdy wcześniej nie widziała nikogo, kto prządł.

— Co to za przedmiot, który się kręci? — spytała.

Stara kobieta podała jej wrzeciono. Królowna chwyciła je, ukłuła się w palec, upadła na zasłane łóżko stojące w komnacie i zasnęła.

Jej sen był tak głęboki, że ogarnął cały zamek. Król i królowa wrócili z podróży, a gdy weszli do sieni, upadli tam, gdzie stali. Służący i dworzanie również runęli na ziemię niczym kostki domina, podobnie konie w stajniach i opiekujący się nimi stajenni, gołębie na dachach i psy na dziedzińcu. Jeden z psów właśnie się drapał i zasnął z tylną łapą za uchem. Muchy na ścianie zapadły w sen. W kuchni zasnął nawet ogień, na którym pieczono wołu. Kropelka tłuszczu, mająca spaść ze skwierczącej tuszy, zastygła w miejscu. Kucharz zamierzał właśnie uderzyć kuchcika — jego ręka znieruchomiała piętnaście centymetrów od ucha chłopca, który stał wykrzywiony, czekając na cios. Na dworze przestał wiać wiatr; nie poruszał się żaden liść; znieruchomiały drobne fale na jeziorze, które wydawało się teraz zrobione ze szkła.

W okolicy zamku poruszał się tylko kolczasty żywopłot. Każdego roku rósł o kilka centymetrów; dotarł do szczytu murów, a potem

wspinał się coraz wyżej i wyżej, aż pokrył cały zamek. Zasłonił wszystkie budynki, nawet flagę na dachu.

Oczywiście ludzie zastanawiali się, co się stało — gdzie się podzieli król, królowa i ich piękna córka. Ale tylko nieliczni brali udział w uczcie z okazji narodzin królowny i pamiętali Mądre Czarodziejki i ich dary, a także klątwę tej, którą pominięto.

— Wszystko dlatego, że piękna królewna zasnęła — mówili. — Na pewno ciągle jest w zamku. Jeśli ktoś wejdzie do środka i zdoła ją uratować, zostanie jej mężem, jeszcze się przekonacie.

Naturalnie w ciągu mijających lat przybywali tutaj różni młodzi ludzie — książęta, żołnierze, chłopscy synowie, żebracy. Usiłowali przedrzeć się przez żywopłot i znaleźć wejście do zamku. Byli pewni, że gdy tylko dostaną się do środka, odszukają królewnę, obudzą ją pocałunkiem i sprawią, że czar pryśnie.

Nikomu się to nie udało. Żywopłot był wyjątkowo gęsty, a długie, ostre kolce przebijały ubrania i skórę każdego, kto próbował się dostać do zamku. Wszyscy młodzi ludzie utknęli. Im bardziej się starali, tym mocniej kaleczyły ich kolce. Nie mogli się posuwać do przodu, nie mogli zawrócić, nie mogli się uwolnić. Wszyscy zginęli uwięzieni w żywopłocie.

Wiele, wiele lat później, gdy opowieść o śpiącej królownie została prawie zapomniana, do tego kraju przybył młody królewicz. Podróżował incognito i gdy zatrzymał się w skromnej oberży niedaleko zamku, nikt nie wiedział, kim jest. Pewnego wieczoru słuchał historii, którą opowiadał przy kominku stary człowiek. Była to opowieść o wielkim kolczastym żywopłocie — w żywopłocie znajdował się zamek, w zamku wieża, a w wieży piękna śpiąca królewna.

— Wielu odważnych młodych ludzi próbowało się przedrzeć przez żywopłot, ale żadnemu z nich się nie udało — mówił starzec. — Z bliska widać ich szkielety i rozrzucone kości. I nikt z nich nie zobaczył królowny, która ciągle śpi w zamku.

— Spróbuję się przedrzeć przez żywopłot! — zawołał młody człowiek. — Mój miecz jest wystarczająco ostry, by poradzić sobie z kolcami!

— Nie rób tego, synu! — odparł starzec. — Kiedy się zapłaczesz w żywopłot, nie uwolni cię żadna siła na świecie! Twój miecz stępi się na tysiącach cierni, nim przejdiesz kilka kroków!

— Nie! — oświadczył królewicz. — Zrobię to, podjąłem już decyzję! Wyruszę rano.

Tak się złożyło, że następnego dnia miało upłynąć sto lat. Oczywiście królewicz o tym nie wiedział, ale wyruszył do zamku z odwagą w sercu. Dotarł do wielkiego kolczastego żywopłotu i zobaczył co innego, niż mówił starzec, ponieważ na ciernistych krzewach rosły ładne różowe kwiaty. Było ich tysiące. Jednak zauważył szkielety wielu młodych ludzi uwięzionych w żywopłocie. Powietrze wypełniał słodki aromat, podobny do zapachu jabłek, a gdy królewicz podszedł do żywopłotu, gałęzie się rozsunęły, by go przepuścić, po czym zamknęły się za nim.

Dotarł do dziedzińca i zobaczył śpiące gołębie, psa z łapą za uchem, muchy zamarłe na ścianie. Zszedł do kuchni i ujrzał wykrzywioną twarz kuchcika oczekującego na cios kucharza, nieruchome płomienie w palenisku, kroplę tłuszczu mającą spaść z piezzonego wołu. Wędrował przez komnaty na piętrze i widział służących, którzy zasnęli w trakcie wykonywania swoich obowiązków, a także króla i królową śpiących na podłodze sieni, tam gdzie upadli.

Później doszedł do wieży. Wspiął się po zakurzonych kręconych schodach na szczyt, znalazł niewielkie drzwi i przekręcił zardzewiałą klamkę. Drzwi natychmiast się otworzyły. Na łóżku leżała najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział lub zdołałby sobie wyobrazić.

Pochylił się nad nią i pocałował ją w usta, a śpiąca królowna otworzyła oczy, westchnęła lekko ze zdziwienia i uśmiechnęła się do młodzieńca, który natychmiast się w niej zakochał.

Poszli razem na dół i patrzyli, jak wszyscy dokoła się budzą. Król i królowa spoglądali ze zdumieniem na wielki żywopłot rosnący wokół zamku. Konie się ocknęły i zarżały, obudziły się gołębie na dachu, pies na dziedzińcu zaczął się drapać za uchem, kucharz tak mocno uderzył kuchcika, że chłopiec krzyknął z bólu. Do ognia spadała kropla tłuszczu i zaskwierczała.

Po jakimś czasie królewicz poślubił królownę. Wyprawiono huczne wesele, po czym młoda para żyła szczęśliwie do końca swoich dni.

* * *

Typ baśni: ATU 410, *Śpiąca piękność*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Marie Hassenpflug

Podobne baśnie: Giambattista Basile, *Sun, Moon and Talia* (*The Great Fairy Tale Tradition*, red. Jack Zipes); Italo Calvino, *The Neapolitan Soldier* (*Italian Folktales*); Jacob i Wilhelm Grimm, *Szklana trumna* (*Baśnie domowe i dziecięce*); Charles Perrault, *The Sleeping Beauty in the Wood* (*Perrault's Complete Fairy Tales*)

Bruno Bettelheim, jak można się spodziewać, interpretuje tę baśń w sposób czysto freudowski. Według niego sen trwający sto lat, który następuje po niespodziewanej utracie krwi, „jest zaledwie czasem cichego wzrostu i przygotowań, po którym bohaterka obudzi się dojrzała, gotowa do aktu seksualnego (*Cudowne i pożyteczne: o znaczeniach i wartościach baśni*; cyt. za *The Uses of Enchantment*, str. 232).

Poza tym nie ma sensu przyśpieszać tego, co się musi przytrafić dorastającemu dziecku. Król usiłuje zniszczyć wszystkie wrzeciona w królestwie, „aby nie dopuścić do śmiertelnego krwotoku królowny, gdy osiągnie ona okres dojrzewania w wieku piętnastu lat, jak przepowiedziała zła czarodziejka. Niezależnie od tego, jakie środki zapobiegawcze zastosuje ojciec, córka dojrzeje, gdy będzie do tego gotowa”.

Interpretacja Bettelheima brzmi przekonująco. Jest to jedna z najbardziej lubianych baśni braci Grimm, niezależnie od tego, czy za nieprzemijającą popularność tej historii odpowiada ukryty symbolizm, czy bogactwo rozkosznych szczegółów (biedny mały kuchcik, który musi czekać sto lat na cios kucharza).

A królowna potrzebuje stu lat i własnej korony cierniowej. W wieku piętnastu lat nie jest jeszcze dorosła. Jak śpiewał niegdyś Louis Jordan: „Kurczak jest jeszcze za mały, by go upiec”.

Królewna Śnieżka

Pewnego zimowego dnia, gdy na ziemię padał puszysty śnieg, królowa siedziała przy oknie o framugach z czarnego hebanu i szyła. Otworzyła okno, by popatrzeć na niebo, i ukłuła się w palec, a na śnieg zaścielający parapet skapnęły trzy krople krwi. Czerwień i biel wyglądały tak pięknie, że powiedziała do siebie:

— Chciałabym mieć córkę o skórze białej jak śnieg, wargach czerwonych jak krew i włosach czarnych jak heban.

Wkrótce potem urodziła dziewczynkę, która miała skórę białą jak śnieg, wargi czerwone jak krew i włosy czarne jak heban. Nazwano ją Śnieżką. A królowa umarła zaraz po porodzie.

Po roku król poślubił inną kobietę. Była piękna, ale dumna i arogancka, i nie mogła znieść myśli, że ktoś może być piękniejszy od niej. Miała czarodziejskie zwierciadło i każdego ranka stawiała przed nim, patrzyła na swoje odbicie i mówiła:

*Zaklinam cię, zwierciadło, zaklinam cię znów!
Kto jest najpiękniejszy, mów!*

A zwierciadło odpowiadało:

Ty, królowo, daję słowo!

Królowa była zadowolona, bo wiedziała, że lustro nie może kłamać.

Tymczasem Śnieżka rosła. Kiedy miała siedem lat, była piękna jak wiosenny dzień — piękniejsza od królowej.

Pewnego razu, gdy królowa zwróciła się do zwierciadła:

*Zaklinam cię, zwierciadło, zaklinam cię znów!
Kto jest najpiękniejszy, mów!*

ono odpowiedziało:

*Twa uroda, o pani, wcale się nie zmniejsza,
Ale Śnieżka jest znacznie od ciebie piękniejsza!*

Królowa się przestraszyła. Poczwała w sercu ukłucie zazdrości, a jej nieskazitelna cera przybrała niezdrowy żółtozielony odcień. Od tamtej pory, gdy patrzyła na Śnieżkę, ogarniał ją gniew. Zawiść i pycha zżerały ją coraz bardziej; nie mogła zaznać spokoju w dzień ani w nocy.

W końcu wezwała jednego z królewskich myśliwych i powiedziała:

— Zabierz tę dziewczynkę w głąb lasu. Nie chcę jej więcej widzieć. Upewnij się, że nie żyje, i przynieś mi jako dowód jej płuca i wątrobę.

Myśliwy wykonał rozkaz. Zaprowadził Śnieżkę w głąb lasu, wyjął nóż i już miał zamiar przebić jej niewinne serce, gdy dziewczynka zaczęła płakać.

— Och, proszę, drogi panie, daruj mi życie! Ucieknę daleko w głuchy las i nigdy już nie wrócę do domu, obiecuję!

Była tak piękna, że myśliwy zlitował się nad nią i rzekł:

— Dobrze, biedne dziecko! A więc uciekaj!

Tak czy inaczej, wkrótce pożrą ją dzikie zwierzęta, pomyślał, ale spadł mu kamień z serca, że nie musi jej zabijać.

W tej samej chwili myśliwy ujrzał młodego dzika, przedzierającego się przez zarośla. Zabił go, wyciął mu płuca i wątrobę, po czym zaniósł je królowej jako dowód śmierci Śnieżki. Zła królowa kazała kucharzowi dobrze je przyprawić, obtoczyć w mące i usmażyć, a następnie je zjadła. Myślała, że to koniec królowny.

Tymczasem Śnieżka była sama w wielkim lesie, nie wiedząc, co robić ani dokąd iść. Rozglądała się wokół, ale wśród drzew i krzewów nie dostrzegła niczego, co mogłoby jej pomóc. Ogarnął ją lęk i zaczęła biec, nie zważając na ostre kamienie, kolczaste gałęzie i niewielkie zwierzęta, które doskakiwały do niej. Biegła i biegła, a gdy zaczęło się ściemniać i zbliżał się wieczór, zobaczyła niewielką chatkę. Zapukała, lecz w środku nie było nikogo, więc weszła, mając nadzieję, że znajdzie tam nocleg.

Wszystko w domu było maleńkie, ale bardzo czyste i schludne. Koło ognia stał rondel z gulaszem i niewielki stół przykryty śnieżnobiałym obrusem, a na nim siedem małych miseczek i przy

każdej leżała kromka chleba. Śnieżka zobaczyła też siedem maleńkich noży, siedem widelców, siedem łyżek i siedem kubeczków. Na piętrze stało rzędem siedem maleńkich łóżek zasłanych śnieżnobiałym płótnem, a obok każdego maleńki stolik z maleńką szklaneczką i szczoteczką do zębów.

Śnieżka była bardzo głodna i spragniona, więc zjadła trochę gulaszu z rondla, ugryzła kawałek każdej kromki chleba i wypila łyk wina z każdego kubeczka. Później zdała sobie sprawę, jaka jest zmęczona, i położyła się na jednym z łóżek, lecz okazało się za duże. Wypróbowała następne, ale było za krótkie; dopiero siódme pasowało idealnie. Odmówiła modlitwę, położyła się, zamknęła oczy i po chwili zasnęła.

Wkrótce zapadł zmrok i do chatki wrócili jej mieszkańcy. Było to siedem krasnoludków, którzy wydobywali w górach rudy metali szlachetnych, by zarobić na życie. Weszli i zapalili latarnie, po czym zobaczyli, że dom wygląda inaczej niż wtedy, gdy go opuszczali.

- Ktoś siedział w moim fotelu!
- Ktoś jadł z mojej miski!
- Moja kromka chleba jest nadgryziona, patrzcie!
- Ktoś wziął chochlę i zjadł trochę gulaszu!
- Ktoś używał mojego noża!
- Ktoś pił z mojego kubka!

Zerknęli na siebie ze zdumieniem. Później wszyscy spojrzeli na sufit, weszli na palcach po schodach, popatrzyli na swoje łóżka i wyszeptali:

- Ktoś leżał w moim łóżku!
- I w moim...
- I w moim...
- I w moim...
- I w moim...
- I w moim...
- Och, popatrzcie!

Siódmy krasnoludek znalazł śpiącą Śnieżkę. Podeszli do niej na palcach i oniemieli z zachwytu. Blask latarni oświetlił jej twarz na śnieżnobiałej poduszce.

- Wielkie nieba! Cóż za piękne dziecko!
- Kto to może być?!
- Nie możemy jej budzić! Bardzo mocno śpi!
- Jaka śliczna buzia!
- Ciekawe, skąd przyszła...
- To zagadka, bracia! Wielka zagadka!

— Chodźmy na dół. Musimy się zastanowić, co robić...

Na palcach zeszli na parter i usiedli wokół stołu.

— Wygląda na zmęczoną, biedactwo...

— Lepiej jej nie budźmy.

— Rankiem i tak się zbudzi.

— Może ucieka przed czarownicą?

— Głupiec! Czarownice nie istnieją!

— Myślę, że to anioł.

— Możliwe, ale leży w moim łóżku, więc gdzie mam spać?!

Sześciu krasnoludków uzgodniło, że każdy z nich pozwoli siódmemu spać przez godzinę w swoim łóżku. Udali się na spoczynek.

Rankiem, kiedy Śnieżka się obudziła i zobaczyła spoglądających na nią siedmiu krasnoludków (wstali wcześniej i już się ubrali), ogarnął ją lęk.

— Niech się panienska nie boi!

— Jesteśmy przyjaźnie nastawieni!

— Może nie jesteśmy ładni...

— Ale nie zrobimy panience krzywdy!

— Obiecujemy!

— Jesteś z nami bezpieczna.

— Jak masz na imię, kochanie?

— Mówią na mnie Śnieżka — przedstawiła się królewna.

Spytali, skąd przybywa i jak znalazła drogę do ich chatki, a ona opowiedziała, jak macocha próbowała ją zabić, jak myśliwy darował jej życie, jak biegła w panice przez zarośla i kolczaste gałęzie, aż dotarła do ich domu.

Krasnoludki poszły w kąt pokoju i zaczęły szeptać, po czym wróciły do niej i powiedziały:

— Jeśli będziesz prowadzić nam dom...

— Zamiatać i sprzątać, wiesz...

— I gotować! Nie zapominajmy o gotowaniu!

— Tak, gotować i słać łóżka...

— I prać pościel...

— Szyć, robić na drutach i cerować nam skarpetki...

— To możesz z nami mieszkać, kochanie, i niczego ci nie zabraknie.

— Och, włożę w to całe swoje serce! — zawołała Śnieżka.

Zawarli umowę i Śnieżka zaczęła prowadzić im gospodarstwo. Każdego ranka krasnoludki szły w góry, by wydobywać złoto, miedź

i srebro. Kiedy wieczorem wracały do domu, czekał na nich obiad, a chatka była wysprzątana i lśniła czystością.

Oczywiście w ciągu dnia Śnieżka była sama, a krasnoludki ostrzegły ją: „Bądź ostrożna! Jak twoja macocha dowie się, że żyjesz, będzie cię szukać. Nie wpuszczaj nikogo do domu!”.

Gdy królowa zjadła wątrobę i płuca, które, jak myślała, należały do Śnieżki, bez obaw spojrzała w magiczne zwierciadło i rzekła:

*Zaklinam cię, zwierciadło, zaklinam cię znów!
Kto jest najpiękniejszy, mów!*

Ale doznała straszliwego szoku, gdy lustro odpowiedziało:

*Twa uroda, o pani, wcale się nie zmniejsza,
Ale Śnieżka jest znacznie od ciebie piękniejsza!
Krasnoludki ją znalazły, gdy spała.
W lesie stoi ich chatka, przytulna i mała.*

Królowa aż odskoczyła ze zgrozy, bo wiedziała, że zwierciadło nie może kłamać, i zrozumiała, że myśliwy musiał ją oszukać. Królewna Śnieżka ciągle żyła! Macocha myślała tylko o jednym: jak zabić Śnieżkę? Jeśli ona, królowa, nie będzie najpiękniejszą kobietą w całym kraju, nie zazna spokoju we dnie ani w nocy, dręczona zazdrością.

W końcu wymyśliła plan. Ucharakteryzowała się i przebrała za starą przekupkę, tak zręcznie, że wiedziała, iż nikt jej nie rozpozna. Poszła do chatki siedmiu krasnoludków w czasie, gdy oni pracowali w podziemiach góry, i zastukała do drzwi.

Śnieżka słała łóżka. Usłyszała pukanie i otworzyła okno na piętrze.

— Dzień dobry! — zawołała. — Czym pani handluje?

— Pięknymi koronkami i ślicznymi wstążkami! — odpowiedziała królowa. — Czy chciałabyś zobaczyć moje towary, kochanie? Mam tu coś ładnego, popatrz!

Wyjęła koronkową taśmę z jedwabiu. Śnieżka pomyślała, że taśma rzeczywiście jest ładna i że przekupka ma uczciwą twarz. Na pewno można ją bez obaw wpuścić do domu.

Zbiegła na dół, otworzyła drzwi i popatrzyła na taśmę.

— Chcesz sprawdzić, jak będzie wyglądała? — spytała kobieta. — Mój Boże, dziecko, przydałoby ci się coś efektownego! Chodź, skarbie, pozwól mi ozdobić twój gorsecik tą taśmą!

Śnieżka stała, niczego nie podejrzewając, a tymczasem stara kobieta zaczęła przewlekać taśmę przez gorset — ciągnęła, ciągnęła i ciągnęła, aż zacisnęła taśmę tak mocno, że królewna nie mogła oddychać. Biedna dziewczyna zatrzepotała powiekami, poruszyła wargami i upadła bez uczucia.

— Teraz, gdy jesteś martwa, nie jesteś już taka piękna! — mruknęła stara kobieta i czym prędzej odeszła.

Wkrótce potem krasnoludki wróciły do domu, bo zapadał już zmrok. Kiedy ujrzały Śnieżkę leżącą na podłodze i zobaczyły, że nie oddycha, ogarnęło je przerażenie. Podniosły ją i wtedy zrozumiały, co jest przyczyną kłopotów — szybko przecięły taśmę, by dziewczyna mogła oddychać. Powoli odzyskała przytomność i opowiedziała im, co się stało.

— Cóż, wiecie, kim była ta przekupka, prawda?

— Złą królową!

— To na pewno ona!

— Pod żadnym pozorem nie wpuszczaj jej więcej do domu!

— Strzeż się, Śnieżko! Ach, strzeż się!

— Miej się na baczności, pamiętaj!

— Nikogo nie wpuszczaj, nikogo!

Tymczasem królowa pośpieszyła do domu. Kiedy dotarła do swojego buduaru, zwróciła się do zwierciadła:

*Zaklinam cię, zwierciadło, zaklinam cię znów!
Kto jest najpiękniejszy, mów!*

a lustro odpowiedziało:

*Twa uroda, o pani, wcale się nie zmniejsza,
Ale Śnieżka jest znacznie od ciebie piękniejsza!
Krasnoludki przecięły tasiemkę, a Śnieżka,
Przywrócona do życia, znowu z nimi mieszka!*

Kiedy królowa usłyszała te słowa, serce zawrzało jej gniewem i poczerwieniała ze złości, mało oczy nie wyskoczyły jej z orbit.

— Ciągłe żyje! Ciągłe żyje! Ale to jeszcze nie koniec! — warknęła.
— Długo to nie potrwa, moja w tym głowa!

Królowa знаła się na sztuce czarodziejskiej, więc sporządziła wywar z kilku rzadkich ziół, wypowiedziała nad nim zaklęcie, a potem zanurzyła w nim ładny grzebień. Była to śmiertelna trucizna. Z pomocą magii zmieniła swój wygląd w taki sposób, że ani

trochę nie przypominała poprzedniej starej przekupki, po czym wyruszyła do chatki krasnoludków.

Zapukała do drzwi i zawołała:

— Ładne błyskotki na sprzedaż! Grzebienie, szpilki i lusterka! Ładne ozdoby dla ładnych dziewcząt!

Śnieżka wyjrzała przez okno na piętrze i odpowiedziała:

— Nie mogę pani wpuścić. Nie wolno mi tego zrobić. Lepiej niech pani odejdzie.

— Dobrze, kochanie — odparła stara kobieta. — Nie przejdę przez próg. Ale na pewno nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zerkniesz na moje towary. Co sądzisz o tym ślicznym grzebieniu? Popatrz!

Grzebień był rzeczywiście bardzo ładny i Śnieżka doszła do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli go obejrzy. Zbiegła na dół i otworzyła drzwi.

— Ach, jakie śliczne włosy! — zawołała stara kobieta. — Czarne, bujne i lśniące! Są strasznie poplątane! Kiedy ostatnio je czesałaś, kochanie? Nie dbają tu o ciebie? — Mówiąc to, dotykała palcami włosów Śnieżki. — Pozwól, bym rozczesła ci włosy tym ładnym grzebieniem. Podoba ci się, prawda? Widzę, że tak... Chodź do mnie, kochanie...

Śnieżka posłusznie pochyliła głowę, a stara kobieta mocno wbiła jej grzebień w skórę i biedna dziewczyna natychmiast runęła na ziemię, nawet nie wydając krzyku.

— Koniec z tobą, panienko! Zobaczymy, jak ślicznie będziesz wyglądać, gdy zaczniesz gnąć! — mruknęła królowa i pośpiesznie odeszła, by zniknąć przed powrotem krasnoludków.

Na szczęście zbliżał się wieczór i wkrótce po odejściu złej królowej krasnoludki wróciły i zastały Śnieżkę leżącą na podłodze.

— Co się stało, Śnieżko?!

— Oddycha?

— To znowu ta zła królowa...

— Co tkwi w jej włosach?

— Wyciągnijmy ten grzebień, szybko!

— Uważajcie, na pewno jest zatruty!

— Ostrożnie... ostrożnie...

Owinęły grzebień chusteczką i delikatnie go wyciągnęły. Śnieżka prawie natychmiast westchnęła i otworzyła oczy.

— Och, jestem taka głupia! Wyglądała zupełnie inaczej niż przedtem i myślałam, że nic mi nie grozi...

Krasnoludki powiedziały Śnieżce, że nic się jej nie stanie tylko wtedy, gdy będzie się mieć na baczności i słuchać tego, co mówią. Nie może otwierać nikomu drzwi.

Królowa pośpieszyła do pałacu, zrzuciła przebranie, stanęła przed czarodziejskim lustrem i powiedziała:

*Zaklinam cię, zwierciadło, zaklinam cię znów!
Kto jest najpiękniejszy, mów!*

A lustro odrzekło:

*Twa uroda, o pani, wcale się nie zmniejsza,
Ale Śnieżka jest znacznie od ciebie piękniejsza!
Choć grzebień był zatruty, Śnieżka jest już zdrowa.
Chyba będzie potrzebna jakaś sztuczka nowa!*

Usłyszawszy odpowiedź zwierciadła, królowa zachwiała się i oparła o ścianę. Krew odpłynęła jej z twarzy, która stała się brudnobiała z plamami żółci i zieleni. Po chwili królowa się wyprostowała, a z jej oczu posypały się iskry.

— Śnieżka umrze! — krzyknęła.

Poszła do swojej najtajniejszej komnaty i zamknęła się w niej. Nikt nie mógł tam wchodzić, nawet pokojówki. Posługując się kilkoma księgami magicznymi i małymi ciemnymi buteleczkami, zaczęła przygotowywać zatrute jabłko, które było białe po jednej stronie i czerwone po drugiej. Wyglądało bardzo smakowicie, ale po zjedzeniu choćby najmniejszego kawałka każdy natychmiast padłby martwy.

Później królowa przebrała się po raz trzeci, schowała jabłko do kieszeni i wyruszyła do chatki krasnoludków.

Zapukała do drzwi, a Śnieżka wyjrzała przez okno.

— Nie mogę nikogo wpuścić! — zawołała. — Nie wolno mi tego robić!

— Wszystko w porządku, kochanie — odpowiedziała królowa, która wyglądała jak stara chłopka. — Zastanawiałam się po prostu, czy nie masz ochoty na jabłko. Tak obrodziły w tym roku, że nie wiem, co z nimi robić.

— Nie, nie wolno mi niczego brać od obcych — odparła Śnieżka.

— Och, jaka szkoda! — rzekła stara kobieta. — Moje jabłka są pyszne. Popatrz, mogę je ugryźć, jeśli się niepokoisz.

Przygotowała jabłko tak sprytnie, że tylko czerwona połowa była zatruta. Oczywiście ugryzła białą część, po czym podała jabłko Śnieżce.

Wyglądało tak apetycznie, że biedna dziewczyna nie mogła się oprzeć. Wyciągnęła rękę przez okno, wzięła owoc i głęboko wgryzła się w czerwoną część. Po chwili padła martwa na podłogę.

Zła królowa zajrzała w okno, zobaczyła leżącą Śnieżkę i wybuchła śmiechem.

— Biała jak śnieg, czerwona jak krew, czarna jak heban! A teraz martwa jak kamień! Te małe mądrale tym razem cię nie obudzą!

Kiedy znalazła się znów w swoim buduarze, zwróciła się do zwierciadła:

*Zaklinam cię, zwierciadło, zaklinam cię znów!
Kto jest najpiękniejszy, mów!*

A lustro odpowiedziało:

Ty, królowo, daję słowo!

Westchnęła głęboko, nareszcie w pełni szczęśliwa. Jeśli zazdrosne serce może zaznać spokoju, czuła go w tej chwili.

Kiedy krasnoludki wróciły wieczorem do domu, znalazły Śnieżkę leżącą nieruchomo na podłodze. Nie oddychała, miała zamknięte oczy i w ogóle się nie poruszała. Była martwa. Krasnoludki rozglądały się za czymś, co mogło ją zabić, ale niczego nie dostrzegły. Rozsznurowały dziewczynie gorset na wypadek, gdyby nie mogła oddychać; szukały w jej włosach zatrutego grzebienia; rozgrzewały ją przy ogniu; próbowały wlać jej do ust kroplę winiaku; położyły ją na łóżku i czuwały przy niej, siedząc w fotelach, lecz wszystko na próżno.

Wreszcie zrozumiały, że Śnieżka naprawdę nie żyje, więc położyły ją delikatnie na marach i siedziały obok niej przez trzy dni, zalewając się łzami. Zamierzały ją pochować, ale ciągle wyglądała tak świeżo i pięknie, jakby po prostu spała, i nie mogły się zdobyć na to, by przysypać ją czarną ziemią.

Przygotowały szklaną trumnę i włożyły do niej dziewczynę. Na wieku napisały złotymi literami: KRÓLEWNA ŚNIEŻKA i zanosły trumnę na szczyt góry. Od tamtego czasu stale czuwał przy królownie jeden z krasnoludków i pilnowali jej na zmianę.

Przyleciały ptaki, by opłakiwać dziewczynę: najpierw sowa, potem kruk, a na koniec gołębica.

Trwało to bardzo, bardzo długo. Ciało Śnieżki nie gniło: ciągle miała skórę białą jak śnieg, wargi czerwone jak krew i włosy czarne jak heban.

Pewnego dnia w lesie polował królewicz i przybył do chatki krasnoludków, prosząc o nocleg. Nazajutrz rano zauważył błysk słońca na szczycie góry i pojechał zobaczyć, co tak lśni. Znalazł szklaną trumnę, przeczytał złoty napis i zobaczył ciało Śnieżki.

— Pozwólcie mi zabrać trumnę — poprosił krasnoludki. — Zapłacę wam, ile zażądacie.

— Nie chcemy pieniędzy — odpowiedziały krasnoludki. — Nie sprzedalibyśmy tej trumny za wszystkie skarby świata.

— W takim razie podarujcie mi ją, proszę! — rzekł błagalnym tonem królewicz. — Zakochałem się w Śnieżce i nie mogę żyć, nie patrząc na nią! Będę się do niej odnosił z szacunkiem należnym żywej królewnie.

Krasnoludki odeszły na stronę i zaczęły szeptać między sobą. A później wróciły, oznajmiając, że jest im żal królewicza i że są przekonane, iż będzie traktował Śnieżkę jak należy. Pozwoliły mu ją zabrać do jego królestwa.

Królewicz podziękował i kazał sługom ostrożnie unieść trumnę i podążać za sobą. Ale kiedy schodzili z góry, jeden ze służących się potknął i potrząsnął trumną, a wtedy z gardła Śnieżki wypadł kawałek zatrutego jabłka, którego nigdy nie połknęła.

Powoli się obudziła, uniosła wieko trumny i usiadła, żywa i zdrowa.

— Wielki Boże, gdzie ja jestem?! — spytała.

— Ze mną! — odparł radośnie królewicz. Opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło, a następnie rzekł: — Kocham cię najmocniej na świecie! Jedź ze mną do zamku mego ojca i zostań moją żoną!

Śnieżka natychmiast go pokochała i przygotowano huczne wesele.

Wśród zaproszonych gości była nikczemna macocha Śnieżki. Włożyła najwspanialszą ze swoich sukni, stanęła przez zaczarowanym zwierciadłem i zawołała:

*Zaklinam cię, zwierciadło, zaklinam cię znów!
Kto jest najpiękniejszy, mów!*

A lustro odpowiedziało:

*Twa uroda, o pani, wcale się nie zmniejsza,
Ale młoda królowa jest od ciebie piękniejsza!*

Królową ogarnęło przerażenie. Była tak przestraszona, że nie wiedziała, co robić. Nie chciała jechać na wesele ani zostać w pałacu, a jednak czuła, że musi pojechać i zobaczyć młodą królową. W końcu pojechała. Kiedy ujrzała Śnieżkę, natychmiast ją poznała i przeraziła się jeszcze bardziej. Stała, dygocząc na całym ciele.

W ogniu umieszczono parę żelaznych trzewików, a gdy rozgrzały się do czerwoności, wyjęto je szczypcami i postawiono na podłodze. Złą królową zmuszono, by je włożyła i tańczyła w nich, póki nie padła martwa.

* * *

Typ baśni: ATU 709, *Śnieżka*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Hassenpflugów

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *Snow-White (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *Bella Venezia, Gircoccola (Italian Folktales)*

Wielka atrakcyjność i siła przyciągania *Królowej Śnieżki i siedmiu krasnoludków* Walta Disneya będzie zawsze wpływać na tę opowieść, chyba że narrator po prostu postanowi zignorować wersję filmową, co w gruncie rzeczy wcale nie jest takie trudne, jeśli korzystamy z wersji braci Grimm.

Jednak Disney był mistrzem prowadzenia narracji i ciekawie jest zaobserwować, jak artyści pracujący w jego studiu, pod jego kierownictwem, skupili się nie tylko na jednym aspekcie opowieści w wersji braci Grimm (nikczemność macochy/królowej), ale również na innym, który bracia pominęli (komizm krasnoludków, ich indywidualne imiona i charaktery). „Wykorzystaj swoje silne strony” — to dobra maksyma dla opowiadacza bajek. Korporacja Disneya potrafiła świetnie wykorzystywać wizualne gagi i uchwycić naiwny urok dzieci, których rolę odgrywają w filmie leśne zwierzęta (wielkie oczy, proste, ufne charaktery, zaokrąglone ciała) i krasnoludki, czyli dzieci z brodami.

Uważam, że można kraść wszystko, co jest skuteczne. Jednak to, co się sprawdza w jednym medium, niekoniecznie musi się sprawdzać w innym, i nie sądzę, by szczegółowe opisywanie każdego krasnoludka miało sens poza filmem. W wersji braci Grimm pełnią one inną funkcję — są grupą duszków ziemi, dobrotliwych i anonimowych. Świetnie potrafią się o siebie troszczyć, w odróżnieniu od brodatych dzieci Disneya — Śnieżka musi dla nich gotować i sprzątać jak amerykańska mamusia.

U Disneya i braci Grimm mogą opłakiwać Śnieżkę, lecz nie potrafią jej wskrzesić. Następuje to tylko przez szczęśliwy przypadek, dzięki królewiczowi.

W pierwszym wydaniu baśni braci Grimm z 1812 roku zła królowa była matką Śnieżki. Stała się macochą dopiero w drugiej edycji z 1819 roku, gdy matka Śnieżki umarła w porożu. Gdzie się podział ojciec dziecka? Podobnie jak wielu mężczyzn w baśniach braci Grimm jest postacią bladą, ledwie zarysowaną, pozostającą w tle — po prostu zniknął, zniszczony przez potęgę strasznej królowej.

Rumpelsztyk

Żył raz ubogi młynarz, który miał piękną córkę. Zdarzyło mu się kiedyś rozmawiać z królem i chcąc mu zaimponować, powiedział:

— Czy Wasza Królewska Mość wie, że mam córkę, która umie prząść złotą nić ze słomy?

— Podoba mi się to — odparł król. — Jeśli twoja córka jest taka sprytna, jak mówisz, przyprowadź ją jutro do zamku i zobaczymy, co potrafi.

Kiedy przyprowadzono dziewczynę, zabrał ją do komnaty wypełnionej słomą aż po sufit. Dał jej kołowrotek i kilka szpulek, po czym rzekł:

— Pracuj przez cały dzień i całą noc. Jeśli do jutra rana nie przerobisz całej tej słomy na złotą nić, zginiesz z rąk kata.

Potem zamknął drzwi na klucz i dziewczyna została sama.

Siedziała w komnacie, nie mając pojęcia, co robić. Oczywiście nie potrafiła prząść złotej nici ze słomy, a im dłużej siedziała samotnie, tym bardziej była przerażona. W końcu zaczęła płakać.

Nagle otworzyły się drzwi i do komnaty wszedł mały ludzik.

— Dzień dobry, młynarzówno! Dlaczego beczysz?

— Muszę uprząść z tej słomy złotą nić i nie wiem, jak to zrobić. Zabiją mnie, jeśli nie wykonam zadania!

— Ach, tak... A co mi dasz, jeśli przerobię tę słomę na złotą nić?

— Mój naszyjnik!

— Obejrzyjmy go.

Popatrzył na naszyjnik i skinął głową, po czym schował go do kieszeni i usiadł przy kołowrotku. Zaczął pracować tak szybko, że dziewczyna ledwo widziała jego ręce. Kołowrotek wirował — szur! szur! szur! — i pierwsza szpulka była pełna. Założył drugą szpulkę — szur! szur! szur! — i ona także była pełna. Trwało to do rana, aż cała słoma została przerobiona na złotą nić. Później ludzik bez słowa wyszedł z komnaty.

Rankiem pojawił się król. Z zadowoleniem popatrzył na złoto i trochę się zdziwił, że młynarzówna wykonała to zadanie. Ale chciał mieć więcej złota, więc zaprowadził ją do innej komnaty, jeszcze większej, również wypełnionej słomą aż po sufit.

— Uprzedź z tej słomy złotą nić albo zginiesz z rąk kata! — powiedział i zamknął drzwi na klucz.

Biedna dziewczyna znów zaczęła płakać, ale tak jak poprzednio otworzyły się drzwi i stanął w nich mały ludzik.

— Co mi dasz, jeśli zmienię całą tę słomę w złotą nić?

— Mój pierścień!

— Obejrzymy go!

Zerknął na pierścień i schował go do kieszeni. Potem zaczął prząść. Kołowrotek wirował przez całą noc — szur! szur! szur! — i rankiem cała słoma zmieniła się w złoto.

Król był jeszcze bardziej zadowolony, ale chciał mieć więcej złota. Zabrał młynarzównę do następnej, większej komnaty, też wypełnionej słomą aż po sufit, i powiedział:

— Uprzedź z tej słomy złotą nić, a uczynię cię swoją żoną. — Myślał przy tym: To tylko córka młynarza, ale na całym świecie nie znajdę bogatszej żony.

Kiedy dziewczyna została sama, mały ludzik otworzył drzwi po raz trzeci.

— Co mi dasz?

— Nic mi nie zostało!

— W takim razie obiecaj, że kiedy zostaniesz królową, dasz mi swoje pierworodne dziecko.

Kto wie, co się wydarzy w przyszłości, pomyślała dziewczyna i obiecała ludzikowi to, o co prosił.

Zabrał się do pracy i do rana cała słoma zmieniła się w złoto. Kiedy król to zobaczył, dotrzymał obietnicy i śliczna młynarzówna została królową.

Po roku urodziła piękne dziecko. Zupełnie zapomniała o ludziku, lecz oto nagle się pojawił.

— Teraz musisz mi dać to, co obiecałaś! — powiedział.

— Och, nie, proszę, wszystko, tylko nie to! Dam ci wszystkie skarby królestwa!

— Po co mi skarby, skoro potrafię zmieniać słomę w złoto? Chcę żywego dziecka, i nic innego!

Królowa zaczęła płakać i lamentować, aż ludzikowi zrobiło jej się żal.

— Dobrze, dam ci trzy dni — powiedział. — Jeśli w tym czasie odkryjesz, jak mam na imię, będziesz mogła zatrzymać dziecko.

Królowa nie spała przez całą noc, usiłując sobie przypomnieć wszystkie imiona, jakie kiedykolwiek słyszała. Wysłała posłańca do miasta, by sporządził listę niezwykłych imion i przywiózł ją do pałacu. Kiedy ludzik wrócił, zaczęła zadawać pytania:

— Nazywasz się Kasper?

— Nie!

— Nazywasz się Melchior?

— Nie!

— Nazywasz się Baltazar?

— Nie!

Po kolei odczytała wszystkie imiona przywiezione przez posłańca, lecz ludzik za każdym razem odpowiadał: „Nie, nie, nie!”.

Następnego dnia wysłała posłańca na wieś. Pomyślała, że muszą się tam zdarzać dziwne imiona, i tak było. Kiedy ludzik wrócił, zaczęła je wymieniać:

— Nazywasz się Ogórkołaz?

— Nie!

— Nazywasz się Pieczeń Cielęca?

— Nie!

— Nazywasz się Musztardownik?

— Nie! — odpowiadał raz po raz.

Królowa wpadła w rozpacz. Jednak trzeciego dnia posłaniec wrócił z dziwną opowieścią.

— Nie słyszałem więcej osobliwych imion, Wasza Wysokość, ale gdy znalazłem się blisko szczytu góry, w najgęstszej części lasu, zobaczyłem niewielką chatkę. Paliło się przed nią ognisko i tańczył przy nim bardzo dziwny maleńki ludzik. Skakał na jednej nodze i śpiewał:

Dziecko króla będzie moje!

Zamieszkamy tu we dwoje!

Wiosną, jesienią, w lecie i w zimie

Rumpelszyk mam na imię!

Łatwo sobie wyobrazić, jak się ucieszyła królowa, gdy to usłyszała!

Kiedy ludzik przyszedł ponownie, aż zacierał ręce i podskakiwał z radości.

— Więc jak mam na imię, królowo? — spytał.

- Tomcio?
- Nie!
- Rysio?
- Nie!
- Niechże się zastanowię... Henio?
- Nie!
- A może Rumpelszyk?

— Powiedział ci to diabeł! Powiedział ci to diabeł! — wrzasnął ludzik i z wściekłości tak mocno tupnął nogą, że wbił ją w ziemię aż po pachwinę, a później chwycił obiema rękami swoją lewą stopę i przedarł się na pół.

* * *

Typ baśni: ATU 500, *Imię nadprzyrodzonego pomocnika*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dortchen Wild

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *Duffy and the Devil, Peerifool, Titty Tod, Tom Tit Tot, Whuppity Stoorie (Folk Tales of Britain)*

Żaden wybór baśni Grimmów nie byłby kompletny bez *Rumpelszyka* (niem. *Rumpelstilzchen*). Bracia przeredagowali tę opowieść po pierwszym wydaniu z 1812 roku, przede wszystkim dodając więcej szczegółów: na przykład w pierwszej edycji rozgniewany Rumpelszyk ucieka, gdy jego imię wychodzi na jaw, a w wydaniu z 1819 roku przemyślnie rozdziera się na pół w sposób opisany powyżej. Opowieści o strukturze opartej na powtórzeniach można uzupełniać wieloma szczegółami.

Przędzenie było zajęciem domowym o wielkim znaczeniu ekonomicznym, nim przestało się opłacać w wyniku rewolucji przemysłowej. Dobra prządka była doskonałą kandydatką na żonę, nawet dla króla (przynajmniej w bajce). Ciągłe mówimy o snuciu opowieści, choć dawno zapomnieliśmy o związku tego zwrotu z przędzeniem.

Angielska baśń *Tom Tim Tot* (z *Folk Tales of Britain*) ze swoją pazerną, niechlujną, seksowną bohaterką jest moim zdaniem jeszcze lepszą wersją tej opowieści.

Złoty ptak

Dawno, dawno temu żył król, który miał na tyłach pałacu piękny ogród. Rosło w nim drzewo rodzące złote jabłka i co roku, kiedy dojrzały, król kazał je liczyć i numerować. Ale pewnego dnia, nazajutrz po policzeniu owoców, okazało się, że jednego jabłka brakuje. Nadworny ogrodnik doniósł o tym królowi, który kazał odtąd pilnować drzewa w dzień i w nocy.

Zadanie to było tak ważne, że zlecił je swoim trzem synom. Pierwszej nocy wysłał najstarszego, ale księżę uległ senności i o północy spał jak suseł. Rankiem brakowało kolejnego jabłka.

Następnej nocy król wysłał drugiego syna, lecz on również nie wykonał zadania. Kiedy zegar wybił północ, księżę spał, a rankiem okazało się, że znikło następne jabłko.

Przyszła kolej na trzeciego syna. Król nie całkiem mu ufał i początkowo nie chciał mu pozwolić pilnować jabłoni, ale młody człowiek tak długo przekonywał ojca, aż ten w końcu się zgodził. Podobnie jak bracia, trzeci syn położył się pod drzewem i przygotował się na nocne czuwanie, postanawiając nie zasnąć.

Kiedy w pałacu rozległy się dzwony oznaczające północ, w liściach nad głową księcia coś zaszeleściło — nadleciał piękny złoty ptak i usiadł na gałęzi. Bił od niego taki blask, że ogród wydawał się oświetlony tysiącem latarni. Obserwując go uważnie, księżę napiął łuk, a gdy ptak dziobnął jedno z jabłek, wystrzelił strzałę w koronę drzewa. Ptak natychmiast odleciał, ale na trawę spadło jego złote pióro.

Rankiem młodzieniec zaniósł pióro królowi i wytłumaczył, co się stało. Król zwołał posiedzenie tajnej rady i wszyscy jej członkowie obejrzelili pióro, po czym uznali, że jest warte więcej od całego królestwa.

— Cóż, skoro pióra tego ptaka są takie cenne, trudno się spodziewać, bym zadowolili się jednym — powiedział król. — Chcę całego ptaka i dostanę go, zobaczycie!

Najstarszy syn wyruszył, by odnaleźć złotego ptaka, przekonany, że jest dostatecznie sprytny, by tego dokonać. Ledwie uszedł kawałek, zauważył lisa, który siedział na skraju lasu i patrzył na niego. Książę uniósł strzelbę i wycelował, ale lis zawołał:

— Nie strzelaj! Dam ci dobrą radę! Szukasz złotego ptaka, prawda? Cóż, jeśli pójdziesz dalej tą drogą, dotrzesz do wioski, w której znajdują się dwie gospody stojące po dwóch stronach gościńca. Jedna gospoda jest jasno oświetlona, a w środku słychać śpiewy i śmiech, ale pod żadnym pozorem tam nie wchodź. Idź do tej drugiej, nawet jeśli wyda ci się smutna.

I to ma być dobra rada? — pomyślał książę. Jak takie głupie zwierzę może mi udzielać rad?! Pociągnął za spust, ale lis był szybszy — natychmiast zniknął między ciemnymi drzewami.

Książę ruszył w dalszą drogę, a gdy zapadł wieczór, dotarł do wioski, którą opisał lis. Znajdowały się w niej dwie gospody, jedna jasno oświetlona i pełna radosnego gwaru, druga ponura i ciemna.

Cóż, byłbym głupcem, gdybym się zatrzymał w tej nędznej dziurze, pomyślał książę i wszedł do jasno oświetlonej gospody. Dobrze się bawił i zapomniał o złotym ptaku, o ojcu i o wszystkim, czego się nauczył.

Kiedy minęło trochę czasu i najstarszy syn nie wracał, na poszukiwania złotego ptaka wyruszył drugi syn. Podobnie jak brat, spotkał lisa, wysłuchał jego rady, zlekceważył ją i przybył do wioski z dwiema gospodami. Usłyszał wołanie brata i nie mógł się powstrzymać: wszedł do środka i zapomniał o wszystkim oprócz przyjemności.

Znów minęło trochę czasu i wreszcie najmłodszy książę spytał, czy mógłby wyruszyć śladem braci i spróbować szczęścia. Ale jego ojciec miał inne plany.

— To bez sensu — powiedział do swojego pierwszego ministra. — Ma jeszcze mniejsze szanse znalezienia złotego ptaka niż jego bracia. A w razie jakiegoś niebezpieczeństwa nie zdoła sobie poradzić. Szczerze mówiąc, moim zdaniem nie jest zupełnie normalny.

Jednak książę ciągle prosił i w końcu król ustąpił. Młody człowiek wyruszył w drogę; podobnie jak jego bracia, napotkał lisa siedzącego w tym samym miejscu i otrzymał tę samą radę. Książę był dobrodusznym młodzieńcem i odpowiedział:

— Dziękuję, lisku! Nie martw się, nie zrobię ci krzywdy.

— Nie pożalujesz tego — odparł lis. — Jeśli usiądziesz na moim grzbiecie, zaraz zawiozę cię do wioski.

Księżę wskoczył na lisa, a ten pomknął przez wzgórza i doliny, aż wiatr świszczał we włosach księcia. Kiedy dotarli do wioski, młody człowiek posłuchał rady lisa i zatrzymał się w ubogiej gospodzie, gdzie spokojnie i wygodnie spędził noc. Nazajutrz rano przyszykował się do dalszej drogi, a lis już na niego czekał.

— Ponieważ miałeś dość rozsądku, by skorzystać z mojej rady, pomogę ci w następnej części wędrówki — oznajmił. — Pojedziemy do zamku, przed którym zobaczysz oddział wojska. Nie zwracaj uwagi na żołnierzy, ponieważ będą spać na ziemi, głośno chrapiąc. Miń ich i wejdź do zamku. Idź do ostatniej komnaty, w której znajduje się złoty ptak. Będzie w drewnianej klatce. Obok ujrzysz także złotą klatkę, ale nie ruszaj jej: to tylko dekoracja. Pamiętaj: pod żadnym pozorem nie wyjmuj ptaka z drewnianej klatki i nie umieszczaj w złotej. Jeśli to zrobisz, będziesz miał kłopoty.

Powiedziawszy to, lis wyprężył ogon, a młody księżę usiadł mu na grzbiecie i popędzili równie szybko jak poprzednio. Kiedy dotarli do pałacu, lis został na zewnątrz, a księżę wszedł do środka. Wszystko było tak, jak to opisał lis. Młody człowiek dotarł do ostatniej komnaty i znalazł złotego ptaka w drewnianej klatce, koło której stała złota klatka. Na podłodze leżały trzy złote jabłka. Drewniana klatka była taka brzydka, a złota taka piękna, że księżę poczuł, że musi to poprawić — mimo ostrzeżenia lisa wyjął ptaka z drewnianej klatki i umieścił w złotej.

Ledwie to zrobił, ptak wydał z siebie przeszywający krzyk. Żołnierze przed zamkiem natychmiast się obudzili, wpadli do środka, aresztowali księcia i zamknęli w lochu.

Następnego ranka postawiono go przed sądem. Przyznał się do wszystkiego i sędzia skazał go na śmierć. Jednak król tego kraju poczuł do młodzieńca sympatię i oświadczył, że daruje mu życie pod jednym warunkiem: musi przyprowadzić złotego konia, szybszego niż wiatr. Jeśli to zrobi, wyrok zostanie anulowany i księżę otrzyma w nagrodę złotego ptaka.

Księżę wyruszył w drogę, lecz bez wielkiej nadziei. Nie miał pojęcia, gdzie znaleźć konia ani gdzie w ogóle go szukać, i zaczął uzalać się nad sobą. Jadąc gościńcem, niebawem jednak znów zauważył swojego przyjaciela lisa.

— A nie mówiłem? — odezwał się lis. — Wszystkie kłopoty wzięły się stąd, że mnie nie posłuchałeś. Mniejsza o to, jestem tutaj i powiem ci, jak znaleźć złotego konia. Chodź ze mną, a ja zabiorę cię do zamku, gdzie stoi w stajni. Jest tam kilku stajennych, ale wszyscy mocno śpią, więc wyprowadzisz konia bez żadnych kłopotów. Ale

pamiętaj: włóż mu na grzbiet proste, stare siodło ze skóry, a nie złote, które też tam zobaczysz. Inaczej będziesz miał kłopoty.

Lis wyprężył ogon, księżę usiadł mu na grzbiecie i pomknęli tak szybko, że wiatr świszczwał we włosach księcia. Dotarli do zamku, gdzie wszystko było tak, jak opisał to lis. Księżę wszedł do stajni i ujrzał złotego konia; był on tak piękny, że młodzieniec musiał zasłonić oczy. Kiedy rozglądał się za siodłem, pomyślał, że śmiesznie byłoby wziąć stare, odrapane siodło ze skóry, gdy obok czeka piękne złote.

Umieścił złote siodło na grzbiecie konia, a ten głośno zarżał, co obudziło stajennych, którzy natychmiast pojмали księcia. Skazano go na śmierć, ale król mieszkający w tym zamku również darował mu życie. Tym razem pod warunkiem, że księżę przywiezie złotą księżniczkę ze złotego pałacu.

Młodzieniec z ciężkim sercem wyruszył w drogę i znów spotkał wiernego lisa.

— Trudno ci pomagać — rzekł lis. — Tak naprawdę powinienem cię zostawić, byś radził sobie sam, ale mi cię żal. Ścieżka, na której się znajdujemy, prowadzi prosto do złotego zamku. Dotrzemy tam wieczorem, gdy będzie ciemno i cicho, a złota księżniczka pójdzie do łaźni, by się wykąpać. Kiedy ją zobaczysz, musisz jak najszybciej do niej podbiec i ją pocałować, a wtedy pójdzie za tobą i będziesz mógł ją zabrać, dokąd zechcesz. Ale nie wolno ci pozwolić, by pożegnała się z rodzicami. Jeśli to zrobisz, wpadniesz w tarapaty.

Lis wyprężył ogon, księżę usiadł mu na grzbiecie i popędzili tak szybko, że wiatr świszczwał we włosach księcia. Wkrótce przybyli do złotego pałacu, gdzie wszystko było tak, jak to opisał lis. Księżę czekał w ukryciu do północy, a kiedy wszyscy zasnęli, księżniczka poszła do łaźni. Podbiegł do niej i pocałował ją, a ona powiedziała, że chętnie z nim pojedzie, choćby na skraj świata, ale najpierw musi się pożegnać z ojcem i matką. Prosiła go, błagała i płakała, i mimo że z początku się opierał, jej uroda i rozpacz sprawiły, że w końcu uległ.

Oczywiście gdy tylko podeszła do łóżka rodziców, król się obudził, a wraz z nim wszyscy w pałacu. Księcia schwytano i wtrącono do więzienia, a następnego ranka postawiono przed obliczem władcy.

— Twoje życie jest nic niewarte, młody człowieku — rzekł król. — Kazałbym cię natychmiast ściąć, ale jest zadanie do wykonania. Jeśli się z nim uporasz, daruję ci życie. Przed moim oknem znajduje się góra, która zasłania widok. Usuń ją w ciągu siedmiu dni, a księżniczka będzie twoja. Inaczej kat utnie ci głowę!

Księżciu dano łopatę i natychmiast wziął się do pracy, ale gdy po sześciu dniach popatrzył z pewnej odległości na efekt swoich wysiłków, stracił wszelką nadzieję. Góra prawie nie zmaląła.

Jednak nie przestawał pracować przez cały siódmy dzień, aż wieczorem pojawił się lis.

— Nie wiem, dlaczego zawracam sobie tobą głowę — powiedział. — Nie zasługujesz na pomoc, ale mam do ciebie słabość. Idź spać, a ja przesunę górę.

Nazajutrz rano, kiedy książę się obudził i spojrzął w okno, zobaczył, że góra znikła. Uradowany pobiegł do króla.

— Wasza Królewska Mość, wykonałem zadanie! Góra znikła!

Król wyrzwał przez okno i przekonał się, że młodzieniec mówi prawdę: góry nie było.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Dotrzymam słowa, czy mi się to podoba, czy nie. Możesz wziąć moją córkę.

Książę i złota księżniczka wyruszyli razem w drogę, a wkrótce dołączył do nich lis.

— Zdobyłeś prawdziwy skarb, ale złota księżniczka potrzebuje złotego konia — zauważył.

— Jak go mogę zdobyć? — spytał książę.

— Powiem ci, lecz tym razem słuchaj uważnie — odparł lis. — Najpierw musisz zabrać księżniczkę do króla, który kazał ci ją przywieźć. Będą tam świętować to wydarzenie i ofiarują ci złotego konia. Kiedy go przyprowadzą, od razu na niego wsiądź i zacznij ścisnąć wszystkim ręce na pożegnanie. Na samym końcu chwyć dłoń złotej księżniczki, a potem wciągnij ją na konia i natychmiast odjedź galopem. Nikt cię nie dogoni, bo złoty koń jest szybszy od wiatru.

Wszystko przebiegło tak, jak opisał lis. Najpierw świętowano, później przyprowadzono konia, a książę zaczął ścisnąć wszystkim ręce i wreszcie uciekł z księżniczką. Lis popędził za nimi. Kiedy zwolnili, powiedział:

— Posłuchałeś mojej rady. Dobrze. Teraz pomogę ci zdobyć złotego ptaka. Gdy dotrzesz do zamku, gdzie się znajduje, zsadź księżniczkę na ziemię. Zaopiekuję się nią, a ty zajmiesz się resztą. Wjedź na dziedziniec; wszyscy uradują się na widok złotego konia i od razu przyniosą ci złotego ptaka. Jak tylko chwycisz klatkę, galopuj w te pędy z powrotem do księżniczki.

Plan się powiódł. Teraz, gdy książę zdobył wszystkie skarby, chciał już wracać do domu, ale lis powiedział:

— Zanim odjedziesz, pragnąłbym otrzymać nagrodę za swoją pomoc.

— Oczywiście! — zawołał książę. — Czego żądasz?

— Kiedy znajdziemy się w lesie, masz mnie zastrzelić, a potem uciąć mi głowę i łapy.

— Dziwna forma wdzięczności — odparł książę. — Nie mógłbym tego zrobić.

— Cóż, skoro odmawiasz, muszę cię opuścić. Ale dam ci ostatnią radę: strzeż się dwóch rzeczy. Nie kupuj mięsa z szubienicy i nie siadaj na skraju studni.

Wypowiedziawszy te słowa, lis umknął do lasu.

Co za dziwne zwierzę, pomyślał książę. Skąd te pomysły?! Kto kupowałby mięso z szubienicy? I nigdy nie zamierzałem siadać na skraju studni.

Wyruszył w drogę wraz z piękną księżniczką i wkrótce dotarli do wioski, gdzie zatrzymali się w gospodzie jego dwaj bracia. Na placu zebrał się wielki, hałaśliwy tłum, a kiedy książę spytał, co się dzieje, wyjaśniono mu, że ma zostać powieszonych dwóch przestępców. Przepchnął się przez tłum i zobaczył, że to jego bracia. Skończyły im się pieniądze i zaczęli popełniać różne niegodziwości.

Młody książę spytał, czy można coś zrobić, by darowano im życie.

— Cóż, możesz kupić ich wolność — odpowiedziano mu. — Ale po co marnować pieniądze na ratowanie takich łajdaków?

Książę nie wahał się ani chwili. Zapłacił i kupił wolność braci, których uwolniono z kajdan i surowo ostrzeżono, by nie pojawiali się więcej w wiosce. Trzej bracia ruszyli w drogę i po kilku godzinach dotarli do lasu, gdzie wcześniej spotkali lisa. Słońce mocno prażyło, ale pod drzewami panował przyjemny chłód.

— Odpocznijmy trochę — zaproponowali dwaj starsi. — Popatrz, możemy nabrać wody ze studni.

Młody książę się zgodził. Zapomniał o ostrzeżeniu lisa i niczego nie podejrzewając, usiadł na skraju studni, a wtedy bracia wepchnęli go do niej, po czym odjechali z księżniczką, koniem i ptakiem.

— Widzisz, ojcze? — powiedzieli, stanąwszy przed obliczem króla. — Zdobyliśmy nie tylko ptaka, ale również konia i księżniczkę ze złotego pałacu! Nieźle, prawda?

Król wydał wielką ucztę, ale bystrzy dworzanie zauważyli, że koń nie chce jeść, ptak nie śpiewa, a księżniczka siedzi i płacze.

A co się działo z najmłodszym bratem? Nie utopił się, bo studnia była wyschnięta, i nie połamał sobie kości, ponieważ porosła mchem. Siedział na dnie, nie mając pojęcia, jak wyjść, gdy znów pojawił się wierny lis. Wskoczył do studni i zaczął mu robić wymówki.

— Pamiętasz, co ci mówiłem? — spytał. — Cóż, powinieneś się tego spodziewać. Nieważne, nie zostawię cię tutaj. Chwyć mocno mój ogon.

Księżę uczynił to; po chwili wygramolił się ze studni za lisem i otrzepał ubranie z brudu.

— Ciągłe grozi ci niebezpieczeństwo — oznajmił lis. — Twoi bracia nie są pewni, czy zginąłeś w studni, więc rozstawili wokół lasu gwardzistów, którzy mają cię zastrzelić.

Wyruszyli w drogę. Wkrótce księżę spotkał żebraka i zamienił się z nim ubraniami. Dzięki temu dostał się na dwór nierozpoznany. Kiedy tylko wszedł do pałacu, ptak zaczął śpiewać, koń jeść, a piękna księżniczka przestała płakać.

— Co to znaczy? — spytał ze zdumieniem król.

— Nie wiem — odparła księżniczka. — Byłam smutna, a teraz czuję radość. Jestem taka szczęśliwa, jakby przybył mój narzeczony!

Opowiedziała królowi wszystko, co się wydarzyło, chociaż bracia zagrozili, że ją zabiją, jeśli ujawni prawdę. Król kazał zwołać cały dwór; przybył także młody księżę, który nadal miał na sobie żebracze łachmany. Księżniczka natychmiast go rozpoznała i pobiegła, by go uściskać, a nikczemnych braci pojmano i skazano na śmierć. Młody księżę poślubił księżniczkę i został następcą tronu.

A co z biednym lisem? Pewnego dnia, długi czas później, jadąc przez las, księżę spotkał swojego starego przyjaciela.

— Zdobyłeś wszystko, czego pragnąłeś — odezwał się lis — a mnie od wielu lat prześladowe zły los. Nie zgodziłeś się spełnić mojej prośby, bym mógł go odwrócić.

I znowu poprosił księcia, żeby go zastrzelił, po czym odciął mu głowę i łapy. Tym razem księżę to zrobił, a wtedy lis natychmiast zmienił się w brata księżniczki, w końcu uwolniony od zaklęcia, które na niego rzucono.

Od tej pory żyli szczęśliwie do końca swoich dni i niczego im nie brakowało.

* * *

Typ baśni: ATU 550, *Ptak, koń i księżniczka*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Gretchen Wild

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Prince Ivan, the Firebird, and the Grey Wolf (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *The*

King of the Herrings (Folk Tales of Britain); Andrew Lang, The Bird Grip (Pink Fairy Book)

Gretchen Wild i bracia Grimm nadali tej baśni wyjątkowo czystą postać, unikając łatwej pokusy wprowadzania dygresji. W ten sposób zmienili ją w coś, co bardzo przypomina okultystyczną lub ezoteryczną opowieść o poszukiwaniu i zbawieniu, podobną do *Hymn of the Pearl*, utworu gnostycznego z trzeciego wieku, albo *The Chymical Wedding of Christian Rosenkreutz* z 1616 roku. Łatwo byłoby skonstruować interpretację opartą na tych założeniach: młody książę byłby człowiekiem poszukującym zbawienia, złota księżniczka uosobieniem jego kobiecych cech albo, zgodnie z terminologią Junga, jego *anima*, którą należy ocalić przed ślepych potęgami świata — ślepych, ponieważ góra zasłania królowi widok, oczywiście. Po usunięciu góry król staje się dostatecznie mądry, by dostrzec prawdę, i pozwala młodej narzeczonej iść za jej prawdziwym przeznaczeniem. Złoty koń uosabia siłę księcia — krzykliwy sztafaż pochlebstwa i pychy działa na nią niszcząco, a prawdziwa, uczciwa praca nadaje jej godność. Złoty ptak to dusza bohatera — tylko on może go ujrzeć w królewskim ogrodzie, tylko on może za nim podążyć i w końcu go schwytać. Dwaj bracia ucieleśniają niższe cechy głównego bohatera, przewyciężone w końcu przez niewinność i dobroć. Pomaga mu lis, który naturalnie symbolizuje mądrość. Mądrość jest ściśle związana z osobowością człowieka poszukującego swojej drogi (jest bratem księżniczki), ale nie można zrozumieć, kim jest lis, póki nie poświęci swego życia. Złote jabłka w ogrodzie króla to części prawdy, które wspaniałomyślnie powinny być rozdawane za darmo. Król, zaślepiony i ograniczony, traktuje je jako swoją własność, każe je liczyć i numerować, przez co nie może...

I tak dalej. Absolutnie nie wierzę w taką interpretację, podobnie jak w większość post-Jungowskiego bełkotu, ale nie jestem w stanie jej wykluczyć. Można bronić takiej interpretacji. Czego to dowodzi? Czy znaczenie istniało wcześniej niż opowieść, którą stworzono, by zilustrować alegorię, czy też historia przypadkowo przybrała kształt dający się interpretować?

Oczywiście to drugie. Wiele przemyślnych interpretacji to niewiele więcej niż wyławianie deseni wśród tańczących iskier. Zajęcie przyjemne i nieszkodliwe.

Chłopina

Była raz pewna wieś, gdzie dobrze się wiodło wszystkim chłopom, z wyjątkiem jednego, którego nazywano Chłopiną. Nie miał pieniędzy nawet na kupno krowy, choć on i jego żona stale o niej marzyli.

Pewnego dnia Chłopina powiedział do żony:

— Posłuchaj, mam dobry pomysł. Pamiętaj swojego kuzyna, cieślę? Każmy mu zrobić z desek cielę i pomalować na właściwy kolor, by wyglądało jak żywe. W końcu na pewno urośnie i będziemy mieli krowę. Co o tym sądzisz?

— Tak, to dobry pomysł — przyznała żona.

Poszli do cieśli i wytłumaczyli, o co chodzi, a on wziął kilka porządných kawałków sosnowego drewna, ociosał je, pociął, wygładził i zbił razem, po czym pomalował drewniane cielę brązową farbą, tak że wyglądało jak żywe. Miało opuszczoną głowę, jakby się pasło; domalował mu nawet długie czarne rzęsy.

Kiedy następnego ranka pędzono krowy na łąkę, Chłopina przywołał pastucha i rzekł:

— Mam tu młode cielę, ale jest jeszcze za małe, by chodzić. Trzeba je nosić.

— W porządku — odpowiedział pastuch, po czym wziął cielę, zaniósł na pastwisko i postawił na trawie. — Wkrótce zacznie biegać — mruknął pod nosem. — Wystarczy spojrzeć, jak się obżera!

Kiedy wieczorem przyszła pora, by zapędzić krowy do obory, pastuch nie mógł zmusić cielęcia, by dołączyło do stada.

— Do licha! Zarłeś trawę przez cały dzień, więc powinieneś mieć dość siły, by iść na własnych nogach! Nie zamierzam cię nosić w obie strony!

Chłopina stał przed chatą, czekając na powrót cielęcia. Wreszcie nadeszło stado krów, za nimi pastuch, ale cielaka nie było.

— Hej! — krzyknął. — Gdzie mój cielak?

— Ciągłe się pasie na łące. Wołałem go, ale się nie ruszył. Nie mogę czekać cały dzień; trzeba wydoić krowy.

Pastuch zapędził krowy do obory, a potem poszedł z Chłopiną na łąkę. Kiedy tam dotarli, okazało się, że cielę ktoś ukradł.

— To przez ciebie! — zawołał Chłopina.

— Wcale nie! Musiało samo odejść.

— Powinieneś był je przyprowadzić! — odparł Chłopina.

Zabrał pastucha do wójta, który oburzył się na to niedbalstwo i kazał pastuchowi dać Chłopinie krowę jako odszkodowanie za stratę.

Chłopina i jego żona wreszcie zdobyli krowę, o której marzyli. Byli szczęśliwi, ale nie mogli sobie pozwolić na kupno paszy, więc musieli zabić zwierzę. Zapeklowali mięso i wygarbowali skórę, która okazała się bardzo ładna. Chłopina poszedł do miasta, by ją sprzedać i kupić cielę.

Po drodze mijał młyn i zobaczył kruka ze złamanymi skrzydłami, siedzącego na ziemi. Zrobiło mu się go żal, więc ostrożnie go podniósł i owinął krowią skórą. Na niebie zbierały się czarne chmury i zerwał się wiatr; kiedy tylko Chłopina owinął kruka, lunął deszcz. Nie miał gdzie się schronić, więc zapukał do drzwi młyna.

Otworzyła mu żona młynarza, która była akurat sama.

— Czego chcesz? — spytała.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mógłbym przeczekać tu ulewę?

— Ach, rzeczywiście zaczęło trochę padać... W porządku, wejdz. Możesz się położyć na słomie.

Wskazała duży stos słomy w kącie, a gdy Chłopina się na niej umościł, przyniosła trochę chleba i sera.

— Dziękuję! To bardzo miło z pani strony!

— Cóż, wygląda na to, że będzie padać przez całą noc — odparła młynarzowa.

Chłopina zjadł chleb z serem, położył się i zamknął oczy. Obok niego leżała krowia skóra. Kobieta, która zerkała na niego od czasu do czasu, pomyślała, że na pewno jest zmęczony, a ponieważ się nie poruszał, uznała, że zasnął.

Wkrótce potem rozległo się ciche pukanie do drzwi. Kobieta otworzyła, przykładając palec do ust. Chłopina otworzył oczy i zobaczył, że do młyna wszedł ksiądz.

— Męża nie ma, więc zapraszam na ucztę! — odezwała się młynarzowa.

Uczę, hm, pomyślał Chłopina. A ja dostałem tylko chleb z serem, tak?!

Kobieta, trzepocząc powiekami i uśmiechając się słodko, posadziła księdza przy stole. Postawiła pieczeń wieprzową, duży talerz sałatki, szarlotkę prosto z pieca i butelkę wina. Chłopina obserwował to spod przymkniętych powiek.

Kiedy ksiądz zatknął serwetkę za koloratkę, na zewnątrz dał się słyszeć hałas.

— Ach, wielki Boże! — wykrzyknęła młynarzowa. — To mój mąż! Do szafy, szybko!

Ksiądz błyskawicznie schował się w szafie, a kobieta ukryła mięso w piecu, wino pod poduszką, sałatkę pod kołdrą, a ciasto pod łóżkiem.

Później pobiegła do drzwi frontowych.

— Och, dzięki Bogu, że wróciłeś! — zawołała. — Zaczęłam się bać! Co za burza! Można pomyśleć, że to koniec świata!

Młynarz wszedł do domu, strząsając z ubrania krople wody, i natychmiast zauważył Chłopinę leżącego na słomie.

— Kto to? — spytał.

— Och, biedny człowiek! — odparła jego żona. — Zapukał do drzwi w chwili, gdy zaczęła się ulewa. Chciał ją u nas przeczekać, więc dałam mu trochę chleba z serem i pozwoliłam się położyć na słomie.

— Cóż, nie mam nic przeciwko temu — rzekł młynarz. — Ale wiesz, jestem strasznie głodny. Zrób mi coś do zjedzenia, dobrze?

— Jest tylko chleb z serem, kochany.

— Zadowolę się wszystkim, co mi dasz — odpowiedział młynarz, po czym popatrzył na Chłopinę i zawołał: — Hej, kolego, wstawaj i zjedz ze mną kolację!

Chłopiny nie trzeba było dwa razy prosić. Zerwał się na równe nogi, przedstawił się, usiadł przy stole i zaczął jeść chleb z serem.

Po kilku minutach młynarz zauważył leżącą na słomie krowią skórę.

— Co tam masz? — spytał.

— Ach, to coś specjalnego — odparł Chłopina. — W środku jest jasnowidz.

— Naprawdę? Potrafi przepowiadać przyszłość? — spytał młynarz.

— Oczywiście — rzekł Chłopina. — Ale może odpowiedzieć tylko na cztery pytania. Piątą odpowiedź zatrzymuje dla siebie.

— W porządku, każ mu coś przepowiedzieć.

Chłopina bardzo ostrożnie wziął skórę i położył ją sobie na kolanach. Potem dotknął lekko głowy kruka, który zakrakał: „Kra! Kra!”.

— Co to znaczy?

— Cóż... Mówi, że pod poduszką jest butelka wina.

— Bzdura! — zawołał młynarz, ale wstał, by sprawdzić, i znalazł wino. — Zdumiewające! Co jeszcze potrafi przepowiedzieć?

Chłopina znów dotknął głowy kruka. „Kra! Kra!”

— Co teraz mówi?

— Że w piecu jest pieczeń wieprzowa — odpowiedział Chłopina.

— Pieczeń wieprzowa?! Nie wierzę... Niech mnie diabli! Rzeczywiście, jest! Ładny kawał mięsa! Co jeszcze mówi?

Chłopina kazał krukowi wygłosić następną przepowiednię.

— Tym razem, że pod kołdrą jest talerz z sałatką.

Młynarz szybko go znalazł.

— Niewiarygodne! — mruknął. — Nie widziałem czegoś takiego w całym swoim życiu!

„Kra! Kra!”, zakrakał kruk po raz czwarty, a Chłopina przetłumaczył:

— Pod łóżkiem jest szarlotka.

Młynarz wyjął ciasto spod łóżka.

— Po prostu nie mam słów! — zawołał. — A na kolację dostaliśmy tylko chleb z serem. Żono, co robisz? Chodź i siadaj z nami!

— Nie — odpowiedziała młynarzowa. — Trochę boli mnie głowa. Chyba pójdę do łóżka.

Oczywiście tak naprawdę była przerażona. Weszła do łóżka i otuliła się kołdrą, ściskając w ręku klucze do szafy.

Młynarz pokroił pieczeń i nalał wina sobie i Chłopinie. Zaczęli jeść.

— Więc twój jasnowidz zatrzymuje piątą przepowiednię dla siebie, tak? — spytał.

— Zgadza się — potwierdził Chłopina.

— Czego ona dotyczy?

— Właściwie może to być wszystko. Ale najpierw zjedzmy, bo coś mi mówi, że chodzi o coś niedobrego.

Posilili się, po czym młynarz rzekł:

— Piąta przepowiednia... Czy rzeczywiście może być taka zła?

— O, piąta przepowiednia jest bardzo cenna — odparł Chłopina. — On nigdy nie daje jej za darmo.

— Ach... A ile za nią chce?

— Czteryście talarów.

— Wielki Boże!

— Mówiłem, że jest bardzo cenna. Ale ponieważ jesteś hojnym gospodarzem, chyba potrafię go przekonać, żeby się zgodził na trzysta.

— Trzysta talarów, tak?

— Owszem.

— Nie obniży ceny?

— Cóż, sam widzisz, to mistrz. Nie popełnił żadnego błędu.

— Owszem, nie mogę zaprzeczyć. Trzysta talarów, tak?

— Tak, trzysta.

Młynarz poszedł po mieszek i odliczył pieniądze, po czym znowu usiadł przy stole i rzekł:

— W porządku, zgoda, posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Chłopina dotknął głowy kruka, a ptak zakrakał: „Kra! Kra!”.

— No i co? — spytał młynarz.

— Ojej! — Chłopina westchnął. — Mówi, że w twojej szafie siedzi diabeł.

— Co takiego?! — zdumiał się młynarz. — Niemożliwe! — Wstał, odsunął rygiel w drzwiach frontowych, otworzył je i spytał: — Gdzie jest klucz do szafy? Gdzie się podział?

— Ja go mam — odpowiedziała zduszonym głosem młynarzowa, przykryta kołdrą.

— Daj mi go szybko!

Chwycił klucz i otworzył szafę, z której natychmiast wyskoczył ksiądz i pędem wybiegł na dwór.

Młynarz stał z rozdziawionymi ustami i włosami zjeżonymi ze strachu. Po chwili znów zarygłował drzwi.

— Twój cholerny jasnowidz miał rację! — wykrzyknął. — To był diabeł, na pewno! Widziałem łotra na własne oczy!

Musiał wypić resztę wina, by się uspokoić. Chłopina poszedł spać na słomę, a wczesnym rankiem wymknął się z młyna, z trzystoma talarami w kieszeni.

Wróciwszy do wioski, zaczął wydawać pieniądze. Kupił trochę ziemi i zbudował ładny dom, aż wieśniacy zaczęli mówić: „Musiał odwiedzić kraj, gdzie pada złoty deszcz. Można stamtąd przywieźć mnóstwo pieniędzy”.

Tak naprawdę nie wierzyli, że wzbogacił się w uczciwy sposób. Chłopinę wezwano przed oblicze wójta, by się wytłumaczył.

— To bardzo proste — oznajmił. — Wziąłem krowią skórę i sprzedałem ją w mieście. Jest wielki popyt na skórę. Ceny bardzo podskoczyły.

Kiedy chłopci to usłyszeli, natychmiast zaczęli szlachtować krowy i garbować skóry, by iść do miasta i sprzedać je za fantastyczną cenę.

— Ja pierwszy — powiedział wójt.

Wysłał swoją służącą z pierwszą skórą. Dostała za nią trzy talary, a innym wieśniakom zaproponowano jeszcze mniej.

— Co mam zrobić z tyloma skórami, jak myślicie? — spytał handlarz skórami. — W tej chwili nie ma na nie popytu.

Naturalnie wieśniacy byli wściekli na Chłopinę. Oskarżyli go przed wójtem o oszustwo i rada wioski szybko wydała wyrok.

— Musisz umrzeć — oświadczył wójt. — Wsadzimy cię do dziurawej beczki i wrzucimy do stawu.

Wezwano księdza, by odprawił mszę za duszę Chłopiny, i wieśniacy zostawili ich samych. Na szczęście Chłopina rozpoznał duchownego.

— Uwolniłem cię z szafy, więc teraz ty uwolnij mnie z beczki — powiedział.

— Bardzo bym chciał, ale...

— Po prostu mnie poprzyj, to wszystko! — przerwał mu Chłopina.

Wcześniej zauważył pastucha idącego drogą ze stadem owiec. Wiedział, że pastuch marzy o zostaniu wójtem.

Dlatego wrzasnął z całych sił:

— Nie, nie chcę! Mogą mnie prosić wszyscy ludzie na świecie, ale się nie zgadzam! Po prostu się nie zgadzam!

Pastuch zatrzymał się i spytał:

— Co się dzieje? Na co się nie zgadzasz?

— Chcą, żebym został wójtem — odparł Chłopina. — Mówią, że muszę tylko wejść do tej beczki, ale ja się nie zgadzam! Po prostu się nie zgadzam!

— Naprawdę? — spytał pastuch. — Wystarczy wejść do beczki, żeby zostać wójtem?

Chłopina dał księdzu kuksańca.

— Tak, to prawda — potwierdził duchowny.

— Cóż, skoro trzeba zrobić tylko tyle... — odezwał się pastuch i wgramolił się do beczki.

Chłopina przybił wieko, wziął kij pastucha i odszedł ze stadem owiec.

Ksiądz udał się do rady wioskowej i oznajmił, że odprawił mszę i że beczka jest gotowa. Wójt przyprowadził wieśniaków, którzy potoczyli beczkę w stronę stawu.

Kiedy toczyła się z turkotem po drodze, pastuch wrzeszczał:

— Chętnie zostanę wójtem!

Wieśniacy myśleli, że to krzyki Chłopiny, i wołali w odpowiedzi:

— Jasne, że zostaniesz wójtem! Ale najpierw obejrzyj sobie dno stawu!

Wrzucili beczkę do wody i ruszyli z powrotem do wioski. Ksiądz został nad stawem, zakasał sutannę i próbował wyciągnąć beczkę z wody, by pastuch się nie utopił, a tymczasem wieśniacy bardzo się zdziwili, ponieważ gdy znaleźli się we wsi, zobaczyli Chłopinę ze stadem owiec.

— Chłopina?! Co ty tu, u licha, robisz?! Jak się uwolniłeś z beczki?!

— Ach, łatwizna! — odpowiedział. — Beczka opadała coraz niżej, aż osiadła na dnie, a wtedy wybiłem kopniakiem wieko i wypełzłem. Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie piękne są tam łąki! Bujna zielona trawa, ciepłe promienie słońca i tyle owiec, że nie da się zliczyć. Wziąłem kilka i przypędziłem je tutaj.

— Zostały jakieś?

— Och, tysiące. Wystarczy dla każdego.

Wszyscy zawrócili i pobiegli do stawu, bo każdy chciał zdobyć dla siebie stado owiec. Po niebie płynęło mnóstwo małych pierzastych obłoków, które ludzie nazywają barankami, i gdy wieśniacy zobaczyli w wodzie ich odbicie, wpadli w takie podniecenie, że nie zauważyli, iż na drugim brzegu stoi ociekający wodą pastuch i bije księdza. Krzycząc z radości na widok chmur, zaczęli przepychać się jak najbliżej stawu.

— Ja pierwszy! — zawołał wójt i z chlupotem skoczył do wody.

Kiedy opadał na dno, na powierzchni pojawiły się bąble powietrza, a wieśniacy, myśląc, że wójt ich wzywa, wskoczyli za nim do stawu.

Wioska opustoszała, więc Chłopina zaczął wszystkim rządzić. Oddał pastuchowi owce, ogłosił się wójtem i został bogatym człowiekiem.

* * *

Typ baśni: AT 1535, *Bogaty chłop i biedny chłop*, wraz z epizodem z typu 1737, *Zamiana miejsc z oszustem w worku*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Hassenpflugów i Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Precious Hide (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *Jack and the Giants, Sheep for the Asking (Folk Tales of Britain)*

Chłopina to klasyczny oszust. Aby grać taką rolę, potrzeba inteligencji i tupetu, lecz również wielu naiwniaków. Jest oczywiste, że w wiosce ich nie brakowało.

Ale jak surowo należy karać naiwniaków za głupotę? To, że wieśniacy, którzy chcieli zabić Chłopinę, utonęli, jest raczej sprawiedliwe; to bezpośredni rezultat ich chciwości. Jednak pasterz, który nigdy nie zamierzał go skrzywdzić, został potraktowany dość brutalnie. W oryginale pasterz tonie, a co więcej, ksiądz nie ponosi żadnej kary, co nie wydaje się właściwe. W mojej wersji ksiądz ratuje pasterza, a później zostaje pobity za swoje czyny, na co sobie zasłużył.

W baśniach braci Grimm duchowni pojawiają się rzadko, a jeśli już, to dość często uwodzą cudze żony. Na przykład w *Starym Hildebrandzie* ksiądz podstępnie skłania chłopca do wyjazdu do Włoch, po czym miło spędza czas z jego żoną. W końcu zostaje schwytyany i pobity, i bardzo słusznie.

Futrzarka

Żył raz król, którego złotowłosa żona była tak piękna, że żadna kobieta na świecie nie mogła się z nią równać.

Pewnego dnia zachorowała, a kiedy poczuła, że wkrótce umrze, powiedziała do króla:

— Jeśli po mojej śmierci znowu się ożenisz, nie wolno ci poślubić kobiety brzydszej ode mnie, a jej włosy nie mogą być mniej złociste od moich. Musisz mi to przyrzec.

Król przyrzekł, a wkrótce potem królowa zamknęła oczy i umarła.

Przez długi czas król był niepoczyszony i nawet nie myślał o poślubieniu innej kobiety, ale w końcu jego doradcy powiedzieli:

— Wasza Królewska Mość, nie ma innego wyjścia, musisz się znowu ożenić. Kraj potrzebuje królowej.

Na wszystkie strony świata wyruszyli posłańcy, by szukać narzeczonej, która dorównywałaby urodą zmarłej królowej. Jednak nie udało im się takiej znaleźć, choć szukali wszędzie, blisko i daleko. Nawet jeśli napotykali kobietę równie piękną, to nie miała ona złotych włosów. W końcu wrócili z niczym.

Król miał córkę, której włosy były tak samo złociste jak włosy jej matki i która zapowiadała się na wyjątkową piękność. Póki była dzieckiem, król tego nie zauważał, ale gdy osiągnęła pełnoletniość, pewnego dnia popatrzył na nią, akurat kiedy słońce padło na jej złote włosy. Nagle spostrzegł, że jest równie urodziwa jak matka, i natychmiast się w niej zakochał.

Zwołał posiedzenie tajnej rady i oświadczył:

— Wreszcie znalazłem narzeczoną. W całym kraju nie ma dziewczyny piękniejszej niż moja córka, więc postanowiłem ją poślubić.

Członkowie tajnej rady wpadli w przerażenie.

— Wasza Królewska Mość, to niemożliwe! Bóg zabronił takich małżeństw! To jeden z najcięższych grzechów! Nic dobrego z tego nie

wyniknie i na kraj spadną nieszczęścia!

Dziewczyna również była przerażona. Mając nadzieję, że zyska trochę czasu, powiedziała:

— Drogi ojciec, przed zawarciem małżeństwa z tobą potrzebuję trzech sukni: pierwszej złotej jak słońce, drugiej srebrnej jak księżyc i trzeciej lśniącej jak gwiazdy. Co więcej, muszę mieć opończę uszytą z tysiąca różnych rodzajów futer, każde z innego zwierzęcia żyjącego w lasach naszego królestwa.

Myślała, że ojciec nie zdoła spełnić jej żądań, co udaremni realizację nikczemnego planu. Ale król oszalał z miłości i nic nie mogło go powstrzymać. Zatrudnił najlepszych tkaczy w królestwie, którzy utkali trzy rodzaje płótna, a później najlepsi krawcy uszyli trzy wspaniałe suknie. Wysłał też do lasu myśliwych, którzy dzień po dniu zwozili do zamku upolowane zwierzęta. Najlepsi kuśnierze przygotowali tysiąc futer i zaczęli je zszywać. Wkrótce dziewczyna zrozumiała, że ojciec dostarczy jej wszystko, o co prosiła.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy król powiedział:

— Ukochana, wszystko już prawie gotowe! Jutro weźmiemy ślub!

Zrozumiała, że nie ma żadnej nadziei i że pozostaje jej tylko ucieczka. Kiedy wszyscy mieszkańcy pałacu zasnęli, wzięła jedynie trzy rzeczy ze swoich skarbów: złoty pierścień, małeńki złoty kołowrotek i małą złotą szpulkę na nici. Zwinęła trzy suknie tak ciasno, że zmieściły się w skorupce orzecha, włożyła opończę z tysiąca futer i poczerniła sobie twarz i dłonie sadzą. Później poleciła duszę Bogu, wymknęła się z pałacu i ruszyła gościńcem.

Szła i szła, aż dotarła do wielkiego lasu. Wstawał świt i zaczynały śpiewać ptaki. Była tak zmęczona, że znalazła dziuplę w drzewie, wślizgnęła się do niej i po chwili zasnęła.

Przespała w dziupli cały ranek. Tak się złożyło, że tego dnia w lesie polował król, właściciel okolicznych ziem. Jego ogary poczuły dziwny zapach i zaczęły skakać wokół drzewa, głośno szczekając.

— Ukryło się tam jakieś zwierzę — rzekł król do swoich myśliwych. — Zobaczcie, co to takiego.

Myśliwi spełnili rozkaz, wrócili i powiedzieli:

— To dziwne zwierzę, Wasza Królewska Mość. Jeszcze nigdy takiego nie spotkaliśmy. Jego skóra wydaje się zrobiona z tysiąca różnych futer. Leży w dziupli i śpi.

— Spróbujcie je schwytać żywcem — polecił król. — Przywiążemy je do wozu i zabierzemy na zamek.

Myśliwi weszli do dziupli i chwycili księżniczkę, zachowując ostrożność na wypadek, gdyby okazała się niebezpieczna.

Kiedy wyciągano ją z kryjówki, obudziła się i zawołała z lękiem:

— Nie róbcie mi krzywdy! Jestem tylko biedną dziewczyną! Opuścili mnie rodzice i zabłądziłam!

— Już odnalazłaś drogę, dziewczyno w futrze — odparli myśliwi.
— Jesteś naszą zdobyczą. Nazwiemy cię Futrzarką, zabierzemy do zamku i będziesz zmywać naczynia w kuchni.

Król zobaczył, że nie jest to rzadkie zwierzę, i stracił zainteresowanie. Wóz wiozący dziewczynę pojechał do zamku, podskakując na wybojach. Po przybyciu na miejsce słudzy zaprowadzili Futrzarkę do niewielkiej, ciemnej i brudnej klitki pod schodami.

— Będiesz tu mieszkać — powiedzieli.

Kazali jej pracować w kuchni. Nosiła drewno, paliła w piecach, dźwigała wodę ze studni, skubała kurczęta, prała, obierała warzywa, zmywała brudne naczynia — kazano jej wykonywać najcięższe prace. Przez długi czas pracowała jako podkuchenna. Ach, moja śliczna księżniczko, jakiż spotkał cię los!

Pewnego dnia obwieszczono, że król wyda na zamku wielki bal. Zaciekawiona Futrzarka powiedziała do kucharza:

— Czy mogłabym iść na górę i popatrzeć? Zostanę za drzwiami.

— Idź, ale wróć za pół godziny — odparł kucharz. — Popiół sam się nie wygarnie z popielnika.

Futrzarka wzięła latarnię i miskę wody, po czym poszła do swojej klitki. Zdjęła futznaną opończę, umyła twarz i ręce, aż znów stała się piękna. Później otworzyła skorupkę orzecha, wyjęła suknię złotą jak słońce, włożyła ją i poszła na górę do sali balowej. Kłaniali jej się wszyscy służący, a goście uśmiechali się uprzejmie, bo każdy myślał, że jest księżniczką.

Kiedy król ją zobaczył, miał wrażenie, że uderzył w niego piorun. W całym swoim życiu nie widział tak pięknej dziewczyny. Oszołomiony, poprosił ją do tańca, a kiedy orkiestra skończyła grać, Futrzarka dygnęła i znikła tak szybko, że nie zauważył, dokąd pobiegła. Wypytywał wszystkich gwardzistów i wartowników, czy opuściła zamek. Czy ktoś widział, dokąd poszła?

Ale nikt nie wiedział, co się z nią stało, ponieważ wymknęła się niepostrzeżenie i wróciła do swojej klitki. Zwinęła suknię, włożyła futznaną opończę, pobrudziła sobie twarz i ręce i znów stała się Futrzarką, podkuchenną.

Zaczęła czyścić piec z popiołu, ale kucharz powiedział:

— Odłóż to do jutra. Mam dla ciebie inne zadanie: ugotuj dla króla trochę polewki, a ja pójdę na górę popatrzeć na bal. Ale

uważaj, żeby nie wpadł do niej twój włos, bo nie dostaniesz kolacji!

Kucharz poszedł na górę, a Futrzarka zajęła się gotowaniem polewki. Starła się ją przyrządzić najlepiej, jak umiała. Kiedy skończyła, wzięła swój pierścień i wrzuciła do miski z zupą.

Po zakończeniu balu król poprosił o polewkę i smakowała mu jak nigdy dotąd. A na dnie miski...

— Co to takiego?! Złoty pierścień?! Skąd, do licha, się tu wziął?! Poślijcie po kucharza!

Kucharz był przerażony. Kiedy wybiegał z kuchni, powiedział do Futrzarki:

— Na pewno w zupie był włos! Przecież cię ostrzegałem! Poczekaj tylko, aż wrócę! Spiorę cię na kwaśne jabłko, dziewczyno!

Kucharz stanął przed królem, drżąc na całym ciele i mnąc w dłoniach fartuch.

— Czy to ty ugotowałeś tę zupę? — spytał król. — Przestań się wiercić! Stój spokojnie!

— Tak, Wasza Królewska Mość — odpowiedział słabo kucharz.

— Nie mówisz prawdy. Polewka była zupełnie inna od tej, którą normalnie podajesz, i znacznie lepsza. Kto ją przyrządził, co?

— Przepraszam, Wasza Królewska Mość. Tak, masz rację, panie, to nie ja. Ugotowała ją Futrzarka, podkuchenna.

— Przyślij ją tutaj.

Po przybyciu Futrzarki król spytał:

— Kim jesteś?

— Biedną dziewczyną, która nie ma ojca ani matki.

— Jak trafiłaś do mojego zamku?

— Znalaziono mnie w dziupli drzewa.

— Hm. A skąd wzięłaś pierścień?

— Nic nie wiem o żadnym pierścieniu, Wasza Królewska Mość.

Król uznał, że jest prostą dziewczyną, i kazał jej odejść.

Po pewnym czasie znowu urządzono bal i tak jak poprzednim razem Futrzarka poprosiła kucharza, by pozwolił jej iść na górę popatrzeć.

— Cóż, dobrze — zgodził się. — Masz pół godziny. A potem wracaj i ugotuj polewkę, która tak bardzo smakuje królowi.

Pobiegła do swojej klitki, szybko się umyła i włożyła suknię srebrną jak księżyc. Poszła do sali balowej i mimo tłumy tańczących par król natychmiast ją zauważył, bo była jeszcze piękniejsza niż poprzednio. Zatańczyli razem i miał wrażenie, że trwało to tylko chwilę. Kiedy orkiestra przestała grać, dziewczyna natychmiast znikła.

Zbiegła do klitki pod schodami, schowała suknię, stając się z powrotem Futrzarką, i pośpieszyła do kuchni, by przygotować polewkę. Kiedy kucharz był na górze i patrzył na tańce, włożyła do miski maleńki złoty kołowrotek i zalała go zupą.

Król znalazł kołowrotek, tak jak przedtem pierścień, i posłał po kucharza, który przyznał, że zupę znów ugotowała Futrzarka. Król kazał ją do siebie przyprowadzić.

— Muszę przyznać, że wydajesz mi się zagadkowa — rzekł. — Powiedz jeszcze raz, skąd pochodzisz.

— Z dziupli w drzewie, Wasza Królewska Mość.

Nie, biedna dziewczyna musiała postradać rozum, pomyślał król. Szkoda, bo po zmyciu brudu mogłaby okazać się całkiem ładna. Doszedł do wniosku, że Futrzarka nic nie wie o złotym kołowrotku, i kazał jej odejść.

Kiedy wydał trzeci bal, wszystko potoczyło się tak jak poprzednio. Ale kucharz zaczął coś podejrzewać i powiedział:

— Myślę, że jesteś czarownicą, Futrzarko! Dodajesz do polewki czegoś, co sprawia, że smakuje królowi bardziej niż moja. — Był jednak człowiekiem dobrodusznym i pozwolił dziewczynie iść na górę i popatrzeć na tańczących dworzan.

Futrzarka włożyła suknię lśniącą jak gwiazdy i pośpieszyła do sali balowej. Król nigdy nie widział równie pięknej dziewczyny i kazał muzykom grać bardzo długo, by móc z nią porozmawiać. Była w jego ramionach lekka jak światło gwiazd, ale mówiła niewiele; jednak udało mu się ukradkiem wsunąć na jej palec pierścień.

Kiedy taniec się skończył, minęło już pół godziny, więc próbowała się wymknąć. Przez chwilę się mocowali, ponieważ król chciał ją zatrzymać, ale była szybsza i zręczniejsza. Wybiegła, nim zdołał temu przeszkodzić.

Kiedy wróciła do swojej klitki, nie miała czasu zdjąć sukni, więc włożyła na nią futro, a potem pobrudziła się sadzą, ale w pośpiechu przeoczyła jeden palec, który pozostał czysty. Później zaczęła czym prędzej gotować polewkę, a gdy kucharz był na górze, włożyła do niej złotą szpulkę na nici.

Znalazłszy szpulkę, król nie marnował czasu na wzywanie kucharza, lecz od razu posłał po Futrzarkę. Kiedy przyszła, zobaczył jeden czysty palec i pierścień, który wsunął jej w czasie tańca. Chwycił dziewczynę za rękę i mocno trzymał, a gdy zaczęła się wyrwać, futro trochę się rozchyliło i zaśniła gwiazdzista suknia. Król zdjął Futrzarce kaptur z głowy i rozsypały się złote włosy — ukazała się prześliczna księżniczka, która zaledwie pół godziny

wcześniej tańczyła na balu. Kiedy umyła jej twarz i ręce, wszyscy zrozumieli, że to najpiękniejsza dziewczyna na świecie.

— Będiesz moją najdroższą żoną — powiedział król. — Nigdy się nie rozstaniemy!

Wkrótce potem odbyło się wesele i żyli długo i szczęśliwie do końca swoich dni.

* * *

Typ baśni: ATU 510B, *Peau d'Asne*

Źródło: baśń opowiedziana braciom Grimm przez Dortchen Wild

Podobne baśnie: Giambattista Basile, *The Bear (The Great Fairy Tale Tradition*, red. Jack Zipes); Italo Calvino, *Wooden Maria (Italian Folktales)*; Charles Perrault, *Donkey-Skin (Perrault's Complete Fairy Tales)*; Giovanni Francesco Straparola, *Tebaldo (The Great Fairy Tale Tradition*, red. Jack Zipes)

Historia rozpoczyna się bardzo ciekawie: król przyrzeka królowej, że po jej śmierci nie poślubi nikogo mniej pięknego niż ona, a później zakochuje się we własnej córce... Ale w połowie opowieści, gdy księżniczka ucieka, tracimy z oczu ojca ogarniętego obsesją — baśń całkowicie zmienia swój charakter i staje się wariantem [Kopciuszka](#). Co się stało z motywem kazirodztwa? Moim zdaniem ucieczka nie jest dobrym sposobem rozwiązania tak dramatycznego konfliktu. Zasługuje on na coś lepszego.

Realizuje to wersja Straparoli, w której król, Tebaldo, bezlitośnie ściga córkę. Korzystając z tego przykładu, kontynuowałbym opowieść braci Grimm, pozwalając dobremu królowi i jego młodej żonie żyć szczęśliwie i mieć dwójkę dzieci. Pewnego dnia do pałacu przyjeżdża kupiec ze skrzynią ładnych zabawek. Daje jedną z nich chłopcu, a drugą dziewczynce i mówi: „Pozdrówcie ode mnie swoją matkę”. Dzieci pokazują jej złoty kołowrotek i złotą szpulkę. Zaniepokojona królowa każe przyprowadzić kupca przed swoje oblicze, lecz ten znika.

Następnego dnia, w niedzielę, jadąc do katedry, królowa dostrzega kupca w tłumie. Patrzy na nią z uśmiechem i królowa nie ma już żadnych wątpliwości: to jej ojciec. Po raz pierwszy wyznaje mężowi, jaka straszliwa tajemnica zmusiła ją, by uciec z domu i stać się Futrzarką. Przerażony król rozkazuje odnaleźć i aresztować kupca.

Tego wieczoru królowa idzie do spowiedzi, lękając się, że ponosi część winy za wstrętą żądzę ojca. Ksiądz zapewnia ją, że jest niewinna i że źle ocenia ojca, którego miłość jest czysta i święta. Poza tym miłość między ojcem a córką jest usankcjonowana przez Pismo Święte, jak w przypadku...

W tym momencie królowa rozpoznaje jego głos i ucieka, wzywając pomocy, lecz okazuje się, że jest zamknięta w kościele wraz z ojcem. Jej krzyki alarmują strażników, którzy wyłamują drzwi i widzą fałszywego księdza próbującego ją zgwałcić.

Z rozkazu króla nikczemnik zostaje powieszony. Po śmierci obcinają mu ręce i nogi, a następnie grzebią osobno w niepoświęconej ziemi.

Tej samej nocy królowa budzi się z niespokojnego snu, czując, że jej warg dotykają zimne palce — prawa ręka ojca. Oszalała ze strachu, krzyczy, by zbudzić męża, a tymczasem on leży obok w łóżku, bliski śmierci z powodu uduszenia — jego gardło ściska lewa ręka ojca. Królowa musi radzić sobie sama. Odrywa rękę ojca od twarzy i ciska ją w ogień, po czym robi to samo z ręką duszącą męża. Dorzuca drew do kominka, aż bucha wielki płomień, i w końcu ręce ojca zmieniają się w popiół.

Moim zdaniem byłaby to bardzo dobra opowieść.

Jorinda i Joringel

Dawno, dawno temu w głębi lasu stał wiekowy zamek, w którym samotnie mieszkała bardzo stara kobieta. Była potężną wiedźmą. Codziennie zmieniała się w kota albo w sowę, a wieczorami znów przybierała ludzką postać. Potrafiła łowić ptaki i inne zwierzęta; zabijała je, piekła i jadła. Jeśli do zamku zbliżył się na sto kroków jakiś mężczyzna, stara wiedźma rzucała na niego zaklęcie — nie mógł się poruszyć, dopóki go nie uwolniła. Jeśli do zamku podeszła niewinna dziewczyna, zmieniała ją w ptaka i zamykała w wiklinowym koszyku. Później niosła kosz do jednej z komnat zamkowych, gdzie trzymała już przeszło siedem tysięcy ptaków.

W tamtych czasach żyła dziewczyna o imieniu Jorinda, którą uważano za najpiękniejszą w całym królestwie. Była zaręczona z przystojnym chłopcem o imieniu Joringel. Zbliżała się pora ich ślubu i uwielbiali spędzać czas razem.

Pewnego popołudnia chcieli zostać sami, więc poszli na spacer do lasu.

— Musimy uważać, by nie podejść za blisko zamku — powiedział Joringel.

Był piękny wieczór. W ciemnozielonym gęstym lesie na pniach drzew pełgały ciepłe promienie słońca, a w koronach starych buków żałośnie gruchały synogarlice. Od czasu do czasu Jorinda wybuchiała płaczem, choć nie wiedziała dlaczego. Siedziała w słońcu i wzdychała, podobnie jak Joringel. Ogarnął ich wielki smutek, jakby przeczuwali nadchodzącą śmierć. Byli tak przejęci, że w końcu zabłądzili i nie mogli znaleźć drogi do domu.

Kiedy połowa słońca schowała się za górami, Joringel, szukając ścieżki, rozchylił gałęzie i zobaczył kilka metrów przed sobą mur zamku. Z przerażenia o mało nie zemdlał. W tej samej chwili usłyszał, jak Jorinda śpiewa:

Mała ptaszyna z czerwoną obwódką

*Śpiewa smutno, śpiewa smutno!
Słońce świeci, zegar bije,
Synogarlica nie...*

Ale nie zdołała dokończyć piosenki. Joringel usłyszał śpiew słowika i ze zgrozą zobaczył, że w miejscu, gdzie stała Jorinda, siedzi na gałęzi prawdziwy słowik. Co więcej — wokół słowika latała sowa z płonącymi oczami. Okrążyła go trzy razy, wołając: „Hu-hu! Hu-hu! Hu-hu!”.

A sam Joringel zmienił się w kamień. Nie mógł się ruszyć, nie mógł krzyknąć, nie mógł nawet mrugnąć. Prawie zapadł już zmrok. Sowa odleciała w zarośla i stracił ją z oczu, ale potem zaszeleściły liście i zobaczył zgarbioną starą kobietę, pomarszczoną, o pożółkłej cerze, z oczami nabiegłymi krwią i haczykowatym nosem, którego czubek prawie dotykał podbródka. Mruczając do siebie, chwyciła słowika i odeszła.

Joringel nie mógł krzyknąć, nie był w stanie się poruszyć. Słowik zniknął. Niebawem starucha wróciła bez ptaka i powiedziała ochrypłym głosem:

— Kiedy promienie księżyca padną na dno koszyka, uwolnij go, Zachiel!

W tej samej chwili Joringel poczuł, że jego ręce i nogi się rozluźniają i że znów może nimi poruszać. Padł na kolana przed starą kobietą i zawołał:

— Och, proszę, zwróć mi moją Jorindę!

— Nigdy! — odparła wiedźma. — Nigdy jej nie odzyskasz!

Joringel błagał, krzyczał, płakał, lecz nic nie mogło skłonić wiedźmy do zmiany decyzji. Nie słuchając go dłużej, odeszła, a chłopak krzyknął:

— Co się ze mną stanie?!

Opuścił zamek i dotarł do wioski, gdzie nikt go nie znał. Znalazł pracę jako pasterz i mieszkał tu przez kilka lat. Często chodził patrzeć na zamek, ale nigdy się do niego nie zbliżał.

Pewnej nocy przyśnił mu się dziwny sen: wyobraził sobie, że znalazł piękny czerwony kwiat z perłą między płatkami. We śnie zerwał kwiat i zabrał go do zamku, gdzie mógł nim otworzyć każde drzwi i każdy wiklinowy koszyk; wystarczyło jedno dotknięcie. W ten sposób zdołał uwolnić Jorindę.

Nazajutrz rano, kiedy się obudził, natychmiast wyruszył na poszukiwania kwiatu ze snu. Szukał przez osiem dni, a dziewiątego

znalazł kwiat czerwony jak krew — między jego płatkami tkwiła kropla rosy podobna do najpiękniejszej perły.

Bardzo ostrożnie zerwał kwiat i podążył do zamku. Kiedy minął magiczny krąg, nic go nie zatrzymało — bez przeszkód dotarł do bramy. Zachęcony powodzeniem, dotknął jej kwiatem i natychmiast się otworzyła.

Wszedł do środka, stanął na ponurym dziedzińcu i zaczął nasłuchiwać śpiewu ptaków. Nietrudno go było usłyszeć. Ruszył w tę stronę i wkrótce wkroczył do wielkiej sali, w której znajdowało się siedem tysięcy wiklinowych koszyków z ptakami.

Wiedźma akurat je karmiła, a gdy Joringel wszedł, odwróciła się ku niemu, po czym rozchyliła pomarszczone wargi i zaczęła krzyczeć. Była wściekła, miotła straszliwe przekleństwa, pluła żółcią i jadem, lecz nie robiło to nim żadnego wrażenia. Nie mogła się zbliżyć do Joringela, by go podrapać swymi zakrzywionymi pazurami.

Nie zwracał na to uwagi, tylko po kolei karmił ptaki, zastanawiając się, w jaki sposób znajdzie w takiej gromadzie swoją Jorindę. Aż nagle zauważył, że starucha bierze jeden z koszyków i idzie do drzwi.

Popędził przez komnatę i musnął kwiatem koszyk, który się otworzył. Dotknął kwiatem również wiedźmy, a ta straciła całą swoją moc. I oto stanęła przed nim Jorinda, piękna jak zawsze — zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go objęła.

Wypuścił pozostałe ptaki, a potem poszedł z Jorindą do domu, gdzie wkrótce wzięli ślub i żyli razem długo i szczęśliwie.

* * *

Typ baśni: ATU 405, *Jorinda i Joringel*

Źródło: Johann Heinrich Jung-Stilling, *Heinrich Stillings Jugend*
(Młodość Heinricha Stillinga, 1777)

To dziwne, lecz wcale nie jest to baśń ludowa. Po pierwsze, to jedyna opowieść w zbiorze braci Grimm, w której opis przyrody („Był piękny wieczór. W ciemnozielonym, gęstym lesie na pniach drzew pełgały ciepłe promienie słońca...”) służy tylko opisowi; po drugie, kochankowie okazują tak przesadną wrażliwość, że z pewnością należą do świata literackiego romantyzmu. Ta historia po prostu nie ma cech baśni ludowej.

Źródłem braci Grimm jest fragment autobiografii Johanna Heinricha Junga (1740—1817), lekarza i przyjaciela Goethego, najbardziej znanego pod pseudonimem Heinrich Stilling. Motyw poszukiwania kwiatu widzianego we śnie przywodzi na myśl klasyczne dzieło niemieckiego romantyzmu, *Henryk Ofterdingen* (1802) Novalisa. Takie historie były wtedy bardzo modne. Opowieść *Jorinda i Joringel* można by rozbudować, lecz wówczas jeszcze mniej przypominałaby baśń ludową, definitywnie zmieniając się w powieść fantasy. Cokolwiek z nią zrobić, nigdy nie uda się usunąć literackiego charakteru, który zyskała w chwili narodzin.

Czerwona obwódka, wspomniana w wierszu, odnosi się do synogarlicy, mającej oko otoczone czerwonym kręgiem.

O sześciu takich, co świat zawojowało

Żył raz człowiek, który ze wszystkim sobie radził. Walczył na wojnie i odznaczył się męstwem, ale kiedy wojna się skończyła, zwolniono go z wojska, dając mu zaledwie trzy grosze.

— Zaczekajcie! — zawołał. — Co to za zapłata?! Jeśli znajdę odpowiednich ludzi, którzy mi pomogą, zmuszę króla, by opróżnił swój skarbiec! Jeszcze się przekonacie!

Pomaszerował wściekły do lasu i niebawem zobaczył człowieka wyrrywającego sześć drzew, jakby były kłosami zboża.

— Czy zostaniesz moim sługą i pójdziesz ze mną? — spytał.

— Zgoda — odpowiedział mężczyzna. — Ale najpierw muszę zanieść swojej matce tę wiązkę chrustu.

Wziął jedno z drzew i okręcił wokół pozostałych, po czym zarzucił całość na plecy i odszedł. Po chwili wrócił i ruszył ze swoim panem, który rzekł:

— My dwaj na pewno zawojujemy świat!

Szli przez pewien czas, aż nagle zobaczyli myśliwego, który przyklęknął na jedno kolano i celował do czegoś, czego nie widzieli.

— Do czego strzelasz, łowco? — spytał żołnierz.

— Trzy kilometry stąd na gałęzi dębu siedzi mucha — odpowiedział myśliwy. — Zamierzam ją trafić w lewe oko.

— Och, chodź ze mną! — rzekł żołnierz. — We trzech na pewno zawojujemy świat!

Myśliwy się zgodził i ruszyli w dalszą drogę. Wkrótce dotarli do siedmiu wiatraków, których skrzydła prędko się obracały, chociaż nie było wiatru i na drzewach nie poruszał się ani jeden liść.

— Spójrzcie tylko! — zawołał żołnierz. — Nigdy nie widziałem czegoś takiego! Co porusza skrzydłami tych wiatraków?

Podążyli naprzód i trzy kilometry dalej spotkali mężczyznę siedzącego na drzewie. Zatykał sobie jedną dziurkę od nosa i dmuchał drugą.

— Co robisz? — spytał żołnierz.

— Trzy kilometry stąd stoi przy gościńcu siedem wiatraków. Poruszam ich skrzydłami. Dziwię się, że ich nie zauważyliście.

— Och, chodź ze mną! — powiedział żołnierz. — Widzieliśmy wiatraki. Z twoim talentem we czterech na pewno zawojujemy świat!

Mężczyzna się zgodził. Szli dalej, a po jakimś czasie spotkali człowieka, który stał na jednej nodze. Druga, odczepiona, leżała obok niego na ziemi.

— Chyba jest ci wygodnie — zauważył żołnierz. — Odpoczywasz, prawda?

— Tak. Jestem biegaczem. Potrafię pędzić bardzo szybko, to mój szczególny talent. Na obu nogach biegam szybciej niż jeleni.

— Och, chodź ze mną — powiedział żołnierz. — To rzadki dar. Połącz z nami siły, a na pewno zawojujemy świat!

Biegacz dołączył do wędrowców. Po pewnym czasie spotkali mężczyznę, który nosił czapkę zsuniętą na bok; nausznik zakrywał tylko jedno ucho.

— Dlaczego nosisz czapkę w taki sposób? — spytał żołnierz. — Wyglądasz jak półgłówek.

— Mam ważne powody — odparł mężczyzna. — Jeśli włożę czapkę prosto, nagle pojawia się taki mróz, że na ziemię zaczynają spadać martwe ptaki.

— Nie możemy lekceważyć takiego daru — rzekł żołnierz. — Przyłącz się do nas, a na pewno zawojujemy świat!

Poszli razem gościńcem i wkrótce dotarli do miasta, gdzie niedawno król wydał obwieszczenie. Ogłosił, że ktokolwiek prześcignie w biegu jego córkę, pojmie ją za żonę i odziedziczy tron. Jednak jeśli przegra wyścig, straci głowę.

Żołnierz pomyślał, że warto zaryzykować, więc udał się do króla i oznajmił:

— Wezmę udział w wyścigu, Wasza Królewska Mość, pod warunkiem że zamiast mnie pobiegnie jeden z moich służących.

— Jak sobie życzysz — odparł król. — Ale pod tym samym warunkiem: jeśli przegra, zostanie ścięty razem z tobą.

Ustalono, że każdy uczestnik wyścigu otrzyma dzban, w którym ma przynieść wodę z odległego źródła, a zwycięży ten, kto przybędzie pierwszy. Kiedy wszystko było gotowe, żołnierz przypiął służącemu nogę i powiedział:

— Nie zwlekaj. Stawką jest również twoja głowa!

Biegacz i córka króla wzięli dzbany i popędzili przed siebie. Po niespełna minucie, gdy królewna pokonała dopiero niewielki

odcinek drogi, biegacz już zniknął z pola widzenia. Błyskawicznie dotarł do źródła, napełnił dzban i ruszył z powrotem. Jednak w połowie drogi poczuł, że ma ochotę się zdrzemnąć, więc się położył i zamknął oczy. Jako poduszkę wykorzystał czaszkę konia, którą znalazł na ziemi: nie chciał, by mu było zbyt wygodnie, bo mógłby za długo spać i przegrać wyścig.

Tymczasem królowna, która biegła znacznie szybciej od zwykłych ludzi, dotarła do źródła. Napełniła dzban i wyruszyła w drogę powrotną; wkrótce natknęła się na śpiącego przeciwnika.

Nieprzyjaciel sam wpadł w moje ręce, pomyślała. Wylała wodę z jego dzbana i pobiegła dalej.

Wszystko byłoby stracone, gdyby na murach zamku nie stał myśliwy, który obserwował, co się dzieje.

— Córka króla nas nie pokona! — zawołał, po czym naładował strzelbę, wycelował i trafił w czaszkę konia, na której spał biegacz, wrywając go ze snu.

Biegacz usiadł, zamrugał i natychmiast spostrzegł, że jego dzban jest pusty i że córka króla go wyprzedziła. Nie zmartwił się tym — popędził z powrotem do źródła, znów napełnił dzban i pobiegł do miasta. Dotarł do mety dziesięć minut przed królowną.

— Dopiero się rozgrzewałem — powiedział. — Pierwsze okrążenie trudno nazwać biegiem.

Król nie był zadowolony, że musi wydać córkę za prostego żołnierza. Perspektywa tego małżeństwa jeszcze mniej cieszyła królownę, więc wspólnie zaczęli się zastanawiać, jak pozbyć się kandydata na męża i jego towarzyszy.

— Mam! — wykrzyknął w końcu król. — Nie martw się, postaramy się, by nigdy więcej nie zobaczyli swoich domów!

A potem wezwał sześciu towarzyszy i oświadczył:

— Przygotowałem dla was wspaniałą ucztę! Jedzcie, pijcie i weselcie się! — Zaprowadził ich do komnaty, która miała żelazną podłogę, żelazne drzwi i grube żelazne kraty w oknach. Na środku komnaty stał pięknie zastawiony stół. — Wejdźcie do środka i dobrze się bawcie! — powiedział.

Kiedy towarzysze znaleźli się w komnacie, król rozkazał zaryglować drzwi i posłał po kuchmistrza. Miał on rozpalić ogień w pokoju piętro niżej i podsycać go, aż żelazna podłoga rozgrzeje się do czerwoności. Kuchmistrz wykonał polecenie i wkrótce sześciu towarzyszy siedzących dokoła stołu poczuło, że robi im się ciepło. Z początku myśleli, że to z powodu jedzenia, lecz było coraz goręcej, a kiedy chcieli wyjść z komnaty, okazało się, że drzwi są zamknięte,

a okna zakratowane. Zdali sobie sprawę, że król zamierza ich upiec żywcem.

— Cóż, niech próbuje! — rzekł mężczyzna w przekrzywionej czapce. — Zaraz zrobię taki mróz, że ogień spali się ze wstydu!

Włożył czapkę prosto i wtedy zapanowało takie zimno, że żar błyskawicznie się zmniejszył, a stół zaczął zamarzać. Po kilku godzinach król doszedł do wniosku, że towarzysze musieli się spalić, więc kazał otworzyć drzwi, ale okazało się, że są w doskonałej formie. Powiedzieli nawet, że chętnie wyjdą na zewnątrz i trochę się ogrzeją, bo w komnacie zrobiło się tak lodowato, że jedzenie przymarzło do półmisek.

Rozwścieczony król poszedł na dół i zaczął łajać kuchmistrza.

— Kazałem ci rozpalić wielki ogień!

— Tak też zrobiłem, Wasza Królewska Mość! Oto on, popatrz, pali się!

Kiedy król zobaczył szalejące płomienie, zdał sobie sprawę, że nie zdołał przechytrzyć sześciu towarzyszy i że następnym razem musi wymyślić coś sprytniejszego.

Zastanawiał się i zastanawiał, aż wreszcie stwierdził, że znalazł dobry sposób pozbycia się sześciu towarzyszy.

— Posłuchaj, jesteś człowiekiem światowym, więc porozmawiajmy szczerze — zwrócił się do żołnierza. — Jeśli dam ci trochę złota, czy zrezygnujesz z małżeństwa z moją córką i wyniesiesz się z mego królestwa?

— To uczciwa propozycja — odpowiedział żołnierz. — Czy mogę dostać tyle złota, ile zdoła unieść jeden z moich służących? Potem pożegnam się z królową i znikniemy na zawsze.

— Tylko jeden służący?

— Tylko jeden. Niech Wasza Królewska Mość da nam dwa tygodnie, a potem przyjdziemy odebrać złoto.

Król się zgodził. Żołnierz tymczasem wezwał wszystkich krawców w królestwie i kazał im uszyć ogromny worek. Zajęło im to dwa tygodnie, a kiedy worek był gotowy, zarzucił go sobie na plecy siłacz, który wcześniej wyrwał drzewa z korzeniami, i poszedł ze swoim panem do króla.

Król zobaczył, że się zbliżają, i zawołał:

— Kim jest ten niezwykły jegomość niosący na plecach ogromny kłęb płótna? Dobry Boże, jest wielki jak dom...

Nagle zdał sobie sprawę, kim jest ten człowiek. O nie, pomyślał. To sługa, który ma zabrać złoto! Niesie worek, do którego je włożył! Niewiarygodne!

Król rozkazał nadzorcy swojego skarbcza przynieść tonę złota, myśląc, że to na pewno wystarczy. Potrzeba było do tego szesnastu silnych artylerzystów, ale siłacz jedną ręką wrzucił złoto do worka i powiedział:

— To ledwie zakryło dno! Ruszcie się i przynieście więcej! Chcemy dziś wyjechać!

Stopniowo opróżniono cały królewski skarbiec, którego zawartość znalazła się w worku.

— Ciągłe nie ma nawet połowy! — wykrzyknął siłacz. — Kiepsko się staracie! Do roboty!

Przygotowano siedem tysięcy wozów, które przywiozły złoto z całego królestwa. Siłacz wrzucił je wszystkie do worka razem z ciągnącymi je wołami.

— Cóż, trochę jeszcze by się zmieściło, ale na tym poprzestaniemy — powiedział. — Nie należy być chciwym!

Zarzucił worek na plecy i odszedł wraz z towarzyszami.

Król obserwował to wszystko, a gdy zobaczył, jak całe jego złoto znika, niesione na plecach przez jednego człowieka, wpadł we wściekłość.

— Wysłać za nimi kawalerię! — rozkazał. — Nigdy się na to nie zgodzę! Przywieźcie z powrotem złoto!

Dwa najlepsze regimenty kawalerii wkrótce dogoniły żołnierza i jego służących, a dowódca zawołał:

— Ręce do góry! Postawcie ten worek złota na ziemi i odsuńcie się, bo posiekamy was na plasterki!

— Co on mówi? — spytał człowiek, który potrafił poruszać wiatrakami, dmuchając przez nos. — Ręce do góry?! Posiekają nas na plasterki?! Przekonajmy się, czy lubicie tańczyć w powietrzu!

Zatkał jedną dziurkę od nosa, po czym dmuchnął drugą i po chwili wszyscy jeźdźcy i konie wzbili się w powietrze, jakby porwała ich trąba powietrzna. Niektórzy polecili wysoko, inni wylądowali w krzakach, a sierżant zawołał:

— Litości! Litości!

Był dzielnym człowiekiem, który odniósł dziewięć ran w służbie królewskiej, więc dmuchacz i jego towarzysze nie chcieli go upokarzać i potraktowali go łagodnie.

— Teraz wracaj i przekaż królowi, że może przysłać tyle regimentów, ile tylko zechce — rzekł dmuchacz. — Sprawię, że zatańczą w chmurach tak samo jak twoi ludzie!

Kiedy wiadomość dotarła do króla, powiedział:

— Och, pozwólcie im odejść. Mam dość.

Cała szóstka wróciła do domu, podzieliła fortunę i wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

* * *

Typ baśni: ATU 513A, *Sześciu wędruje przez cały świat*

Źródło: baśń opowiedziana braciom Grimm przez Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Seven Semyons (Russian Fairy Tales)*; Italo Calvino, *The Five Scapegraces (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Siedmiu służących (Baśnie domowe i dziecięce)*

Historia utalentowanych towarzyszy ma wiele wariantów. Wersja Calvina jest szczególnie żywa.

Opowieść ta dobrze się sprawdza również w filmie, gdzie popularne są fabuły z motywem werbunku grupy specjalistów, którzy mają się podjąć jakiegoś niewykonalnego zadania. Jedną z udanych wersji był film *Ocean's Eleven: Ryzykowna gra* (Steven Soderbergh, 2001). Podobnie, w inny sposób, *Parszywa dwunastka* (Robert Aldrich, 1967). Bardziej pomysłowy i ujmujący jest francuski film *Bazyl. Człowiek z kulą w głowie* (Jean-Pierre Jeunet, 2009).

Jan Kostera

Żył raz człowiek imieniem Jan, który tak uwielbiał hazard, że wszyscy, co go znali, zaczęli go nazywać Janem Kosterą⁴. Namiętnie grał w karty i w kości, aż stracił cały swój dobytek — garnki, rondle, stoły, krzesła, łóżko i resztę mebli, a w końcu i sam dom.

Następnego dnia miał go oddać wierzycielom. Wieczorem do drzwi zapukali Pan Bóg i święty Piotr, którzy poprosili, by ich przenocował.

— Chętnie was ugoszczę, ale musicie spać na podłodze — odrzekł Jan Kostera. — Nie mam już łóżka.

Pan Bóg powiedział, że im to nie przeszkadza i co więcej, kupią sobie jedzenie. Święty Piotr dał Janowi trzy grosze i wysłał go do piekarni po bochenek chleba. Jan chętnie wyruszył, ale po drodze musiał minąć dom, gdzie wcześniej uprawiał hazard z bandą szubrawców, którzy wygrali większość jego dobytku. Kiedy go dostrzegli, zawołali:

— Janie, Janie, gramy! Nie chcesz wejść i się przyłączyć?

— Nie mogę — odparł. — Nic mi nie zostało. A te trzy grosze nie należą do mnie.

— To nieważne! To takie same pieniądze jak każde inne! Chodź!

Oczywiście nie potrafił oprzeć się pokusie. Pan Bóg i święty Piotr długo na niego czekali, a gdy nie wracał, poszli go szukać. W tym czasie stracił już pieniądze, a gdy ich zobaczył, zaczął udawać, że szuka monet w kałuży, grzebiąc w niej kijem. Jednak nie udało mu się oszukać Boga, który wiedział, że Jan przegrał pieniądze w karty.

Święty Piotr dał mu następne trzy grosze. Jan zdawał sobie sprawę, że go obserwują, więc tym razem nie przegrał pieniędzy, ale kupił chleb, jak kazali. Potem wrócili do jego domu, usiedli na podłodze i zjedli kolację złożoną z suchego chleba.

— Czy masz w domu wino, Janie? — spytał Pan Bóg.

— Nie, bardzo mi przykro. To jedna z pierwszych rzeczy, jakie przegrałem. Beczki w mojej piwnicy są zupełnie puste.

— Cóż, idź i sprawdź — powiedział Pan Bóg. — Myślę, że znajdziesz trochę wina.

— Nie, możecie mi wierzyć: wiele razy stawiałem beczki do góry dnem i nie ma w nich ani kropelki.

— Moim zdaniem warto sprawdzić — rzekł Pan Bóg.

Jan z grzeczności zszedł do piwnicy, jak kazał Pan Bóg, i ze zdumieniem odkrył, że w beczkach zostało trochę wina najlepszego gatunku. Rozejrzał się za czymś, do czego mógłby go nalać, po czym otrzepał pajęczyny ze starego szklwionego dzbana i go napełnił. Siedzieli we trójkę przy stole, popijając wino i gawędząc, aż poczuli się senni. Wreszcie położyli się spać na gołych deskach podłogi.

Rankiem Pan Bóg powiedział:

— A teraz, Janie, ofiaruję ci trzy podarunki w nagrodę za twoją gościnność. Co chciałbyś dostać?

Bóg myślał, że Jan poprosi o miejsce w niebie, ale szybko przekonał się, że był w błędzie.

— Cóż, to bardzo miło z twojej strony, Boże. Chciałbym dostać talię kart, które nigdy nie przegrywają, i takie same kości do gry. Chciałbym też dostać... eee... niech się zastanowię... Chcę dostać drzewo, które rodzi wszystkie gatunki owoców i ma jedną szczególną cechę: jeśli ktoś na nie wejdzie, nie będzie mógł zejść bez mojego pozwolenia.

— Och, proszę bardzo! — rzekł Pan Bóg. Pstryknął palcami i od razu pojawiły się karty i kości.

— A drzewo? — spytał Jan.

— Stoi w donicy przed domem.

Bóg i święty Piotr odeszli, a Jan zaczął się oddawać hazardowi jak nigdy przedtem. Wygrywał każdą grę i wkrótce stał się właścicielem połowy świata. Święty Piotr miał na niego oko i wreszcie powiedział do Pana Boga:

— Nie możemy na to pozwolić, Boże. Lada chwila zostanie właścicielem całego świata. Musimy posłać po niego śmierć.

Tak też zrobili. Śmierć zastała Jana jak zwykle grającego w karty.

— Pora skończyć z hazardem, Janie — rzekła. — Już czas na ciebie. Chodź ze mną!

Jan miał akurat w ręku pokera królewskiego. Poczul na ramieniu kościste palce, uniósł wzrok i zobaczył śmierć.

— Och, to ty! — powiedział. — Zaraz przyjdę. Ale najpierw zrób coś dla mnie, dobrze? Przed domem rośnie drzewo rodzące ładne owoce. Wejdź na nie i zerwij kilka, żebyśmy mogli je zjeść po drodze.

Śmierć weszła na drzewo i oczywiście nie mogła zejść. Jan Kostera trzymał ją tam przez siedem lat i w tym czasie nikt nie umarł.

W końcu święty Piotr rzekł do Pana Boga:

— To trwa już zbyt długo. Musimy coś zrobić.

Pan Bóg przyznał mu rację i kazał Janowi pozwolić śmierci zejść z drzewa. Jan musiał to zrobić, a śmierć natychmiast go udusiła.

Wyruszyli razem w zaświaty. Kiedy tam dotarli, Jan poszedł prosto do bramy nieba i zastukał.

— Kto tam? — spytał święty Piotr.

— To ja, Jan Kostera!

— Idź sobie! Nie powinieneś tu w ogóle przychodzić!

Jan poszedł więc do bramy czyścica i zastukał.

— Kto tam?

— Jan Kostera!

— Odejdź! I bez hazardu mamy tu dość nieszczęść!

Musiał zatem iść do piekła, a gdy zastukał do bramy, natychmiast go wpuszczono. W piekle przebywał tylko szatan i brzydkie diabły, ponieważ wszystkie ładne diabły udały się na ziemię. Jan wszedł i od razu zasiadł do gry w karty z gospodarzem. Szatan nie miał nic do postawienia oprócz brzydkich diabłów i wkrótce wszystkie stały się własnością Jana, bo grał talią, która nigdy nie przegrywała.

Jan zabrał brzydkie diabły do Hohenfurtu, gdzie uprawia się chmiel. Wyciągnęli tyczki, wspięli się do nieba i zaczęli kruszyć mury.

A wtedy święty Piotr rzekł do Pana Boga:

— Musimy go wpuścić! Nie mamy wyboru!

Wpuścili Jana do środka. Kiedy znalazł się w niebie, znów zaczął grać w karty i bardzo szybko wszędzie zapanował taki harmider, że anioły nie były w stanie się modlić.

Święty Piotr znów udał się do Pana Boga.

— Mam dość! — powiedział. — Musimy go wyrzucić. Doprowadza wszystkich do szaleństwa!

Chwycili Jana i wyrzucili go przez bramę nieba, tak że spadł na ziemię. Jego dusza roztrzaskała się na tysiące kawałków, które rozsypały się po całym świecie — i po dziś dzień w duszy każdego żyjącego gracza znajduje się jeden z jej odłamków.

* * *

Typ baśni: ATU 330A, *Trzy życzenia kowala*

Źródło: baśń spisana i przesłana braciom Grimm przez Simona Sechtera

Simon Sechter, który jako pierwszy zanotował tę opowieść, był kompozytorem i nauczycielem muzyki w Weitrze w Dolnej Austrii, a bracia Grimm opublikowali ją w dialekcie, którym się posłużył:

*Is is emohl e Mon gewön, der hot ninx us g'spielt, und do hobend'n
d'Leut nur in 'Spielhansl' g'hoafsen, und wal er got nit afg'hört zen
spielen, se hot e san Haus und ullss vespield.*

Jednym z pierwszych impulsów, które skłoniły braci Grimm do zbierania baśni, było oczywiście ich filologiczne zainteresowanie odmianami języka niemieckiego. Można dyskutować, czy w przekładzie tej opowieści należy użyć jakiegoś dialektu angielskiego, by oddać jej niemieckie brzmienie. To samo odnosi się również do baśni [Rybak i jego żona](#) oraz [Jałowiec](#). Sądzę, że jeśli ktoś jest naprawdę zainteresowany tym aspektem języka, zechce raczej poznać oryginał, a nie mozolną próbę naśladowania dialektu. Moim zdaniem większość czytelników, którzy sięgają do wersji angielskiej, woli tekst stwarzający jak najmniej trudności.

Poza tym o baśni tej można powiedzieć, że jest żywa, szybka i groteskowa.

Śpiewający, skaczący skowronek

Żył raz człowiek, który miał wyruszyć w długą podróż. Przed wyjazdem spytał swoje trzy córki, co im przywieźć. Najstarsza poprosiła o perły, średnia o brylanty, a najmłodsza rzekła:

— Drogi ojcze, chciałabym skowronka, co śpiewa i skacze.

— Dostaniesz go, jeśli uda mi się go znaleźć — odpowiedział ojciec.

Pocałował wszystkie trzy córki na pożegnanie i wyruszył w drogę. W czasie podróży kupił perły i brylanty dla dwóch starszych córek, ale nie znalazł skowronka, co śpiewa i skacze, choć wszędzie go szukał. Smucił się z tego powodu, bo najmłodsza córka była jego ulubienicą.

Pewnego dnia podróżował drogą przez las, w którym stał wspaniały zamek. W pobliżu zamku rosło drzewo, a na jego szczycie siedział skowronek, który śpiewał i skakał.

— Właśnie ciebie potrzebuję — rzekł mężczyzna i kazał słudze wejść na drzewo i złapać ptaszka.

Ale kiedy służący zbliżył się do drzewa, wyskoczył zza niego lew, wyprężył grzbiet i ryknął, aż zadrżały liście.

— Jeśli ktokolwiek spróbuje ukraść mojego skowronka, co śpiewa i skacze, zaraz go pożrę! — zawołał.

— Bardzo przepraszam — odparł mężczyzna. — Nie wiedziałem, że skowronek należy do ciebie. Zdaję się na twoją łaskę. Jeśli darujesz nam życie, zapłacę ci dużo złota.

— Nie potrzebuję złota — oznajmił lew. — Chcę dostać to, co pierwsze wyjdzie ci na spotkanie, jak wrócisz do domu. Obiecuj mi to, a ja daruję ci życie i dam twojej córce skowronka.

Z początku mężczyzna nie chciał się zgodzić.

— Pierwsza może mi wyjść na spotkanie najmłodsza córka — powiedział. — Bardzo mnie kocha i zawsze przybiega mnie powitać, gdy wracam do domu.

— To wcale nie musi być ona! — wtrącił przerażony służący. — Może to będzie pies albo kot!

Mężczyzna dał się przekonać. Wziął skowronka, co śpiewał i skakał, i obiecał, że da lwu to, co pierwsze wyjdzie mu na spotkanie, jak wróci do domu.

Kiedy wszedł do domu, pierwsza powitała go najmłodsza, najukochańsza córka. Podbiegła do ojca, pocałowała go i objęła, a gdy zobaczyła, że przywiózł skowronka, co śpiewa i skacze, nie posiadała się z radości.

Jednak ojciec się nie ucieszył, tylko wybuchnął płaczem.

— Moje najdroższe dziecko! — zawołał. — Zdobycie tego ptaszka dużo mnie kosztowało. Aby go dostać, musiałem obiecać, że cię oddam dzikiemu lwu, a on na pewno rozszarpie cię na kawałki i pożre!

Opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło, i błagał, by pod żadnym pozorem nie szła do lwa.

Ale dziewczyna zaczęła go pocieszać i na koniec rzekła:

— Najdroższy ojczy, musimy dotrzymać słowa. Pójdę i udobrucham lwa, i wrócę cała i zdrowa.

Nazajutrz rano ojciec pokazał jej drogę, a ona wyruszyła do lasu, wierząc, że nic jej się nie stanie.

Tak naprawdę lew był zaczarowanym księciem. W ciągu dnia on i jego dworzanie przybierali postać lwów, a nocą zmieniali się w ludzi. Kiedy dziewczyna dotarła do zamku, zapadł już zmrok i wszyscy grzecznie ją powitali. Księżę był przystojnym mężczyzną i wkrótce urządzono wspaniałe, radosne wesele. Na księcia rzucono czar, który sprawiał, że spał on przez cały dzień i budził się dopiero wieczorem.

Pewnego dnia odezwał się do żony:

— Jutro twoja starsza siostra wychodzi za mąż i w domu twojego ojca odbędzie się wesele. Jeśli chcesz, zabiorą cię tam moje lwy.

Odrzekła, że chętnie znowu zobaczy ojca, i udała się w drogę w towarzystwie lwów. Kiedy przybyła do domu, zapanowała tam wielka radość, bo wszyscy myśleli, że została rozszarpiana na kawałki i że od dawna nie żyje, ale opowiedziała o swoim przystojnym mężu i ich wspólnym życiu. Została z rodziną do zakończenia uroczystości weselnych, a potem wróciła do lasu.

Kiedy druga siostra wychodziła za mąż, żona księcia znów została zaproszona na wesele.

— Nie chcę iść tam sama — zwróciła się do męża. — Musisz mi towarzyszyć!

Lew odparł, że byłoby to bardzo niebezpieczne. Jeśli padnie na niego promień światła, choćby z jednej świecy, zmieni się w gołębicę i będzie musiał przez siedem lat latać po niebie.

— Och, proszę, jedź ze mną! — błagała żona. — Będę cię chronić. Przysięgam, że nie dopuszczę, by padł na ciebie choćby jeden promień światła!

Książe dał się przekonać i wyruszyli razem w drogę, zabierając ze sobą swoje małe dziecko. W domu ojca dziewczyny wybudowano specjalną, pozbawioną okien komnatę o grubych ścianach. W czasie uroczystości weselnych książe miał przebywać w komnacie, ale stolarze zrobili drzwi ze świeżego drewna i po pewnym czasie się rozeschło — w drzwiach powstała mała szczelina, której nikt nie zauważył.

Odbył się uroczysty, radosny ślub, po czym goście weselni udali się z kościoła do domu ojca panny młodej. Nieśli zapalone pochodnie i latarnie, a gdy mijali komnatę księcia, przez szczelinę wpadł do niej cieniutki promień światła i musnął jego twarz. Kiedy żona księcia weszła do środka, już go tam nie było: znalazła tylko białą gołębicę.

— Muszę latać po świecie przez siedem lat — powiedział ptak. — Ale co siedem kroków upuszczę na ziemię białe pióro i kroplę krwi, żeby ci pokazać, gdzie jestem. Jeśli podążysz moim śladem, będziesz mogła mnie uratować.

Gołębica wyleciała przez drzwi, a dziewczyna natychmiast za nią pobiegła. Tak jak mówił ptak, co siedem kroków padało na ziemię białe piórko i kropla krwi, wskazując jej drogę.

Szła za gołębicą coraz dalej i dalej, przemierzając świat i oddalając się od domu. Myślała tylko o tym, by podążać za ptakiem. Nie patrzyła na boki i nie odpoczywała, aż minęło prawie siedem lat. Miała nadzieję, że wkrótce uratuje męża, ale się myliła: pewnego dnia na ziemię nie spadło piórko ani kropla krwi. Popatrzyła w niebo, lecz gołębica zniknęła.

— Nie pomoże mi już żaden człowiek! — Westchnęła, a potem wspięła się do słońca i rzekła: — Twoje promienie padają na każdą górę, każdy kamień i szczelinę w skałach. Czy widziałeś przelatującą białą gołębicę?

— Nie — odpowiedziało słońce. — Nie widziałem gołębicy, ale dam ci tę szkatułkę. Otwórz ją, gdy będziesz w wielkiej potrzebie.

Podziękowała słońcu i ruszyła w dalszą drogę. Wreszcie zapadła noc i wstał księżyc.

— Świecisz przez całą noc na pola i lasy, księżycu — zwróciła się do niego. — Czy widziałeś przelatującą białą gołębicę?

— Nie — odpowiedział księżyc. — Nie widziałem gołębic, ale dam ci to jajko. Rozbij je, gdy będziesz w wielkiej potrzebie.

Podziękowała księżycowi i ruszyła dalej. Poczula zrywający się nocny wiatr i rzekła do niego:

— Nocny wietrze, wiejesz w koronach wszystkich drzew na świecie. Czy widziałeś przelatującą białą gołębicę?

— Nie — zaszumiał nocny wiatr. — Nie widziałem gołębic, ale zapytam inne wiatry. Może one coś widziały.

Wschodni wiatr i zachodni wiatr odparły, że nie widziały gołębic, ale południowy wiatr powiedział:

— Tak, widziałem białą gołębicę. Leciła nad Morze Czerwone. Zmieniła się znowu w lwa, bo minęło siedem lat, i walczy z wężem. Jednak bądź ostrożna, bo wąż to zaczarowana księżniczka.

Nocny wiatr rzekł:

— Posłuchaj, dam ci radę. Na prawym brzegu zobaczysz kępę wysokich trzciny. Policz je starannie i zerwij jedenastą, a potem uderz nią węża. Wtedy lew go pokona i oboje znowu staną się ludźmi. W pobliżu zobaczysz gryfa mieszkającego nad Morzem Czerwonym. Wraz ze swoim ukochanym usiądź na jego grzbiecie, a gryf polecą z wami przez morze do domu. Weź ten orzech. Kiedy znajdziecie się na środku morza, rzuć go do wody. Natychmiast wyrośnie w niej wysokie drzewo, na którym gryf będzie mógł odpocząć. Jeśli nie odpocznie, nie zdoła zanieść was do domu. Pod żadnym pozorem nie zgub orzecha, bo wpadniecie do morza i utoniecie.

Dziewczyna dotarła nad Morze Czerwone i wszystko potoczyło się tak, jak opisał nocny wiatr. Policzyła trzciny, zerwała jedenastą i uderzyła nią węża. Lew natychmiast zdobył nad nim przewagę, a gdy wąż się poddał, księżę i księżniczka znowu stali się ludźmi.

Ale zanim żona lwa zdołała cokolwiek zrobić, księżniczka, która przedtem była wężem, chwyciła księcia za rękę, wciągnęła go na grzbiet gryfa i odleciała.

Biedna dziewczyna została sama. Zrozpaczona usiadła i zaczęła płakać. W końcu jednak wzięła się w garść i powiedziała:

— Odnajdę go, choćbym miała iść na koniec świata!

Wyruszyła w drogę. Wędrowała bardzo, bardzo długo i w końcu dotarła do zamku, w którym mieszkał księżę-lew z księżniczką-wężem. Dowiedziała się, że wkrótce ma się odbyć ich ślub.

— Bóg mi pomoże — rzekła i otworzyła szkatułkę, którą dało jej słońce.

W środku znajdowała się złota suknia, która lśniła jasno jak słońce. Włożyła ją i weszła do zamku, a wszystkim, łącznie z panną

młoda, z zachwytu aż dech zaparło. Suknia tak się spodobała pannie młodej, że chciała iść w niej do ślubu i zapytała, czy jest na sprzedaż.

— Nie za złoto, nie za skarby, lecz za krew i ciało — odpowiedziała dziewczyna.

— Co to znaczy? — spytała księżniczka.

Dziewczyna wyjaśniła, że chce spędzić jedną noc w komnacie, w której śpi pan młody. Narzeczonej nie przypadło to do gustu, ale tak bardzo pragnęła zdobyć suknię, że się zgodziła. Jednak kazała służącemu księcia podać mu napój nasenny.

Tej nocy, gdy ksiązę zasnął, dziewczynę zaprowadzono do jego komnaty. Kiedy zamknięto drzwi, usiadła obok niego i szepnęła:

— Szłam za tobą przez siedem lat. Pytałam o ciebie słońce, księżyc i cztery wiatry i pomogłam ci pokonać węża. Czy zupełnie o mnie zapomniałeś?

Ale ksiązę spał tak głęboko, że szept żony wydawał mu się tylko szelestem wiatru w koronach sosen.

Kiedy wstał rano, dziewczynę wyprowadzono z komnaty i musiała oddać złotą suknię. Widząc, że sztuczka jej nie pomogła, posmutniała i poszła na łąkę. Usiadła i zaczęła płakać, ale nagle przypomniała sobie jajko, które dostała od księżycy. Znalazła się w wielkiej potrzebie, więc je rozbiła.

Z jajka wyskoczyła kura i dwanaście kurcząt, wszystkie ze złota. Kurczęta z piskiem się rozbiegły, po czym wróciły do matki i ukryły się pod jej skrzydłami. Był to najpiękniejszy widok na świecie.

Dziewczyna wstała i zaczęła chodzić po łące wraz z kurą i kurczętami, aż na zamku otworzyło się okno i wyjrzała przez nie panna młoda. Kurczęta tak jej się spodobały, że znów spytała, czy są na sprzedaż.

— Nie za złoto, nie za skarby, lecz za krew i ciało. Pozwól mi spędzić jeszcze jedną noc w komnacie pana młodego.

Księżniczka się zgodziła. Zamierzała oszukać dziewczynę tak samo jak poprzedniej nocy.

Ksiązę zapytał jednak służącego o szelesty, które słyszał we śnie. Służący wyznał, że narzeczone kazała podać księciu napój nasenny, bo w jego komnacie spała jakaś biedna dziewczyna.

— Dziś wieczorem możesz wylać napój przez okno — rzekł ksiązę.

Tej nocy dziewczynę znowu wprowadzono do komnaty. Tym razem, ledwie zaczęła szeptać swoją historię, ksiązę rozpoznał głos ukochanej żony i porwał ją w objęcia.

— Nareszcie jestem wolny! — zawołał. — Mam wrażenie, że śniłem na jawie. Myślę, że księżniczka mnie z czarowała, tak że zapomniałem o tobie. Ale Bóg sprawił, że czar prysł w samą porę!

Na palcach wyszli z komnaty i potajemnie opuścili zamek, ponieważ bali się ojca panny młodej, potężnego czarnoksiężnika.

Znaleźli gryfa, usiedli na jego grzbiecie i od razu polecili do domu. Na środku Morza Czerwonego żona przypomniała sobie, że powinna rzucić orzech. W wodzie natychmiast pojawiło się wysokie drzewo, a gryf odpoczął na jego gałęzi, po czym ruszył dalej. Wrócili do domu, gdzie zobaczyli swojego synka, który wyrósł tymczasem na ładnego chłopca, i żyli szczęśliwie aż do końca swoich dni.

* * *

Typ baśni: ATU 425C, *Piękna i bestia*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dortchen Wild

(Nieco) Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *The Three Feathers* (*Folk Tales of Britain*); Italo Calvino, *Bellinda and the Monster* (*Italian Folktales*)

Podobnie jak w wypadku niektórych innych baśni braci Grimm, pojawia się tu pytanie. Co właściwie oznacza śpiewający, skaczący skowronek? Dlaczego znika z opowieści, gdy tylko najmłodsza siostra go dostaje? Co się z nim stało? I czy istnieje związek między lwem (*Löwe*) a gwarowym określeniem skowronka, jakim posługują się bohaterowie (*Löweneckerchen*, nie *Lerche*)?

Gdybyśmy chcieli, by skowronek odgrywał w baśni większą rolę (nie byłoby to zbyt trudne — na przykład mógłby towarzyszyć żonie w wędrówce, polecieć w jej imieniu do słońca i księżyca, namówić księżniczkę-węża, by wyrzała przez okno i zobaczyła złotą kurę i kurczęta), powinniśmy zapomnieć o związku między żoną, lwem i skowronkiem. Obecna wersja zawiera mało wskazówek.

Gęsiarka

Żyła raz królowa, której mąż zmarł przed wielu laty. Miała piękną córkę, a gdy córka dorosła, zaręczyła się z księciem mieszkającym bardzo daleko. Kiedy zbliżał się czas ślubu, dziewczyna musiała wyjechać do obcego kraju, gdzie mieszkał książę. Stara królowa spakowała różne kosztowne rzeczy, złoto i srebro, piękne puchary i rzadkie klejnoty, wszystko, czego potrzeba na królewski posag, bo z całego serca kochała córkę.

Dała jej również służącą, która miała jej towarzyszyć w podróży i dopilnować, by księżniczka dotarła bezpiecznie do pałacu narzeczonego. Koń księżniczki nazywał się Falada i umiał mówić. Kiedy nadeszła pora odjazdu, stara królowa udała się do swojej sypialni, wyjęła nóż i skaleczyła się w palec. Strząsnęła trzy krople krwi na białą chusteczkę, dała ją córce i powiedziała:

— Moje drogie dziecko, dobrze pilnuj tej chusteczki. Będiesz jej potrzebować w drodze.

Pożegnały się ze smutkiem. Dziewczyna wsunęła chusteczkę za gorsecik i wyruszyła w podróż do narzeczonego.

Jechały konno przez godzinę, gdy wtem księżniczka poczuła silne pragnienie i rzekła do służącej:

— Czy mogłabyś zsiąść z konia i przynieść mi z potoku trochę wody w złotym pucharze, który wiesz? Jestem taka spragniona, że muszę się czegoś napić.

— Sama weź sobie wody! — odburknęła służąca. — Jeśli chce ci się pić, połóż się na brzegu i pij prosto ze strumienia! Nie będę ci usługiwać!

Księżniczka była taka spragniona, że napiła się wody prosto ze strumienia. Służąca nie pozwoliła jej nawet wziąć pucharu.

Dobry Boże, pomyślała księżniczka, a trzy krople krwi szepnęły: „Gdyby wiedziała o tym twoja matka, serce by jej pękło!”.

Księżniczka była z natury cicha i skromna, bez słowa więc wsiadła z powrotem na konia. Przejechały jeszcze kilka kilometrów,

ale dzień był upalny — słońce mocno piekło i wkrótce znów zachciało jej się pić. Kiedy dotarły do następnego strumienia, odezwała się do służącej:

— Czy mogłabyś mi przynieść trochę wody w złotym pucharze?

Zapomniała o butnych słowach służącej, a ta odpowiedziała jeszcze bardziej zuchwale:

— Mówiłam, że nie będę ci więcej usługiwać! Jeśli chce ci się pić, zejźdź z konia i napij się sama!

Księżniczka zsiadła z konia i napiła się wody ze strumienia. Płakała przez chwilę i znów pomyślała: Dobry Boże, a trzy krople krwi szepnęły: „Gdyby wiedziała o tym twoja matka, serce by jej pękło!”.

Kiedy pochyliła się nad strumieniem, pijąc wodę, z jej gorseciku wysunęła się chusteczka i uniósł ją prąd. Księżniczka była tak zdenerwowana, że nie zauważyła tego, ale spostrzegła to służąca i bardzo się ucieszyła. Wiedziała, że księżniczka jest teraz słaba i bezbronna.

Księżniczka wróciła, by znów dosiąść swojego Falady, ale służąca zawołała:

— Co ty sobie myślisz?! To nie twój koń! Teraz ja będę na nim jeździć! Zdejmij te wszystkie modne fatałaszkę i daj mnie, a sama włóż moje brudne łachy! Szybciej, pośpiesz się!

Księżniczka spełniła polecenie, a potem służąca kazała jej przysiąc na wszystko, co święte, że nie powie o tym nikomu na dworze królewskim. Gdyby tego nie obiecała, służąca natychmiast by ją zabiła.

Ale Falada wszystko widział i dobrze zapamiętał.

Służąca jechała na Faladzie, a prawdziwa księżniczka na starej szkapie. Wreszcie dotarły na miejsce. Ich przybycie wzbudziło wielką radość i wybiegł im na spotkanie syn króla. Naturalnie wziął służącą za swoją narzeczoną — zsadził ją z konia i wprowadził po schodach do pałacu, a tymczasem prawdziwa księżniczka została na dole.

Stary król wyjrzał przez okno i zobaczył ją na dziedzińcu. Zauważył, że ma śliczne, delikatne rysy i że jest bardzo piękna. Od razu poszedł do apartamentów młodego księcia i spytał narzeczoną syna o dziewczynę stojącą na dziedzińcu.

— Spotkałam ją w czasie podróży i wzięłam ze sobą, by dotrzymała mi towarzystwa — odparła fałszywa narzeczoną. — Daj jej jakąś robotę, panie, bo inaczej będzie tylko leniuchować.

Z początku stary król nie miał żadnych pomysłów, lecz w końcu powiedział:

— Chyba mogłaby pomagać chłopcu pasącemu gęsi.

W ten sposób prawdziwa narzeczona została gęsiarką i pasła gęsi z małym chłopcem o imieniu Konrad.

Wkrótce potem fałszywa księżniczka zwróciła się do syna króla:

— Najdroższy mężu, chciałabym cię o coś prosić.

— Naturalnie! — odparł młody człowiek. — Spełnię każde twoje życzenie!

— Poślij po handlarza skupującego na rzeź stare szkapy i każ mu uciąć łeb konia, na którym tu przyjechałam. Ta bestia sprawiła mi po drodze mnóstwo kłopotów.

W istocie zaś obawiała się, że Falada może zdradzić, jak potraktowała księżniczkę. Im dłużej żył, tym większe było niebezpieczeństwo, że prawda wyjdzie na jaw.

W ten sposób wierny Falada został skazany na śmierć. Dowiedziała się o tym prawdziwa księżniczka i w tajemnicy obiecała handlarzowi złotą monetę, jeśli wyświadczy jej niewielką przysługę. W murach miejskich znajdowała się duża, ciemna brama, przez którą każdego ranka dziewczyna przechodziła ze stadkiem gęsi. Poprosiła handlarza, by powiesił w pobliżu łeb Falady — chciała móc na niego patrzeć, idąc tamtędy. Handlarz się zgodził i przybił głowę przy bramie.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, idąc przez bramę z Konradem i stadkiem gęsi, księżniczka zawołała:

Wisisz w bramie na murze, nieszczęsny Falado!

A końska głowa odrzekła:

*Złotowłosa księżniczko, twarz masz smutną i bladą!
Gdyby matka wiedziała o twej poniewierce,
Z żalości i rozpaczy pękłoby jej serce!*

Księżniczka nie powiedziała już nic więcej i wraz z Konradem zapędziła gęsi na łąkę. Kiedy dotarli na miejsce, usiadła i rozpuściła włosy, które miały barwę czystego złota. Konrad uwielbiał patrzeć, jak się czesze; wyciągnął rękę, chcąc pochwycić jeden z kosmyków.

Księżniczka rzekła:

*Przybądź, wietrze, i zerwij czapkę z głowy Konrada!
Niechaj lata po łące
I na ziemię nie pada,
Póki włosów nie splotę do końca!*

Nagle powiał bardzo silny wiatr, który zerwał Konradowi czapkę z głowy i zaczął nią rzucać tu i tam. Chłopiec pobiegł za nią, aż wreszcie udało mu się ją złapać. W tym czasie księżniczka rozczesała i splotła włosy, upinając je w kok, tak że Konrad nie mógł schwytać kosmyków. Zaczął się dąsać i przez cały dzień się nie odzywał. Wieczorem zapędzili gęsi do domu.

Następnego ranka, przechodząc przez miejską bramę, rzekła:

Wisisz w bramie na murze, nieszczęsny Falado!

A końska głowa odpowiedziała:

*Złotowłosa księżniczko, twarz masz smutną i bladą!
Gdyby matka wiedziała o twej poniewierce,
Z żalości i rozpaczy pękłoby jej serce!*

Na łące księżniczka znowu usiadła, by rozczesać i spleść włosy, a Konrad znów próbował chwytać ich kosmyki, więc powiedziała:

*Przybądź, wietrze, i zerwij czapkę z głowy Konrada!
Niechaj lata po łące
I na ziemię nie pada,
Póki włosów nie splotę do końca!*

Nagle zadął silny wiatr i znów zerwał Konradowi czapkę z głowy. Chłopiec musiał za nią biegać po całej łące, a kiedy ją złapał, księżniczka zdążyła już rozczesać i spleść włosy. Paśli razem gęsi aż do wieczora.

Kiedy wrócili do pałacu, Konrad udał się do starego króla i oznajmił:

— Nie chcę więcej paść gęsi z tą dziewczyną.

— Dlaczego? — spytał król.

— Przez cały dzień gra mi na nerwach!

— Co robi?

— Rankiem, kiedy przechodzimy przez miejską bramę, rozmawia z łbem starej szkapy przybitym gwoździami do muru. Mówi: „Wisisz

w bramie na murze, nieszczęsny Falado!”, a głowa odpowiada: „Złotowłosa księżniczko, twarz masz smutną i bladą! Gdyby matka wiedziała o twej poniewierce, z żalości i rozpaczy pękłoby jej serce!”.

Później Konrad opowiedział królowi, co się zdarzyło na łące, gdzie paśli razem gęsi: dziewczyna potrafiła sprawić, że wiatr zrywał mu czapkę z głowy.

— Jutro idź z nią normalnie na łąkę — rzekł stary król. — Będę was obserwował.

Rankiem owinął się płaszczem, usiadł w bramie i usłyszał, jak księżniczka rozmawia z łbem Falady. Ukradkiem podążył za nią i Konradem na łąkę i ukrył się w zaroślach, by sprawdzić, co się stanie. Tak jak powiedział chłopiec, gęsiarka wezwała wiatr, który ciskał po łące czapkę chłopca, a ona tymczasem rozpuściła swoje piękne włosy, rozczesała je i znowu splotła.

Król zobaczył to wszystko i poszedł do pałacu. Wieczorem, gdy gęsiarka wróciła, wezwał ją do siebie i spytał, dlaczego to wszystko robi.

— Nie wolno mi tego zdradzić — odparła. — To sekret. Nie mogę go nikomu wyjawić. Przysięgam na wszystko, co święte, że nie powiem o tym ani słowa. Musiałam przysiąc, bo inaczej zostałabym zabita.

Stary król usiłował ją przekonać, lecz bez powodzenia. Nic nie mogło jej skłonić do złamania przysięgi.

— Coś ci poradzę — rzekł w końcu. — Nie mów o swoich kłopotach mnie, tylko powierz swe troski żelaznemu piecowi w rogu komnaty. W ten sposób dotrzymasz słowa i będziesz mogła zrzucić ciężar z serca.

Księżniczka weszła do starego żelaznego pieca, rozplakała się i wkrótce zaczęła się skarżyć:

— Siedzę tutaj, samotna i opuszczona przez cały świat, choć jestem księżniczką! Zła służąca zmusiła mnie, bym się zamieniła z nią sukniami, i zajęła moje miejsce jako panna młoda! Teraz muszę paść gęsi na łące! Gdyby wiedziała o tym moja matka, serce by jej pękło!

Stary król stał na zewnątrz obok komina i słyszał każde słowo. Wrócił do kuchni i poprosił, by wyszła z pieca. Kazał ją ubrać w królewskie szaty i wszyscy się zdumiali, że jest taka piękna.

Później wezwał syna i wyjaśnił mu, że narzeczona poślubiła go, używając podstępu, i że to nie księżniczka, tylko służąca. Prawdziwa księżniczka stoi przed nim, to gęsiarka. Kiedy syn króla zobaczył, jak

piękna jest jego prawdziwa narzeczona, i dowiedział się, jak cnotliwie postępowała, nie posiadał się z radości.

Wydali wielką ucztę, na którą zaprosili cały dwór i wszystkich przyjaciół. U szczytu stołu siedział pan młody, a po bokach miał dwie narzeczone, fałszywą i prawdziwą. Służąca nie rozpoznała księżniczki, ubranej w piękną suknię.

Kiedy zjedli, wypili i wszystkich ogarnął dobry nastrój, stary król spytał fałszywą narzeczoną, na jaką karę zasługiwałaby służąca, która potraktowałaby swoją panią w taki sposób — i opowiedział całą historię, a na koniec znowu zapytał: „Na jaką karę zasługuje taka kobieta?”.

— Powinno się ją rozebrać do naga i wsadzić do beczki nabitej ostrymi gwoździemi — odrzekła fałszywa księżniczka. — Później należy zaprząć do beczki dwa białe konie i ciągnąć ją ulicami miasta, aż winowajczyni umrze.

— To ty jesteś tą kobietą — powiedział król. — Ogłosiłaś własny wyrok. Spotka cię taka właśnie kara.

Kiedy wykonano wyrok, syn króla poślubił prawdziwą narzeczoną i władali królestwem w spokoju i szczęściu.

* * *

Typ baśni: ATU 533, *Mówiąca głowa konia*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Giambattista Basile, *The Two Cakes (The Great Fairy Tale Tradition*, red. Jack Zipes); Katharine M. Briggs, *Roswal and Lilian (Folk Tales of Britain)*

Biedny Falada! Zasługiwał na lepszy los. Wydaje się, że zasługiwał również na to, by odegrać w tej historii większą rolę. Może gdyby wcześniej się odezwał, jego pani nie miałaby tylu kłopotów?

Księżniczka, późniejsza gęsiarka, chociaż bez wątplenia dobra i piękna, jest znacznie mniej przedsiębiorcza i energiczna od złej służącej, która wysuwa się na pierwszy plan. Trudno opowiedzieć ciekawą baśń o potulnej, grzecznej ofermie, która nigdy się nie kłóci ani nie odgryza. Ale cóż, to nie powieść.

Imię Falada, pisane przez dwa „l”, wykorzystał niemiecki powieściopisarz Rudolf Ditzen (1893—1947), autor książki *Każdy*

umiera w samotności (Jeder stirbt für sich allein, 1947), który przyjął pseudonim Hans Fallada.

Niedźwiedzia Skóra

Żył raz młodzieniec, który zaciągnął się do wojska i dzielnie walczył na pierwszej linii ognia, gdy wokół padał grad kul armatnich. Podczas wojny wszystko układało się dobrze, ale kiedy zawarto pokój, został zwolniony. Kapitan powiedział mu, że może iść, dokąd chce. Jego rodzice zmarli i nie miał już domu, więc pojechał do swoich braci i spytał, czy może z nimi zamieszkać do chwili, aż wybuchnie następna wojna.

Ale bracia mieli twarde serca i odparli:

— Co nas obchodzą twoje kłopoty? Nie potrzebujemy cię tutaj. Odejdź i radź sobie sam!

Żołnierzowi został tylko muszkiet, więc zarzucił go na ramię i ruszył w świat. Wkrótce doszedł do wielkiego wrzosowiska, na którym znajdował się krąg drzew. Usiadł pod nimi, myśląc o swoim losie i użalając się nad sobą.

Nie mam pieniędzy ani widoków na przyszłość, pomyślał. Umieję tylko walczyć, a jeśli wszyscy pragną pokoju, jestem bezużyteczny. Chyba umrę z głodu.

Nagle usłyszał szelest i kiedy się rozejrzał, by sprawdzić, co się dzieje, spostrzegł dziwnego osobnika. Miał on na sobie elegancki zielony kaftan i wyglądał zupełnie przyzwoicie, lecz jedna jego noga kończyła się odrażającym końskim kopytem.

— Wiem, czego pragniesz — odezwał się nieznajomy. — Możesz mieć złoto i bogactwa, ale najpierw musisz mi udowodnić, jaki jesteś odważny. Nie dam pieniędzy człowiekowi, który ucieka, gdy pojawia się pierwsza oznaka niebezpieczeństwa.

— Cóż, jestem żołnierzem i niczego się nie boję. Taki mam zawód. Jeśli chcesz, możesz mnie wypróbować.

— W porządku — rzekł tamten. — Obejrzyj się za siebie.

Żołnierz się odwrócił i zobaczył ogromnego niedźwiedzia, który pędził w jego stronę, rycząc z wściekłością.

— Ho-ho-ho! — zawołał młodzieniec. — Zaraz połaskoczę cię w pysk, brzydka bestio! Przekonamy się, czy potem też będziesz ryczał!

Wycelował muszkiet i wystrzelił. Kula trafiła niedźwiedzia w pysk i zabiła go na miejscu.

— Widzę, że rzeczywiście nie brak ci odwagi — powiedział nieznajomy. — Ale to nie wszystko. Jest dodatkowy warunek.

— Przyjmę go, jeśli nie stracę szans na pójście do nieba — zastrzegł żołnierz. — Gdyby o to chodziło, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Cóż, zobaczymy — odparł nieznajomy. — Oto, co masz zrobić: przez następne siedem lat nie wolno ci się myć, czesać, obcinać paznokci i odmawiać pacierza. Dam ci kaftan i płaszcz, które będziesz nosił przez cały ten czas. Jeśli umrzesz w ciągu tych siedmiu lat, należysz do mnie. Jeśli przeżyjesz, będziesz wolny i bogaty do końca życia, pamiętaj!

Żołnierz zaczął się zastanawiać. Na polu bitwy często stawał w obliczu śmierci i był przyzwyczajony do niebezpieczeństw, ale nie miał ochoty żyć w biedzie. Zdecydował się przyjąć propozycję diabła.

Diabeł zdjął zielony kaftan i wręczył go żołnierzowi, mówiąc:

— Zawsze gdy włożysz rękę do kieszeni, znajdziesz tam garść pieniędzy.

Później zdarł skórę z niedźwiedzia i rzekł:

— Musisz nosić tę niedźwiedzią skórę jako płaszcz. Musisz także w niej spać i nie wolno ci korzystać z łóżka. Będziesz nazywany Niedźwiedzią Skórą.

Wypowiedziawszy te słowa, zniknął.

Żołnierz włożył kaftan, po czym sięgnął ręką do kieszeni i przekonał się, że diabeł mówił prawdę. Zarzucił na plecy niedźwiedzią skórę i ruszył przed siebie. Chodził, dokąd chciał; robił, co chciał, i wydawał pieniądze, które wyjmował z kieszeni.

Przez pierwszy rok wyglądał normalnie, lecz w drugim roku zaczął przypominać potwora. Prawie całą twarz pokryła mu długa, gęsta broda; włosy miał długie i zmierzwiłone, a paznokcie niczym szpony i był straszliwie brudny. Ludzie uciekali na jego widok, pełni obrzydzenia. Jednak zawsze dawał pieniądze biedakom, każąc im się modlić, by zdołał przeżyć siedem lat, a ponieważ płacił za wszystko z góry, bez trudu znajdował nocleg.

W czwartym roku wędrówki przybył do pewnej gospody. Właściciel nie chciał go wpuścić i nawet odmówił mu miejsca w stajni z obawy, że spłoszy konie. Ale kiedy Niedźwiedzia Skóra

włożył rękę do kieszeni i wyjął garść monet, oberżysta nieco złagodniał i pozwolił mu nocować w szopie na podwórku, pod warunkiem jednak, że nie pokaże nikomu swojej twarzy.

Żołnierz siedział tam samotnie pewnej nocy, marząc, by wreszcie minęło siedem lat, gdy nagle zza ściany dobiegł go rozpaczliwy płacz. Niedźwiedzia Skóra miał dobre serce i chciał pomóc; otworzył drzwi i zobaczył starego człowieka, który gorzko płakał i załamywał ręce. Kiedy starzec ujrzał potwora, zerwał się do ucieczki, jednak na dźwięk ludzkiej mowy zatrzymał się i zaczął słuchać.

Niedźwiedzia Skóra przemówił do niego łagodnie, więc stary człowiek usiadł i opowiedział mu o swoich kłopotach. Stopniowo stracił wszystkie pieniądze, a teraz jemu i jego córkom groził głód. Nie mógł zapłacić rachunku oberżysty i był pewien, że wkrótce trafi do więzienia.

— Jeśli pieniądze to jedyny problem, mam ich dość, by ci pomóc — rzekł Niedźwiedzia Skóra.

Poszedł do oberżysty i zapłacił rachunek, a potem dał starcowi miszek pełen złota. Kiedy ten zrozumiał, że wszystkie jego kłopoty się skończyły, nie wiedział, jak dziękować dziwnemu dobroczyńcy.

— Chodź ze mną do mego domu — powiedział. — Poznasz moje córki. Są cudownie piękne i powinieneś wybrać sobie jedną z nich na żonę. Kiedy się dowiedzą, co dla mnie zrobiłeś, nie odmówią. Wyglądasz trochę... hm... ekscentrycznie... ale jeśli poślubisz jedną z nich, szybko sprawi, że będziesz czysty i schludny.

Myśl o ożenku spodobała się Niedźwiedziej Skórze, więc poszedł ze starym człowiekiem do jego domu. Najstarsza córka uciekła z krzykiem, ledwie go ujrzała, a druga córka zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i parsknęła:

— Spodziewacie się, że poślubię takie monstrum?! Wolałabym już poślubić tego niedźwiedzia, co kiedyś się tu zjawił, pamiętacie... Ogolili mu całe futro i ubrali w huzarski mundur i białe rękawiczki...

Ale najmłodsza córka rzekła:

— Kochany ojciec, to na pewno dobry człowiek, skoro ci pomógł. Jeśli obiecałeś mu jedną z nas, musimy dotrzymać słowa.

Szkoda, że twarz Niedźwiedziej Skóry była zarośnięta i brudna, bo ojciec i córka zobaczyliby, jak rozjaśniła się radością, gdy usłyszał te słowa. Zdjął z palca pierścień, przełamał go na dwie części, po czym dał jedną z nich dziewczynie, a drugą zachował dla siebie. Napisał jej imię na swojej połowie pierścienia, a własne imię na połowie, którą wręczył narzeczonej, prosząc, by troskliwie ją przechowywała.

— Teraz muszę odejść — powiedział. — Zostały mi jeszcze trzy lata wędrówki, a jeśli po tym czasie nie wrócę, jesteś wolna, bo będzie to znaczyło, że umarłem. Wierzę, że będziesz się modliła do Boga, by pozwolił mi przeżyć.

Biedna narzeczona przywdziała żałobę, a gdy myślała o swoim przyszłym mężu, łzy napływały jej do oczu. Przez następne trzy lata siostry bezlitośnie z niej szydziły.

— Bądź ostrożna! — mówiła najstarsza siostra. — Jeśli dasz mu rękę, zmiążdży ją w swojej łapie!

— Uważaj, niedźwiedzie lubią słodczyce! — mówiła druga siostra. — Jeśli mu się spodobaś, w mgnieniu oka cię połknie!

— Wesele będzie bardzo zabawne. Niedźwiedzie doskonale tańczą!

Przyszła panna młoda nie odpowiadała i nie dawała się wyprowadzić z równowagi. Tymczasem Niedźwiedzia Skóra wędrował po świecie, czyniąc dobro, gdy tylko mógł, i hojnie obdarowując biedaków, by się za niego modlili.

W końcu, w dniu, gdy miało minąć siedem lat, poszedł o świecie na wrzosowisko i usiadł w kręgu drzew. Niebawem zaczął wyc wiatr i pojawił się diabeł, patrząc nań z ukosa.

— Oto twoja kurtka — powiedział, rzucając Niedźwiedziej Skórze jego starą kurtkę. — Teraz oddaj mi mój zielony kaftan.

— Nie tak szybko — odparł Niedźwiedzia Skóra. — Przede wszystkim musisz mnie umyć. Chcę dostać cztery balie wody, od bardzo gorącej do letniej, i cztery rodzaje mydła, od szarego do szorowania podłóg po najdelikatniejsze paryskie *savon de luxe*. Potrzebuję też kilku rodzajów szamponu, pierwszy do pielęgnacji koni, a ostatni delikatny, pachnący lawendą. Poza tym proszę o galon wody kolońskiej.

Diabeł, chcąc nie chcąc, musiał przynieść wodę, mydło i kilkanaście różnych kosmetyków. Umył Niedźwiedzią Skórę od stóp do głów, ostrzygł mu włosy, starannie je uczesał, ogolił mu brodę i obciął paznokcie. Niedźwiedzia Skóra znów zaczął wyglądać jak przystojny żołnierz; w gruncie rzeczy wyglądał przystojniej niż przedtem.

Kiedy niezadowolony diabeł zniknął, Niedźwiedzią Skórę ogarnęła radość. Poszedł do miasta, kupił wspaniały aksamitny kaftan, wynajął powóz ciągnięty przez cztery białe konie i pojechał do domu narzeczonej. Oczywiście nikt go nie poznał. Ojciec myślał, że jest ważnym oficerem, co najmniej pułkownikiem, i zaprowadził go do jadalni, w której siedziały córki.

Niedźwiedzia Skóra usiadł między najstarszą a średnią i obie zaczęły mu nadskakiwać. Dolewały mu wina, nakładały najsmaczniejsze kęski, mizdrzyły się i uśmiechały zalotnie. Najmłodsza córka siedziała po przeciwnej stronie stołu, wbijając oczy w talerz i nie mówiąc ani słowa.

W końcu Niedźwiedzia Skóra spytał ojca, czy może poprosić jedną z jego córek o rękę. Usłyszawszy te słowa, dwie starsze zerwały się z miejsc i pobiegły do swoich pokoi, by się przebrać w najlepsze suknie. Każda myślała, że przystojny nieznajomy wybierze właśnie ją.

Kiedy gość został sam na sam z narzeczoną, wyjął połowę przełamanej pierścienia i wrzucił do kieliszka z winem, który podał dziewczynie przez stół. Ujęła kieliszek i wypila wino, a gdy ujrzała na dnie połowę pierścienia, serce zabiło jej szybciej. Zdjęła z szyi drugą połowę, którą nosiła na wstążce, i przyłożyła do pierwszej. Pasowały jak ulał.

— To ja jestem twoim narzeczonym, którego znałaś pod imieniem Niedźwiedzia Skóra — odezwał się. — Dzięki łasce boskiej znów jestem normalnym, czystym człowiekiem.

Objął ją i serdecznie ucałował. W tej samej chwili nadeszły dwie starsze siostry, ubrane w piękne koronkowe suknie. Kiedy zobaczyły Niedźwiedzią Skórę razem z siostrą i zrozumiały, kim on jest i co się stało, postradały zmysły z wściekłości. Wybiegły na dwór — jedna utopiła się w studni, a druga powiesiła się na drzewie.

Tego wieczoru rozległo się pukanie do drzwi. Niedźwiedzia Skóra otworzył i zobaczył diabła w zielonym kaftanie.

— Czego chcesz? — spytał.

— Przyszedłem ci podziękować. Dostałem dwie dusze, którymi mogę się bawić, zamiast twojej jednej.

* * *

Typ baśni: ATU 361, *Niedźwiedzia Skóra*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Haxthausenów oraz opowieść Hansa Jakoba Christoffela von Grimmelshausena *Vom Ursprung des Namens Bärnhäuter* (Pochodzenie nazwy Niedźwiedzia Skóra, 1670)

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *The Coat (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Devil's Breeches (Italian Folktales)*

Umowa zawarta przez diabła jest dość dziwna. Z pewnością istniały łatwiejsze i mniej kosztowne sposoby zdobycia duszy żołnierza. Z drugiej strony jest on pobożny i miłosierny, więc usidlenie go w normalny diabelski sposób mogłoby się okazać trudne. Kara, jaka spotkała dwie siostry, wydaje się surowa, lecz trzeba pamiętać, że przez długie lata boleśnie wyszydzały najmłodszą siostrę.

Wersja Calvina jest obszerna i pomysłowa. Zapożyczyłem od niego sugestię, że sama woda nie wystarcza do zmycia siedmioletniego brudu.

Dwaj towarzysze wędrówki

Góry i doliny nigdy się nie spotkają, ale ludzie, dobrzy i źli, spotykają się stale. Zdarzyło się, że w czasie swej wędrówki spotkali się szewc i krawiec. Krawiec był sympatycznym, drobnym mężczyzną, zawsze wesołym i pełnym radości. Zobaczył szewca nadchodzącego gościńcem, zorientował się na podstawie kształtu plecaka, jaki ma fach, i zaczął śpiewać żartobliwą piosenkę:

*Ciągnij dratwę, zszywaj skóry!
Wbijaj gwoździe, łataj dziury!*

Szewc nie grzeszył poczuciem humoru. Wykrzywił się i potrząsnął pięścią. Krawiec wybuchnął śmiechem i podał mu butelkę sznapsa.

— Spróbuj tego napitku! — rzekł. — Nie chciałem cię obrazić. Napij się i zapomnij o gniewie.

Szewc wypił pół butelki, a burza w jego oczach zaczęła się uspokajać. Oddał butelkę krawcowi i powiedział:

— Dobry trunek. Wiele się mówi o pijaństwie, a mało o pragnieniu. Czy możemy iść razem przez jakiś czas?

— To mi pasuje — odparł krawiec. — Pod warunkiem że nie masz nic przeciwko odwiedzaniu dużych miast, gdzie jest mnóstwo pracy.

— Ja też lubię duże miasta. W małych miasteczkach nie da się nic zarobić, a wieśniacy wolą chodzić boso.

Ruszyli razem, drepcząc powoli jak łasice po śniegu. Mieli mnóstwo czasu, ale mało jedzenia. W miastach szukali pracy, a krawiec, sympatyczny niski człowieczek o różowych policzkach, znajdował ją dość łatwo. Jeśli miał szczęście, na pożegnanie całowała go córka chlebobawcy, życząc mu pomyślnej dalszej drogi.

Kiedy spotykał się znowu z szewcem, zawsze okazywało się, że ma więcej pieniędzy. Szewc, ponurak o porywczym temperamencie, krzywił się i mówił:

— Im większy łotr, tym bardziej szczęście mu sprzyja!

Ale krawiec tylko się śmiał, podśpiewywał i dzielił się wszystkim ze swoim towarzyszem. Kiedy miał trochę pieniędzy, kupował coś do jedzenia i picia, a potem dobrze się bawił. Jego motto brzmiało: „Łatwo przyszło, łatwo poszło”.

Wędrowali przez jakiś czas, aż dotarli do wielkiego lasu. Biegły tam dwie ścieżki prowadzące do stolicy; przejście jednej z nich trwało dwa dni, a drugiej siedem, lecz nie wiedzieli, która jest która. Usiedli pod dębem, by omówić sprawę. Czy powinni zabrać zapas jedzenia na siedem dni, czy tylko na dwa?

— Trzeba być zawsze przygotowanym na najgorsze — powiedział szewc. — Zamierzam wziąć chleba na cały tydzień.

— Co takiego?! — zawołał krawiec. — Dźwigać tyle chleba niczym juczny osioł i nie móc podziwiać widoków?! To nie dla mnie. Zaufam Bogu, tak jak zawsze. Pieniądze są równie dobre w lecie i w zimie, ale chleb nie, bo w czasie upałów szybko wysycha i pleśnieje. Dlaczego nie mielibyśmy znaleźć krótszej drogi? Jedna szansa na dwie to całkiem nieźle, jak się nad tym zastanowić. Wezmę chleba na dwa dni, tyle wystarczy.

Każdy z nich kupił chleb wedle własnego uznania i wyruszyli do lasu. Wśród drzew było cicho jak w kościele. Nie wiał wiatr, nie szumiał strumień, nie śpiewały ptaki, przez gęste listowie nie przebijał się ani jeden promień słońca. Szewc milczał. Szedł przed siebie z kwaśną, ponurą miną, ociekając potem, bo chleb ciążył mu coraz bardziej.

Natomiast krawiec był wesoły jak szczygieł. Podążał naprzód sprężystym krokiem, śmiejąc się, podśpiewując i gwizdząc na źdźbłę trawy.

Bóg w niebie musi być zadowolony, gdy widzi, że jestem szczęśliwy, pomyślał.

Maszerowali przez dwa dni. Jednak trzeciego dnia znajdowali się ciągle w środku lasu, a krawiec zjadł już cały swój chleb. Był w nieco mniej radosnym nastroju, lecz nie stracił kontenansu: ufał Bogu i swojemu szczęściu. Wieczorem trzeciego dnia poszedł spać głodny, a gdy nazajutrz się obudził, czuł jeszcze większy głód. Czwarty dzień minął w ten sam sposób; wieczorem krawiec musiał siedzieć i patrzeć, jak szewc ze smakiem zjada.

Krawiec poprosił o kromkę chleba, lecz szewc się roześmiał i odparł:

— Zawsze za bardzo lubiłeś śpiewać i udawać głupca. Teraz widzisz, do czego to prowadzi. Ptaki, które śpiewają zbyt wcześnie

rano, przed zmrokiem padają łupem sokoła.

Nie miał w sercu litości. Piątego ranka biedny krawiec ledwo wstał i mówił słabym, ochrypłym głosem. Znikła czerwień jego policzków, które stały się blade jak kreda; oczy nabiegły mu krwią.

— Wpadłeś w tarapaty i sam jesteś sobie winny — powiedział szewc. — Posłuchaj: dam ci kawałek chleba, ale w zamian wyłupię ci prawe oko.

Biedny krawiec chciał żyć, więc się zgodził. Rozplakał się, po czym uniósł głowę, a bezlitosny szewc wydlubał mu nożem prawe oko. Krawiec pamiętał, co niegdyś powiedziała mu matka, przyłapawszy go w spiżarni na podkradaniu pasztetu: „Zjedz wszystko, co możesz zjeść, i znieś to, co musisz znieść”.

Zjadł cieką kromkę chleba, którą dostał od szewca, i poczuł się trochę lepiej. Zdołał wstać i ruszył naprzód, myśląc, że mimo wszystko wciąż dobrze widzi lewym okiem.

Ale szóstego dnia znów dopadł go głód, i to jeszcze straszniejszy. Wieczorem runął na ziemię, a siódmego dnia był za słaby, żeby wstać. Czuł nadchodzącą śmierć.

— Będę miłosierny — oznajmił szewc. — Widzę, w jakim jesteś stanie, i dam ci drugą kromkę chleba. Ale nie za darmo. Zostało ci jeszcze jedno oko: wyłupię je tak samo jak pierwsze.

Biedny krawiec miał wrażenie, jakby zmarnował całe swoje życie. Za jakie grzechy go to spotkało? Musiał w jakiś sposób obrazić Boga, więc pomodlił się o przebaczenie i rzekł do szewca:

— Zgoda. Wydlub mi drugie oko. Ale pamiętaj, Bóg widzi wszystko, co robisz, i przyjdzie czas, że ukarze cię za ten zły postępek. Czyż w dobrych czasach nie dzieliłem się z tobą tym, co miałem? Krawiec musi wyraźnie widzieć szwy, a bez oczu nie będę mógł szyć i zostanę żebrakiem. Przynajmniej nie zostawiaj mnie tu samego, bo jako ślepiec nie znajdę drogi i umrę z głodu.

Szewca nie obchodziło mówienie o Bogu, którego wyrzucił z serca dawno temu. Wyjął nóż i wyłupił krawcowi drugie oko, a potem dał mu mały kawałek chleba, wetknął mu w rękę kij i kazał iść za sobą.

O zachodzie słońca wyszli z lasu. Krawiec czuł na twarzy ciepłe promienie słońca, ale oczywiście nic nie widział i nie zdawał sobie sprawy, że szewc prowadzi go w stronę szubienicy na skraju pola. Tam zostawił go samego i poszedł dalej. Biedny krawiec, znużony, obolały i wygłodniały, padł na ziemię i zasnął.

Obudził się o świcie, dygocząc z zimna. Na szubienicy wisiało dwóch nieszczęsnych grzeszników, a na głowie każdego z nich siedział kruk.

— Nie śpisz, bracie? — spytał jeden z wisielców.

— Nie, nie śpię — odpowiedział drugi.

— Powiem ci coś, co warto wiedzieć. Rosa, która zbiera się na nas w ciągu nocy i kapie na trawę, ma specjalne właściwości. Jeśli przemyje nią sobie oczy ślepiec, odzyskuje wzrok. Gdyby ślepcy o tym wiedzieli, codziennie rano pod szubienicą zbierałyby się ich całe tłumy, prawda?

Krawiec nie wierzył własnym uszom. Wyjął chusteczkę, przycisnął ją do trawy, aż nasiąkła rosą, i przemył sobie oczodoły. Słowa wisielca natychmiast się potwierdziły: w oczodołach wyrosły nowe gałki oczne. Zbliżał się wschód słońca, a krawiec patrzył ze zdumieniem, jak nad górami pojawia się światło i wypełnia znajdującą się przed nim dolinę. Rozciągało się tam wielkie miasto ze wspaniałymi bramami i setką wież; zaśniły w słońcu złote kule i krzyże na szczytach wież kościelnych. Widział każdy liść na drzewach, każdego przelatującego ptaka, każdego komara wirującego w powietrzu. Ale musiał wykonać najważniejszy sprawdzian: wyjął z pokrowca igłę, oderwał kawałek nici i nawłókł ją tak szybko i łatwo jak zawsze. Serce zabiło mu radośnie.

Padł na kolana i podziękował Bogu za miłosierdzie. Odmówił poranną modlitwę, nie zapominając o dwóch nieszczęsnych grzesznikach kołyszących się na szubienicy. Zarzucił tobolek na plecy i ruszył w drogę, podśpiewując i gwizdząc, jakby nic się nie stało.

Po jakimś czasie ujrzał pięknego brązowego źrebaka, biegającego swobodnie po łące. Chwycił go za grzywę i próbował dosiąść, by pojechać do miasta. Ale źrebak zaczął go błagać, by zwrócił mu wolność.

— Jestem jeszcze młody i nawet mały, kościsty krawiec to dla mnie za wielki ciężar. Jeśli mnie dosiądziesz, złamiesz mi kręgosłup. Pozwól mi dorosnąć i nabrać sił, a może ci się kiedyś odwdzięczę.

— Och, w takim razie odejdz — odrzekł krawiec. — Widzę, że jesteś miłym zwierzakiem.

Poklepał źrebaka po zadzie, a ten wierzgnął z radości i ruszył galopem, przeskakując przez żywopłoty i rowy.

Mały krawiec nic nie jadł, odkąd dzień wcześniej szewc dał mu cienką kromkę chleba.

— Oczy mam pełne światła, ale nie mam czym napełnić brzucha. Jeśli zobaczę coś, co nadaje się do zjedzenia... Ach, co to takiego?!

Był to bocian, który kroczył dostojnie w jego stronę. Krawiec natychmiast rzucił się w kierunku ptaka i chwycił go za nogę.

— Nie wiem, czy jesteś smaczny, czy nie, ale zamierzam się o tym przekonać. Stój spokojnie, gdy będę ci ucinął głowę. Potem cię upiekę.

— Proszę, nie rób tego! — powiedział bocian. — To niedobry pomysł. Widzisz, jestem świętym ptakiem. Przyjaźnię się z ludźmi i nikt nie robi mi krzywdy. Jeśli darujesz mi życie, postaram ci się odwdziżyć.

— Och, w takim razie odejdz, długonogi! — odparł krawiec i puścił bociana, który z gracją rozpostarł swoje wielkie skrzydła, wyprostował nogi i odleciał. — Kiedy to się wreszcie skończy? — mruknął pod nosem krawiec. — Jestem coraz głodniejszy, a mój brzuch staje się coraz bardziej pusty. Jeśli zobaczę coś do zjedzenia, nic mnie nie powstrzyma!

W tej samej chwili mijał staw, na którym pływało kilka kaczątek. Jedno z nich podpłynęło za blisko brzegu i krawiec natychmiast je złapał.

— W samą porę! — rzekł i już miał skrócić ptakowi kark, gdy po drugiej stronie stawu rozległo się straszliwe gęganie i spomiędzy trzciny wyleciała stara kaczka matka, trzepocząc skrzydłami.

Usiadła na wodzie i podpłynęła do krawca.

— Daruj życie mojemu dziecku! — zawołała. — Potrafisz sobie wyobrazić, jak by się czuła twoja matka, gdyby ktoś chciał cię zjeść?!

— Och, uspokój się! — odparł dobrodusznie krawiec. — Możesz zatrzymać swoje dziecko!

Włożył kaczętko z powrotem do wody, a kiedy się odwrócił, okazało się, że stoi naprzeciwko starego, spróchniałego drzewa. Uwijały się przy nim dziesiątki pszczół.

Miód, pomyślał natychmiast. Bogu niechaj będą dzięki! To moja nagroda za darowanie życia kaczętku!

Ledwo zrobił krok w stronę drzewa, gdy wyleciała z niego królowa pszczół.

— Jeśli zabijesz moje dzieci i zniszczysz nasze gniazdo, gorzko tego pożałujesz! Twoją skórę przebije dziesięć tysięcy jadowitych żadeł! Zostaw nas w spokoju i idź swoją drogą, a pewnego dnia wyświadczymy ci przysługę.

Tak więc i tym razem krawiec nie zdobył nic do jedzenia.

— Cztery puste talerze to kiepski obiad — mruknął do siebie.

Powlókł się z pustym żołądkiem do miasta, a ponieważ zegary wybiły akurat dwunastą, w pierwszej oberży, do której wszedł, było już ugotowane jedzenie. Usiadł i zjadł ogromny posiłek.

Kiedy w końcu zaspokoił głód, rzekł do siebie:

— Cóż, pora znaleźć jakąś pracę.

Obszedł miasto, szukając warsztatu krawieckiego, i wkrótce znalazł zajęcie. Był mistrzem w swoim fachu, więc niebawem stał się znany i każdy elegant chciał mieć uszyty przez niego kaftan lub płaszcz. Jego sława rosła z każdym dniem.

— Nie mogę być mądrzejszy, ale mogę być bogatszy — mówił.

Szczyt kariery osiągnął, gdy król mianował go nadwornym krawcem.

Jednak na świecie dzieją się dziwne rzeczy. W dniu, gdy mianowano go nadwornym krawcem, szewc, jego dawny towarzysz wędrówki, został mianowany nadwornym szewcem. Kiedy szewc ujrzał krawca i zobaczył, że ma parę zdrowych oczu, był zdumiony i zaniepokojony i poczuł wyrzuty sumienia. Zniszczę go, nim on zemści się na mnie, pomyślał.

Ale kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Pewnego wieczoru, o zmierzchu, szewc poszedł do króla i rzekł:

— Wasza Królewska Mość, nie lubię źle mówić o ludziach, ale krawiec się chełpi, że potrafi odnaleźć złotą koronę, która zaginęła dawno temu.

— Doprawdy, potrafi to zrobić? — spytał król i nazajutrz rano wezwał do siebie krawca. — Podobno się przechwalasz, że jesteś w stanie odnaleźć moją zagubioną koronę — powiedział. — W takim razie ją znajdź albo opuść miasto i więcej nie wracaj.

Ho-ho-ho, pomyślał krawiec. Czuję, skąd wieje wiatr. Nie ma sensu tu zostawać, skoro król żąda czegoś niemożliwego. Odejdę natychmiast.

Związał tobołek i ruszył w stronę bramy miejskiej. Kiedy znalazł się za murami, zaczął żałować, że musi opuścić to miasto, w którym tak dobrze mu się wiodło. Szedł, rozmyślając, aż dotarł do stawu, gdzie spotkał kaczki. Stara kaczka matka siedziała akurat na trawie i czyściła piórka. Natychmiast go poznała.

— Dzień dobry! — powitała go. — Co się stało? Dlaczego jesteś taki ponury?

— Och, kaczko, kiedy usłyszysz, co mam zrobić, zrozumiesz, czemu jestem w złym nastroju — odparł i opowiedział kaczce wszystko, co się wydarzyło.

— Cóż, jeśli tylko o to chodzi, możesz przestać się martwić — odparła kaczka. — Korona leży na dnie stawu. Przyniesiemy ci ją. Rozłóż na trawie chustkę i ciesz się słońcem.

Wezwała dwanaścioro swoich dzieci, po czym wszystkie dały nurka i znikły pod wodą. Po kilku minutach wypłynęły na

powierzchnię, podtrzymując skrzydłami koronę.

— Teraz ostrożnie — zwróciła się matka do kaczuszek. — Wy na bok, a wy...

Kaczki płynęły, podpierając dziobami ciężką koronę, i po niespełna minucie znalazła się ona na chustce krawca. Cóż za wspaniały widok! Złoto i drogie kamienie lśniły w słońcu.

Krawiec podziękował kaczkom, związał rogi chustki i zaniósł koronę królowi, który był taki zadowolony, że zawiesił mu na szyi złoty łańcuch.

Kiedy szewc zrozumiał, że jego plan spalił na panewce, wymyślił następny. Poszedł do króla i powiedział:

— Wasza Królewska Mość, przykro mi to mówić, ale krawiec znowu się chełpi. Tym razem mówi, że potrafi zbudować woskowy model pałacu królewskiego, odtwarzając każdą komnatę i każdy szczegół, łącznie z meblami oraz wszystkim, co wewnątrz i na zewnątrz.

Król znowu posłał po krawca i rozkazał mu wykonać model pałacu królewskiego, z wiernym odtworzeniem wszystkich szczegółów.

— Jeśli w modelu zabraknie choćby jednego gwoździa w ścianie, trafisz na resztę życia do lochu! — zagroził.

To już prawdziwy koszmar, pomyślał krawiec. Kto potrafiłby zrobić taki model?

Zarzucił tobolek na plecy i znów wyruszył w drogę. Dotarł do spróchniałego drzewa i był tak przygnębiony, że opadł na trawę, ponuro zwieszając głowę. Pszczoły uwijające się wokół gniazda musiały powiedzieć królowej o obecności krawca, bo szybko się pojawiła i usiadła na gałązce obok niego.

— Zesztywniał ci kark? — spytała.

— Och, witaj! Nie, spuściłem głowę, bo jestem w rozpacz.

Opowiedział królowej pszczoł, co król kazał mu zrobić. Królowa wzbiła się w powietrze, porozmawiała z kilkoma towarzyszkami, po czym znów usiadła na gałązce.

— Teraz po prostu wracaj do miasta — powiedziała. — Ale przyjdź tu jutro rano z dużym kawałkiem płótna. Nie martw się. Wszystko dobrze się skończy.

Krawiec wrócił do miasta, ale nie pokazał się na dworze. Tymczasem pszczoły poleciały do pałacu i dokładnie obejrzały w środku każdy szczegół. Potem wróciły do gniazda, gdzie zaczęły lepić woskowy model pałacu. Pracowały tak szybko, że gdyby ktoś je obserwował, przysięgłyby, że model powstaje sam z siebie.

Wieczorem był już gotowy. Kiedy krawiec przyszedł następnego ranka, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pszczoły odtworzyły całą budowlę od dachówek do kocich łbów na dziedzińcu — nie brakowało żadnego szczegółu, nawet jednego gwoździa w ścianie. A w dodatku model był biały i delikatny jak śnieżynka i pachniał jak miód.

— Och, pszczoły, naprawdę nie wiem, jak wam dziękować! — zawołał krawiec.

Położył model na płóciennej płachcie, zawinął go starannie i zaniósł do sali tronowej, starając się go nie upuścić ani się nie przewrócić. Dotarł bezpiecznie na miejsce, rozwinął płótno i pokazał model królowi, który zaczął go oglądać ze wszystkich stron, zerkając do okien, patrząc na budki wartowników i zachwycając się szczegółami odtworzonych balustrad z kutego żelaza.

Król nie mógł wyjść z podziwu. Kazał ustawić model w największej sali i w nagrodę podarował krawcowi ładny kamienny dom.

Szewc i tym razem został pokonany, lecz się nie poddał. Poszedł do króla i rzekł:

— Bardzo mi przykro, że muszę o tym mówić, Wasza Królewska Mość, ale krawiec znów się chełpi. Dowiedział się, że pod dziedzińcem pałacu nie ma wody, i twierdzi, że to drobnostka dla człowieka takiego jak on. Gdyby chciał, mógłby sprawić, że wytrysnęłaby tam fontanna z krystalicznie czystą wodą, wysoka jak dorosły mężczyzna.

Król posłał po krawca.

— Słyszałem o twoich przechwałkach, że potrafisz sprawić, by na dziedzińcu wytrysła fontanna. Jeśli tego nie zrobisz, wyjdę na głupca, a nie mogę tego tolerować. A zatem niech na dziedzińcu wytryśnie fontanna krystalicznie czystej wody, tak jak obiecałeś. W przeciwnym razie tryśnie twoja krew, bo kat utnie ci głowę!

Biedny krawiec czym prędzej opuścił miasto. Tym razem stawką było jego życie, więc nie mógł powstrzymać łez.

Szedł wśród pól, nie mając pojęcia, jak mógłby wypełnić rozkaz króla. Kiedy mijał rozległą zieloną łąkę, podbiegł do niego źrebak, któremu wcześniej darował wolność. Wyrósł na pięknego kasztanka.

— Przyszedł czas, bym odwdzieczył ci się za dobroć — powiedział. — Nie musisz mówić, czego chcesz. Już wszystko wiem i potrafię sprawić, że w pałacu wytryśnie fontanna. Po prostu wsiądź na mój grzbiet. Jestem dostatecznie silny, by unieść nawet kilku krawców.

Krawcowi natychmiast wróciła odwaga. Wskoczył na grzbiet konia, uchwycił się jego grzywy i kasztanek pogalopował w stronę miasta. Przeleciał przez bramę i ruszył pędem w stronę pałacu, aż przechodnie odskakiwali na boki. Nie zważając na wartowników, kasztanek pomknął po schodach i wpadł na dziedziniec, gdzie zaczął biegać w kółko, coraz szybciej i szybciej, a krawiec z całej siły czepiał się jego grzywy. W końcu rozległ się straszliwy trzask i koń upadł pośrodku dziedzińca. W tej samej chwili w ziemię uderzył piorun i w powietrze wyleciały kamienie i grudy ziemi, które wzbiły się ponad dachy zamku, po czym z ziemi wytrysnęła fontanna wysoka jak mężczyzna na koniu. Woda była tak czysta, że załamywały się w niej tęczo promienie słońca.

Król stał w drzwiach, obserwując to wszystko ze zdumieniem. Kiedy koń poderwał się na nogi i dźwignął się też z ziemi krawiec, który drżał na całym ciele, król podbiegł do niego i uściskał go w obliczu całego dworu.

Krawiec odzyskał łaski monarchy, ale nie trwało to długo. Tym razem podstępny szewc wziął na cel rodzinę królewską. Król miał wiele córek, jedną piękniejszą od drugiej, ale żadnego syna, i wszyscy wiedzieli, że chciałby mieć następcę tronu. Szewc poszedł do króla i rzekł:

— Wasza Królewska Mość, obawiam się, że to, co chcę ci teraz powiedzieć, bardzo ci się nie spodoba, ale nie mogę tego ukrywać. Ten bezczelny krawiec chełpi się, że gdyby chciał, mógłby sprawić, że Waszej Królewskiej Mości spadłby z nieba syn.

Tego było już za wiele. Król znów wezwał do siebie krawca.

— Podobno mówisz, że możesz mi dać syna. Cóż, masz dziewięć dni. Daj mi w tym czasie potomka, a poślubisz moją najstarszą córkę.

Warto by wygrać taką nagrodę, pomyślał krawiec. Wiele bym zrobił, by poślubić księżniczkę, ale to chyba za wysokie progi dla mnie. Gdybym miał takie ambicje, łatwo mógłbym się sparzyć. Co robić?

Poszedł do swojego warsztatu, usiadł po turecku na ławie i zaczął się zastanawiać, co ma począć. W końcu skapitulował.

— To bez sensu! — zawołał. — Nie dam rady tego dokonać i tym razem muszę na dobre stąd odejść. Nie można tu spokojnie żyć.

Związał tobołek i wyruszył w drogę. Kiedy dotarł do łąki, zobaczył swojego przyjaciela bociana, który z miną filozofa spacerował powoli tam i z powrotem. Co pewien czas ptak przystawał, spoglądał uważnie na żabę, chwycił ją dziobem i połykał.

Zauważywszy krawca, bocian podszedł do niego, by go powitać.

— Widzę, że niesiesz swój dobytek. Czy to znaczy, że opuszczasz miasto?

Krawiec opowiedział mu o swoich kłopotach.

— Król stale zleca mi niewykonalne zadania, choć dotąd sprostąłem wszystkim dzięki pomocy przyjaciół. Ale to zadanie zupełnie przekracza moje możliwości.

— Cóż, nie martw się, bo osiwiejesz — odparł bocian. — My, bociany, mamy duże doświadczenie w kwestii niemowląt. Wyciągnięcie małego księcia ze studni, w której się rodzą dzieci, nie zajmie mi dużo czasu. Wracaj do domu, drogi przyjacielu, i czekaj. Dziewięć dni, tak? Za dziewięć dni idź do pałacu, a ja też tam przylecę.

Krawiec wrócił do domu w znacznie lepszym nastroju i wyznaczonego dnia udał się do pałacu. Kiedy przybył na miejsce, rozległo się stukanie w szybę i pojawił się bocian. Krawiec otworzył okno i ptak wleciał do sali, niosąc w dziobie tobołek. Ruszył ostrożnie po gładkiej marmurowej posadzce, położył tobołek na kolanach królowej, która go otworzyła i ujrzała ślicznego chłopczyka wyciągającego do niej rączki. Uszczęśliwiona wzięła niemowlę na rękę, tuląc je i całując.

Przed odlotem bocian zdjął z grzbietu drugi tobołek i wręczył go królowi. W środku znajdowały się grzebienie, lusterka, wstążki i inne ozdoby, prezenty dla wszystkich księżniczek z wyjątkiem najstarszej, która miała poślubić krawca.

— Wydaje mi się, że to ja zdobyłem najlepszą nagrodę — mruknął krawiec. — Moja stara matka mimo wszystko miała rację. Zwykła mawiać, że kto ufa Bogu, zawsze sobie poradzi, oczywiście pod warunkiem, że nie opuści go szczęście.

Szewc musiał uszyć buty, w których krawiec tańczył na weselu, potem jednak kazano mu na zawsze opuścić miasto. Odszedł w posępnym nastroju i powlókł się gościńcem w stronę lasu, aż dotarł do szubienicy. Zupełnie opadł z sił, więc zmęczony, zły i rozgoryczony położył się na ziemi i już miał zasnąć, gdy dwa kruki siedzące na głowach wisielców podleciały do niego i wydziobały mu oczy. Wtedy oszalał i uciekł do lasu, gdzie pewnie umarł z głodu, bo nigdy więcej o nim nie słyszano.

* * *

Typ baśni: ATU 613, *Dwaj wędrowcy*, kontynuowane jako ATU 554, *Wdzięczne zwierzęta*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez studenta o nazwisku Mein, pochodzącego z Kilonii

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Right and Wrong (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *The King of the Herrings (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Two Muleteers (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Królowa pszczół, Świnka morska, Biały wąż (Baśnie domowe i dziecięce)*

Ta baśń pojawiła się w zbiorze baśni braci Grimm dopiero w piątym wydaniu z 1843 roku. To opowieść, która ma w sobie mnóstwo wigoru: narracja posuwa się naprzód bez przerw lub zgrzytów, a dwa typy baśni połączono tak zręcznie, że zupełnie nie widać, gdzie kończy się pierwsza, a zaczyna druga. Mały krawiec byłby dumny z jakości wykonania. Dumny powinien być również student Mein, który był źródłem braci Grimm.

Bohater tej opowieści, podobnie jak wielu baśniowych krawców, jest niski, wesoły i sprzyja mu szczęście. Ma dużo wspólnych cech z innymi bohaterami baśni braci Grimm. Jak pisze Jack Zipes: „Są to najczęściej chłopci, rzemieślnicy lub kupcy. Pod koniec wielu bajek ci bohaterowie, mężczyźni lub kobiety, awansują społecznie — zdobywają żonę lub męża, stają się bogaci, zyskują władzę. (...) Awans postaci z niższych warstw społecznych jest legitymizowany przez ich pracowitość, spryt, umiejętność wykorzystywania nadarzających się okazji i otwartość” (*The Brothers Grimm*, str. 114—115).

Opis ten z pewnością pasuje do małego krawca, choć dużą rolę w jego życiu odgrywa szczęśliwy traf. Natomiast szewc to łotr, od samego początku. Szczęście mu nie sprzyja i niech tak zostanie.

Jasio Jeż

Żył raz chłop, który miał dużo pieniędzy i ziemi, ale mimo bogactwa czegoś mu brakowało. Był bezdzietny. Kiedy spotykał w mieście lub na targu innych chłopów, często kpili, że on i jego żona nie potrafią zrobić tego, co stale robi bydło. Czy nie wiedzą, skąd się biorą dzieci? W końcu stracił cierpliwość, wrócił do domu, zaklął i zawołał:

— Będę miał dziecko, choćby jeża!

Wkrótce potem jego żona urodziła syna, co poznali po dolnej połowie ciała. Górna połowa miała postać jeża. Kobieta była przerażona, gdy to zobaczyła.

— Widzisz, co zrobiłeś?! — krzyknęła. — To wszystko twoja wina!

— Nic nie poradzimy — odparł chłop. — Jesteśmy na niego skazani. Musimy go ochrzcić jak normalne dziecko, ale nie wiem, kogo poprosić na ojca chrzestnego.

— Jedyne imię, jakie możemy mu nadać, to Jasio Jeż — rzekła żona.

Ksiądz ochrzcił chłopca i powiedział:

— Nie wiem, jakie mu zrobicie posłanie. Nie może spać na zwykłym sienniku, bo zupełnie by go podziurawił.

Chłop i jego żona przyznali księdzu rację i na zapiecku zrobili dla chłopca posłanie ze słomy. Matka nie mogła karmić syna piersią; próbowała, ale było to zbyt bolesne. Chłopiec przez osiem lat leżał na zapiecku, aż w końcu jego ojciec miał go serdecznie dość. Oby wreszcie zdechł! — myślał, ale Jasio Jeż nie chciał umrzeć i po prostu sobie leżał.

Pewnego dnia w mieście odbywał się jarmark i chłop postanowił tam pojechać. Spytał żonę, co jej przywieźć.

— Mięso na kotlet i pół tuzina bułek — odpowiedziała.

Później spytał o to samo służącą, która poprosiła o parę bucików i ładne pończochy. Wreszcie zwrócił się do syna:

— A ty co byś chciał?

— Dudy, tato — odparł Jasio Jeż.

Po powrocie z jarmarku chłop dał żonie mięso i bułki, a służącej buty i pończochy. W końcu poszedł na zapiecek i wręczył Jasiowi dudy.

— Tato, idź do kowala i każ podkuć koguta — powiedział chłopiec. — Kiedy to zrobisz, odjadę i nigdy nie wrócę.

Chłop był uszczęśliwiony, że się go pozbędzie, więc zabrał koguta do kowala i kazał go podkuć. Kiedy wszystko było gotowe, Jasio Jeż wskoczył na grzbiet koguta i odjechał do lasu, zabierając ze sobą kilka świń, które zamierzał tam hodować.

W lesie spał koguta ostrogami, a ten wzbił się wysoko w powietrze i wylądował w koronie drzewa. Jasio Jeż siedział na kogucie, doglądając świń i ucząc się grać na dudach. Mijały lata, a chłop nie wiedział, co się dzieje z synem, ale stadko świń rosło i rosło, i Jasio Jeż grał coraz lepiej. Jego melodie były piękne.

Pewnego razu w pobliżu przejeżdżał król. Zabłądził w lesie i ze zdumieniem usłyszał piękną muzykę, więc zatrzymał się, by posłuchać. Nie miał pojęcia, skąd dochodzi, i wysłał służącego, żeby odnalazł grajka. Służący się rozejrzał i wrócił do króla.

— Na tamtym drzewie są dwa dziwne zwierzątka, Wasza Królewska Mość — powiedział. — Wygląda na to, że na grzbiecie koguta siedzi jeż i gra na dudach.

— Idź i spytaj go o drogę! — rozkazał król.

Służący zbliżył się do drzewa i zawołał, a Jasio Jeż przestał grać i zszedł na ziemię. Ukłonił się królowi i rzekł:

— Czym mogę służyć, Wasza Królewska Mość?

— Wskaż mi drogę do mego królestwa. Zabłądziłem.

— Z przyjemnością, Wasza Królewska Mość. Wskażę ci drogę, jeśli przyrzekniesz na piśmie, że dasz mi pierwszą istotę, która cię powita, gdy wrócisz do domu.

Król spojrział na chłopca i pomyślał: Łatwo mogę to obiecać. Ten potwór nie umie czytać, więc napiszę byle co.

Wyjął pióro i inkaust, po czym napisał kilka słów na kawałku papieru. Jasio Jeż wziął papier i wskazał drogę, a król szybko dotarł z powrotem do pałacu.

Kiedy córka króla zobaczyła, że ojciec wraca, wybiegła mu na spotkanie, by go uściskać i ucałować. Była pierwszą osobą, która go powitała, i oczywiście król pomyślał o Jasiu Jeżu. Powiedział córce, że niewiele brakowało, by ją obiecał dziwnemu zwierzęciu, które siedziało na kogucie i grało na dudach.

— Ale nie martw się, kochanie — zakończył. — Napisałem coś zupełnie innego. Jeź nie zdoła tego przeczytać.

— To dobrze, bo i tak bym z nim nie odjechała — odpowiedziała królewna.

Tymczasem Jasio Jeź wciąż siedział w lesie, doglądając świń i grając na dudach. Las był bardzo wielki i wkrótce pojawił się inny król ze sługami i heroldami. On także zabłądził. Podobnie jak ten pierwszy, usłyszał piękną muzykę i kazał heroldowi sprawdzić, skąd pochodzi.

Herold zauważył Jasia Jeża siedzącego na drzewie i grającego na dudach i spytał go, co robi.

— Pilnuję świń — odpowiedział Jasio. — Czego chcesz?

Herold wyjaśnił, o co chodzi, a Jasio zszedł na ziemię i powiedział staremu królowi, że wskaże mu drogę w zamian za obietnicę: król musi dać mu pierwszą istotę, która powita go, gdy wróci do domu. Król się zgodził i podpisał dokument z takim przyrzeczeniem.

Kiedy dopełniono formalności, Jasio Jeź dosiadł koguta i pojechał przodem, pokazując królowi, jak ma się wydostać z lasu, po czym go pożegnał i wrócił do świń. Ku radości wszystkich dworzan król dotarł bezpiecznie do domu. Pierwsza wybiegła mu na spotkanie jego jedyna córka, bardzo piękna dziewczyna.

Zarzuciła mu ręce na szyję, ucałowała go i spytała, gdzie był i dlaczego tak długo nie wracał.

— Zabłądziliśmy, kochanie — odparł ojciec. — Ale w głębi lasu napotkaliśmy wyjątkowo dziwną istotę: w połowie chłopca, w połowie jeża, który siedział na kogucie i grał na dudach. Robił to nadzwyczaj pięknie. Wskazał nam drogę i... eee... Cóż, musiałem mu obiecać, że dostanie pierwszą istotę, która wyjdzie mi na spotkanie, gdy wrócę do domu. Och, najdroższa, strasznie mi przykro...!

Księżniczka kochała ojca i stwierdziła, że nie powinien łamać danego słowa. Przyrzekła, że odjedzie z Jasiem Jeżem, jeśli po nią przybędzie.

Tymczasem w lesie Jasio Jeź pilnował świń. Nieustannie się rozmnażały, aż wreszcie roił się od nich cały las. W końcu chłopiec doszedł do wniosku, że spędził w lesie wystarczająco dużo czasu. Wysłał wiadomość do swojego ojca, prosząc go o opróżnienie wszystkich chlewów w wiosce, ponieważ zamierzał wrócić z wielkim stadem świń i dać trochę wieprzowiny każdemu, kto miałby na nią ochotę.

Otrzymawszy te wieści, chłop się zdenerwował. Myślał, że Jasio Jeź od dawna nie żyje. Wkrótce jego syn się pojawił, prowadząc

ogromne stado świń, i w wiosce urządzono świniobicie, które słyhać było w odległości trzech kilometrów.

Kiedy wszystko się skończyło, Jasio Jeż powiedział:

— Tato, mój kogut potrzebuje nowych podków. Jeśli zaprowadzisz go do kowala, by znów go podkuł, odjadę i nigdy nie wrócę.

Chłop spełnił prośbę syna i z ulgą pomyślał, że ostatecznie się go pozbędzie.

Kiedy kogut był podkuty, Jasio wskoczył na jego grzbiet i odjechał. Po długiej podróży dotarł do królestwa pierwszego króla, który nie dotrzymał swej obietnicy. Król wydał rozkaz, że jeśli do pałacu zbliży się ktoś jadący na kogucie i grający na dudach, należy go zastrzelić, rozplatać szablami, zbombardować, wysadzić w powietrze, udusić, byle tylko nie wszedł do środka.

Ledwie Jasio Jeż się pojawił, zaatakowała go brygada gwardzistów, ale był dla nich za szybki. Spiął koguta ostrogami i ptak wzbił się w powietrze. Przeleciał nad wojskiem, nad murami pałacu i dotarł do okna komnaty króla.

Jasio Jeż usiadł na parapecie i krzyknął, że przybył po to, co mu obiecano. Dodał, że jeśli król spróbuje go oszukać, zapłaci za to życiem, podobnie jak księżniczka.

Król powiedział córce, że lepiej spełnić życzenie Jasia Jeża. Królowna włożyła białą suknię, a król kazał przygotować karetę ciągniętą przez sześć pięknych koni, wyładowaną złotem i srebrem. Dodano też akty własności kilku pięknych gospodarstw i lasów. Karcie miało towarzyszyć dwunastu służących.

Zaprężono konie, służący stanęli w szeregu, królowna zajęła miejsce w karcie, a Jasio Jeż usiadł obok niej z kogutem i dudami na kolanach. Pożegnali się i odjechali. Kiedy tylko opuścili miasto, Jasio Jeż kazał księżniczce wysiąść. Poleciał służącym odejść na kilka kroków i patrzeć w inną stronę. Później podarł na strzepy jej białą suknię i pokłuł dziewczynę kolcami aż do krwi.

— Oto kara za to, że próbowałaś mnie oszukać — powiedział. — A teraz odejdz! Wracaj do domu. Nie podobasz mi się i wcale cię nie chcę!

Królowna wróciła do ojca ze służącymi, złotem i powozem, okryta hańbą. I zasłużyła na to.

Jasio wziął dudy, wskoczył na koguta i pojechał do drugiego królestwa, którego władca zachował się zupełnie inaczej niż ten pierwszy. Rozkazał, że gdyby do królestwa przybył ktoś wyglądający jak jeż i dosiadający koguta, należy mu oddać najwyższe honory;

eskortowany przez kawalerię i entuzjastycznie witany przez tłumy machające chorągiewkami, ma być niezwłocznie przywieziony do królewskiego pałacu.

Król opisał córce, jak wygląda Jasio Jeż, ale kiedy go zobaczyła, przeżyła szok. Jednak nie było rady — jej ojciec dał słowo, więc musiała się na wszystko zgodzić. Serdecznie powitała Jasia i natychmiast zawarli małżeństwo, a później siedzieli obok siebie w czasie uczty weselnej.

Wreszcie przyszła pora, by udać się do łóżka. Jasio Jeż zauważył, że królowna boi się jego kolców.

— Możesz się nie obawiać — powiedział. — Nigdy cię nie skrzywdzę.

Kazał staremu królowi rozpaść wielki ogień w kominku na podeście schodów i postawić przed drzwiami sypialni czterech służących.

— Po wejściu do sypialni zamierzam zrzucić skórę jeża — wyjaśnił. — Służący muszą ją chwycić, cisnąć w ogień i dopilnować, by się spaliła na popiół.

Kiedy zegar wybił jedenastą, Jasio Jeż wszedł do sypialni i zrzucił skórę, kładąc ją obok łóżka. W tej samej chwili do komnaty wpadło czterech służących i chwyciło kolczastą skórę, którą szybko cisnęli w ogień. Stali wokół kominka, czekając, aż się spali, a gdy płomienie strawiły ostatni kolec, Jasio odzyskał wolność.

Położył się do łóżka już jako człowiek. Był jednak cały poparzony i pokryty sadzą, jakby sam znajdował się w ogniu. Król natychmiast posłał po nadwornego medyka, który obmył Jasia i posmarował mu skórę specjalnymi maściami i balsamami. Wkrótce Jasio zaczął wyglądać jak zwyczajny młody człowiek, i to wyjątkowo przystojny. A królowna nie posiadała się z radości.

Nazajutrz rano oboje zbudzili się szczęśliwi, a gdy zjedli śniadanie, odbył się ich drugi ślub. Z czasem Jasio Jeż odziedziczył tron po starym królu.

Kilka lat później zabrał żonę do swego ojca. Oczywiście stary chłop go nie poznał.

— Jestem twoim synem — oznajmił Jasio Jeż.

— Ach, nie, nie! To niemożliwe! — zawołał chłop. — Miałem kiedyś syna, ale wyglądał jak jeż i był cały pokryty kolcami! Dawno temu wyruszył w świat.

Jasio powiedział, że to właśnie on, i podał tyle szczegółów ze swojego życia, że chłop w końcu uwierzył. Rozpłakał się z radości i pojechał z synem do jego królestwa.

* * *

Typ baśni: ATU 441, *Jasio Jeż*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Dorotheę Viehmann

Podobne baśnie: Italo Calvino, *King Crin (Italian Folktales)*;
Giovanni Francesco Straparola, *The Pig Prince (The Great Fairy Tale Tradition*, red. Jack Zipes)

Ta opowieść to bardzo odległy wariant starożytnego mitu o Kupidynie i Psyche, o czym świadczą dwie włoskie wersje. Jednak zanim trafiła do zbioru braci Grimm, pojawiło się w niej wiele intrygujących szczegółów. Wersja niemiecka odznacza się szybkim tempem i oszczędnością środków wyrazu, co charakterystyczne dla Dorothei Viehmann (por. [nota do Zagadki](#)), i występuje w niej cudownie absurdalny bohater, którego odwaga, cierpliwość i urok, nie wspominając o talencie muzycznym, sprawiają, że staje się on jedną z najgłębiej zapadających w pamięć postaci w całym zbiorze.

Całun

Żył raz mały chłopiec, siedmiolatek, tak słodki i piękny, że wszyscy go uwielbiali, a matka kochała go najbardziej na świecie. Pewnego dnia nagle zachorował i umarł. Nic nie mogło pocieszyć matki, która płakała w dzień i w nocy.

Wkrótce potem, niedługo po pogrzebie, dziecko zaczęło się pojawiać nocami w miejscach, gdzie siadywało i bawiło się za życia. Jeśli matka płakała, ono również płakało. Rankiem zjawa znikała.

Ale matka płakała w dalszym ciągu, aż pewnej nocy chłopiec pojawił się w białym całunie, w którym go pochowano. Na głowie miał mały wianek, który też włożono do trumny.

Chłopiec usiadł na łóżku matki i rzekł:

— Och, proszę, przestań płakać, bo inaczej nie zasnę! Mój całun jest zupełnie mokry od twoich łez!

To przestraszyło matkę i przestała płakać.

Następnego dnia syn znów przyszedł do jej łóżka, trzymając w ręku małe światełko.

— Widzisz, mój całun jest już prawie suchy — powiedział. — Będę mógł odpocząć w grobie.

Matka poświęciła swoją udrekę Bogu, znosząc ją cierpliwie i w milczeniu. Syn nigdy więcej się nie pojawił — odtąd spał spokojnie w małym łóżeczku pod ziemią.

* * *

Typ baśni: niesklasyfikowana

Źródło: opowieść z Bawarii, przekazana braciom Grimm przez nieznaną osobę

Por. [moja nota do następnej baśni](#).

Skradzione grosiki

Pewnego razu ojciec, matka i dzieci siedzieli przy stole, jedząc południowy posiłek. Towarzyszył im przyjaciel domu, który przyjechał do nich w odwiedziny. Kiedy zegar wybił dwunastą, gość zobaczył, jak drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi śmiertelnie blade dziecko, ubrane w śnieżnobiałą szatę. Nie rozglądając się i nie mówiąc ani słowa, podążyło prosto do drugiego pokoju. Po chwili wyszło z niego, ciągle milcząc, i opuściło dom.

Dziecko pojawiło się również następnego dnia i jeszcze następnego. W końcu gość spytał ojca, kim jest to piękne dziecko, które co dzień w południe przychodzi i idzie do sąsiedniego pokoju.

— Nie zauważyłem go — odpowiedział ojciec. — Nie mam pojęcia, co to za dziecko.

Nazajutrz, gdy dziecko znowu się pojawiło, gość wskazał je ojcu i matce, ale go nie widzieli. Wstał, podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju i lekko je uchylił. Zobaczył, że dziecko siedzi na podłodze i szuka czegoś w szparach między deskami. Kiedy zauważyło mężczyznę, natychmiast rozpląnęło się w powietrzu.

Gość opowiedział rodzicom, co widział, i dokładnie opisał zjawę. Matka od razu się domyśliła, kto to jest, i zawołała:

— Ach, to mój ukochany synek, który zmarł cztery tygodnie temu!

Unieśli deski i znaleźli dwa grosiki, które matka dała dziecku na jałmużnę dla biedaka. Dziecko pomyślało: Mogę sobie kupić ciastko — i ukryło monety pod podłogą.

Właśnie dlatego nie mogło zaznać spokoju w grobie i co dzień w południe przychodziło szukać grosików. Rodzice dali pieniądze biedakowi i dziecko więcej się nie pojawiło.

* * *

Typ baśni: ATU 769, *Grób dziecka*

Źródło: baśń opowiedziana braciom Grimm przez Gretchen Wild

Połączyłem noty do tej baśni i [Całunu](#) z powodu ich oczywistego podobieństwa. *Całun* nie jest sklasyfikowany w indeksie Aarnego-Thompsona-Uthera i jedyną baśnią podaną jako przykład jest ona sama, pod tytułem *Grób dziecka*.

Obie opowieści są proste i pobożne. To klasyczne historie o duchach, ale chodzi w nich nie o to, by słuchacze drżeli z trwogi, tylko o przekazanie prostego morału. System wierzeń, na którym się opierają, jest prawie przedchrześcijański: zmarli zasługują na odpoczynek, a żywi mogą im w tym pomóc; przesadny smutek to egoizm; grzechy należy odpokutować. Kiedy ludzie podejmują odpowiednie działania, istoty nadprzyrodzone znikają.

W konsekwencji są to tradycyjne, „realistyczne” opowieści o duchach, tak jak historie zebrane w znanym zbiorze *Lord Halifax's Ghost Book* (1934) albo, współcześnie, w *The English Ghost* Petera Ackroyda (2010). Aby upodobnić baśnie braci Grimm do tych opowieści, wystarczyłoby tylko podać imiona bohaterów i nazwy miejsc, gdzie zdarzyły się opisane wypadki. Złudzenie byłoby pełne, gdyby źródło sprytnie zamaskować inicjałami, na przykład: „Pan A., szanowany urzędnik z miasta D., podróżował po księstwie H., gdzie usłyszał następującą opowieść...”.

Ośla kapusta

Żył raz młody myśliwy, który pewnego dnia udał się do swojej ambony w lesie. Szedł zadowolony i beztroski, a po drodze gwizdał na żdźble trawy.

Nagle spotkał biedną staruszkę, która odezwała się:

— Witaj, piękny młodzieńcze! Widzę, że dopisuje ci humor, a ja jestem głodna i spragniona. Czy nie dałbyś mi paru groszy?

Myśliwemu zrobiło się żal staruszki, więc wyjął z kieszeni kilka monet i dał jej. Już miał odejść, gdy kobieta chwyciła go za ramię.

— Posłuchaj, dobry młodzieńcze — powiedziała. — Ponieważ okazałeś mi dobre serce, dostaniesz ode mnie podarek. Idź prosto, a niebawem dotrzesz do drzewa, na którym siedzi dziewięć ptaków. Trzymają pazurami płaszcz i walczą o niego. Chwyć strzelbę i wystrzel w sam środek stada. Natychmiast wypuszczą płaszcz, a jeden ptak spadnie martwy u twoich stóp. Zabierz ten płaszcz, bo ma on czarodziejskie właściwości. Kiedy zarzucisz go na ramiona, wystarczy, że pomyślisz o miejscu, w którym chciałbyś się znaleźć, i natychmiast się tam przeniesiesz. Weź także serce martwego ptaka. Wytnij je i połknij w całości. Jeśli to zrobisz, każdego ranka przez całe życie będziesz znajdował pod poduszką złotą monetę.

Myśliwy podziękował mądrej czarodziejce i pomyślał: To naprawdę dobre podarunki. Mam nadzieję, że mówi prawdę.

Ledwo przeszedł sto kroków, usłyszał w gałęziach nad głową głośny trzepot skrzydeł i skrzeczenie. Spojrzał do góry i zobaczył stadko ptaków szarpiących dziobami i szponami płócienny płaszcz, jakby każdy chciał go zdobyć dla siebie.

— Cóż, dziwne... — mruknął myśliwy. — Wszystko wygląda tak, jak opisała ta stara kobieta.

Chwycił strzelbę i wypalił w sam środek stada ptaków. Większość z nich, skrzecząc, natychmiast odleciała, ale jeden spadł martwy na ziemię, razem z płaszczem. Myśliwy zrobił tak, jak kazała staruszka.

Rozciął nożem ciało ptaka, połknął jego serce, a potem wrócił z płaszczem do domu.

Nazajutrz rano, gdy się obudził, natychmiast przypomniał sobie, co mówiła mądra czarodziejka. Wsunął rękę pod poduszkę i rzeczywiście znalazł lśniąca złotą monetę. Następnego dnia znalazł drugą, później trzecią i powtarzało się to każdego ranka. Wkrótce zebrał piękny stos złota, a wtedy pomyślał: Miło jest zbierać złoto, ale co ja tu właściwie robię? Powinienem zobaczyć trochę świata.

Pożegnał się z rodzicami, zarzucił na ramię strzelbę i tobołek i wyruszył w drogę. Wędrował przez kilka dni, aż dotarł do granicy lasu i zobaczył za drzewami piękny zamek wznoszący się na otwartej przestrzeni. Kiedy podszedł bliżej, zauważył dwie kobiety spoglądające na niego z okna.

Jedna z nich była stara i parała się czarną magią. Odezwała się do drugiej kobiety, swojej córki:

— Mężczyzna wychodzący z lasu nosi w sobie wielki skarb. Musimy go zdobyć dla siebie, kochanie, i wykorzystamy go znacznie lepiej od niego. Połknął serce pewnego szczególnego ptaka i codziennie rano znajduje pod poduszką złotą monetę. — Opowiedziała córce historię myśliwego i mądrej czarodziejki, po czym zakończyła: — Musisz robić to, co ci każę, kochana, bo inaczej pożałujesz!

Kiedy myśliwy zbliżył się do zamku, zobaczył kobiety wyraźniej i pomyślał: Wędruję już od dłuższego czasu i mam mnóstwo pieniędzy. Może powinienem się zatrzymać w tym zamku i odpocząć przez kilka dni?

Oczywiście tak naprawdę chodziło o to, że dziewczyna była bardzo piękna.

Wszedł do zamku, a kobiety go powitały i serdecznie ugościły. Wkrótce zakochał się w córce więdźmy — przez cały czas myślał tylko o dziewczynie. Nie potrafił oderwać od niej oczu i robił wszystko, co kazała. Był jak odurzony.

Widząc to, starucha powiedziała do córki:

— Pora działać. Musimy zdobyć serce ptaka. Nawet nie zauważy, że znikło.

Przygotowała napój i naląa do pucharu, by dziewczyna podała go młodzieńcowi.

— Czy nie wypijesz za moje zdrowie, najdroższy? — spytała.

Myśliwy wypił duszkiem napój i natychmiast ogarnęły go takie mdłości, że wymiotował serce ptaka. Dziewczyna pomogła mu się

położyć, udając troskę i mówiąc wiele gładkich słówek, po czym wróciła na miejsce, znalazła serce, opłukała czystą wodą i połknęła.

Od tej pory myśliwy nie znajdował już złotych monet pod poduszką. Nie miał pojęcia, że zaczęły się pojawiać pod poduszką dziewczyny, a czarownica zabierała je każdego ranka i chowała. Był tak ślepo zakochany, że chciał cały czas przebywać z jej córką.

— Mamy serce, ale to nie wystarczy — rzekła wiedźma. — Musimy także zdobyć czarodziejski płaszcz.

— Nie możemy mu go zostawić? — spytała córka. — W końcu biedak stracił fortunę.

— Nie bądź taka miękka! — zawołała czarownica. — Taki płaszcz jest wart miliony! Nie ma wiele takich ubrań, możesz mi wierzyć. Muszę go zdobyć i tak się stanie!

Powiedziała córce, co ma zrobić, i dodała, że jeśli jej nie posłucha, gorzko pożałuje. Dziewczyna spełniła rozkaz czarownicy: stanęła przy oknie, wyglądając na zewnątrz z bardzo smutną miną.

— Dlaczego stoisz przy oknie z taką smutną miną? — spytał myśliwy.

— Ach, skarby... — odparła z westchnieniem dziewczyna. — Myślę o Górze Granatów, na której można znaleźć najwspanialsze na świecie klejnoty. Tak o nich marzę, że ogarnia mnie wielki smutek... Ale kto potrafiłby tam iść i zabrać je stamtąd? Jedynie ptaki, które umieją latać. Jestem pewna, że żaden człowiek nigdy się tam nie dostanie.

— Jeśli tylko to cię martwi, zdaj się na mnie — odpowiedział myśliwy. — Wkrótce cię pocieszę.

Wziął płaszcz, zarzucił go sobie na ramiona, a później otoczył nim dziewczynę. Następnie pomyślał, że chciałby się znaleźć na Górze Granatów. W mgnieniu oka on i córka czarownicy stanęli pod jej szczytem. Wokół lśniły szlachetne kamienie najrozmaitszych rodzajów: nigdy nie widzieli niczego równie pięknego.

Jednak wiedźma rzuciła zaklęcie, które sprawiło, że myśliwy stał się senny.

— Usiądźmy i odpocznijmy trochę — odezwał się do dziewczyny. — Jestem taki zmęczony, że nie mogę ustać na nogach...

Usiedli, a myśliwy oparł głowę na jej kolanach i po chwili zamknął oczy. Kiedy zasnął, zdjęła mu z ramion płaszcz i sama się nim owinęła, po czym nazbierała tyle granatów i innych klejnotów, ile zdołała unieść, i przeniosła się z powrotem do zamku matki.

Kiedy myśliwy się obudził i zobaczył, że jest sam na dzikiej górze i że czarodziejski płaszcz zniknął, zrozumiał, że ukochana go

oszukiwała.

— Och — westchnął — nie wiedziałem, że świat jest taki zdradziecki! — Siedział zrozpaczony, nie wiedząc, co robić.

Tak się złożyło, że góra należała do kilku okrutnych olbrzymów, i wkrótce myśliwy usłyszał ciężkie kroki trzech z nich. Szybko położył się na ziemi i udawał, że mocno śpi.

Pierwszy olbrzym trącił go stopą i spytał:

— Co tu robi ta glista?

— Rozdepcz ją! — rzekł drugi. — Ja bym to zrobił!

Jednak trzeci olbrzym powiedział:

— Nie zwracajcie sobie głowy tym robakiem. Nie znajdzie tu nic do jedzenia, więc prędzej czy później i tak umrze. A jeśli wejdzie na szczyt, porwą go chmury.

Zostawili myśliwego i odeszli. Młody człowiek słyszał każde ich słowo, a gdy tylko zniknęli mu z oczu, wstał i wspiął się na wierzchołek góry, cały tonący w obłokach.

Siedział na iglicy pokrytej klejnotami, a chmury przepływały obok niego, aż wreszcie jedna chwyciła go i porwała. Przez pewien czas krążyła po niebie — myśliwemu było na niej bardzo wygodnie i gdy spoglądał w dół, widział wiele ciekawych rzeczy. W końcu chmura zaczęła opadać w stronę ziemi, a wtedy zeskoczył i znalazł się w jakimś ogrodzie warzywnym otoczonym wysokim murem.

Chmura wzbiła się w powietrze, a myśliwy został sam wśród kapusty i cebuli.

— Szkoda, że nie ma żadnych owoców — mruknął. — Chętnie zjadłbym ładne jabłko albo gruszkę, bo jestem bardzo głodny. Ale mogę zjeść trochę kapusty. Nie jest smaczna, lecz doda mi sił.

W ogrodzie rosły dwa rodzaje kapusty: jedna miała liście spiczaste, a druga zaokrąglone. Myśliwy zerwał kilka spiczastych liści i zaczął je gryźć. Były dość smaczne, ale po chwili ogarnęło go dziwne uczucie: zaczęła go swędzieć skóra i wyrosły na niej długie włosy. Kręgosłup mu się zakrzywił, a ramiona wydłużyły i zmieniły we włochate nogi z kopytami. Szyja pogrubiała, twarz stała się podłużna i po obu stronach głowy wyrosły długie uszy. Zanim zrozumiał, co się dzieje, zmienił się w osła.

Kapusta zaczęła mu nagle bardzo smakować. Z rozkoszą zjadł całą główkę, a potem zabrał się do kapusty z zaokrąglonymi liśćmi. Po kilku kęsach wszystko się powtórzyło, lecz tym razem w odwrotnej kolejności, i w okamgnieniu zmienił się z powrotem w człowieka.

— Wpadł mi do głowy świetny pomysł! — zawołał. — Teraz mogę odzyskać to, co do mnie należy!

Zerwał główkę kapusty o spiczastych liściach i główkę kapusty o okrągłych liściach, schował je obie do plecaka, przelazł przez mur i odszedł. Szybko zorientował się w terenie i wyruszył do zamku, w którym mieszkała czarownica. Po kilku dniach marszu odnalazł zamek, lecz nie pokazał się tam, póki nie pomalował sobie twarz na brązowo, tak że nie poznałaby go rodzona matka.

Dopiero wtedy zapukał do bramy. Otworzyła mu wiedźma.

— Czy mógłbym tutaj przenocować? — spytał młodzieniec. — Jestem zmęczony i nie mam sił dalej iść.

— Kim jesteś, mój drogi? — odezwała się czarownica. — Co cię sprowadza w te strony?

— Jestem królewskim posłańcem i mój pan wysłał mnie na poszukiwanie najsmaczniejszej kapusty na świecie. Szczęśliwie udało mi się ją znaleźć i jest naprawdę pyszna, ale zaczęła więdnąć od upału. Chyba nie doniosę jej na czas.

Kiedy czarownica usłyszała o pysznej kapuście, sama zapragnęła jej spróbować.

— Czy mógłbyś poczęstować mnie i moją córkę?

— Mam dwie główki. Nie widzę powodu, byście nie mogły zjeść jednej z nich, jeśli pozwolicie mi zostać tu na noc.

Otworzył plecak i dał jej oślą kapustę. Szybko ją wzięła i pośpieszyła do kuchni, śliniąc się na myśl o smacznym kąsku. Nastawiła trochę wody i zręcznie poszatkowała kapustę, po czym gotowała ją przez kilka minut z odrobiną soli i masła. Kapusta pachniała tak apetycznie, że starucha nie mogła się oprzeć i nim zaniósła ją na stół, zjadła jeden listek. Ledwie go przełknęła, natychmiast zaczęła się zmieniać. Po kilku sekundach stała się starą oślicą i wybiegła na dziedziniec, wierzgając z wściekłością.

Po chwili do kuchni weszła służąca. Poczula zapach kapusty z masłem i również nie mogła się powstrzymać, by jej nie spróbować. Był to jej stary zwyczaj — i oczywiście ona także zmieniła się w oślicę. Nie potrafiła utrzymać miski kopytami, więc upuściła ją na podłogę i wybiegła na dwór.

Tymczasem córka czarownicy rozmawiała z królewskim posłańcem.

— Nie wiem, dlaczego mama nie przychodzi — powiedziała. — Kapusta tak ślicznie pachnie.

Myśliwy domyślił się, że stara czarownica jest już unieszkodliwiona.

— Sam przyniosę kapustę — odparł. — Zostaw to mnie.

Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył dwie oślice biegające po dziedzińcu i pomyślał: Świetnie! Mój plan się powiódł! Dobrze im tak!

Zebrał z podłogi kapustę, włożył ją do miski i zaniósł do pokoju. Dziewczyna natychmiast zjadła kilka listków, zmieniła się w oślicę i też wybiegła na zewnątrz.

Myśliwy umył twarz, by mogły go poznać, i podszedł do nich z kawałkiem liny.

— Tak, to byłem ja — powiedział. — Złapałem was i teraz zapłacicie za swoją zdradę!

Związał oślice liną, wyprowadził je z zamku i pognął do młyna. Zastukał do drzwi.

— Czego chcesz? — spytał młynarz.

— Mam tu trzy wstrętne, krnąbrne oślice. Nie są mi do niczego potrzebne i chcę się ich pozbyć. Jeśli je weźmiesz i zrobisz z nimi to, co każę, zapłacę ci tyle, ile zażadasz.

Młynarz rzadko otrzymywał takie propozycje, więc natychmiast się zgodził.

— Co mam z nimi zrobić?

— Bij starą trzy razy dziennie, a karm tylko raz (chodziło o wiedźmę). Ta w średnim wieku ma jeść trzy razy dziennie i dostawać jedno lanie (chodziło o służącą). Najmłodsza nie jest taka zła. Karm ją trzy razy dziennie i w ogóle nie bij. — Młodzieniec nie mógł się zdobyć na to, by nakazać bicie dziewczyny.

Wrócił do zamku i czekał. Po kilku dniach przyszedł do niego młynarz.

— Stara oślica do niczego się nie nadawała — powiedział. — Już zdechła. A dwie pozostałe zrobiły się strasznie smutne. Nie wiem, co z nimi robić.

— W porządku — odparł myśliwy. — Myślę, że otrzymały już wystarczającą karę.

Kazał młynarzowi przypędzić dwie oślice z powrotem do zamku i położył przed nimi główkę kapusty o zaokrąglonych liściach. Kiedy je zjadły, znowu przybrały ludzką postać.

Piękna córka czarownicy upadła na kolana i zawołała:

— Och, najdroższy, przebac mi zło, które ci wyrządziłam! To matka mnie zmusiła! Nie chciałam cię zdradzić, bo kocham cię z całego serca! Czarodziejski płaszcz leży w szafie w sieni! Wypiję miksturę na wymioty, by oddać ci serce ptaka!

— To niepotrzebne — odrzekł myśliwy. — Możesz je zatrzymać. Nieważne, które z nas je ma, bo zamierzam cię poślubić.

Wkrótce potem odbyło się ich wesele i żyli szczęśliwie do końca swoich dni.

* * *

Typ baśni: ATU 567, *Czarodziejskie serce ptaka*, kontynuowane jako ATU 566, *Trzy magiczne przedmioty i cudowne owoce*

Źródło: baśń czeska opowiedziana braciom Grimm przez nieznaną osobę

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Horns (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *Fortunatus (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Crab with the Golden Eggs (Italian Folktales)*

Jak to często bywa u braci Grimm, mamy tu połączenie dwóch typów baśni. Kiedy myśliwy zdobywa serce ptaka i magiczny płaszcz, teoretycznie mogą go spotkać dowolne przygody. Kapusta (czasami tłumaczona jako sałata), po której zjedzeniu człowiek zmienia się w osła, nie ma żadnego logicznego związku z pierwszą częścią opowieści, lecz obie doskonale do siebie pasują.

W rosyjskiej wersji Afanasjewa magiczne owoce (w tym wypadku dwa gatunki jabłek) sprawiają, że na głowie spożywającej je osoby wyrastają dwa rogi — lub z niej znikają. Niewątpliwie jest to mniej niewygodne od przemiany w osła, lecz równie trudne do wytłumaczenia.

W baśni tej szczególnie lubię wesołą dobroduszość młodego myśliwego. Zdumiewające, jak niewiele szczegółów trzeba, by stworzyć osobowość.

Jednooczka, Dwuoczka i Trzyoczka

Żyła raz kobieta, która miała trzy córki. Najstarszą nazwała Jednooczka, bo miała jedno oko na środku czoła. Druga nazywała się Dwuoczka, bo miała dwoje oczu jak zwykli ludzie, a najmłodsza Trzyoczka, bo miała troje oczu — trzecie pośrodku czoła jak najstarsza siostra.

Dwuoczka nie różniła się od normalnych ludzi, więc matka i siostry bez przerwy jej dokuczały.

— Ty dwuoki potworze! — mówiły. — Za kogo ty się uważasz?! Wyglądasz tak pospolicie, smarkulo! Nie pasujesz do nas!

Dawały jej najbrzydsze ubrania i mogła jeść tylko same resztki. Jej życie było udręką.

Pewnego dnia Dwuoczka musiała zaprowadzić kozę na pastwisko. Jak zwykle była głodna, bo na śniadanie zjadła ledwie trochę owsianki wyskrobanej z dna brudnego rondla, w którym matka i siostry ją ugotowały; na dodatek owsianka była przypalona. Usiadła na trawiastym zboczu i zaczęła szlochać. Kiedy się wyplakała, ze zdziwieniem spostrzegła, że w pobliżu stoi kobieta o mądrej i dobrej twarzy.

— Dlaczego płaczesz, Dwuoczko? — spytała.

— Bo mam dwoje oczu jak inni ludzie — odpowiedziała dziewczyna. — Na przykład jak ty. Moja matka i siostry mnie nienawidzą, pomiatają mną, każą mi nosić stare, znoszone łachy i dojadać resztki, które zostawiają na stole. Dziś mogłam tylko wylizać rondel po owsiance, na dodatek przypalonej.

— Cóż, możesz przestać płakać, Dwuoczko — rzekła kobieta, która była mądrą czarodziejką. — Zdradzę ci pewien sekret i nie będziesz więcej głodna. Powiedz po prostu do kozy:

*Kózko, kózko, świat się zmienia!
Przynieś mi coś do jedzenia!*

— a pojawi się przed tobą piękny stół z najróżniejszymi smacznymi potrawami i będziesz mogła się najeść do syta. A kiedy już się najesz, powiedz:

*Kózko, bądź błogosławiona!
Jestem całkiem najedzona!*

— i stół zniknie.

Wypowiedziawszy te słowa, mądra czarodziejka również znikła. Dwuoczka pomyślała, że warto wypróbować zaklęcie, nim je zapomni, a poza tym była zbyt głodna, by czekać.

Dlatego powiedziała:

*Kózko, kózko, świat się zmienia!
Przynieś mi coś do jedzenia!*

Ledwie wyrzekła zaklęcie, natychmiast pojawił się przed nią stół przykryty śnieżnobiałym obrusem. Leżały na nim talerz, srebrny nóż, widelec i łyżka, a także śnieżnobiała płócienna serwetka, a obok stało krzesło, na którym mogła usiąść. A potrawy! Były tam dania zimne i gorące, naczynia z zapiekankami, pieczone, najrozmaitsze warzywa oraz wielka szarlotka, wszystko świeże i ciepłe.

Dwuoczka wprost nie mogła się doczekać. Odmówiła najkrótszą modlitwę, jaką знаła: „Panie Boże, bądź naszym gościem teraz i zawsze!”, po czym usiadła przy stole i zaczęła jeść. Potrawy były tak pyszne, że spróbowała po trochu wszystkiego, a gdy zaspokoila głód, powiedziała:

*Kózko, bądź błogosławiona!
Jestem całkiem najedzona!*

I stół w mgnieniu oka zniknął.

Doskonały sposób sprzątania po posiłku, pomyślała Dwuoczka, która już od lat nie była taka szczęśliwa.

Kiedy wieczorem wróciła z kozą do domu, znalazła starą glinianą miskę z odrobiną zimnego, tłustego gulaszu, który zostawiły dla niej siostry, ale go nie tknęła. Rankiem dostała tylko okruchy grzanek, które upiekły, ale ich także nie zjadła. Przez pierwsze dwa dni siostry nie zauważyły, że nic nie je, bo zwykle zupełnie ją ignorowały, ale

gdy powtórzyło się to następnego dnia, a potem jeszcze następnego, nie mogły tego nie spostrzec.

— Co się dzieje z Dwuoczką? Nic nie je.

— Założę się, że coś knuje.

— Na pewno namówiła jakiegoś głupca, żeby jej przynosił jedzenie. Pazerna krowa!

— Tak, to cała ona!

Postanowiły, że spróbują się dowiedzieć, co się dzieje, więc kiedy następnego dnia Dwuoczka miała zaprowadzić kozę na pastwisko, Jednooczka rzekła:

— Chyba z tobą pójdę. Nie jestem pewna, czy dobrze pilnujesz kozy.

Dwuoczka się domyśliła, co Jednooczka zamierza. Zaprowadziła kozę na łąkę, gdzie zwierzę miało mnóstwo trawy, po czym powiedziała:

— Usiądź, Jednooczko! Zaśpiewam ci piosenkę.

Jednooczka była zmęczona, bo od tygodni nie chodziła tak daleko, a w dodatku ciepłe słońce sprawiło, że stała się senna. Usiadła w cieniu, a Dwuoczka zaśpiewała:

Jednooczko, śpij głęboko!

Jednooczko, zamknij oko!

Powieka siostry opadała coraz niżej, aż jej jedyne oko się zamknęło, i w końcu zaczęła pochrapywać. Kiedy Dwuoczka była pewna, że siostra zasnęła, powiedziała:

Kózko, kózko, świat się zmienia,

Przynieś mi coś do jedzenia!

Natychmiast pojawił się czarodziejski stół, a na nim zupa z porów, pieczony kurczak i truskawki z bitą śmietaną. Dwuoczka najadła się do syta, a potem powiedziała:

Kózko, bądź błogostawiona!

Jestem całkiem najedzona!

I stół zniknął.

Dwuoczka obudziła Jednooczkę i spytała:

— Czy nie miałaś mi pomóc paść kozy? Spałaś przez cały dzień! Mogła uciec i wpaść do rzeki. Na szczęście jej pilnowałam. Wracajmy.

Poszły do domu i Dwuoczka znów nie tknęła resztek jedzenia, które zostawiły jej siostry. Tym razem było to kilka twardych kawałków przypalonego placka. Trzyoczka i matka nie mogły się doczekać, by Jednooczka opowiedziała, co się wydarzyło na łące, ale Jednooczka rzekła tylko:

— Nie wiem. Zasnęłam. Było bardzo gorąco.

— Jesteś do niczego! — prychnęła matka. — Jutro ty pójdziesz, Trzyoczko. Jestem pewna, że Dwuoczka coś knuje!

Nazajutrz Trzyoczka powiedziała do Dwuoczki:

— Dziś ja z tobą pójdę i będę cię pilnować. Zobaczymy, czym ty się właściwie zajmujesz na tym pastwisku.

Poszły z kózką na łąkę. Dwuoczka natychmiast zrozumiała, że Trzyoczka chce ją podpatrzeć, podobnie jak Jednooczka, i gdy dotarły na miejsce, a Trzyoczka usiadła przy żywopłocie, Dwuoczka zaczęła śpiewać:

Śpij, Trzyoczko, oczy zmruż!

Ale potem, zamiast zaśpiewać, tak jak zamierzała:

Śpij, Trzyoczko, zaśnij już!

zaśpiewała:

Śpij, Dwuoczko, zaśnij już!

A potem śpiewała dalej:

Śpij, Trzyoczko, oczy zmruż!
Śpij, Dwuoczko, zaśnij już!

Stopniowo dwoje oczu Trzyoczki się zamknęło, ale trzecie pozostało otwarte, bo Dwuoczka nie ukołysała go śpiewem do snu. Trzyoczka opuściła powiekę, tak że trzecie oko wydawało się zamknięte, ale tylko udawała. Widziała nim wszystko.

Kiedy Dwuoczka uznała, że siostra zasnęła, zaśpiewała:

*Kózko, kózko, świat się zmienia,
Przynieś mi coś do jedzenia!*

Natychmiast pojawił się stół. Tym razem stał na nim barszcz czerwony z krokietami i pyszne ciasto. Dwuoczka najadła się do syta, a potem zaśpiewała:

*Kózko, bądź błogosławiona!
Jestem całkiem najedzona!*

I stół zniknął.

Trzyoczka obserwowała wszystko, ale kiedy Dwuoczka podeszła, by ją obudzić, szybko zamknęła trzecie oko.

— Chodź, Trzyoczko! — powiedziała Dwuoczka. — Spałaś przez cały dzień. Dobrze, że pilnowałam kozy. Wracajmy!

W domu Dwuoczka znów nie chciała jeść resztek. Tym razem był to wodnisty kapuśniak.

Matka wzięła Trzyoczkę na bok i spytała:

— No i co? Co się działo? Widziałaś?

— Tak, widziałam. Próbowала mnie uspić, ale moje trzecie oko nie zasnęło. Dwuoczka śpiewa kozie taką piosenkę:

*Kózko, kózko, świat się zmienia,
Przynieś mi coś do jedzenia!*

— i nagle pojawia się stół zastawiony pysznymi potrawami, a Dwuoczka zaczyna jeść. Później śpiewa:

*Kózko, bądź błogosławiona!
Jestem całkiem najedzona!*

— i stół znika. Mówię prawdę! Słowo honoru! Widziałam to wszystko! Uspiała dwoje moich oczu, ale trzecie nie zasnęło!

Kiedy matka to usłyszała, wpadła we wściekłość.

— Chodź tu natychmiast, Dwuoczko! — wrzasnęła. — Jak śmiesz się uważać za lepszą od nas?! Robisz magiczne sztuczki z kozą?! Co za bezczelność! Jeszcze pożałujesz, zobaczysz!

Wzięła największy nóż w kuchni i wbiła go kozie w serce, i zwierzę padło martwe na podłogę.

Dwuoczka natychmiast wybiegła z domu i poszła na łąkę, zalewając się łzami. Opłakiwała swój los i biedną małą kózkę, która nigdy nie zrobiła nic złego.

Nagle zauważyła obok siebie mądrą czarodziejkę.

— Dlaczego płaczesz, Dwuoczko? — spytała.

— Nic nie mogłam zrobić! — wyszlochała dziewczyna. — Moja matka wbiła kozie nóż w serce! Teraz już nigdy nie będę mogła jej poprosić o stół z jedzeniem!

— Dam ci dobrą radę — rzekła mądra czarodziejka. — Poproś siostry o wnętrzności kozy i pochowaj je w ogrodzie w pobliżu wejścia do domu. Przyniesie ci to szczęście.

Później zniknęła. Dwuoczka wróciła powoli do domu i powiedziała do sióstr:

— Chciałabym mieć coś na pamiątkę po kozie. Czy mogłabym dostać wnętrzności?

— Jeśli to wszystko, czego chcesz... — mruknęła Jednooczka.

Trzyoczka zaś dodała:

— Och, dajmy jej te flaki! Może wreszcie przestanie się mazać...

Dwuoczka włożyła wnętrzności do miski i poszła do ogródka przed domem, gdzie zakopała je w ziemi.

Nazajutrz rano przed domem wyrosło piękne drzewo. Liście miało ze srebra i rosły na nim dziesiątki owoców wielkości jabłek, wszystkie ze złota. Nikt nie widział nigdy piękniejszego drzewa i oczywiście nikt nie miał pojęcia, jak mogło wyrosnąć w ciągu jednej nocy. Wiedziała to tylko Dwuoczka, bo pojawiło się w miejscu, gdzie pochowała wnętrzności kozy.

Kiedy matka to zobaczyła, powiedziała:

— Wejdź na drzewo, Jednooczko, i zerwij trochę złotych owoców.

Jednooczka, dysząc i sapiąc, wdrapała się na drzewo, by zerwać owoce, ale kiedy wyciągała rękę po złote jabłko, gałąź się odsuwała i dziewczyna nie mogła jej dosięgnąć. I chociaż bardzo się starała, nie udało jej się dotknąć ani jednej gałęzi.

— Jesteś do niczego! — prychnęła matka. — Kiepsko widzisz jednym okiem! Trzyoczko, wejdź na drzewo! Może będziesz widzieć lepiej od swojej siostry!

Jednooczka zeszła na ziemię, po czym na drzewo wdrapała się Trzyoczka, ale pomimo lepszego wzroku nie spisała się lepiej od siostry. Kiedy wyciągała rękę w stronę jabłka, gałąź się odsuwała i nie można było dosięgnąć owocu. Wreszcie dziewczyna się poddała.

— Mogę spróbować? — spytała Dwuoczka. — Może będę miała więcej szczęścia?

— Ty, taki wybryk natury?!

— Jak możesz myśleć, że dasz sobie radę lepiej od nas, potworze?!

Dwuoczka wspięła się na drzewo i złote jabłka same wpadały jej do rąk, zamiast się od niej odsuwać. Zbierała coraz więcej, aż napełniła cały fartuch. Kiedy zeszła, matka zabrała jabłka, a Jednooczka i Trzyoczka zaczęły odtąd traktować siostrę jeszcze gorzej niż wcześniej. Zżerała je zazdrość, że tylko ona potrafi zrywać złote jabłka.

Pewnego dnia, gdy wszystkie trzy siostry znajdowały się w ogrodzie, koło ich domu przejeżdżał młody rycerz.

Jednooczka i Trzyoczka zauważyły, że się zbliża, i zawołały:

— Szybko, Dwuoczko! Schowaj się za beczkę! Jeśli cię zobaczy, pomyśli, że wszystkie jesteśmy takie okropne!

Wepchnęły ją za stojącą w pobliżu drzewa beczkę, razem ze złotymi jabłkami, które zerwała. Potem stanęły pod drzewem, uśmiechając się zalotnie i krygując. Kiedy rycerz się zbliżył, spostrzegły, że jest przystojny i ma piękną zbroję.

— Dzień dobry! — powiedział, zsiadając z konia. — Cóż za piękne drzewo! Złoto i srebro! Gdybym mógł dostać jedną gałąź, dałbym wam w zamian, co tylko chcecie.

— O tak, to drzewo należy do nas! — odparła Jednooczka.

— Tylko do nas! — dodała Trzyoczka. — Zerwę ci gałąź, rycerzu.

Ale kiedy próbowała to zrobić, rezultat był taki sam jak poprzednio. Jednooczce również się nie udało. Chociaż obie siostry starały się szybko chwycić gałęzie, zawsze odsuwały się one od nich.

— Dziwne — rzekł rycerz. — Mówicie, że drzewo należy do was, ale nie możecie zerwać jego owoców.

— O tak, należy do nas! — zawołała Jednooczka.

— Drzewo jest po prostu onieśmielone, bo na nie patrzysz — wtrąciła Trzyoczka.

— Pozwól mi spróbować jeszcze raz — poprosiła Jednooczka.

Kiedy rozmawiali, Dwuoczka odsunęła trochę beczkę i potoczyła kilka złotych jabłek do stóp rycerza. Zauważył owoce i cofnął się ze zdumieniem.

— Skąd się wzięły te jabłka?! — zawołał.

— Cóż, mamy jeszcze jedną siostrę, ale...

— Wygląda trochę dziwnie, bo ma dwoje oczu i dlatego...

— Trzymamy ją w ukryciu. Nie chcemy, by przynosiła wstyd rodzinie.

— Pragnąłbym ją zobaczyć — rzekł rycerz. — Dwuoczko, wyjdź, gdziekolwiek jesteś!

Dwuoczka zdołała całkiem odsunąć beczkę i wstała. Rycerz ze zdumieniem spostrzegł, że jest wyjątkowo piękna.

— Czy możesz ułamać dla mnie gałąź, Dwuoczko? — spytał.

— Tak, mogę, bo to drzewo należy do mnie — odpowiedziała dziewczyna.

Z największą łatwością weszła na drzewo i odłamała gałąź z pięknymi srebrnymi liśćmi i złotymi owocami, po czym wręczyła ją rycerzowi.

— Co chciałabyś dostać w zamian, Dwuoczko? — spytał.

— Ach, cierpię głód i pragnienie i od świtu do nocy jestem smutna. Gdybyś mnie stąd zabrał, byłabym ci bardzo wdzięczna.

Rycerz chwycił ją, posadził na konia i zawiózł do zamku swojego ojca. Dał jej piękne szaty; mogła jeść i pić do woli. Zakochał się w niej i pojął ją za żonę, a ich wesele radośnie świętowano w całym królestwie.

Kiedy Dwuoczka odjechała z przystojnym rycerzem, dwie siostry szalały z zazdrości. Ale przynajmniej piękne drzewo ciągle należy do nas, myślały. Nawet jeśli nie możemy zbierać złotych jabłek, ludzie będą się zatrzymywać, by je podziwiać, i kto wie, co z tego wyniknie? Może dopisze nam szczęście?

Ale następnego ranka spostrzegły z przerażeniem, że drzewo znikło, a wraz z nim wszystkie ich nadzieje. Tymczasem Dwuoczka wyjrzała przez okno sypialni i zobaczyła drzewo stojące na dziedzińcu zamku — w nocy wyciągnęło korzenie z ziemi i ruszyło w drogę, by ją odnaleźć.

Dwuoczka żyła szczęśliwie przez wiele lat, aż pewnego dnia do bramy zamku zapukały dwie ubogie kobiety, błagając o coś do jedzenia. Popadły w nędzę i wędrowały po świecie, żebrząc od drzwi do drzwi o kawałek chleba. Dwuoczka powitała je i potraktowała tak serdecznie, że zrobiło im się przykro z powodu krzywd, jakie jej wyrządziły. Co najdziwniejsze, mimo upływu tylu lat Dwuoczka natychmiast rozpoznała Jednooczkę i Trzyoczkę.

* * *

Typ baśni: ATU 511, *Jednooczka, Dwuoczka, Trzyoczka*

Źródło: baśń Theodora Peschka, opublikowana w czasopiśmie

„Wöchentliche Nachrichten für Freunde der Geschichte, Kunst

und Gelahrtheit des Mittelalters” (Tygodniowe Wiadomości dla Przyjaciół Historii, Sztuki i Nauki Wieków Średnich), tom 2 (1816)

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Burenushka, the Little Red Cow* (*Russian Fairy Tales*); Jacob i Wilhelm Grimm, *Kopciuszek* (*Baśnie domowe i dziecięce*)

To oczywiście [Kopciuszek](#) z domieszką absurdu. Potwierdza to ponad wszelką wątpliwość obecność mądrej czarodziejki, kozy, wnętrzości i drzewa: są to atrybuty niezbędnej, lecz nieobecnej dobrej matki, która pojawia się w jakiejś formie w każdym wariacie *Kopciuszka*.

W rosyjskiej wersji Afanasjewa Dwuoczka prosi swoje wścibskie siostry, by położyły jej głowy na kolanach, i iska je z wszy. Ten miły szczególnie higieniczny pojawia się również w [Diabie i trzech złotych włosach](#).

Pantofelki zdarte od tańca

Żył raz król, który miał dwanaście córek, jedną piękniejszą od drugiej. Spały razem w jednej komnacie i każdego wieczoru, gdy leżały w łózkach, król własnoręcznie zamykał drzwi na klucz i zasuwiał rygiel. Jednak rankiem, kiedy otwierał drzwi, odkrywał, że pantofelki córek są zdarte od tańca. Nikt nie wiedział, jak to się działo, a księżniczki nie chciały niczego wyjaśnić.

Król oznajmił, że ktokolwiek odkryje, gdzie jego córki tańczą w nocy, będzie mógł wybrać jedną z nich na żonę i w przyszłości sam zostanie królem. Ale jeśli nie odkryje prawdy w ciągu trzech nocy, straci życie.

Wkrótce przybył książę z obcego kraju i podjął się tego zadania. Serdecznie go powitano i ulokowano w komnacie sąsiadującej z sypialnią księżniczek; miał trzymać straż i patrzeć, dokąd idą tańczyć. Przygotowano dla niego łóżko i chcąc ułatwić mu zadanie, pozostawiono otwarte drzwi do sypialni córek króla.

Ale niestety, z upływem nocy powieki księcia stawały się stopniowo coraz cięższe, aż wreszcie zasnął. Kiedy rankiem się obudził, pantofelki księżniczek były zdarte od tańca. To samo zdarzyło się drugiej nocy, a także trzeciej, więc księcia ścięto. Przybyło jeszcze wielu innych, by spróbować szczęścia i wykonać to niebezpieczne zadanie, lecz nikomu się nie udało.

Zdarzyło się, że do miasta zmierzał ubogi żołnierz, który odniósł ranę i nie mógł dłużej służyć w wojsku. Po drodze spotkał starą żebraczkę; zrobiło mu się jej żal i podzielił się z nią ostatnim kawałkiem chleba i resztką sera.

— Dokąd idziesz, kochany? — spytała.

— Szczerze mówiąc, sam nie wiem — odparł, a po chwili dodał: — Tak naprawdę chciałbym odkryć, dokąd chodzą księżniczki, gdy zdzierają sobie pantofelki w tańcu. Potem mógłbym poślubić jedną z nich i zostać królem.

— To niezbyt trudne — odpowiedziała stara kobieta. — Przed snem przyniosą ci kieliszek wina, ale pod żadnym pozorem go nie pij. — Wyjęła z tobołka płaszcz, rozwinęła go i rzekła: — Kiedy włożysz ten płaszcz, staniesz się niewidzialny. Będziesz mógł iść za księżniczkami i odkryć ich tajemnicę.

Żołnierz podziękował i wyruszył w dalszą drogę. Sprawa zaczyna wyglądać poważnie, pomyślał.

W pałacu serdecznie go przyjęto, ulokowano w jednej z komnat i dano wspaniałą strój. Kiedy miał iść spać, najstarsza księżniczka przyniosła mu puchar wina.

Przygotował się na to i schował sobie pod brodą gąbkę. Wylał wino na gąbkę i nie wypił ani kropelki. Później położył się, zamknął oczy i zaczął cicho pochrapywać, by księżniczki myślały, że śpi.

Kiedy dwanaście księżniczek usłyszało jego chrapanie, roześmiały się wszystkie i rzekły:

— Jeszcze jeden głupiec straci życie!

Wstały, otworzyły szafy, komody i garderoby, zaczęły przymierzać suknie, układać włosy i się upiększać. Przez cały czas drżały z podniecenia na myśl o zbliżającym się tańcu. Tylko najmłodsza miała złe przeczucia.

— Śmiejecie się i żartujecie, ale ja czuję, że zdarzy się coś niedobrego — powiedziała.

— Jesteś głupią gąską! — odparła najstarsza księżniczka. — Wszystkiego się boisz! Pomyśl o książętach, którzy próbowali nas szpiegować, żadnemu się nie powiodło. Założę się, że nie musiałabym nawet dawać temu żołnierzowi napoju nasennego. I tak by zasnął.

Kiedy były gotowe, najstarsza księżniczka znów popatrzyła na żołnierza, ale wyglądał, jakby mocno spał, więc uznały, że są bezpieczne. Później najstarsza księżniczka podeszła do swojego łóżka i zastukała w wezgłowie. Łóżko natychmiast się obniżyło i w podłodze pojawił się otwór; księżniczki weszły do niego jedna po drugiej. Żołnierz ukradkiem je obserwował, a gdy zniknęły, włożył płaszcz i podążył za nimi. Aby ich nie zgubić, szedł tak blisko, że nadepnął na suknię najmłodszej, która to poczuła i zawołała:

— Co to takiego?! Kto mnie ciągnie za suknię?!

— Och, nie bądź niemądra! — ofuknęła ją najstarsza. — Na pewno zaczepiłaś o gwóźdź lub coś w tym rodzaju.

Księżniczki zeszły po schodach prowadzących do pięknej alei ze szpalerem drzew, których liście lśniły niczym księżyc, bo były zrobione ze srebra.

Lepiej wezmę coś na dowód, że to nie sen, pomyślał żołnierz i odłamał jedną z gałęzi.

Rozległ się głośny trzask, a najmłodsza księżniczka znów się przestraszyła.

— Słyszałyście?! Coś się dzieje...

— Ależ z ciebie tchórz! — zawołała najstarsza. — To po prostu salut armatni na naszą cześć!

Po srebrnej alei nastąpiła druga, gdzie wszystkie drzewa były ze złota, a później trzecia, brylantowa. W każdej z nich żołnierz odłamał gałąź. Hałas sprawiał, iż najmłodsza księżniczka za każdym razem się niepokoiła, lecz najstarsza powtarzała, że to huk salutów armatnich.

Podążały naprzód, aż dotarły do dużego jeziora, gdzie czekało dwanaście łodzi. W każdej z nich siedział przy wiosłach książę. Kiedy księżniczki pojawiły się na brzegu, książęta wstali i pomogli im wejść do łodzi. Żołnierz niepostrzeżenie wślizgnął się do łodzi najmłodszej księżniczki.

— Nie wiem, dlaczego łódź jest dzisiaj taka ciężka — odezwał się książę. — Bardzo ciężko mi się wiosłuje.

— Myślę, że to z powodu upału — odparła księżniczka. — Ja prawie nie mogę oddychać.

Po drugiej stronie jeziora stał piękny zamek, jasno oświetlony tysiącem lampionów. W powietrzu rozbrzmiewały radosne dźwięki trąb i kotłów. Książęta przybili do brzegu i każdy pomógł swojej księżniczce wysiąść z łodzi. Zaczęli tańczyć. Żołnierz tańczył razem z nimi, a kiedy któraś z księżniczek unosiła do warg kieliszek wina, wypijał je przed nią. Starsze były tym zdziwione, młodsza się przestraszyła, a najstarsza uspokajała siostry.

Księżniczki zostały w zamku do trzeciej nad ranem, aż całkiem zdarły pantofelki i musiały odejść. Książęta przewieźli je z powrotem przez jezioro. Tym razem żołnierz usiadł w łodzi najstarszej księżniczki. Wysiadł pierwszy i popędził naprzód, a kiedy one wróciły do swojej komnaty, już leżał w łóżku i chrapał.

— Jesteśmy bezpieczne — powiedziały, zdjęły piękne suknie, postawiły zdarte pantofelki pod łózkami i poszły spać.

Nazajutrz rano żołnierz nic nikomu nie zdradził. Chciał znowu zobaczyć piękny zamek i szpalery drzew ze srebra, złota i brylantów. Drugiej i trzeciej nocy też poszedł za księżniczkami; wszystko przebiegało tak samo i za każdym razem zdzierały sobie w tańcu pantofelki. Trzeciej nocy przyniósł ze sobą puchar, jako jeszcze jeden dowód.

Ostatniego ranka musiał udzielić odpowiedzi, więc wziął trzy gałęzie i puchar i udał się do króla. Księżniczki stały za drzwiami i słuchały.

— Cóż, minęły trzy noce — powiedział król. — Gdzie tańczą moje córki, zdzierając sobie pantofelki?

— W podziemnym zamku, Wasza Królewska Mość — odparł żołnierz. — Poznały dwunastu księżąt, którzy przewożą je łodziami na drugą stronę podziemnego jeziora.

Opowiedział całą historię i pokazał królowi gałęzie ze srebrnego, złotego i brylantowego drzewa, a także puchar, który przyniósł z zamku. Król wezwał do siebie córki.

— Spodziewam się, że słyszałyście, co powiedział ten człowiek — rzekł. — Czy to prawda?

Księżniczki nie miały wyboru: musiały się przyznać.

— A zatem rozwiązałeś zagadkę — zwrócił się król do żołnierza. — Którą z moich córek chciałbyś pojąć za żonę?

— Cóż, nie jestem już taki młody, więc sądzę, że najlepsza będzie najstarsza — odparł żołnierz.

— Będzie twoja — oznajmił król i jeszcze tego samego dnia wyprawiono wesele.

Król obiecał żołnierzowi, że odziedziczy po nim tron. A na księżąt z podziemnego zamku rzucono czar, który trwał tyle nocy, ile przetańczyli ich z księżniczkami.

* * *

Typ baśni: ATU 306, *Stańcowane pantofelki*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Jenny von Droste-Hülshoff

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *The Secret Ball (Russian Fairy Tales)*

Baśń ta, znana również pod tytułem *Stańcowane pantofelki*, odznacza się urokiem, jaki mają wszystkie historie o cudach ukrytych pod ziemią, zwłaszcza jeśli opowiadają o łodziach, pięknych światłach, drzewach o drogocennych liściach, muzyce i tańcu. Oczywiście świetnie się nadają do ilustrowania.

Wprowadziłem do tekstu niewiele zmian — poza tym, że dary starej kobiety (rada i płaszcz) stają się nagrodą za miłosierdzie okazane jej przez żołnierza.

Żelazny Jan

Żył raz król, którego zamek stał nieopodal wielkiej puszczy, gdzie mieszkało mnóstwo dzikich zwierząt. Pewnego dnia król wysłał swojego łowczego, by upolował jelenia, ale łowczy nie wrócił.

— Może miał wypadek — rzekł król i nazajutrz posłał do lasu dwóch następnych myśliwych, lecz oni także nie wrócili.

Trzeciego dnia zwołał wszystkich myśliwych i powiedział:

— Przeszukajcie całą puszczy i nie spocznijcie, póki nie odnajdziecie trzech zaginionych łowców.

Jednak żaden z myśliwych nie wrócił; nie wróciły także psy ze sfory, którą ze sobą zabrali. Od tamtej pory nikt nie ośmielał się wchodzić do lasu. Panowała w nim głęboka cisza i pustka; jedyną oznaką życia były orły i sokoły przelatujące od czasu do czasu nad drzewami.

Trwało to wiele lat, aż pewnego dnia do króla przybył obcy myśliwy, którego nikt nie znał. Powiedział, że szuka zajęcia, i zaproponował, że wejdzie do groźnej puszczy, jednak król nie chciał się na to zgodzić.

— Dzieje się tam coś niesamowitego — rzekł. — Prawdopodobnie ktoś zaczarował ten las. Nie rozumiem, dlaczego tobie szczęście miałyby sprzyjać bardziej niż innym; obawiam się, że zginiesz tak jak oni.

— Chętnie podejmę ryzyko, Wasza Królewska Mość — odpowiedział myśliwy. — Nie znam strachu.

Myśliwy wyruszył do lasu ze swoim ogarem. Wkrótce pies złapał trop i pobiegł, ale już po chwili dotarł do brzegu głębokiego stawu i musiał się zatrzymać.

Nagle z wody wynurzyło się nagie ramię, chwyciło psa i wciągnęło go pod powierzchnię.

Kiedy myśliwy to zobaczył, wrócił do zamku i wziął ze sobą trzech ludzi z wiadrami, by wyczerpali wodę ze stawu. Wykonali polecenie i w końcu, gdy staw był prawie pusty, znaleźli dzikiego

człowieka leżącego na dnie. Skórę miał brązową jak rdza, a długie włosy zasłaniały mu twarz i sięgały aż do kolan. Związali go linami i zaprowadzili do zamku.

Wszyscy zdumieni się na widok dzikiego człowieka. Król kazał go zamknąć w żelaznej klatce na dziedzińcu i zabronił ją otwierać pod groźbą śmierci, a klucz do klatki powierzył królowej. Od tej pory ludzie znów mogli bezpiecznie chodzić do lasu.

Król miał ośmioletniego syna. Pewnego dnia bawił się on na dziedzińcu złotą kulą, która nagle przypadkiem wpadła do klatki dzikiego człowieka.

Chłopiec podbiegł do klatki i zawołał:

— Oddaj mi moją kulę!

— Dopiero jak otworzysz drzwi klatki — odparł dziki człowiek.

— Nie mogę tego zrobić — oznajmił chłopiec. — Tato tego zabronił!

Chłopiec uciekł. Następnego dnia wrócił i znów poprosił dzikiego człowieka o zwrot złotej kuli, ale ten powiedział tylko:

— Otwórz klatkę.

Chłopiec odmówił. Trzeciego dnia, kiedy król pojechał na polowanie, podszedł do klatki i rzekł:

— Nie mogę otworzyć drzwi, nawet gdybym chciał. Nie mam klucza.

— Jest pod poduszką twojej matki — odparł dziki człowiek. — Możesz go łatwo zdobyć.

Chłopiec strasznie chciał odzyskać kulę, więc zapomniał o ostrożności i ukradł klucz. Z trudem przekręcił go w zamku, kalecząc się w palec. Kiedy drzwi się otworzyły, dziki człowiek wyszedł z klatki, oddał mu kulę i pośpiesznie się oddalił.

Chłopiec się przestraszył i zawołał:

— Och, dziki człowieku, nie uciekaj, bo dostanę lanie!

Dziki człowiek się odwrócił, wziął chłopca na barana i ruszył szybko w stronę lasu.

Kiedy król wrócił do zamku, zobaczył pustą klatkę i spytał królową, co się stało. Nie wiedziała, ale zaczęła szukać klucza i odkryła, że zniknął. Potem król i królowa zauważyli, że nigdzie nie ma ich syna; wołali go, lecz na próżno. Wysłali służących, by przeszukali park wokół pałacu królewskiego, a także pobliskie pola i łąki, ale chłopca nie odnaleziono. Domyślili się, co się stało, i na dworze zapanowała żałoba.

Tymczasem dziki człowiek dotarł do serca puszczy, postawił chłopca na ziemi i powiedział:

— Nigdy więcej nie zobaczysz ojca ani matki, ale będę się tobą opiekował, bo mnie uwolniłeś i żał mi ciebie. Rób, co ci każę, a wszystko będzie dobrze. Mam mnóstwo skarbów i złota, więcej niż ktokolwiek na świecie.

Zebrał trochę mchu i zrobił posłanie dla chłopca, który wkrótce zasnął. Nazajutrz rano dziki człowiek, który zwał się Żelazny Jan, zaprowadził go do źródła i rzekł:

— Widzisz? To moje złote źródło. Jest krystalicznie czyste; chciałbym, żeby tak zostało. Siedź tu i strzeż go; pilnuj, by nic nie wpadło do wody, bo nie chcę, by cokolwiek ją skaziło, rozumiesz? Będę przychodził każdego wieczoru i sprawdzał, czy wypełniłeś moje rozkazy.

Chłopiec usiadł przy źródle i patrzył na wodę. Czasami dostrzegał w głębi złotą rybę albo złotego węża; pilnował, by nic nie wpadło do wody. Kiedy siedział na brzegu, zaczął go boleć palec, który skaleczył sobie, gdy otwierał klatkę, i nie mógł się powstrzymać, by nie zanurzyć go w wodzie. Natychmiast go wyjął, ale zobaczył, że palec stał się złoty. Próbował go wycierać, lecz nic to nie dało — cały zmienił się w złoto.

Kiedy Żelazny Jan wrócił wieczorem do domu, popatrzył na chłopca i spytał:

— Co się stało ze źródłem?

— Nic, nic — odpowiedział chłopiec, chowając palec za plecami, by Żelazny Jan go nie zobaczył.

— Zanurzyłeś palec w wodzie — rzekł mężczyzna. — Tym razem ci przebaczę, ale pilnuj, by nic innego nie wpadło do wody.

Wczesnym rankiem chłopiec wstał i poszedł do źródła. Znowu zaczął go boleć palec i tym razem potarł nim głowę. Kiedy to zrobił, do wody wpadł jeden jego włos. Natychmiast go wyjął, ale włos pokrył się złotem.

Wróciwszy do domu, Żelazny Jan wiedział już, co się stało.

— Pozwoliłeś, by do źródła wpadł włos — powiedział. — To już drugi raz. Znowu przymknę na to oko, ale jeśli to się powtórzy, źródło zostanie skażone i nie będziesz mógł tu zostać.

Trzeciego dnia chłopiec bardzo się starał i nawet nie poruszał palcem, chociaż bardzo go bolał. Ale czas płynął powoli i chłopiec, nie mając nic do roboty, pochylił się i spojrział na swoje odbicie w wodzie. Pochylał głowę coraz niżej i niżej, próbując zobaczyć własne oczy, aż nagle jego długie włosy wpadły do wody. Natychmiast cofnął głowę, ale było już za późno — włosy stały się złote i lśniły jak słońce. Możecie sobie wyobrazić, jak się

przestraszył! Owinął głowę chusteczką, by Żelazny Jan nie zobaczył włosów.

Ale kiedy dziki człowiek wrócił do domu, natychmiast wszystko zauważył.

— Rozwiąż chustkę — rozkazał.

Chłopiec musiał to uczynić. Złote włosy opadły mu na ramiona i nie potrafił wymyślić żadnej wymówki.

— Oblałeś egzamin — powiedział Żelazny Jan. — Nie możesz tu dłużej zostać. Musisz iść w świat; dowiesz się tam, co oznacza ubóstwo. Ale nie jesteś złym chłopcem i dobrze ci życzę, więc coś ci obiecuję: jeśli znajdziesz się kiedykolwiek w prawdziwej potrzebie, idź do lasu i zawołaj: „Żelazny Janie!”, a ja przybędę i ci pomogę. Moja potęga jest wielka, większa, niż przypuszczasz, a poza tym mam mnóstwo srebra i złota.

Księżę opuścił las i wędrował po świecie, to przez bezdroża, to utartymi szlakami, aż wreszcie przybył do wielkiego miasta. Szukał pracy, ale jej nie znalazł, bo nigdy nie nauczył się żadnego zawodu. W końcu poszedł do pałacu i spytał, czy dadzą mu jakieś zajęcie.

Pałacowi zarządcy nie wiedzieli, na co mógłby się przydać, lecz był miłym chłopcem, więc pozwolili mu zostać. W końcu kuchmistrz oznajmił, że znajdzie dla niego jakąś pracę; kazał mu nosić drewno i wodę oraz czyścić paleniska.

Pewnego dnia, gdy inni służący byli zajęci, kuchmistrz kazał chłopcu zanieść potrawę na stół królewski. Młody księżę nie chciał, by ktokolwiek zobaczył jego złote włosy, więc stale nosił czapkę. Naturalnie król był zaskoczony, gdy spojrział na niego, i powiedział:

— Chłopcze, kiedy stajesz przed obliczem króla, musisz zdejmować czapkę.

— Lepiej nie, Wasza Królewska Mość — odparł chłopiec. — Mam całą głowę pokrytą łupieżem.

Król wezwał kuchmistrza i skarcił go, że pozwolił chłopcu z łupieżem podawać jedzenie na stół królewski. Kazał go natychmiast zwolnić. Jednak kuchmistrzowi zrobiło się żal chłopca i pozwolił mu zamienić się pracą z pomocnikiem ogrodnika.

Teraz księżę sadił rośliny, podlewał je, przycinał i pielł, często na wietrze i w deszczu. Pewnego letniego dnia, gdy pracował samotnie w ogrodzie, było tak gorąco, że zdjął czapkę, by wiatr ochłodził mu głowę. Kiedy słońce oświetliło jego złote włosy, zaśniły one tak mocno, że na suficie sypialni królowy rozblęły jasne smugi.

Zerwała się z miejsca, by zobaczyć, co to takiego, ujrzała chłopca i zawołała:

— Chłopcze! Przynieś mi bukiet kwiatów!

Księżę szybko włożył czapkę, zerwał kilka polnych kwiatów i związał w bukiet. Kiedy wychodził z ogrodu, zauważył go główny ogrodnik i zawołał:

— Co ty sobie właściwie myślisz?! Jak możesz zanosić królownie takie pospolite kwiaty?! Wyrzuć je szybko i narwij jakichś okazalszych. Te łososiowe róże dopiero co zakwitły; zanieś jej cały bukiet.

— Och, nie! — odpowiedział chłopiec. — Te róże w ogóle nie pachną, a polne kwiaty są takie wonne... Jestem pewien, że bardziej się spodobają królownie.

— Zdejmij czapkę — nakazała królowna, gdy wszedł do jej komnaty. — Niegrzecznie jest nosić czapkę w mojej obecności.

— Nie mogę tego zrobić, Wasza Królewska Wysokość — odparł chłopiec. — Cała moja głowa jest pokryta łupieżem.

W tej samej chwili jednak królowna szybkim ruchem zerwała mu czapkę z głowy. Złote włosy opadły chłopcu na ramiona: był to piękny widok. Chciał uciec, ale złapała go za rękę. A później dała mu garść dukatów i pozwoliła odejść. Wziął dukaty, lecz nie chciał ich zatrzymać, więc dał je ogrodnikowi.

— Twoje dzieci będą miały się czym bawić — powiedział.

Następnego dnia królowna ponownie go wezwała, żądając następnego bukietu polnych kwiatów. Kiedy go przyniósł, natychmiast chwyciła czapkę, próbując ją zerwać, ale mocno ją trzymał. Znow wręczyła mu kilka dukatów i znow dał je ogrodnikowi dla jego dzieci. Trzeciego dnia wszystko się powtórzyło: królowna nie zdołała zdjąć mu czapki, a on oddał złoto.

Wkrótce wybuchła wojna. Król zwołał doradców, ale nie potrafili zdecydować, czy walczyć, czy ustąpić, ponieważ nieprzyjaciel miał wielką, potężną armię.

— Jestem już dorosły — rzekł pomocnik ogrodnika. — Dajcie mi konia, bym pojechał walczyć za swój kraj.

Inni młodzi mężczyźni roześmiali się i powiedzieli:

— Nie martw się, dostaniesz konia po naszym odjeździe. Zostawimy ci go w stajni.

Począł, aż odjadą, a potem zajrzał do stajni. Okazało się, że zostawili mu kulawą szkapę, której kopyta stukały: trik-trak, trik-trak.

Mimo to wsiadł na nią i ruszył w stronę gęstego lasu. Kiedy dojechał do granicy drzew, zatrzymał się i zawołał trzy razy: „Żelazny Janie!”, tak głośno, że rozległo się echo.

Natychmiast pojawił się dziki człowiek i spytał:

— Czego potrzebujesz?

— Jadę na wojnę i potrzebuję dobrego konia — odpowiedział młodzieniec.

— Dostaniesz konia i wiele innych rzeczy.

Żelazny Jan wrócił do lasu, a po chwili spośród drzew wyszedł chłopiec stajenny, prowadząc wspaniałego rumaka, który rżał, wierzgał i ledwo dawał nad sobą zapanować. Za koniem podążała chorągiew zakutych w żelazo rycerzy z mieczami lśniącymi w słońcu.

Młody człowiek zostawił stajennemu kulawą szkapę, dosiadł wspaniałego rumaka i wyruszył w drogę na czele rycerzy. Kiedy dotarli na pole bitwy, wielu żołnierzy królewskich już poległo, a reszta wkrótce poszłaby w rozsypkę. Młodzieniec pogalopował ze swoją żelazną chorągwią i spadł na wroga jak burza — przewracali każdego, kto stanął im na drodze. Nieprzyjacielska armia cofnęła się i w jej szykach zapanował zamęt, a młody człowiek był bezlitosny — nie spoczął, póki wrogowie nie polegli lub nie uciekli.

Po bitwie nie pojechał do króla, tylko okrężną drogą poprowadził swój żelazny hufiec z powrotem do lasu i znów zawołał Żelaznego Jana.

— Czego potrzebujesz? — spytał dziki człowiek.

— Weź swojego rumaka i rycerzy, a oddaj mi moją kulawą szkapę.

Żelazny Jan spełnił jego prośbę i młodzieniec ruszył do domu na kulawej szkapie: trik-trak, trik-trak.

Kiedy król wrócił do pałacu, na spotkanie wybiegła mu córka, gratulując wspaniałego zwycięstwa.

— Miałem w nim niewielki udział — oznajmił król. — Ocalił nas nieznaną rycerz, który przybył na pomoc z chorągwią jeźdźców zakutych w żelazo.

Królowna była ciekawa, co to za tajemniczy rycerz, ale król nic o nim nie wiedział.

— Wiem tylko — rzekł — że zmusił nieprzyjaciół do ucieczki, a potem odjechał.

Poszła do ogrodnika i spytała, gdzie jest jego pomocnik.

— Niedawno wrócił na kulawym koniu — odparł ze śmiechem. — Wszyscy z niego drwią. „Popatrzcie, przyjechał trik-trak!”. A potem

pytają: „Pod jakim krzakiem spałeś?”. Na to on: „Spisałem się lepiej od was. Gdyby nie ja, przegralibyście bitwę”. Wszyscy zrywają boki ze śmiechu.

Król rzekł do córki:

— Zamierzam urządzać wielki turniej. Potrwa trzy dni, a ty rzucisz złote jabłko, które rycerze będą łapać. Może tajemniczy rycerz również się pojawi? Nigdy nic nie wiadomo.

Usłyszawszy o turnieju, młodzieniec poszedł do lasu i wezwał Żelaznego Jana.

— Czego potrzebujesz?

— Chcę złapać złote jabłko księżniczki.

— Załatwione — odpowiedział Żelazny Jan. — Będiesz nosił czerwoną zbroję i jechał na pięknym kasztanowym ogierze.

Kiedy rozpoczął się turniej, młody człowiek przygalopował na swoim ogierze i zajął miejsce wśród innych uczestników. Nikt go nie poznał. Później nadeszła królowna i rzuciła między rycerzy złote jabłko. Młody człowiek je złapał i odjechał galopem.

Następnego dnia Żelazny Jan dał mu białą zbroję i śnieżnobiałego konia. Młodzieniec znów zdobył jabłko i natychmiast odjechał.

Król wpadł w gniew.

— Jeżeli ten rycerz po raz kolejny nie poda swojego imienia i odjedzie, wszyscy pozostali mają go ścigać! — oznajmił. — Jeśli nie wróci z własnej woli, mogą użyć mieczy i włóczni. Nie będę tolerował takiego grubiaństwa!

Trzeciego dnia Żelazny Jan dał młodemu człowiekowi czarną zbroję i karego konia. Młodzieniec znów zdobył jabłko. Ale tym razem pozostali rycerze zaczęli go ścigać i jeden zbliżył się na tyle, że zdołał go zranić w nogę. Zranił również konia, aż ten gwałtownie wierzgnął; próbując nad nim zapanować, młody jeździec zgubił hełm, który upadł na ziemię. I wtedy uczestnicy pościgu zobaczyli, że tajemniczy rycerz ma włosy barwy złota. Nie dostrzegli niczego więcej, bo zdążył uciec. Wrócili do zamku i opowiedzieli wszystko królowi.

Następnego dnia królowna spytała ogrodnika o młodzieńca, który pomaga mu w pracy.

— Przycina róże, Wasza Królewska Wysokość. To dziwny człowiek. Pojechał na turniej, a wczoraj wieczorem wrócił i pokazał moim dzieciom trzy złote jabłka. Powiedział, że je wygrał, ale nie wiem, czy to prawda.

Król kazał wezwać młodego człowieka, który przybył na dwór jak zwykle w czapce. Królowna podeszła do niego i zerwała ją, a wtedy

złote włosy opadły mu na ramiona. Wszyscy się zdziwili, że jest taki przystojny.

— Młody człowieku, czy to ty jesteś rycerzem, który każdego dnia uczestniczył w turnieju w zbroi innego koloru i zdobył trzy złote jabłka?

— Tak — potwierdził młodzieniec. — Oto one. — Wyjął z kieszeni trzy jabłka i oddał je królowi. — Jeśli potrzebujesz dodatkowych dowodów, panie, możesz zobaczyć ranę zadaną mi przez rycerzy, którzy wczoraj mnie ścigali — ciągnął. — I to ja pomogłem twojej armii pokonać nieprzyjaciela.

— Jeśli potrafisz dokonywać takich czynów, nie jesteś zwykłym pomocnikiem ogrodnika — rzekł król. — Powiedz mi: kim jest twój ojciec?

— Potężnym królem, a ja mam mnóstwo złota.

— Hm, rozumiem. Cóż, wiele ci zawdzięczam, to oczywiste — odezwał się król. — Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

— Tak — odpowiedział młody człowiek. — Możesz dać mi za żonę swoją córkę.

Królewna roześmiała się i zawołała:

— Nie owija rzeczy w bawełnę! Kiedy tylko go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że nie jest zwykłym pomocnikiem ogrodnika!

Podeszła do młodzieńca i go pocałowała.

Na wesele przybyli jego rodzice. Byli szczęśliwi, bo stracili nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczą swego syna.

W trakcie wesela, gdy wszyscy doskonale się bawili, muzyka nagle ucichła. Drzwi się otworzyły i do sali wkroczył nieznajomy król z wielkim orszakiem. Zbliżył się do młodzieńca, objął go i powiedział:

— To ja jestem Żelaznym Janem, zmienionym przez czary w dzikiego człowieka, ale ty mnie uwolniłeś. Wszystkie me skarby będą należeć do ciebie.

* * *

Typ baśni: ATU 502, *Dziki człowiek*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez rodzinę Hassenpflugów oraz *Eiserne Hans* (Żelazny Hans), opowieść zamieszczona w pracy Friedmunda von Arnima *Hundert neue Märchen im Gebirge gesammelt* (Sto nowych baśni zebranych w górach, 1844)

Podobne baśnie: Aleksander Afanasjew, *Prince Ivan and Princess Martha (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *Three-for-a-pot (Folk Tales of Britain)*; Andrew Lang, *The Hairy Man (Crimson Fairy Book)*

Historia ta stała się sławna na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, po publikacji książki Roberta Bly'a *Iron John: A Book About Men* (1990), głównego manifestu męskiej części ruchu Mind, Body and Spirit. Bly utrzymywał, że współcześni mężczyźni są sfeminizowani, a nasze wzorce kulturowe pozbawiają ich możliwości autentycznego rozwoju psychicznego. Z tego powodu powinni przejść inicjację do świata prawdziwych mężczyzn; potrzebują do tego wzorców męskości. Takim wzorcem miałyby być dziki człowiek, będący jednym z głównych bohaterów tej opowieści.

Coś w tym może być, ale uważam, że takie procesy są skuteczniejsze wtedy, gdy przebiegają nieświadomie. Słuchacze mogą się zniechęcić, kiedy otrzymują ciężką interpretację tego, czego i tak się domyślali. Tak czy inaczej, to bardzo dobra opowieść.

Jeśli chodzi o odgłos kopyt biednego kulawego konia, w wersjach angielskich możemy wybierać między *higgledy-hop* (D.L. Ashliman, *A Guide to Folktales in the English Language*), *clippety clop* (Ralph Mannheim, *The Penguin Complete Grimms' Tales for Young and Old*), *hobblety jig* (Margaret Hunt, *The Complete Grimm's Fairy Tales*), *hippety-hop* (Jack Zipes, *Brothers Grimm: The Complete Fairy Tales*) oraz *hobbledy-clop* (David Luke, *Brothers Grimm: Selected Tales*). Wersja Luke'a jest oczywistym zwycięzcą, więc ją wykorzystałem⁵.

Moim zdaniem warto odnotować, że niemiecki pierwowzór to *hunkepuus*.

Góra Simeli

Żyło raz dwóch braci, jeden bogaty, drugi biedny. Pierwszy brat, chociaż bogaty, nie pomagał drugiemu, który ledwo zarabiał na życie jako handlarz zbożem. Miał pecha i bardzo często z trudem mógł zdobyć kawałek suchego chleba, by nakarmić żonę i dzieci.

Pewnego dnia ubogi brat pchał przez las swój wózek, kiedy nagle zauważył na skraju gościńca wysoką, kamienistą górę. Nigdy wcześniej jej nie widział i patrzył na nią ze zdziwieniem, gdy wtem zobaczył, że zbliża się do niego tuzin mężczyzn o groźnym wyglądzie. Jeszcze go nie spostrzegli i pomyślał, że mogą być rozbójnikami, więc wepchnął wózek w krzaki i wdrapał się na drzewo, by się ukryć.

Mężczyźni podeszli do podnóża góry i zawołali:

— Góro Semsy, góro Semsy, otwórz się!

Natychmiast rozległ się łoskot głazów i w zboczu góry otworzyło się wejście do jaskini. Dwunastu mężczyzn wkroczyło do środka, a gdy się tam znaleźli, wejście się zamknęło.

Handlarz zbożem siedział na drzewie, zastanawiając się, co robić. Nie minęło dużo czasu, gdy znów rozległ się łoskot i jaskinia się otworzyła, a mężczyźni wyszli z niej, niosąc na plecach ciężkie worki.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, zawołali:

— Góro Semsy, góro Semsy, zamknij się!

Wejście do jaskini zamknęło się tak szczelnie, że w ogóle nie było go widać, i dwunastu rozbójników wróciło tam, skąd przybyło.

Kiedy znikli z pola widzenia, ubogi handlarz zszedł z drzewa. Był ciekaw, co się znajduje w jaskini, więc podszedł do góry i zawołał:

— Góro Semsy, góro Semsy, otwórz się!

Góra natychmiast się otworzyła i wszedł do jaskini, którą wypełniały nieprzebrane skarby: srebrne i złote monety, perły, rubiny, szmaragdy i diamenty, a ich stosy były wyższe niż sterty stosów zboża, jakie widywał na targu. Stał, zastanawiając się, co ma

robić i czy powinien zabrać coś dla siebie. W końcu nie mógł się powstrzymać i napełnił kieszenie złotymi monetami. Ale nie tknął klejnotów.

Kiedy skończył, wyrzwał ostrożnie na zewnątrz, po czym wymknął się z jaskini i zawołał:

— Góro Semsy, góro Semsy, zamknij się!

Wejście posłusznie się zamknęło i handlarz wrócił do domu z pustym wozem.

Przez pewien czas żył szczęśliwie, bo miał dość złota, by kupić chleb dla swojej rodziny. Stać go było także na mięso i wino. Co więcej, mógł dawać jałmużnę ubogim. Prowadził uczciwe, dostatnie życie, czyniąc wiele dobra. Kiedy skończyły mu się pieniądze, pożyczył od brata wiadro o pojemności miary zboża i pojechał do góry Semsy, gdzie napełnił je złotymi monetami. Tak jak poprzednio, nie tknął klejnotów.

Kiedy chciał po raz trzeci przywieźć z jaskini złote monety, znów poprosił brata o wiadro. Ten zaś był bardzo zaintrygowany, bo nie miał pojęcia, skąd handlarza zbożem stać na tak bogate umeblowanie domu i dostatnie życie, więc zastawił pułapkę. Posmarował smołą dno wiadra, a kiedy je odzyskał, zobaczył, że do smoły przylepiła się złota moneta.

Natychmiast poszedł do brata.

— Do czego używasz mojego wiadra? — spytał.

— Odmierzam pszenicę i jęczmień — odpowiedział handlarz zbożem, ale brat pokazał mu złotą monetę i rzekł:

— Czy to pszenica? A może jęczmień?! Daj spokój, chcę znać prawdę! Jeśli mi nie powiesz, o co chodzi, doniosę na ciebie policji!

Handlarz zbożem nie miał wyboru i musiał opowiedzieć wszystko bratu. Kiedy bogacz usłyszał o skarbach ukrytych w górze Semsy, zaprzągnął osła do wozu i pojechał do jaskini. Zamierzał zabrać znacznie więcej złota niż brat i przywieźć do domu dużo klejnotów.

Podszedł do góry i zawołał:

— Góro Semsy, góro Semsy, otwórz się!

Góra się otworzyła i wszedł do jaskini. Stał przez dłuższy czas, gapiąc się na te wszystkie skarby i nie wiedząc, w czym najpierw zanurzyć ręce. W końcu zaczął napychać kieszenie klejnotami. Zamierzał napełnić nimi cały wóz, ale ponieważ myślał tylko o skarbach, zapomniał o najważniejszym. Kiedy chciał otworzyć jaskinię, by z niej wyjść, zawołał:

— Góro Simeli, góro Simeli, otwórz się!

Oczywiście nazwa była błędna. Góra ani drgnęła. Bogacza ogarnął strach i zaczął próbować różnych nazw:

— Góro Sipsak! Góro Sepsik! Góro Spiteli! Góro Spotnik! Góro Sizwiz!

Naturalnie żadne z zaklęć nie działało. Im większy miał mętlik w głowie, tym bardziej się bał, a im bardziej się bał, tym większy miał mętlik w głowie.

Połamiał sobie paznokcie, drapiąc skały i próbując znaleźć miejsce, gdzie znajdowało się wyjście z jaskini. I przez cały czas usiłował sobie przypomnieć właściwą nazwę.

— Góro Snipfisz! Góro Selik! Góro Sasalik! Góro Sapanokel! Góro Sikadirkus!

Nie pomogły mu klejnoty schowane w kieszeniach, jego kantor wymiany, jego nieruchomości, rachunki bankowe, akcje i obligacje — nic nie mogło mu pomóc.

Nagle, ku swojemu przerażeniu, usłyszał na zewnątrz wołanie:

— Góro Sems, góro Sems, otwórz się!

Oczywiście! Właśnie tak brzmiała nazwa! Jak mógł zapomnieć?! Po chwili otworzyło się wejście do jaskini i zobaczył dwunastu groźnych rozbójników.

— Witaj, przyjacielu! — rzekł największy i najgroźniejszy z nich. — Wreszcie cię dopadliśmy. Myślisz, że nie wiemy, że byłeś w jaskini już dwa razy?

— To nie ja! To mój brat! Naprawdę! To on ukradł klejnoty! Przyszedłem je zwrócić! Przysięgam!

Wszystkie jego zapewnienia, prośby i błagania na nic się nie zdały. Rankiem wszedł do jaskini cały i zdrowy. Wieczorem opuścił ją w kilku częściach.

* * *

Typ baśni: ATU 676, *Czterdziestu rozbójników*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Ludowine von Haxthausen

Podobne baśnie: *Ali Baba i czterdziestu rozbójników (Baśnie z tysiąca i jednej nocy)*; Italo Calvino, *The Thirteen Bandits (Italian Folktales)*

Oczywiście jest to pierwsza część jednej z popularnych opowieści wchodzących w skład *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. A przynajmniej

ich francuskiego przekładu pióra Antoine'a Gallanda (1646—1715), co jednak nie oznacza, że jest to baśń arabska. Oryginalne rękopisy *Ali Baby* oraz *Aladyna* nie są znane i badacze podejrzewają, że Galland sam wymyślił te historie. Włoska wersja Calvina jest podobna do wersji braci Grimm.

Lecz gdzie jest druga część? Brakuje mi poćwiartowanych zwłok brata, które zostają zszyte, i rozbójników ukrytych w dzbanach na oliwę, a później ugotowanych przez wierną służącą. Albo Ludowine von Haxthausen nie знаła tych wątków (podobnie jak źródło Calvina), albo ktoś, może sami bracia Grimm, uznał, że lepiej je pominąć. Ale to nieprawda. Nie byłoby trudno nadać niemieckiej formy egzotycznym elementom wspaniałej baśni Gallanda i zrećźnie wszystko zaokrąglić.

Leniwy Henryś

Henryś był leniwy do szpiku kości. Chociaż nie miał nic do roboty oprócz wyprowadzania kozy na pastwisko, co wieczór po powrocie do domu skarżył się na swój los.

— Przez cały rok dzień po dniu muszę wyprowadzać kozę na łąkę, a to strasznie ciężka praca. Zajmując się czymś innym, można od czasu do czasu zamknąć oczy i uciąć sobie drzemkę. Ale ja nie mogę tego zrobić. Cięży na mnie wielka odpowiedzialność. Muszę przez cały czas patrzeć, czy koza nie ogryza młodych drzew, czy nie przechodzi przez żywopłot do czyjegoś ogrodu, a nawet czy nie próbuje uciec. Bardzo chciałbym wreszcie odpocząć, poleniuchować, cieszyć się życiem. Jak to zrobić, do licha?!

Usiadł i zebrał myśli. Okazało się to bardzo łatwe, bo było ich niewiele i wszystkie dotyczyły jednej rzeczy — jakie ciężkie ma życie. Przez długi czas siedział, gapiąc się w dal, po czym nagle wstał i klasnął w dłonie.

— Wiem, co zrobię! — zawołał. — Poślubię Grubą Trinę. Ona także ma kozę i może się zająć moją, co mi oszczędzi pracy. Znakomity pomysł!

Wstał z krzesła i przeszedł przez ulicę do domu, w którym mieszkali rodzice Grubej Triny, po czym poprosił o rękę ich cnotliwej, pracowitej córki. Długo się nie zastanawiali nad odpowiedzią, bo już od wielu lat chcieli się jej pozbyć.

Mają podobne charaktery, więc niech się żenią, pomyśleli i wyrazili zgodę.

Gruba Trina została żoną Henrysia i codziennie wyprowadzała na pastwisko dwie kozy. Henryś czuł się świetnie i nie miał nic do roboty. Czasami jej towarzyszył, by jeszcze bardziej rozkoszować się nieróbstwem, gdy następnego dnia zostawał w domu.

— Inaczej życie byłoby zbyt monotonne — mawiał. — Czasem człowiek potrzebuje odmiany.

Gruba Trina była jednak tak samo leniwa jak Henryś.

— Kochany Henrysiu, zastanawiałam się nad pewną rzeczą — rzekła któregoś dnia.

Doszła do wniosku, że bardzo ciężko haruje, i opowiedziała mężowi o swoich troskach, a on wysłuchał jej z wielką uwagą.

— O co chodzi? — spytał.

— Kozy budzą nas codziennie beczeniem — stwierdziła.

— Masz całkowitą rację — przyznał Henryś.

— Pomyślałam sobie, że moglibyśmy poprosić sąsiada, by się z nami zamienił. Zamiast kóz mielibyśmy ul z pszczołami. Moglibyśmy go postawić w słonecznym rogu ogrodu z tyłu domu i nie zawracać sobie nim głowy. Pszczół nie trzeba wyganiać na pastwisko, prawda? Same znajdują drogę do kwiatów, a potem same wracają do domu. Przez cały czas zbierają nektar i nie musielibyśmy nic robić.

— Sama to wymyśliłaś? — spytał Henryś.

— Tak — odpowiedziała skromnie.

— Moim zdaniem to doskonały pomysł, naprawdę. Natychmiast pójde do sąsiada. Cóż, może odłożę to do jutra. I powiem ci coś jeszcze — dodał prawie z entuzjazmem. — Miód jest znacznie smaczniejszy od koziego mleka!

— I może dłużej stać — dodała Trina.

— Och, kochana! Gdybyś tu podeszła, pocałowałbym cię!

— Może później — odparła.

— Tak, dobrze.

Następnego ranka zaproponowali sąsiadowi zamianę, a ten natychmiast się zgodził. Wziął kozy, zaniósł ul do ogrodu Henrysia i Triny i postawił go w słonecznym rogu. Pszczoły niestrudzenie pracowały przez całe dni, od wczesnego ranka do późnego wieczora, zbierając nektar i wypełniając ul słodkim miodem. Pod koniec roku Henryś zebrał cały dzban.

Postawił go na półce nad łóżkiem. Trina martwiła się, że do domu mogą się włamać złodzieje albo że do dzbana wślizgnie się mysz, więc znalazła gruby leszczynowy kij i położyła go pod łóżkiem. W ten sposób, bez konieczności wstawania, mogła sięgnąć po kij i odpędzić myszy lub złodziei.

Henryś uznał to za kolejny świetny pomysł. Bardzo podziwiał jej dar przewidywania. Kiedy myślał o rzeczach, które jeszcze się nie zdarzyły, czuł się zmęczony. Nigdy nie wstawał przed południem.

— Kto wcześniej wstaje, ten marnuje łóżko — mawiał.

Pewnego ranka Henryś i Trina leżeli w pościeli, jedząc śniadanie, i tym razem to jemu przyszedł do głowy pewien pomysł.

— Lubisz słodczyce, podobnie jak większość kobiet — powiedział, kładąc grzanekę na kołdrze. — Jeśli ciągle będziesz jadła ten miód, szybko się wyczerpie. Doszedłem do wniosku, że powinniśmy go zamienić na gęs i gąsiątko.

— Gęs i gąsiątko? — spytała Trina. — Przecież nie mamy dziecka!

— Co to ma z tym wspólnego?

— Dziecko musi paść gęsi, to jasne! Ja nie zamierzam tego robić! Nie mam czasu, by się uganiać za gęsiami!

— Och, tak, o tym nie pomyślałem — zafrasował się Henryś. — Myślisz, że dziecko by nas słuchało? W dzisiejszych czasach dzieci bywają nieposłuszne. Nie mają szacunku dla rodziców. Widać to na każdym kroku.

— Pokażę ci, co je spotka, jak nie posłucha — powiedziała Trina i wyciągnęła spod łóżka kij. — Wezmę ten kij i złożę mu skórę! Zleję je na kwaśne jabłko, jeszcze się przekonasz! Podoba mi się to!

Zaczęła walić kijem w łóżko, zadając tak mocne ciosy, że w powietrze wzbił się kurz, puch i okruszki chleba. Niestety, gdy po raz ostatni uniosła kij, uderzyła nim w słój miodu stojący na półce. Rozpadł się na kawałki, a miód ściekł po ścianie na podłogę.

— Cóż, teraz na pewno nie będziemy mieć gęsi i gąsiątka — odezwał się Henryś. — Chyba nie mielibyśmy z nimi tak wiele zachodu. Ach, dobrze, że dzbanek nie spadł mi na głowę. Gdzie się podziała kanapka?

Znalazł ją na podłodze, leżącą masłem do dołu, i zebrał trochę miodu płynącego po ścianie.

— Proszę, kochana — powiedział. — Zjedz ostatni kawałek.

— Dziękuję, najmilszy. Trochę się przestraszyłam.

— Potrzebujemy odpoczynku, to wszystko. Nic się nie stanie, jeśli wstaniemy trochę później niż zwykle.

— Tak — odrzekła z pełnymi ustami. — Mamy mnóstwo czasu. Jak ślimak, który został zaproszony na wesele i wyruszył wcześniej, a zdążył akurat na chrzciny pierwszego dziecka. Kiedy spadał z ogrodu, powiedział: „Śpiesz się powoli”.

* * *

Typ baśni: AT 1430, *Zamki na lodzie*

Źródło: opowieść zawarta w pracy Euchariusza Eyerlinga

Proverbiorum Copia (Bogactwo przysłów, 1601)

Podobne baśnie: Ezop, *The Milkmaid and her Pail (The Complete Fables)*; Aleksander Afanasjew, *The Daydreamer (Russian Fairy Tales)*; Katharine M. Briggs, *Buttermilk Jack (Folk Tales of Britain)*

Istnieje wiele wariantów starej opowieści o marzycielce, która zastanawia się, co kupi za mleko niesione na targ. Wyobraża sobie piękną suknię, wyciąga szyję, by pokazać, jak elegancko będzie wyglądać, i w konsekwencji rozlewa mleko, które trzyma na głowie w cebrzyku. Historię tę można umieścić w dowolnej scenerii i opowiedzieć na mnóstwo sposobów, lecz w tym wypadku podobała mi się wzajemna sympatia, jaką czują do siebie leniwi do szpiku kości bohaterowie, i ich głębokie zadowolenie z własnego niechlujstwa.

O Janku siłaczu

W dalekiej dolinie mieszkali mąż i żona. Żyli samotnie, tylko z małym synkiem. Pewnego dnia kobieta poszła do lasu nazbierać sosnowych gałęzi do palenia w piecu i wzięła ze sobą małego Janka, który miał zaledwie dwa lata. Była wiosna, a ponieważ chłopiec lubił barwne kwiaty, poszła z nim głęboko w las.

Nagle z zarośli wyskoczyli dwaj rozbójnicy, chwycili matkę z dzieckiem i zabrali ich do najmroczniejszej części lasu, gdzie przez cały rok nie pojawia się żaden uczciwy człowiek. Biedna kobieta błagała, by wypuścili ją i syna, ale wszystko na próżno: nie zwracali uwagi na jej płacz i błagania. Bez litości pędzili ją przez chaszczę i kolczaste zarośla, aż po dwóch godzinach dotarli do dużej skały, w której znajdowały się drzwi.

Zapukali i drzwi się otworzyły. Ruszyli ciemnym tunelem prowadzącym do jaskini, gdzie w kamiennym palenisku płonął ogień. Na ścianach wisiały miecze, szable i inna groźna broń. Ostrza lśniły w ogniu, a pośrodku jaskini stał stół, przy którym grało w kości czterech innych rozbójników. U szczytu stołu siedział ich herszt, a gdy zobaczył kobietę z dzieckiem, wstał i przemówił do niej.

— Przestań płakać — rzekł. — Dopóki będziesz prowadzić nam gospodarstwo, nie masz się czego obawiać. Zamiataj podłogę i sprzątaj, a będziemy cię dobrze traktować.

Powiedziawszy to, dał im trochę chleba i mięsa, po czym wskazał kobiecie łóżko, na którym mogła spać wraz z synem.

Kobieta mieszkała z rozbójnikami przez kilka lat i w tym czasie Janek wyrósł na dużego, silnego chłopca. Matka opowiadała mu bajki i nauczyła go czytać na starej książce z opowieściami o przygodach dzielnych rycerzy, którą znalazła w jaskini.

Kiedy Janek miał dziewięć lat, zrobił sobie ciężką pałkę z sosnowej gałęzi, którą ukradł ze stosu drewna zgromadzonego przez rozbójników. Ukrył ją za łóżkiem, a później poszedł do matki i rzekł:

— Mamo, chcę wiedzieć, kto jest moim ojcem.

Kobieta milczała. Nie chciała mówić synowi o ich wcześniejszym życiu, przed porwaniem, bo mógłby zacząć tęsknić za domem, była pewna, że rozbójnicy nie pozwolą Jankowi odejść. Jednak pękało jej serce na myśl, że syn nigdy nie zobaczy swojego ojca.

Tej nocy, gdy rozbójnicy wrócili z jednej ze swoich złodziejskich wypraw, Janek wziął pałkę, poszedł do herszta i oznajmił:

— Chcę wiedzieć, kto jest moim ojcem. Moja matka nie chce mi tego wyjawić, więc pytam ciebie. Jeśli mi nie powiesz, rozbiję ci głowę.

Herszt wybuchnął śmiechem i trzepnął Janka w ucho, tak że chłopiec upadł i potoczył się pod stół. Nie rozplakał się ani nie wydał żadnego dźwięku; pomyślał tylko: Poczekajmy, aż upłynie trochę czasu. Kiedy będę większy, powinienes się mnie strzec.

Po roku wziął pałkę, zdmuchnął z niej kurz, pomachał nią i pomyślał: Tak, to dobra, mocna pałka.

Nazajutrz, gdy rozbójnicy wrócili wczesnym rankiem z wyprawy, zaczęli pić. Opróżnili wiele dzbanów wina i mieli już mocno w czubie. Janek tylko na to czekał. Wziął pałkę, stanął przed hersztem i spytał:

— Kto jest moim ojcem?

Tak jak poprzednio, herszt trzepnął go w ucho i Janek upadł na ziemię. Tym razem jednak natychmiast się zerwał, mocno chwycił pałkę i sprawił hersztowi i pozostałym rozbójnikom takie lanie, że w końcu leżeli pokotem na ziemi, nie mogąc się ruszyć. Matka, która obserwowowała go z rogu jaskini, była zdumiona jego siłą i odwagą.

Kiedy pokonał rozbójników, odwrócił się do niej i powiedział:

— Widzisz? Mówię poważnie. Chcę wiedzieć, kto jest moim ojcem.

— Cóż, mój dzielny Janku, chodźmy go poszukać — odrzekła.

Przejrzała klucze, które herszt bandy miał przyczepione do paska, a tymczasem Janek wziął duży worek po mące i napełnił go złotem, srebrem i klejnotami. Potem zarzucił go na plecy i wyszedł za matką z ciemnej jaskini.

Kiedy znalazł się na otwartej przestrzeni i zobaczył drzewa, kwiaty, ptaki, słońce i jasne niebo, był taki zdumiony, że gapił się na wszystko z otwartymi ustami. Matka rozejrzała się, szukając drogi do domu, i zaraz wyruszyli. Po kilkugodzinnym marszu dotarli do niewielkiej chaty w dolinie.

W drzwiach siedział ojciec Janka. Kiedy się dowiedział, że kobieta jest jego żoną, a barczysty chłopak synem, rozplakał się z radości,

ponieważ od dawna uważał ich za martwych.

Janek, choć jeszcze młody, był o głowę wyższy i znacznie silniejszy od ojca. Wszedłszy do domu, położył worek na ławie koło paleniska i natychmiast rozległ się trzask drewna. Najpierw załamała się ława, a potem zarwała się podłoga i worek wpadł do piwnicy.

— Na Boga, chłopcze, co robisz?! — zawołał ojciec. — Zamierzasz zrujnować cały dom?!

— Nie martw się, ojcie — odpowiedział Janek. — W tym worku jest dość złota i skarbów, by wybudować nowy dom.

I rzeczywiście, Janek i jego ojciec wkrótce zaczęli budować piękny nowy dom. Kupili też trochę ziemi i bydła, po czym zaczęli prowadzić gospodarstwo. Kiedy Janek szedł za pługiem i wbijał lemiesz głęboko w ziemię, woły prawie nie musiały ciągnąć.

Następnej wiosny Janek powiedział:

— Ojcie, chcę zobaczyć trochę świata. Zatrzymaj wszystkie pieniądze i każ kowalowi wykuć mi kij ważący pięćdziesiąt kilogramów. Kiedy go dostanę, odejdę.

Kowal przygotował kij i Janek wyruszył w świat. Szedł prędkim krokiem i wkrótce dotarł do głębokiej doliny, w której rozlegał się dziwny, trzeszczący dźwięk. Janek przystanął, by posłuchać. Kiedy się rozejrzał, zauważył, że jakaś straszliwa siła skręca jedną z sosen niczym powróż. Działo się to za sprawą ogromnego mężczyzny, który trzymał obiema rękami pień i kręcił nim jak trzcina.

— Hej, co robisz? — zawołał Janek.

— Ściąłem wczoraj kilka pni i potrzebuję liny, by je związać — odparł mężczyzna.

Cóż, to ktoś podobny do mnie, pomyślał Janek. Wygląda na silnego!

— Zostaw pnie i chodź ze mną! — zawołał. — Będziemy się dobrze bawić!

Siłacz podszedł i okazało się, że jest wyższy od Janka o całą głowę, choć Janek wyrósł na postawnego młodzieńca.

— Będę cię nazywał Skręcaczem Sosen — powiedział Janek. — Cieszę się, że cię poznałem.

Ruszyli w drogę i po jakimś czasie usłyszeli odgłosy potwornych uderzeń, od których aż trzęsła się ziemia. Kiedy wyszli z za skały, zobaczyli przyczynę hałasu: naprzeciwko ściany skalnej stał olbrzym, odbijając pięściami wielkie głazy.

— Witaj, przyjacielu! — odezwał się Janek. — Po co to robisz?

— Nie mogę spać — rzekł olbrzym. — Kładę się i zamykam oczy, a pięć minut później przychodzą niedźwiedzie, wilki i lisy. Zaczynają mnie obwąchiwać i szarpać. Nie mam ani chwili odpoczynku, dlatego zamierzam zbudować dom, żeby się wreszcie wyspać.

— Och, rozumiem, ale mam lepszy pomysł — powiedział Janek. — Zapomnij o domu i chodź ze mną i Skręcaczem Sosen.

— Dokąd idziecie?

— Jeszcze nie wiemy. Szukamy przygód.

— Dobry pomysł — stwierdził olbrzym.

— Nazwę cię Łamaczem Skał — dodał Janek.

Olbrzym się zgodził i we trzech ruszyli przez las. Gdziekolwiek się pojawili, zwierzęta wpadały w przerażenie. Wieczorem dotarli do opuszczonego zamku i poszli spać.

Następnego ranka Janek się obudził i poszedł obejrzeć ogród, zdziczały i zarośnięty jeżynami. Kiedy się rozglądał, z zarośli wybiegł odnieniec i rzucił się na niego, ale Janek uderzył go w łeb żelaznym kijem i bestia natychmiast padła martwa. Janek zarzucił dzika na plecy i zaniósł do dworu, gdzie jego towarzysze nadziali go na rożen i upiekli na ogniu, po czym wszyscy trzej zjedli smaczne śniadanie. Ustalili, że będą na zmianę przyrządzać posiłki i polować; dwóch miało wyruszać na łowy, a jeden zostawać w kuchni i gotować. Obliczyli, że potrzeba im codziennie cztery kilo mięsa na głowę.

Pierwszego dnia Janek i Łamacz Skał poszli na polowanie, a Skręcacz Sosen został w zamku i szykował posiłek. Właśnie przygotowywał sos, gdy do kuchni wszedł niski, pomarszczony staruszek.

— Daj nam trochę mięsa! — zaskrzeczał.

— Zjeżdżaj, dziadzie! — odpowiedział Skręcacz Sosen. — Nie potrzebujesz mięsa!

W tej samej chwili mały, chudy staruszek skoczył na Skręcacza Sosen i sprawił mu straszliwe lanie. Skręcacz Sosen nie zdołał się bronić i upadł na ziemię, oszołomiony. Jednak staruszek nie przestał go bić: walił go pięściami i kopał, aż wyładował gniew. Skręcacz Sosen jeszcze nigdy nie przeżył czegoś takiego.

Kiedy Janek i Łamacz Skał wrócili z polowania, Skręcacz Sosen doszedł już trochę do siebie i postanowił nie wspominać o staruszkowi: dostał lanie i nie miał się czym chwalić. Zobaczmy, jak oni sobie poradzą z tym potworem, pomyślał.

Następnego dnia gotowaniem zajmował się Łamacz Skał. Przytrafiło mu się to samo: nie dał mięsa staruszkowi, a ten straszliwie go pobił. Po powrocie Skręcacz Sosen spojrzał na twarz

Łamacza Skał i natychmiast się domyślił, co się stało. Jednak obaj milczeli, bo chcieli zobaczyć, jak sobie poradzi Janek.

Nazajutrz rano Skręcacz Sosen i Łamacz Skał poszli na polowanie, a Janek został w zamku. Stał koło ognia, zbierając tłuszcz z wywaru z dziczyzny, gotującego się w wielkim kotle, gdy do kuchni wszedł staruszek i poprosił o kawałek mięsa.

Biedaczyna, pomyślał Janek. Dam mu kawałek swojej porcji, żeby nie odbierać jedzenia pozostałym. Odkroił gruby plaster mięsa, który staruszek natychmiast pożarł. Później poprosił o dokładkę, a Janek dobrodusznie ukroił następny kawałek i powiedział:

— To solidna porcja. Powinna ci wystarczyć.

Staruszek zjadł mięso i zawołał:

— Jeszcze! Jeszcze!

— Robisz się bezczelny! — rzekł Janek. — Dostałeś wystarczająco dużo.

Staruszek rzucił się na niego, ale tym razem zaatakował niewłaściwą osobę. Janek od niechcienia uderzył go wierzchem dłoni i powalił na ziemię. Następnie kopnął go w tyłek, aż staruszek spadł ze schodów. Janek pobiegł za nim, ale potknął się i upadł, a kiedy wstał, staruszek zdążył już się oddalić i dotarł do lasu. Janek jak najszybciej popędził za nim i zauważył, że wchodzi do wlotu jaskini w wielkiej skale. Zapamiętał to miejsce, a potem wrócił do kuchni, by dalej zbierać tłuszcz z wywaru z dziczyzny.

Kiedy Skręcacz Sosen i Łamacz Skał przyszli z polowania, ze zdziwieniem zauważyli, że Janek jest w świetnym nastroju. Opowiedział im, co się stało, a oni przyznali, że staruszek ich pobił. Janek serdecznie się uśmieł.

— Macie za swoje, że byliście tacy skąpi — powiedział. — Powinniście się wstydzić, że dostaliście lanie od takiej starej mały. Nieważne, damy mu nauczkę.

Znaleźli kosz i linę, po czym poszli do skały w lesie, do której wślizgnął się staruszek. Otwór prowadził do studni, która okazała się bardzo głęboka. Przywiązali do kosza linę i na początku spuścili na dół Janka uzbrojonego w żelazny kij o wadze pięćdziesięciu kilogramów.

Znalazłszy się na dnie studni, Janek zobaczył drzwi, a gdy je otworzył, ujrzał nieziemsko piękną dziewczynę przykutą łańcuchem do ściany. Na jej twarzy malowały się wstępn i rozpacz, ponieważ po jej prawej stronie stał na krześle niski staruszek, uśmiechając się lubieżnie i gładząc jej włosy i policzki zakrzywionymi paznokciami.

Kiedy zobaczył Janka, wrzasnął i odskoczył do tyłu niczym mała. Janek zatrzasnął drzwi, by staruszek nie mógł uciec, i próbował go złapać. Jednak staruszek zręcznie skakał po całej jaskini i odbijał się od ścian, wyjąc i krzycząc coś niezrozumiałego, i Janek długo nie mógł go dosięgnąć. Przypominało to próbę trafienia muchy ołówkiem. W końcu zapędził go do kąta, uniósł nad głowę kij i zadał potężny cios, który powalił staruszkę na ziemię.

Kiedy staruszek zginął, z dziewczyny opadły łańcuchy i odzyskała wolność. Janek ledwie mógł uwierzyć własnym oczom: nigdy nie widział równie pięknej istoty. Powiedziała, że jest córką króla.

— Nie dziwi mnie to — odparł Janek. — Od razu widać, że jesteś królewną. Jak to się stało, że zostałam przykuta łańcuchem do ściany w tej jaskini?

— Pragnął mnie poślubić pewien okrutny baron i nie chciał przyjąć do wiadomości, że odrzucam jego zaloty — wyjaśniła. — Doprowadzało go to do szaleństwa. Porwał mnie i zamknął tutaj z tym stworem, który miał mnie pilnować. Ale staruszek stawał się coraz bardziej zuchwały. Widziałeś, co robił. Gdyby nie ty...

— No tak, nie mówmy już o tym — rzekł Janek. — Musimy wyjść z tej jaskini. W studni jest kosz, a na górze czeka dwóch ludzi, którzy go wyciągną. Wejdz do środka.

Pomógł księżniczce wejść do kosza i pociągnął za linę. Skręcacz Sosen i Łamacz Skał natychmiast wyciągnęli kosz i po chwili opuścili do studni pusty.

Ale Janek nie był pewien, czy może ufać swoim towarzyszom. Nie powiedzieli mi, że staruszek ich pobił, i nie wiadomo, co teraz knują, pomyślał. Dlatego nie wszedł do kosza, tylko włożył do niego żelazny kij i znów pociągnął za linę. Kosz ruszył do góry, lecz gdy znalazł się w połowie wysokości studni, runął z trzaskiem na dno. Gdyby siedział w nim człowiek, zginąłby na miejscu.

Cóż, miałem rację, że im nie ufałem, pomyślał Janek. Ale co teraz począć?

Chodził w kółko w ciasnej przestrzeni, czując coraz większą rozpacz. Nie miał pojęcia, jak się wydostać.

Nie chcę umrzeć w tej nędznej dziurze, pomyślał. Czy naprawdę mam tak marnie skończyć?!

Nagle zauważył na palcu staruszkę lśniący pierścień. A może ma magiczne właściwości, pomyślał. Nigdy nie wiadomo.

Zdjął pierścień z dłoni trupa i wsunął sobie na palec. I natychmiast usłyszał w górze dziwne brzęczenie. Podniósł głowę i zobaczył, że unoszą się nad nim tysiące skrzydlatych duszków.

Kiedy spostrzegły, że na nie patrzy, wszystkie złożyły ukłon, a największy powiedział:

— Panie, jesteśmy na twoje rozkazy! Co mamy robić?

Janek był zdumiony, lecz zebrał myśli i rzekł:

— Zanieście mnie na szczyt tej brudnej studni! Oto, co możecie zrobić!

— Do usług, panie!

Każdy z duszków chwycił jeden włos na głowie Janka i wszystkie poleciały do góry. Miał wrażenie, że stał się nieważki i że płynie w powietrzu. Po dziesięciu sekundach stanął w lesie i zaczął się rozglądać. Nie było śladu Łamacza Skał ani Skręcacza Sosen, a także królowny.

— Gdzie poszli ci dranie? — spytał.

Skrzydlate duszki wzbiły się w niebo. Po minucie wróciły i zaczęły krążyć nad głową Janka niczym chmara przyjaznych muszek.

— Płyną statkiem, panie — powiedział przywódca.

— Zdążyli już zdobyć statek? Jest z nimi królowna?

— Tak, panie. Związali ją, żeby nie wyskoczyła za burtę.

— Och, biedna dziewczyna! Ileż musiała wycierpieć! Szybko się rozprawię z tymi szubrawcami! Jak dojsć do morza?

— Tędy, panie.

Janek pobiegł co tchu we wskazaną stronę i wkrótce dotarł do brzegu morza. Stojąc na szczycie wydmy i osłaniając oczy przed promieniami zachodzącego słońca, zauważył ciemne kontury małego żaglowca.

— Czy to oni?

— Tak, panie!

— Grrr! Nauczę ich, co to znaczy zdradzić przyjaciela!

Pełen świętego oburzenia, wskoczył do wody, mając zamiar popłynąć do statku. Mogłoby mu się udać, ale dźwigał ciężki, pięćdziesięciokilogramowy kij. Opadł jak kamień na dno morza, wywołując wielkie poruszenie wśród rozgwiazd i ośmiornic.

— Bulbulbulbul! — zawołał, lecz nic to nie pomogło.

Dopiero po chwili przypomniał sobie o pierścieniu. Obrócił go drugą ręką, wydając rozkaz skrzydlatym duszkom, które natychmiast go otoczyły, wypełniając wodę tysiącem bąbelków powietrza. Wyciągnęły Janka na powierzchnię, a potem zaczęły go holować. Robiły to tak szybko, że na prawo i lewo leciały bryzgi piany.

Kilka sekund później stał już na pokładzie statku. Ujrawszy go, Łamacz Skał i Skręcacz Sosen zerwali się z miejsc, zamierzając uciec. Skręcacz Sosen wdrapał się jak wiewiórka na grotmaszt, a Łamacz Skał próbował się ukryć wśród skrzyń w ładowni, lecz Janek go stamtąd wyciągnął i ogłuszył kijem. Potem mocno potrząsnął masztem, aż Skręcacz Sosen spadł i wylądował na dachu sterówki. Janek wyrzucił ich obu za burtę i więcej o nich nie słyszano.

Później uwolnił piękną królowną.

— Jak dopłynąć do królestwa twojego ojca? — spytał.

— Kursem południowo-zachodnim — odrzekła.

Janek kazał duszkom powietrznym dmuchać w żagle i dzięki pomyślnemu wiatrowi szybko dopłynęli do portu, gdzie oddał córkę ojcu i matce.

Królowna opowiedziała rodzicom o odwadze Janka i naturalnie musiał ją poślubić. Król i królowa uwielbiali zięcia i wszyscy żyli razem długo i szczęśliwie.

* * *

Typ baśni: ATU 301, *Trzy porwane księżniczki*

Źródło: bajka opowiedziana braciom Grimm przez Wilhelma Wackernagla

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *The Little Red Hairy Man, Tom and the Giant Blunderbuss, Tom Hickathrift (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *The Golden Ball (Italian Folktales)*; Jacob i Wilhelm Grimm, *Gnom (Baśnie domowe i dziecięce)*

To opowieść poskładana z kawałków połączonych ze sobą w niezbyt staranny sposób. Rozbójnicy z jaskini istnieją tylko po to, by przed nimi uciec. Dwaj towarzysze, Skręcacz Sosen i Łamacz Skał, nie mają okazji wykorzystać swoich szczególnych talentów. Okrutny baron, który porwał księżniczkę, funkcjonuje jedynie jako sprawca jej znalezienia się w jaskini; nigdy więcej o nim nie słyszemy. Czy o niej zapomniał? A może zginął, popełniając inne okrucieństwa? Czy nie mógłby znowu się pojawić, by Janek mógł go pokonać w straszliwej walce i stać się jeszcze większym bohaterem?

Z drugiej strony — dlaczego zły staruszek zamiast być porywaczem księżniczki, jest tylko jej strażnikiem? Byłby to przecież najprostszy sposób wyjaśnienia sytuacji.

Później pojawia się pierścień wzywający skrzydlate duszki. Znalezienie czegoś takiego w jaskini, z której nie ma ucieczki, mocno kojarzy się z *Aladynem*. Dlaczego zły staruszek nie użył pierścienia, by pokonać Janka?

I tak dalej. Kiedy zaczynamy „poprawiać” baśń tego rodzaju, łatwo może się nam rozpaść w rękach.

Księżyc

Bardzo dawno temu istniał kraj, gdzie noce były zawsze ciemne. Po zachodzie słońca niebo zasłaniało świat niczym czarny welon, bo nie wschodził księżyc i w mroku nie lśniła ani jedna gwiazda. Znacznie wcześniej, gdy powstał świat, wszystko było spowite łagodną poświatą, ale później zapadła ciemność.

Pewnego dnia czterech młodych ludzi pochodzących z tego kraju wybrało się w podróż i przybyło do innego królestwa w chwili, gdy za górami zachodziło słońce. Kiedy znikło, stanęli zdumieni, bo na szczycie dębu pojawiła się świetlista kula rzucająca delikatny blask. Nie była tak jasna jak słońce, ale pozwalała coś widzieć. Nie mieli pojęcia, co to jest, więc zatrzymali chłopca, który przejeżdżał wozem, i zapytali, co to takiego.

— Och, to po prostu księżyc — wyjaśnił. — Kupił go burmistrz. Zapłacił trzy talary. Codziennie musi nalewać do niego oliwy i go czyścić, żeby świecił jasno, a my płacimy mu za to talara tygodniowo.

Kiedy chłop odjechał, jeden z młodych ludzi rzekł:

— Wiecie co? Przydałby się u nas taki księżyc. Mój ojciec ma w ogrodzie od frontu dąb tej samej wielkości co ten. Założę się, że pozwoliliby go tam powiesić. Czy nie byłoby przyjemnie, gdybyśmy nie musieli chodzić po omacku w ciemności?

— Niezły pomysł — powiedział drugi. — Znajdźmy wóz i konia, a potem zabierzmy stąd księżyc. Zawsze mogą sobie kupić drugi.

— Dobrze się wspinać na drzewa — oznajmił trzeci. — Wejdę i przyniosę go.

Czwarty młody człowiek przyprowadził wóz i konie, a trzeci wszedł na dąb, wywiercił w księżycu dziurę, przełożył linę i ściągnął go na dół. Kiedy lśniąca kula znalazła się na wozie, przykryli ją płótnem, aby nikt nie widział, co zrobili, a potem udali się w drogę powrotną.

Znalazwszy się w swoim kraju, powiesili księżyc na wysokim dębie. Ludzie byli zachwyceni. Nowa latarnia oświetlała wszystkie

pola i domy. Krasnoludki wyszły ze swoich jaskiń w górach, aby popatrzeć na księżyc, a małe elfy w czerwonych strojach tańczyły na łąkach w srebrzystym świetle.

Księżycem opiekowali się czterej przyjaciele — czyścili go, przycinali knot i pilnowali, by nigdy nie zabrakło oliwy. Płacono im talara tygodniowo; pieniądze pochodziły ze zbiórki publicznej.

I tak to trwało, dopóki się nie zestarzeni. Pewnego dnia jeden z nich poczuł, że zbliża się śmierć, więc posłał po adwokata i zmienił testament, mówiąc, że jedna czwarta księżyca należy do niego i że chce być z nią pochowany. Kiedy umarł, burmistrz wspiął się na dąb i odciął nożycami ćwiartkę księżyca, a następnie włożył mu ją do trumny. Światło stało się trochę słabsze, ale ludzie dalej widzieli coś w nocy.

Po śmierci drugiego opiekuna księżyca pochowano z nim drugą ćwiartkę, a światło stało się jeszcze słabsze. To samo się powtórzyło, gdy zmarł trzeci opiekun, a kiedy pogrzebano czwartego, światło znikło. Nocą, gdy ludzie wychodzili na dwór bez latarni, musieli poruszać się po omacku, tak jak dawniej.

Kiedy cztery ćwiartki księżyca znalazły się w zaświatach, gdzie zawsze panował absolutny mrok, umarli stali się niespokojni i obudzili się ze snu. Ze zdumieniem spostrzegli, że mogą znowu widzieć — światło księżyca było dla nich dostatecznie jasne, bo mieli długo zamknięte oczy i słońce by ich oślepiło. Wiwatując, wyszli z grobów i zaczęli hulać. Grali w karty, tańczyli, chodzili do karczmi i upijali się, kłócili się, bili, okładali laskami. Hałasy stawały się coraz większe i większe, aż dotarły do nieba.

Święty Piotr, który pilnuje bramy raj, pomyślał, że wybuchła rewolucja, i wezwał zastępy niebieskie, by odparły atak szatana i hufców piekielnych. Kiedy jednak diabły się nie pojawiły, wsiadł na świętego konia i pojechał zobaczyć, co się dzieje.

— Kładźcie się, bestie! — ryknął do umarłych. — Z powrotem do swoich grobów, wszyscy! Nie zapominajcie, że jesteście martwi!

Nagle zrozumiał, na czym polega problem: cztery ćwiartki księżyca się połączyły i nikt nie mógł spać. Zdjął księżyc z haczyka, zabrał go do nieba i powiesił w miejscu, którego nikt nie potrafił osiągnąć. Od tego czasu świeci nad całym światem i w każdym miesiącu święty Piotr odcina po kawałku, aż prawie nic nie zostaje, po czym stopniowo składa kawałki w całość, aby przypominać ludziom, kto tu rządzi.

Jednak nie zabiera odciętych kawałków do świata podziemnego. Trzyma je w kredensie. Dzięki temu umarli spoczywają w ciemności,

tak jak to było zawsze.

* * *

Typ baśni: niesklasyfikowana

Źródło: Opowieść w *Märchen für die Jugend* (Opowieści dla młodzieży, 1854) Heinricha Pröhlego

Wilhelm Grimm umieścił tę baśń w siódmym, ostatnim wydaniu *Die Kinder- und Hausmärchen* (Baśnie dziecięce i domowe) z 1857 roku i różni się ona nieco od pozostałych, stanowiąc coś w rodzaju mitu o stworzeniu świata, który wkrótce zmienia się w groteskę. Odznacza się ogromną werwą, choć kończy się trochę niespodziewanie — święty Piotr po prostu wiesza księżyc na niebie. Uznałem, że można ją trochę rozbudować.

Gęsiarka przy źródle

Żyła raz stara kobieta, która mieszkała ze stadkiem gęsi w samotnej dolinie wśród gór, w chatce otoczonej gęstym lasem. Każdego ranka brała laskę i kuśtykała do lasu, gdzie zbierała trawę dla gęsi i zrywała dzikie owoce, których mogła dosięgnąć. Wkładała wszystko do tobołka i dźwigała na plecach do domu. Jeśli spotkała kogoś po drodze, zawsze przyjaźnie go witała.

— Dzień dobry, sąsiedzie! — mówiła. — Ładna pogoda! Niosę worek trawy. Biedacy zawsze muszą dźwigać ciężary.

Ale z jakiegoś powodu ludzie jej nie lubili. Kiedy widzieli, że nadchodzi, często skręcali w inną ścieżkę, a jeśli spotkał ją ojciec z małym synem, szeptał do dziecka:

— Strzeż się tej staruchy! To podstępna kobieta! Nie zdziwiłbym się, gdyby była czarownicą!

Pewnego ranka przez las szedł przystojny młody człowiek. Świeciło słońce, śpiewały ptaki, lekki wietrzyk szeleścił liśćmi drzew, a młodzieniec czuł się szczęśliwy i beztroski. Nie spotkał nikogo po drodze, aż nagle natknął się na starą wiedźmę, która klęczała na ziemi i ścinała sierpem trawę. Obok leżał duży stos trawy i stały dwa koszyki pełne dzikich jabłek i gruszek.

— Wielkie nieba, kobieto! — zawołał. — Nie zamierzasz chyba sama dźwigać tego wszystkiego?!

— Ależ tak, muszę zanieść do domu trawę i owoce — odpowiedziała. — Bogacze nie muszą robić takich rzeczy, ale biedacy mają przysłowie: „Nie patrz do tyłu, bo zobaczysz tylko, jaki jesteś zgarbiony”. Czy mógłbyś mi pomóc, panie? Masz piękne, proste plecy i mocne nogi. Jestem pewna, że z łatwością sobie poradzisz. Moja mała chatka jest niedaleko, tam za wzgórzem.

Młodemu człowiekowi zrobiło się jej żal.

— Cóż, przyznaję, że jestem bogaty — odparł. — Mój ojciec to hrabia, ale z przyjemnością ci udowodnię, że nie tylko chłopi potrafią dźwigać ciężary. Tak, zaniosę ten tobół do twojego domu.

— To bardzo miło z twojej strony, panie — rzekła kobieta. — Będzie z godzina drogi, ale na pewno nie robi ci to żadnej różnicy. Mógłbyś wziąć także moje jabłka i gruszki.

Młody hrabia trochę się spieszył, gdy wspomniała o godzinie drogi, ale tak skwapliwie przyjął jego propozycję, że nie mógł się wycofać. Zawinęła trawę w płótno, przywiązała mu toból do pleców i włożyła do rąk koszyki.

— Widzisz, panie? To niezbyt ciężkie — powiedziała.

— Moim zdaniem wręcz przeciwnie: bardzo ciężkie! — odparł młody człowiek. — Ta trawa... Czy to rzeczywiście trawa? Mam wrażenie, że to cegły! A owoce są ciężkie jak głazy! Ledwo mogę oddychać!

Chętnie położyłby toból i koszyki na ziemi, ale nie chciał się narażać na dalsze szyderstwa starej kobiety, która i tak zaczęła już okrutnie z niego drwić.

— Popatrzcie tylko na pięknego młodego hrabiczka, który grymasi, bo niesie to samo, co uboga stara kobieta musi nosić każdego dnia! Jesteś, panie, mocny w gębie, ale to wszystko, prawda? „Nie tylko chłopcy potrafią dźwigać ciężary”! Jak przychodzi co do czego, natychmiast się poddajesz! No, dalej! Co tak stoisz, panie?! Ruszaj! Nikt cię nie wyręczy!

Kiedy młody hrabia szedł po płaskiej ziemi, jakoś dawał sobie radę, ale gdy ścieżka zaczęła prowadzić pod górę, nogi ślizgały mu się na kamieniach, które umykały na boki, jakby były żywe, i ledwo posuwał się naprzód. Jego twarz pokryła się kroplami potu, który spływał mu też po plecach gorącymi i zimnymi strużkami.

— Nie mogę dalej iść! — jęknął. — Muszę usiąść i odpocząć!

— O nie, wykluczone! — odparła kobieta. — Usiądziesz i odpoczniesz, jak dojdziemy do mojego domu, a do tego czasu masz iść. Nigdy nie wiadomo: może przyniesie ci to szczęście?

— Ach, nie, tego już za wiele! — rzekł szlachcic. — Co za bezczelność!

Usiłował zrzucić toból, lecz nie mógł tego zrobić. Wydawało się, że przyrósł mu do pleców. Młody człowiek wił się i wykręcał w obie strony, a stara kobieta śmiała się z niego i podskakiwała, podpierając się laską.

— Nie ma sensu się złościć, młody panie — powiedziała. — Jesteś czerwony na twarzy jak indor. Nieś cierpliwie swój ciężar, a gdy dojdziemy do domu, może coś ci powiem.

Co miał robić? Musiał podążać za starą kobietą, potykając się i zataczając. Najdziwniejsze było to, że jego ładunek wydawał się

coraz cięższy, a staruszka coraz zwinniejsza.

Nagle dała susa, wylądowała na szczycie tobołu, który dźwigał na plecach, i usiadła na nim. Była chuda jak patyk, ale ważyła więcej niż tęga wiejska dziewczyna. Ugięły się pod nim nogi, mięśnie drżały mu z wysiłku i płonęły bólem, lecz gdy tylko próbował się na chwilę zatrzymać, stara kobieta chłostała go pękiem piekących pokrzyw. Jęczał, szlochał, zataczał się, a gdy już był pewien, że za chwilę zemdleje, ścieżka skręciła i ukazał się dom staruszki.

Kiedy gęsi ją zobaczyły, wyciągnęły szyje, rozpostarły skrzydła i pobiegły ku niej z głośnym gęganiem. Podążała za nimi stara kobieta z laską. Była młodsza od tej pierwszej, duża i silna; miała toporną, tępą, brzydką twarz.

— Gdzie byłaś, matko? — odezwała się do starej kobiety. — Tak długo nie wracałaś, że myślałam już, że coś ci się stało.

— Och, nie, moja piękna! — odparła staruszka. — Spotkałam tego dobrego panicza i zaproponował, że zanieśe mój toból. Popatrz, wziął mnie nawet na plecy, gdy się zmęczyłam. Tak miło nam się rozmawiało, że droga minęła błyskawicznie.

W końcu zeszła z pleców młodego hrabiego, po czym wzięła toból i kosze z owocami.

— Jesteśmy na miejscu, panie — powiedziała. — Usiądź i odpocznij. Zasłużyłeś na niewielką nagrodę i otrzymasz ją. A ty, mój piękny skarbie — zwróciła się do drugiej kobiety — lepiej wejdź do środka. Nie byłoby stosowne, żebyś zostawała sam na sam z takim jurnym młodym kawalerem. Wiem, jacy są młodzi mężczyźni. Mógłby się w tobie zakochać.

Hrabia nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, i pomyślał, że nawet gdyby ta piękność była trzydzieści lat młodsza, serce nigdy nie zabiłoby mu szybciej na jej widok.

Staruszka czule przywitała się z gęsmi, jakby były jej dziećmi, po czym weszła za córką do domu. Młody człowiek wyciągnął się na ławie pod jabłonią. Był piękny ranek; świeciło ciepłe słońce, wiał łagodny wiatr, a wokół rozciągała się zielona łąka porośnięta pierwiosnkami, dzikim tymiankiem i tysiącami innych kwiatów. Środkiem łąki płynął czysty strumień, który lśnił w promieniach słońca. Zgromadziło się przy nim stadko białych gęsi; niektóre chodziły na brzegu, a inne pływały w wodzie.

Cóż za piękne miejsce, pomyślał młody człowiek. Jestem taki zmęczony, że opadają mi powieki. Chyba się zdrzemnę na kilka minut. Mam tylko nadzieję, że wiatr nie zdmuchnie mi nóg; są wiotkie jak pajęcze nici.

Ocknął się, czując, jak stara kobieta potrząsa jego ramieniem.

— Pobudka, pobudka! — zawołała. — Nie możesz tu zostać. Przyznaję, że surowo cię potraktowałam, ale ciągle żyjesz i to twoja nagroda. Powiedziałam, że coś ci dam, prawda? Nie potrzebujesz pieniędzy ani ziemi, więc oto inny podarek. Dobrze go pilnuj, a przyniesie ci szczęście.

Wręczyła mu niewielkie puzderko wyrzeźbione z jednego kryształu szmaragdu. Hrabia zerwał się z ławy, odświeżony snem, i podziękował za podarunek, po czym wyruszył w drogę, nawet nie żegnając się z brzydką córką gospodyni. Kiedy szedł w dół ścieżką, długo jeszcze słyszał zadowolone gęganie gęsi.

Błądził po lesie przynajmniej trzy dni, nim w końcu wydostał się z puszczy. Po jakimś czasie przybył do wielkiego miasta, w którym panował zwyczaj, że każdy przybysz musi stanąć przed obliczem króla i królowej. Zaprowadzono go do pałacu, gdzie oboje siedzieli w sali tronowej.

Młody hrabia dwornie przyklęknął, a ponieważ nie miał innego podarunku, wyjął z kieszeni szmaragdowe puzderko, otworzył je i postawił przed królową. Skinęła, by przysunął puzderko, i kiedy tylko zajrzała do środka, natychmiast zemdlała. Strażnicy chwycili młodego człowieka i już chcieli zabrać go do więzienia, gdy królowa otworzyła oczy.

— Puście go! — zawołała. — Niech wszyscy wyjdą z sali tronowej. Chcę porozmawiać z tym młodzieńcem na osobności.

Kiedy zostali sami, królowa zaczęła gorzko płakać.

— Jaki sens ma cała wspaniałość tego pałacu?! — odezwała się. — Rankiem, gdy się budzę, przepełnia mnie smutek. Miałam kiedyś trzy córki. Najmłodsza była tak piękna, że wszyscy uważali to za cud. Jej skóra przypominała krew z mlekiem, a złociste włosy lśniły jak promienie słońca. Kiedy płakała, z jej oczu zamiast łez wydobywały się perły i szlachetne kamienie...

W dniu jej piętnastych urodzin król wezwał do sali tronowej wszystkie trzy córki. Wśród dworzan rozległ się szmer podziwu, gdy pojawiła się trzecia córka: wszyscy mieli wrażenie, że nagle wzeszło słońce.

Król oznajmił: „Moje córki, nie wiem, kiedy nadejdzie mój ostatni dzień, ale postanowię dzisiaj, co każda z was otrzyma po mojej śmierci. Wszystkie mnie kochacie, lecz największa część królestwa przypadnie tej, która kocha mnie najbardziej”.

Każda z dziewcząt powiedziała, że kocha go najmocniej na świecie, ale zaczął wypytywać je szczegółowo.

„Powiedzcie mi dokładnie, jak bardzo mnie kochacie, a wtedy będę rozumiał, co macie na myśli”.

„Kocham cię jak najśłodszy cukier” — odezwała się najstarsza córka. „Kocham cię jak swoją najpiękniejszą suknię” — dodała druga.

Trzecia córka milczała i ojciec spytał: „A ty, kochanie, jak bardzo mnie kochasz?”.

„Nie wiem — odparła. — Nie potrafię z niczym porównać swojej miłości”.

Ojciec w dalszym ciągu żądał odpowiedzi, aż wreszcie znalazła coś, do czego mogła porównać swoją miłość, i rzekła: „Nawet najlepsze jedzenie nie jest smaczne bez soli. Kocham cię jak sól, ojczyźnie”.

Kiedy król to usłyszał, wpadł we wściekłość i zawołał: „Skoro tak mnie kochasz, twoja miłość zostanie wynagrodzona w ten sam sposób!”.

Podzielił królestwo między dwie najstarsze córki i kazał, by najmłodszej przywiązano do pleców worki soli, a później dwóch służących miało ją zaprowadzić do głębokiego lasu. Wszyscy błagali go o litość, lecz nie zmienił rozkazu. Och, jak księżniczka płakała, gdy musiała odejść! Ścieżka, którą szła, była pokryta perłami. Wkrótce potem król pożałował swego rozkazu i zarządził, by przeszukano las od końca do końca, ale księżniczki nigdy nie odnaleziono.

— Kiedy myślę, że mogły ją pożreć dzikie zwierzęta — ciągnęła królowa — serce pęka mi z bólu. Czasami pocieszam się myślą, że może znalazła schronienie w jaskini albo opiekują się nią dobrzy ludzie... Wyobrażasz więc sobie mój szok, gdy otworzyłam szmaragdowe pudełko i zobaczyłam perłę podobną do łez mojej córki. Wyobrażasz sobie, jak poruszyło to moje serce. Teraz musisz mi powiedzieć, skąd wzięłaś tę perłę. Jak ją zdobyłaś?

Młody hrabia opowiedział królowej, że otrzymał ją w lesie od starej kobiety, którą uznał za wiedźmę, ponieważ wszystko, co się z nią wiązało, budziło w nim dreszcz niepokoju. Nigdy wcześniej nie słyszał o księżniczce ani jej nie widział. Król i królowa postanowili natychmiast wyruszyć i odnaleźć starą kobietę w nadziei, że udzieli im jakichś informacji o ich córce.

Tego wieczoru stara kobieta siedziała w swoim małym domku, przędąc na kołowrotku. Zapadał zmrok i pokój oświetlało jedynie sosnowe polano płonące na kominku. Nagle przed domem rozległo się głośne gęganie — z pastwiska wróciły gęsi i po chwili do domu weszła jej córka, a kobieta bez słowa tylko skinęła głową.

Córka usiadła koło matki i również zaczęła prząść, snując nić zręcznie jak młoda dziewczyna. Pracowały przez dwie godziny, nie zamieniając ani słowa.

W końcu za oknem rozległ się szelest i zobaczyły parę gorejących, czerwonych oczu, które się w nie wpatrywały. Była to stara sowa, która trzy razy zawołała: „Uhu! Uhu!”.

— No, córeczko — odezwała się stara kobieta — pora, żebyś wyszła i zrobiła to, co musisz zrobić.

Córka wstała z miejsca. Dokąd się udała? Podążyła przez łąkę, zeszła w stronę doliny, aż dotarła do źródła w pobliżu trzech starych dębów. Była pełnia księżyca, który dopiero co wstał nad górami, i na ziemi dostrzegłoby się nawet szpilkę.

Córka odpięła skórę na szyi, ściągnęła twarz przez głowę, po czym uklękła przy źródle i zaczęła się myć. Później zanurzyła fałszywą twarz w wodzie, wyżeła i położyła na trawie, by wyschła. Jakże się zmieniła! Nigdy byście nie uwierzyli! Kiedy zdjęła tępą, toporną twarz i siwą perukę, na ramiona opadły jej złociste włosy przypominające jasne promienie słońca. Miała oczy lśniące jak gwiazdy, a policzki różowe niczym najświeższe pąki kwiatów jabłoni.

Ale ta prześliczna dziewczyna była smutna. Siedziała koło źródła i gorzko płakała. Na długie złociste włosy kapały łzy i spadały na trawę jako perły. Pozostałaby tam jeszcze długo, lecz nagle usłyszała cichy trzask w gałęziach pobliskiego drzewa. Natychmiast zerwała się z miejsca niczym sarna spłoszona szczękiem strzelby myśliwego. W tej samej chwili przez tarczę księżyca przepłynęła ciemna chmura i natychmiast zapanował mrok. Dziewczyna włożyła starą skórę i zniknęła jak płomyk świecy zdmuchnięty przez wiatr.

Drżąc jak osika, pobiegła z powrotem do chatki, w której drzwiach stała stara kobieta.

— Och, matko, ja...

— Tss, kochana! — odparła łagodnie staruszka. — Wiem, wiem...

Wprowadziła dziewczynę do izby i włożyła do ognia jeszcze jedno polano. Ale potem nie usiadła znowu przy kołowrotku, tylko wzięła miotłę i zaczęła zamiatać podłogę.

— Musimy wszystko ładnie posprzątać — powiedziała.

— Po co to robisz, matko? Jest późno! Co się dzieje?

— Wiesz, która godzina?

— Jeszcze nie minęła północ, ale na pewno jest już po jedenastej.

— Nie pamiętasz, że przybyłaś tu do mnie dokładnie trzy lata temu? Nadszedł czas, moja droga. Nie możemy być dłużej razem.

Dziewczynę ogarnął lęk.

— Och, matko droga, nie chcesz mnie przecież wyrzucić, prawda?! Dokąd pójdę?! Nie mam przyjaciół, nie mam domu. Robiłam wszystko, co kazałaś, i zawsze byłaś ze mnie zadowolona. Proszę, nie każ mi odejść!

Stara kobieta milczała przez chwilę.

— Mój własny czas się skończył — rzekła wreszcie. — Ale zanim odejdę, muszę dokładnie posprzątać dom. Więc nie przeszkadzaj mi i nie martw się za bardzo. Będiesz miała gdzie mieszkać i ucieszysz się z nagrody, którą ode mnie dostaniesz.

— Ale proszę, powiedz, co się właściwie dzieje?!

— Już ci raz mówiłam, a teraz powtarzam: nie przeszkadzaj mi w mojej pracy. Idź do swojego pokoju, zdejmij z twarzy skórę i włóż jedwabną suknię, którą miałaś na sobie, gdy się tu pojawiłaś. Potem czekaj, aż cię zawołam.

Tymczasem król i królowa w dalszym ciągu poszukiwali starej kobiety, która dała hrabiemu szmaragdowe puzderko. Młody człowiek zgubił ich w gęstym lesie i wędrował samotnie. Myślał, że odnalazł właściwą drogę, ale potem, gdy zaczęło się zmierzchać, doszedł do wniosku, że nie powinien dalej iść, bo może zabłądzić. Wspiął się na drzewo, zamierzając spędzić noc wśród gałęzi.

Ale kiedy zaświecił księżyc, zobaczył na łące jakąś postać i zorientował się, że to gęsiarka, którą widział wcześniej w domu starej kobiety. Szła w stronę trzech dębów, a on pomyślał: Dobrze! Jeśli pójdę za jedną z tych wiedźm, szybko odnajdę drugą!

Gęsiarka zatrzymała się przy źródle i zdjęła skórę z twarzy, a zdumiony hrabia o mało nie spadł z drzewa. Kiedy na ramionach rozsypały jej się złote włosy i ujrzał ją w świetle księżyca, zrozumiał, że nigdy nie widział piękniejszej dziewczyny. Prawie nie śmiał oddychać. Ale nie mógł się powstrzymać i pochylił się do przodu, by zobaczyć ją trochę lepiej. Nieostrożnie nacisnął suchą gałąź, której trzask przestraszył gęsiarkę. Natychmiast zerwała się z miejsca i włożyła fałszywą twarz, a później księżyc przysłoniła chmura, pograżając wszystko w mroku, i dziewczyna umknęła.

Hrabia szybko zszedł z drzewa i pobiegł za nią. Kiedy znalazł się na łące, dostrzegł dwie postacie zmierzające w stronę chaty. Byli to król i królowa, którzy zauważyli odblask ognia w oknie. Hrabia

podszedł do nich i opowiedział o cudzie, jaki widział przy źródle; byli pewni, że gęsiarka to ich córka.

Pełni radości i nadziei, pośpieszyli do małego domku. Wszystkie gęsi spały na podwórzu, z łbami wetkniętymi pod skrzydła, i żadna nawet się nie poruszyła. Hrabia, król i królowa zajrzeli przez okno i zobaczyli starą kobietę, która przędła, kręcąc kołowrotkiem i kiwając głową. Mały pokój lśnił czystością, jakby mieszkały w nim czarodziejskie duszki, jednak nie było ani śladu księżniczki.

Król i królowa przez kilka minut spoglądali w milczeniu na pokój, aż wreszcie zebrali się na odwagę i zastukali w szybę.

Wydawało się, że stara kobieta ich oczekuje. Wstała i zawołała przyjaźnie:

— Wejdźcie! Wiem, kim jesteście! — Kiedy znaleźli się w środku, powiedziała: — Moglibyście sobie oszczędzić smutku i tej wędrówki, gdybyście trzy lata temu nie wygnali córki z domu w taki okrutny sposób. Ale nic się jej nie stało. Przez trzy lata pasła gęsi i robiła to dobrze. Nie nauczyła się złych rzeczy i zachowała czyste serce. Myślę, że cierpienia, jakich doświadczyliście, są dla was dostateczną karą. — Później podeszła do drzwi sąsiedniej izby i zawołała: — Wyjdź, córeczko!

Drzwi się otworzyły i weszła księżniczka ubrana w jedwabną suknię. Jej złote włosy lśniły, a jasne oczy błyszczały jak gwiazdy. Wydawało się, że to anioł zstąpił z nieba.

Zbliżyła się do ojca i matki, objęła ich i ucałowała. Król i królowa aż rozplakali się z radości. Tuż obok stał młody hrabia, a gdy księżniczka go spostrzegła, nagle cała się zarumieniła, choć nie wiedziała dlaczego. Wyglądała ślicznie, jak pąk róży.

— Moje drogie dziecko, podzieliłem już swoje królestwo — rzekł król. — Co mogę ci ofiarować?

— Ona niczego nie potrzebuje — wtrąciła stara kobieta. — Dam jej łzy, które wylała z twojego powodu. Każda z nich to najcenniejsza perła; są więcej warte niż całe twoje królestwo. A w nagrodę za zajmowanie się gęsmi podaruję jej swój dom.

Wypowiedziawszy te słowa, staruszka znikła. Ściany domu zadrżały i zatrzeszczały, a kiedy król, królowa, księżniczka i hrabia się rozejrzeli, zobaczyli, że znajdują się we wspaniałym pałacu. Cekał na nich pięknie zastawiony stół, przygotowany do uczyty godnej cesarza. Wokół krzątali się lokaje gotowi spełnić każde polecenie.

Ta historia jeszcze się nie kończy. Problem polega na tym, że moja babka, która mi ją opowiedziała, traci pamięć i zapomniała dalszego

ciągu.

Myślę, że piękna księżniczka poślubiła hrabiego; na pewno żyli razem długo i szczęśliwie. Podobno śnieżnobiałe gęsi tak naprawdę były dziewczętami, którymi zaopiekowała się stara kobieta. Przypuszczalnie znów przybrały ludzką postać i zamieszkały w pałacu, by służyć młodej królowej. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Jeśli chodzi o starą kobietę, nie mogła być wiedźmą, jak podejrzewano, tylko była mądrą czarodziejką, życzliwą dla ludzi. Dlaczego tak ostro potraktowała hrabiego, gdy go po raz pierwszy spotkała? Cóż, kto wie? Mogła przejrzeć jego charakter i odnaleźć w nim załóżki pychy. Jeśli tak, wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

Jest prawie pewne, że była obecna przy narodzinach księżniczki i ofiarowała jej podarunek — łąy dziewczynki zmieniały się w perły. Obecnie rzadko się to zdarza, bo inaczej ubodzy szybko staliby się bogaczami.

* * *

Typ baśni: ATU 923, *Miłość jak sól*

Źródło: *D’Ganshiadarin*, austriacka baśń napisana w dialekcie przez Andreasa Schumachera (1833)

Podobne baśnie: Katharine M. Briggs, *Cap o’Rushes, Sugar and Salt (Folk Tales of Britain)*; Italo Calvino, *Dear as Salt, The Old Woman’s Hide (Italian Folktales)*; William Szekspir, *Król Lir*

To jedna z najbardziej wyszukanych baśni braci Grimm. Źródłem jest stara opowieść o księżniczce, która porównała swoją miłość do ojca z tym, jak bardzo lubi sól, i została ukarana za prostolinijność. Istnieje wiele wersji tej historii; jedną z nich jest *Król Lir*.

Ale warto się przyjrzeć skutkom literackiego sposobu prowadzenia narracji. Nieszczęśliwa szczerą księżniczka pojawia się dopiero w dalszej części opowieści, a na początku poznajemy zupełnie inną postać — wiedźmę lub mądrą czarodziejkę. Nie jest ona bohaterką konkretnego wydarzenia; narrator opisuje jej sposób życia, jego przyczyny i reakcje społeczności. Czy stara kobieta jest wiedźmą, czy nie? Bajki zwykle mówią to wyraźnie, lecz w tym wypadku dowiadujemy się, co myślą o staruszce inni, i pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Narrator flirtuje w tym miejscu z modernizmem, w którym nie istnieje wiedza absolutna i widzimy

świat tylko oczami bohaterów opowieści (ojca i syna). Jednak ludzkie opinie są subiektywne. Ojciec może mieć rację lub jej nie mieć.

Później poznajemy młodego hrabiego i rozpoczyna się opowieść. Stara kobieta traktuje go z arogancką, bezsensowną surowością; spotyka on drugą kobietę, młodszą od pierwszej, ale brzydką, tępą; starsza daje mu w prezencie puzderko z tajemniczą zawartością. Kiedy młodzieniec przybywa do następnego miasta, królowa otwiera puzderko i mdleje. Narrator opowiada tajemniczą, trzymającą w napięciu historię, lecz ciągle nie wiemy, o co tak naprawdę chodzi.

Ale teraz, w opowieści królowej (znów narrator dba, byśmy wiedzieli tylko to, co wie jeden z bohaterów), pojawia się najważniejszy motyw — historia dziewczyny, która szczerze wyznała, że kocha ojca tak bardzo, jak bardzo lubi sól. Królowa mówi, że jej łzy zmieniały się w perły; w puzderku jest jedna z tych pereł. Dopiero teraz widzimy związek między tajemniczymi wydarzeniami i historia szybko zmierza do punktu kulminacyjnego. Gęsiarka zdejmuje z siebie skórę w świetle księżyca (i znów dowiadujemy się o tym tylko dlatego, że patrzy na to hrabia) i ukazuje swoje ukryte piękno. Staruszka, odnosząca się do niej z wielką czułością, każe jej włożyć jedwabną suknię. Bohaterowie gromadzą się w jednym miejscu i prawda wychodzi na jaw.

I wtedy następuje kolejne przypomnienie, że wiedza ma w sobie coś stronniczego: narrator mówi, że historia jeszcze się nie skończyła, ale stara kobieta, która pierwotnie ją opowiedziała, traci pamięć i zapomniała dalszego ciągu. Mogło się jednak zdarzyć, że... i tak dalej. Ta wspaniała baśń pokazuje, jak skomplikowaną strukturę można zbudować na najprostszym fundamencie, i mimo wszystko pozostaje ona zrozumiała.

Rusałka ze stawu koło młyna

Byli raz młynarz i młynarzowa, którzy prowadzili szczęśliwe, wygodne życie. Mieli sporo pieniędzy i kawałek ziemi i z roku na rok się bogacili. Ale nieszczęścia spotykają nawet ludzi zamożnych. Wiele razy mieli pecha i ich majątek coraz bardziej topniał, aż został im tylko młyn, w którym mieszkali. Młynarz był zrozpaczony. Nie mógł spać i przez całe noce przewracał się w łóżku, myśląc o swoich zmartwieniach.

Pewnego ranka, po nocy pełnej smutnych rozmyślań, wstał bardzo wcześnie i wyszedł na dwór w nadziei, że świeże powietrze podniesie go na duchu. Kiedy szedł groblą stawu obok młyna, na powieki padły mu pierwsze promienie słońca i w tej samej chwili usłyszał za sobą chlupot.

Odwrócił się w stronę stawu i zobaczył piękną kobietę, która wynurzała się z wody. Delikatnymi dłońmi odgarnęła z ramion włosy — były bardzo długie i otaczały jej blade ciało niczym jedwabna opończa. Od razu zrozumiał, że to rusalka mieszkająca w stawie koło młyna. Był tak przerażony, że nie wiedział, czy uciekać, czy zostać na miejscu. Nagle rusalka przemówiła — łagodnym głosem wypowiedziała jego imię i spytała, dlaczego jest taki smutny.

Z początku młynarz nie mógł wykrztusić słowa, ale gdy usłyszał słodki głos rusalki, nabrał otuchy i wyjaśnił, że kiedyś był bogaty, ale teraz stracił majątek i stał się taki biedny, że nie wie, co począć.

— Nie martw się — odparła rusalka. — Uczynię cię szczęśliwszym i bogatszym, niż kiedykolwiek byłeś. Musisz mi jednak przyrzec, że ofiarujesz mi to, co właśnie się urodziło w twoim domu.

Może to być tylko szczeniak albo kot, pomyślał młynarz i złożył takie przyrzeczenie.

Rusalka znikła w wodzie, a młynarz pośpieszył z powrotem do młyna, czując się już znacznie lepiej. Zanim zdążył dojść do drzwi, wybiegła mu na spotkanie służąca.

— Gratulacje! Przed chwilą pana żona urodziła syna! — zawołała z szerokim uśmiechem.

Młynarz stał jak rażony piorunem. Natychmiast uświadomił sobie, że rusalka go oszukała. Zwiesił głowę i z ciężkim sercem poszedł do łóżka żony.

— Dlaczego masz taką smutną minę? — spytała. — Nasz synek jest śliczny, prawda?

Opowiedział jej, co się wydarzyło i jak rusalka go oszukała.

— Powinienem był się domyślić! — dodał. — Nie należy ufać takim istotom. Czy pieniądze są naprawdę takie ważne? Na co nam złoto i bogactwo, skoro musimy oddać dziecko? Ale co możemy zrobić?

Krewni, którzy przyszli świętować narodziny syna, nie wiedzieli, jakiej rady udzielić młynarzowi.

Tymczasem od tej chwili jego los się odmienił. Każde jego przedsięwzięcie kończyło się sukcesem — zbiory okazały się dobre, miał dużo zboża do zmielenia, a ceny nie spadały. Wszystko mu się udawało i zaczął zarabiać dużo pieniędzy. Wkrótce stał się bogatszy, niż był kiedykolwiek wcześniej.

Ale nie dawało mu to radości. Dręczyła go myśl o tym, co przyrzekł, i nie lubił chodzić koło stawu z obawy, że rusalka się wynurzy i przypomni o długu. I oczywiście zabronił synkowi zbliżać się do wody.

— Jeśli znajdziesz się przypadkiem nad brzegiem stawu, bądź ostrożny i natychmiast stamtąd uciekaj — powtarzał chłopcu. — Mieszka tam zły duch. Wystarczy, że dotkniesz dłonią wody, a pochwyci cię i wciągnie pod powierzchnię.

Ale mijały lata i rusalka się nie pojawiała. Stopniowo młynarz zaczął się uspokajać.

Kiedy syn dorósł, oddał go do terminu u myśliwego. Chłopak szybko się uczył i dobrze sprawował, a dziedzic, właściciel wsi, przyjął go do służby. We wsi mieszkała piękna, uczciwa i dobra dziewczyna, która zdobyła serce młodego myśliwego. Pan, gdy się o tym dowiedział, dał nowożeńcom w prezencie ślubnym niewielki domek. Prowadzili spokojne, szczęśliwe życie i kochali się z całego serca.

Pewnego dnia młody myśliwy ścigał jelenia, który skręcił i wybiegł z lasu na łąkę. Kiedy jelen znalazł się na otwartej przestrzeni, myśliwy wypalił i położył zwierzę jednym strzałem. Upojony sukcesem, nie zwrócił uwagi na to, gdzie jest, i gdy obdarł

ze skóry i wypatroszył jelenia, poszedł umyć ręce w pobliskim jeziorku.

Był to staw przy młynie jego ojca. Ledwie włożył dłonie do wody, pojawiła się roześmiana rusałka, objęła go mokrymi ramionami i błyskawicznie wciągnęła pod powierzchnię. Woda nad jego głową zafalowała, a po chwili jej tafla znów stała się idealnie gładka.

Kiedy zapadł wieczór i myśliwy nie wrócił do domu, jego żona zaczęła się niepokoić. Poszła szukać męża. Ponieważ często wspominał o niebezpieczeństwie związanym ze stawem, domyśliła się, co się stało. Pośpieszyła do młyna i gdy znalazła na trawiastym brzegu torbę myśliwską, nie miała już żadnych wątpliwości. Płakała, załamywała ręce, szlochała, raz po raz wołając męża po imieniu — wszystko na próżno. Pobiegła na drugą stronę stawu i tam również wołała męża i ze złością przeklinała rusałkę, ale odpowiadała jej cisza. Tafla wody była gładka jak lustro i tylko odbijał się w niej sierp księżycy.

Biedna kobieta nie odeszła od stawu. Chodziła dokoła, czasem szybciej, gdy myślała, że coś się rusza po przeciwnej stronie, a czasem powoli i ostrożnie, spoglądając znad brzegu w głąb wody. Nie przystawała ani na chwilę. To głośno wykrzykiwała imię męża, to znów cicho szlochała. Nad ranem, gdy była już u kresu sił, opadła na trawę i natychmiast zasnęła.

Przyśnił jej się sen. Przerazona, wspinała się na skalistą górę. Ciernie i kolczaste gałęzie raniły jej stopy, deszcz smagał twarz, włosy rozwiewał porywisty wiatr. Jednak gdy dotarła na szczyt, wszystko się zmieniło. Niebo stało się błękitne, a powietrze ciepłe. Stok opadał łagodnie w stronę zielonej łąki porośniętej kwiatami, na której zobaczyła schludną małą chatkę. Podeszła i otworzyła drzwi. W środku ujrzała siwowłosą staruszkę, która uśmiechnęła się do niej przyjaźnie — i w tym momencie biedna żona myśliwego się obudziła.

Świtało. Ponieważ nic nie zatrzymywało jej w domu, postanowiła iść w to miejsce, które widziała we śnie. Znała położenie góry i natychmiast wyruszyła w drogę. Tymczasem pogoda się zmieniła i stała się taka jak w jej śnie — wiał porywisty wiatr i zacinał deszcz. Mimo to kobieta wspięła się z wysiłkiem na szczyt i wszystko okazało się takie jak we śnie: zobaczyła błękitne niebo, łąkę porośniętą kwiatami, schludną małą chatkę i siwowłosą staruszkę.

— Wejdz, kochanie, i usiądź koło mnie — odezwała się staruszka. — Widzę, że spotkało cię nieszczęście; musiało tak się stać, skoro odszukałaś moją samotną chatkę.

Usłyszawszy łagodne słowa, żona myśliwego zaczęła szlochać, ale szybko opanowała się i opowiedziała całą historię.

— Nie martw się — rzekła staruszka. — Pomogę ci. Weź ten złoty grzebień. Poczekaj na pełnię księżyca, a potem idź do stawu koło młyna, usiądź na brzegu i uczesz tym grzebieniem swoje długie włosy. Później połóż grzebień nad wodą i zobacz, co się wydarzy.

Młoda żona wróciła do domu. Następne dni płynęły jej bardzo powoli. W końcu, gdy nad drzewami pojawił się księżyc w pełni, poszła do stawu koło młyna, usiadła na trawiastym brzegu i zaczęła czesać włosy złotym grzebieniem. Kiedy skończyła, położyła grzebień na skraju wody. Prawie natychmiast w głębi coś się poruszyło i nadpłynęła fala, która zalała brzeg i porwała ze sobą grzebień. W tej samej chwili z wody wynurzyła się głowa myśliwego. Spojrzał z bólem na żonę, ale widziała go tylko przez sekundę, ponieważ natychmiast nadbiegła kolejna fala i woda znów go pochłonęła. Kiedy toń się uspokoiła, w stawie widać było tylko odbicie księżyca w pełni.

Młoda żona wróciła do domu załamana. Ale w nocy znów przyśnił jej się ten sam sen, więc ponownie wyruszyła do chatki na łące porośniętej kwiatami. Tym razem staruszka dała jej złotą fujarkę.

— Zaczekaj do następnej pełni księżyca — powiedziała. — Idź nad staw, usiądź na brzegu i zagraj piękną melodię. Kiedy skończysz grać, połóż fujarkę na trawie i zobacz, co się wydarzy.

Żona myśliwego postąpiła według wskazówek staruszki. Zagrała na fujarce, a gdy położyła ją na brzegu, nadpłynęła fala i zabrała fujarkę. Po chwili na środku stawu zakotłowała się woda i nad powierzchnią ukazały się głowa i tułów myśliwego. Z rozpaczą wyciągnął ręce w stronę żony, która również próbowała go dosięgnąć. Kiedy ich ręce niemal się już stykały, fale wciągnęły go w głąb stawu i kobieta została sama na brzegu.

Och, pięknie mi od tego serce, pomyślała. Po raz drugi ujrzałam swojego ukochanego i znowu go straciłam! To nie do zniesienia!

Ale kiedy zasnęła, ponownie przyśnił jej się sen. Trzeci raz poszła na szczyt góry i staruszka znów ją pocieszyła.

— Nie rozpaczaj, moja droga. To jeszcze nie koniec. Zaczekaj do następnej pełni księżyca i zanieś nad staw ten złoty kołowrotek. Usiądź na brzegu i zacznij prząść, a kiedy przygotujesz całą szpulkę nici, zostaw kołowrotek i zobacz, co się wydarzy.

Młoda żona zrobiła wszystko tak, jak kazała staruszka. Kiedy nadeszła pełnia księżyca, uprzedła na brzegu stawu szpulkę lnianej

nici, a potem zostawiła złoty kołowrotek i odeszła na pewną odległość. Woda zakotłowała się i wzburzyła, po czym w stronę brzegu nadpłynęła wielka fala, silniejsza niż poprzednio, i porwała złoty kołowrotek. W tej samej chwili woda znów zawirowała i najpierw ukazała się głowa myśliwego, potem jego ramiona, a w końcu całe ciało. Wyskoczył na trawę, chwycił żonę za rękę i uciekli co sił w nogach.

Za ich plecami woda wezbrała i wystąpiła z brzegów. Ogromna fala wdarła się na łąkę w ślad za uciekającą parą, ze straszliwą siłą łamiąc drzewa i krzewy. Myśliwy i jego żona zaczęli się obawiać o swoje życie. Przerażona kobieta zawołała staruszkę i oboje natychmiast zmienili się w ropuchę i żabę. Zalała ich woda, lecz nie utonęli, tylko zostali rozdzieleni przez fale, które rzuciły ich daleko od siebie.

Kiedy woda w końcu opadła, dwa zwierzątka osiadły na suchej ziemi i odzyskały ludzką postać, ale żadne z nich nie wiedziało, gdzie jest drugie. Oboje znaleźli się wśród obcych w obcych krajach. Dzielili ich wysokie góry i głębokie doliny. Aby zarobić na życie, najęli się do wypasu owiec. Przez kilka lat paśli swoje stada wśród pól i lasów; każde z nich wciąż czuło smutek i tęsknotę.

Pewnego dnia, gdy znów nadeszła wiosna, a powietrze było świeże i ciepłe, oboje wyruszyli z owcami w góry. Tak się złożyło, że zmierzali w stronę tej samej hali. Myśliwy zauważył stado owiec na odległym zboczu i pognął swoje stado w tym kierunku, i oba stada spotkały się w dolinie leżącej pośrodku. Mąż i żona się nie poznali, ale byli zadowoleni, że mają towarzystwo na tym odludziu, i od tej pory wypasali swoje owce razem. Niewiele mówili, lecz czerpali otuchę ze swojej obecności.

Pewnej nocy, gdy na niebie świecił księżyc w pełni i owce wróciły z pastwiska, myśliwy wyjął z kieszeni fujarkę i zagrał smutną, piękną melodię. Kiedy odłożył instrument, zobaczył, że pasterka płacze.

— Dlaczego beczysz? — spytał.

— Ach — westchnęła — znów jest pełnia księżyca, tak jak wtedy, gdy grałam na fujarce tę samą melodię i mój ukochany wynurzył się z wody...

Popatrzył na nią i nagle spadły mu łuski z oczu: rozpoznał ukochaną żonę. A ona spojrzała na jego twarz w świetle księżyca i również go poznała. Padli sobie w ramiona, całowali się, tulili i znów całowali. Nikt nie musi pytać, czy było im razem dobrze: żyli w szczęściu aż do końca swoich dni.

* * *

Typ baśni: ATU 316, *Rusałka ze stawu koło młyna*

Źródło: opowiadanie Moritza Haupta opublikowane w *Zeitschrift für Deutsches Alterthum* (Czasopismo starożytności niemieckich), tom 2 (1842)

Rusałki, boginki, syreny i topielice zawsze zapowiadają kłopoty, niezależnie od tego, jak się nazywają. Nie ma wyjątków od tej reguły, lecz ostatecznie rusałka poniosła klęskę: miłość wiernej żony okazała się silniejsza. Końcowa scena, gdy małżonkowie się rozpoznają, jest bardzo wzruszająca, a logika księżycowej scenerii, zarysowanej już wcześniej, wymaga, by stało się to w czasie pełni — ma to wymiar artystyczny i optyczny. W każdą inną noc nie widzieliby się tak wyraźnie.

Chciałbym wiedzieć, jaką melodię grano na fujarce. Bardzo dobrze pasowałaby *Pieśń do księżycy* z opery Dvořáka *Rusałka* z 1901 roku.

- ¹ *Co wprawia niebiosa we wściekłość* (William Blake, *Przepowiednie niewinności* [*The Auguries of Innocence*], 1803).
- ² *Opowieść nie jest piękna, jeśli nic do niej nie dodano* — toskańskie przysłowie cytowane przez Itala Calvina we wstępie do *Italian Folktales* (Penguin Books, Londyn 1982).
- ³ W notach Philipa Pullmana do poszczególnych baśni braci Grimm zachowano oryginalne tytuły źródeł, z których korzystał — anglojęzycznych wydań dzieł Aleksandra Afanasjewa, Katharine Briggs, Itala Calvina, Charles'a Perraulta i innych bajkopisarzy. Utwory Afanasjewa, Calvina i Perraulta były przekładane na język polski przez wielu tłumaczy i ukazywały się w różnych zbiorach, np.: Aleksander Afanasjew, *Bajki rosyjskie*, przeł. Ludwik Flaszen, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1962; Italo Calvino, *Baśnie włoskie*, przeł. Jerzy Popiel, Nasza Księgarnia, Warszawa 1968; Charles Perrault, *Bajki*, przeł. Hanna Januszewska, Nasza Księgarnia, Warszawa 1994. Jednak tytuły polskie odsyłałyby do innych wersji baśni niż wymienione w *Bibliografii*, nieznanymi autorowi, i powodowałyby to utratę informacji na temat jego warsztatu pisarskiego.
- ⁴ *Kostera* — staropolskie określenie hazardzisty.
- ⁵ W kompletnym polskim wydaniu baśni braci Grimm (*Baśnie braci Grimm*, przeł. E. Bielicka i M. Tarnowski, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1988) nie podano brzmienia tego dźwięku. Tutaj został oddany jako *trik-trak*.

Spis treści

O książce	2
Strona tytułowa	3
O autorze	4
Strona redakcyjna	5
Spis treści	6
Wstęp	8
Bibliografia	18
1. Żabi król i Żelazny Henryk	20
2. Kot i mysz w jednym stały domu	25
3. O chłopcu, co ruszył w świat, by poznać strach	29
4. Wierny Jan	40
5. Dwunastu braci	48
6. Braciszek i siostrzyczka	54
7. Roszpunka	62
8. Trzy krasnoludki w lesie	67
9. Jaś i Małgosia	75
10. Trzy węzowe liście	84
11. Rybak i jego żona	89
12. Dzielny krawczyk	99
13. Kopciuszek	109
14. Zagadka	119
15. Mysz, ptak i kielbasa	123
16. Czerwony Kapturek	126
17. Muzykanci z Bremy	131
18. Śpiewająca kość	135
19. Diabeł i trzy złote włosy	138
20. Dziewczyna bez rąk	146
21. Elfy	153
22. Narzeczona mordercy	157

23. Śmierć ojcem chrzestnym	162
24. Jałowiec	166
25. Śpiąca królewna	177
26. Królewna Śnieżka	182
27. Rumpelsztyk	194
28. Złoty ptak	198
29. Chłopina	206
30. Futrzarka	214
31. Jorinda i Joringel	221
32. O sześciu takich, co świat zawojowało	225
33. Jan Kostera	231
34. Śpiewający, skaczący skowronek	235
35. Gęsiarka	241
36. Niedźwiedzia Skóra	248
37. Dwaj towarzysze wędrówki	254
38. Jasio Jeż	265
39. Całun	271
40. Skradzione grosiki	272
41. Ośła kapusta	274
42. Jednooczka, Dwuoczka i Trzyoczka	281
43. Pantofelki zdarte od tańca	290
44. Żelazny Jan	294
45. Góra Simeli	303
46. Leniwy Henryś	307
47. O Janku siłaczu	311
48. Księżyc	320
49. Gęsiarka przy źródle	323
50. Rusalka ze stawu koło młyna	333
Przypisy	339